

Ilona Maria Hilliges

Biała czarownica

Podziękowanie

Od matki nauczyłam się, co może oznaczać miłość: że to bezinteresowne pomaganie tym, którzy potrzebują pomocy. Zawsze mogłam liczyć, że mama zajmie się moimi dziećmi, Janet i Bobbym, bez względu na to, jak dobrze lub źle wiedzie się jej samej. O niepokojach, które mnie dręczyły, nie zawsze jej mówiłam. A ona nie pytała. Po prostu zawsze była, gdy jej potrzebowałam, niczego nie żądała, ale za to dawała swoją miłość, swój czas, swoje siły. Nie mając w niej oparcia, nie mogłabym przeżyć tych lat w Nigerii.

Starsze z moich dzieci, Janet i Bobby'ego, którzy czytają tę książkę jako ludzie dorośli i którzy po dziś mają ambiwalentny stosunek do swych afrykańskich korzeni, proszę o wyrozumiałość: nie zawsze byłam taką matką, jakiej sobie życzyli.

Wielkie podziękowanie należy się Kaiowi Prechtowi za upór, z jakim walczył o *Białą czarownicę* i w rezultacie doprowadził do publikacji książkowej.

Napisałam tę książkę także dla moich przyjaciół w Nigerii - chociaż większość z nich nigdy jej nie przeczyta - żeby wzbudzić zrozumienie dla ich cudownego, ale też rozdartego waśniami kraju i w ten sposób wyrazić im swoją wdzięczność.

Berlin, luty 2000 roku

Ilona Maria Hilliges

Powrót do Afryki

Moja pamięć bywa czasem jak małe dziecko, które chowa się za firanką i głośno woła: „Nie ma mnie!”. A pod spodem wystają stopy... Potem dziecko błyskawicznym ruchem odsuwa zasłonę i krzyczy: „I znowu jestem!”. Wyciąga ręce przed siebie i rusza pędem w moją stronę, omal mnie nie przewracając.

Z taką właśnie gwałtownością moje wspomnienia wyskoczyły zza szarej zasłony zapomnienia, gdy mój mąż Peter pewnego dnia stanął w drzwiach, trzymając w ręku pocztę.

- Jest tutaj list od jakiegoś Abioli. Z Lagos w Afryce - powiedział takim tonem, jakby to była rzecz bez znaczenia, lecz wyraźnie wyczułam w jego głosie ciekawość.

Choć cały list, pisany ręcznie, zajmował tylko jedną stronę, czytałam go godzinami niczym powieść, której człowiek nie może odłożyć, dopóki nie pozna zakończenia. Miałam przed oczyma Afrykę z nieskończonymi połączeniami pełnymi drzemiącej energii i z ciemnym błękitem nieba, które chyba nigdzie nie jest takie rozległe i wysokie. Słyszałam wielogłosową symfonię przyrody, cykanie świerszczy, pohukiwanie puszczyka, kumkanie żab i wrzaski małp w dżungli. I ciche klekotanie powstające wtedy, gdy wiatr delikatnie uderza jednym liściem palmy o drugi. Wciągałam w płuca wilgotne powietrze, tchnące zapachem dojrzałych owoców i wonią pięknych orchidei. Słyszałam chór głosów na targach i bazarach, krzyki dzieci i beztroski śmiech kobiet.

A potem stanęli mi znowu przed oczyma ludzie, którzy byli mi wtedy bliscy, i to tak wyraźnie, jakby od tamtego czasu nie minęło

wiele lat - Abiola, Yemi i dzieci, a także Mila, czarodziejka, która została moją przyjaciółką. I wreszcie Victor, księżę z odległego świata, z którym siedziałam na pustyni pod baldachimem z gwiazd. Słyszałam słowa, które mówił do mnie, obietnice miłości, których nie dane mu było spełnić.

Później te idylliczno-romantyczne obrazy zmieszały się ze straszliwymi scenami niebezpiecznego rozstania. Nagle pojawili się goryle Sunny'ego, którzy mnie schwycili i rzucili na platformę pikapu, gdzie rozpaczliwie szukałam jakiegoś oparcia. W powietrzu było pełno drobniotkiego, czerwonego piasku podnoszonego przez pustynny wiatr harmatan. Padł strzał, potem jeszcze jeden, kobiety zaczęły histerycznie krzyczeć. Nogi podę mną drżały, kiedy zeszałam z wozu. Akpoviroro wpatrywał się we mnie, łyzy, kurz, brud i szalona wściekłość wykrzywiły jego twarz w niesamowitą maskę. Podniósł karabin i wymierzył we mnie.

„Umieraj, biała czarownico!" - wydusił z siebie.

List z Nigerii zawierał zaproszenie na ślub. Abiola pytał mnie uprzejmie, czy chciałabym zobaczyć znowu jego cztery dziewczęta i poznać jego przyszłą żonę Emetę. I czy nie mogłabym jeszcze raz, przynajmniej na krótko, wrócić do Afryki...

Choć w Nigerii spotkały mnie też okropne rzeczy, nagle zapłonął we mnie znowu ogień wielkiej tęsknoty, rozpalony przez iskrę niczym wysuszona trawa sawanny. I jak szklanka wody nie jest w stanie ugasić wielkiego pożaru, tak moja rozbudzona na nowo namiętność wobec Afryki nie mogła się zadowolić bladymi wspomnieniami i jednym listem. O tak, pragnęłam wrócić do Nigerii, żeby również Peter miał udział w mojej pasji do tego kraju. Żebyśmy oboje mogli przejść przez most łączący dzień wczorajszy mojej przeszłości z dniem dzisiejszym naszej terażniejszości.

Peter powiedział kiedyś, iż żyję z taką intensywnością, że wystarczyłoby jej na życie kilku kobiet. Dzieje się tak przez moją ciekawość. Kiedy spotkałam mężczyznę, który otworzył mi drzwi do nieznanego królestwa Afryki, jeszcze większa od mojej ciekawości była tylko naiwność. Miałam zaledwie dziewiętnaście lat. Tamta mło-

dzieńcza miłość się ulotniła. Mimo że przez sześć lat byłam żoną Johna, tego mężczyzny z Nigerii, kiedy żyliśmy już w separacji, uciekłam najpierw do jego ojczyzny. W Afryce poznałam potem Victora, z którym chciałam spędzić resztę życia. Los wyrwał jednak tego mężczyznę z moich ramion z taką siłą, że sądziłam, iż aby móc dalej żyć, muszę stłumić w sobie te nieprzewyciężone wspomnienia.

Teraz byłam wreszcie gotowa stanąć oko w oko ze wspomnieniami. Moja szwagierka zajęła się naszymi dziećmi i domem w Niemczech. Ja zaś polecałam z Peterem do zachodniej Afryki, do kraju w pasie lasów równikowych, cztery razy większego od Niemiec; mieszka w nim co czwarty Afrykanin, a mimo to - choćby w odróżnieniu od Kenii we wschodniej Afryce - nie można go znaleźć w żadnym katalogu biur podróży. To właśnie Nigeria.

Odkąd opuściłam Lagos, minęło czternaście lat. Kiedy latem 1997 roku wróciłam tam razem z Peterem, nie mogłam się jednak oprzeć wrażeniu, że czas tutaj stanął w miejscu. Afryka, często określana mianem kolebki ludzkości, matki, za którą wszyscy tęsknimy i którą kochamy na dystans, powitała mnie z bezpośrednią, niezakłamaną intensywnością. Strumień ludzi wciągnął mnie i Petera do hali przyłotów. Napawałam się tym nieopisanym chaosem, radośnie podniecona jak dziecko, które nie może się doczekać wspańskiego spotkania z kimś dawno niewidzianym.

Abiola, bardziej okrągły i spokojniejszy niż w moich wspomnieniach, wziął na lotnisko nie tylko swoją sympatyczną przyszłą żonę Emetę. Nie omieszkał także poinformować o mojej wizycie kobiety, na widok której nie mogłam powstrzymać łez: Mila. Bez słowa padłyśmy sobie w ramiona. Również Mila, kobieta ogromnej tuszy, od której biła nie tylko godność i macierzyńskie ciepło, lecz zarazem autorytet, otarła łzę z oka, a następnie sięgnęła w bezdenną głęb swego wrappera, czyli zawijanej wokół ciała tradycyjnej afrykańskiej spódnicy, i wyciągnęła naszyjnik, który ucałowała i założyła mi na szyję.

- Jemonja nie zapomniła o tobie, siostró - powiedziała z powagą. -
I zadba o to, żeby twoja podróż tym razem przebiegała bez kłopotów. -

Objęła mnie jeszcze raz. Do głębi wzruszona tym powitalnym prezentem, nie mogłam wydobyć słowa. W tym momencie zamknął się krąg pożegnania i powitania: na cienkim rzemyku zawisł na mojej szyi oprawiony w złoto mały, wygięty ząb krokodyla. Miła szepnęła mi na ucho tak, żeby mój towarzysz nie mógł tego słyszeć: - Cokolwiek przytrafi ci się w życiu, pamiętaj, że zwyciężyłaś diabła.

Odsunęła mnie na odległość wyciągniętego ramienia i przyglądała mi się jak matka lustrująca córkę, która wróciła właśnie do domu.

- Te lata wyszły ci na dobre!

Zażenowana obciągnęłam sukienkę: ważyłam o dziesięć kilogramów za dużo. W oczach Mili były to jednak te kilogramy, których mi brakowało poprzednim razem.

W końcu przyjrzała się Peterowi.

- To twój mąż? Trochę za chudy. Powinnaś mu dawać więcej jeść, siostró!

Jej głośny śmiech był ciepły i serdeczny - takiego właśnie powitania sobie życzyłam.

Peter, który znał ten kontynent jedynie z moich opowieści, otwierał szeroko oczy, podziwiając barwne, bujne afrykańskie życie. Lagos jest metropolią liczącą obecnie około dziesięciu milionów mieszkańców. Europejczycy przejeżdżający nocą przez miasto sądzą pewnie, że wszyscy ci ludzie wylegli na ulice po to, żeby nam, przybyszom z Europy, nawykłym do dziennego trybu życia, udowodnić, jaką przyjemność sprawia Afrykanom życie nocne. Ulica jest nieskończenie długą sceną, na której rozgrywa się wszystko. Mężczyźni siedzą przed domami i prowadzą niekończące się rozmowy; grupy kobiet i dzieci udają się na jakąś uroczystość lub jedno z niezliczonych nabożeństw którejs z religii; uliczni sprzedawcy - mężczyźni, kobiety i dzieci - trzymając tace w rękach lub umiejętnie nosząc je na głowie, oferują słodycze, pieczywo, owoce, papierosy, gotowe dania bądź orzeszki kola; stary mężczyzna popycha wózek, na którym stoi duży pojemnik z wodą; czasem widuje się stado kóz popędzane przez pastuszkę; ktoś okłada kijem objuczonego osła, żeby ruszył dalej; motorowery, autobusy, taksówki zbiorcze, głośno trąbiąc, torują sobie drogę przez tę ciżbę.

Nic się nie zmieniło, tylko ja się zmieniłam. Stałam się starsza i, po urodzeniu w sumie czworga dzieci, bardziej się zaokrągliłam. Ale akurat to -jak sympatycznie wyraziła się Mila - uchodzi w Afryce za wyznacznik urody.

Abiola zawiózł nas do swojego domu w pobliżu uniwersytetu w Benin City. Mówi się, że dzieci pokazują nam upływ czasu. Dziewczynki Abioli stały się tymczasem dorosłe, tak samo jak Janet i Bobby, moje dzieci z małżeństwa z Johnem. Z nieba spływał ciepły deszcz, duszne powietrze wypełniał ów aromatyczny, zmysłowy zapach piżma, a my siedzieliśmy we czwórce na osłoniętej od deszczu werandzie domu Abioli i cofaliśmy się w czasie.

Wtedy, w 1972 roku, kiedy wszystko się zaczęło, miałam mniej lat, niż ma obecnie moja najstarsza córka Janet.

Część 1

S *taka* *mitość*

*Jak długo nosisz wszy w ubraniu,
tak długo będziesz mieć krew
pod paznokciami.
(prysłowie nigeryjskie)*

John, mężczyzna z mojej przeszłości

W Monachium odbywały się igrzyska olimpijskie, patrzył na nie cały świat. W mieście było pełno obcych ludzi. A ja miałam dziewiętnaście lat i byłam w samym środku wydarzeń! Złapałam pracę „przy olimpiadzie” jako dyspozytorka personelu sprząającego. Było lato, atmosfera taka, jakby codziennie wiał fen, powietrze musowało niczym szampan.

John Wowo miał skórę tak czarną, że po ciemku widziałam tylko jego oczy i fantastyczne, lśniąco białe zęby. Był niewiele wyższy ode mnie, miał kędzierzawe włosy z o wiele za długimi bakami, zniwalaający śmiech w oczach i miękkie, zmysłowe usta. Ubierał się tak, żeby rzucać się w oczy - w za długi płaszcz, spodnie z bardzo szerokimi nogawkami i wzorzyste koszule. Potrawy, które dla mnie gotował, były niesamowicie ostre lub uwodzicielsko słodkie. Dzwonił do mnie, pisał długie, kilkustronicowe listy, opowiadał historie o własnym kraju, które przypominały baśnie. Przychodził po mnie o niespodziewanych porach, przynosił małe, drewniane figurki, kolorowe perełki, niezwykle talizmany i amulety, które fascynowały mnie i budziły moją ciekawość. John zalecał się do mnie ze staroświecką atencją pełną romantycznej delikatności, a ja chętnie poddawałam się tym zabiegom.

Moi przyjaciele, że nie wspomnę o rodzicach, którzy włączali alarm już na samą wzmiankę o kolorze skóry Johna, ostrzegali mnie. Może to był urok obcości, odwieczna pokusa spróbowania zakazanego owocu, wezwanie do przekraczania niewidzialnych granic. W każdym razie chętnie naruszyłam owe tabu, których i tak nigdy nie zaakceptowałam.

Pożądałam Johna do tego stopnia, że uzależniłam się od niego, zaczęłam go kochać, kochać jego czarną, nieowłosioną skórę, pełne wargi. Jego zmysłowa cielesność pomogła mi zrzucić zahamowania niczym za ciasny gorset. Jego duma ze mnie, którą okazywał na niezliczonych przyjęciach, wzbudzała moją pewność siebie. Jego fantazja, beztraska radość, z jaką przyjmował wszystko, co niesie życie, niczego nie planując, dodawała mi skrzydeł. Jego miłość i serdeczna troskliwość otaczały mnie niczym rękawiczka marznące palce.

Zmysłowe królestwo Johna, składające się z miłości i seksu, zapachów i jedzenia, mogłoby trwać wiecznie, ale John nie miał pieniędzy.

- Nie szkodzi - oświadczyłam niedbale. - Ja przecież już zarabiam, a oprócz tego studiuje.

I z kolei ja byłam dumna, że swoimi pieniędzmi mogę mu pomagać. Życie z Johnem szybko mnie zmieniło. Również zewnątrz: moje długie, rudoblond włosy wnet zaczęły się kręcić w stylu afro; w ten sposób pokazywałam Johnowi, że należę do niego.

Jednak mój ojciec, który miał nadzieję, że mężem jego najstarszej córki zostanie dzielny, niemiecki biznesmen - taki jak on swego czasu - ujrzał, że jego nadzieje spełzają na niczym. I wtedy bez osłonek pokazał swoje resentymenty. Ponieważ zawsze unikałam konfrontacji, więc milczałam. Trafiały mi natomiast do przekonania pomysły Johna, ekscytujące i barwne jak jego wyobraźnia. John marzył o wyjeździe do Kanady, gdzie nam obojgu świat wydawał się dostatecznie rozległy, bez przymusów i granic. Pragnął zrobić tam licencję pilota.

Mając miłość Johna i oparcie w nim, czułam się niesamowicie silna, odważna i wierzyłam, że nigdy nie popełnię błędu. Nadopiekuńczemu ojcu, który zdominował moją rodzinę, opowiadałam, że w Ameryce pragnę podjąć międzynarodowe studia. Ojciec odwiózł mnie nawet na lotnisko. Ale gdy przy stanowisku odlotów rzuciło się do mnie pięciu czy sześciu czarnych mężczyzn, wśród nich John, których rozpierała radość z rychłego wyjazdu do Kanady, moja bajeczka rozpadła się jak domek z kart. Wyjechałam w popłochu, zamiast wyjaśnić ojcu, że od tej pory zamierzam żyć własnym życiem, za które sama będę odpowiadać. Zabrałam ze sobą wielki bagaż poczucia winy, z którym żyłam przez następne dziesiątki lat, a ojciec potrafił to świetnie wykorzystać.

Pełen niespodziewanych zwrotów pobyt w Kanadzie dobrze wpłynął na nasz związek. Podziwiałam Johna za zrównoważony charakter, nigdy nie słyszałam z jego ust złego słowa ani surowego osądu innych ludzi, bez względu na to, jak głęboko sam był dotknięty. Ponieważ zawsze chadzałam własnymi drogami, doceniałam jego nieskomplikowany charakter, który wszędzie pozwalał mu szybko znajdować przyjaciół i „krewnych”. Poznałam go też od innej strony, jako człowieka cichego i religijnego; modlitwa przed każdym posiłkiem była wyrazem głębokiego życia duchowego.

Nasze nadzieje nie spełniły się: życie w Kanadzie nie było łatwiejsze niż życie w Niemczech, przed którym uciekliśmy. Wprawdzie ja znalazłam bez problemu pracę, ale John nie dostał nawet pozwolenia na pobyt, które było wszak warunkiem wstępnym realizacji jego śmiałych planów. Jednak to, co miało nas rozłączyć, związało nas jeszcze mocniej. W marcu 1974 roku wzięliśmy ślub w Toronto i zostałam Iłoną Wowo. W listach, które pisałam do domu, podawałam jako nadawcę tylko swoje imię, a jako adres numer skrytki pocztowej. Mama szybko zwąchała pismo nosem i zapytała mnie, czy wyszłam za mąż. Kiedy odpowiedziałam jej w następnym liście, że tak, ojciec już nie chciał mieć ze mną nic do czynienia i od tej pory mama musiała pisać do mnie po kryjomu.

Pierwszym cieniem na nasze szczęście położył się list z Nigerii. John miał tam żonę, poślubił ją zgodnie z prawem plemiennym tuż przed wyjazdem do Niemiec. Z jego punktu widzenia poligamia nie była niczym nagannym, lecz należała do tradycji. Ja natomiast byłam wściekła. John napisał do domu list, w którym oświadczał, że dziewczynę wypędza, i wzywał rodziców, żeby nie płacili za nią ostatniej raty, bo znalazł w Europie kobietę swego życia. Udobruchało mnie to i znów wierzyłam w niego.

Mimo że wzięliśmy ślub, w Kanadzie nie było dla nas przyszłości. Postanowiliśmy wyjechać do Anglii, żeby tam podjąć studia i pracować. W Londynie bardzo szybko udało mi się znaleźć pracę i zaczęłam zarabiać pieniądze dla nas obojga. Mieszkaliśmy w Brixton, podłej dzielnicy, bo na nic lepszego nie mogliśmy sobie pozwolić. Nędzny pokój, przedzielony zasłoną na „salon” i „sypialnię”, pozba-

wiony łazienki i ubikacji. Sąsiad z góry rozwiązał ten problem w swoisty sposób: po prostu sikał przez okno.

Trudy życia codziennego tak mnie absorbowały, że umykało mojej uwagi, co dzieje się z Johnem. Jaka to musiała być męka dla kogoś, kto znał bezkresne połacie Afryki, marzył o niezależności w Kanadzie - a wylądował w takiej dziurze, nie mając żadnych widoków na to, żeby wziąć los we własne ręce. Bo John znów nie dostał pozwolenia na pracę. Na szczęście mógł przynajmniej rozpocząć studia, które jednak sami musieliśmy finansować. Nie przeszkadzało mi, że idą na to moje ciężko zarabiane pieniądze, dopóki John krok po kroku zbliżał się do swojego celu.

Ale jemu brakowało bodźca. Dopiero około południa wstawał z łóżka, a na pytania o studia odpowiadał wymijająco. Kiedy zmęczona pracą wracałam do domu, w naszym małym mieszkaniu odbywało się przyjęcie. Mój wypoczęty, spragniony towarzystwa mąż zapraszał innych Afrykanów, którzy jak on nie musieli lub nie mogli pracować. Nasze małżeństwo zaczęło się rozpadać.

Akurat wtedy John wpadł na nowy pomysł - dziecko! Dla Afrykanki posiadanie potomstwa ma inną wartość niż dla Europejczyka. Poczawszy od idei finansowego zabezpieczenia na starość aż po znaczenie spirytualne; dzieci zapewniają ponowne narodziny. Miałam niewiele ponad dwadzieścia lat i nie wiedziałam o tym. Rozumowałam pragmatycznie jak kobieta: kiedy John zostanie ojcem, na pewno będzie bardziej świadomy swojej odpowiedzialności!

Na początku lipca 1975 roku przyszła na świat nasza córka, Janet, lecz nic się nie zmieniło. Przeciwnie, John ani myślał opiekować się Janet. Ciągłe ten sam stereotyp: wychowywanie dzieci to zadanie kobiet. Ale ja pracowałam - zasiłek z opieki społecznej wystarczyłby tylko na to, żeby nie umrzeć z głodu. John zaproponował, abym zawiozła dziecko do matki. To niepojęte! Z mamą nadal wymieniałam po kryjomu korespondencję, między tatą a mną panowała zimna wojna. Musiałabym się ukorzyć, przyznać do porażki. Ale tak nisko nie upadłam - jeszcze nie upadłam. Janet trafiła do opiekunki, która w swym maleńkim mieszkaniu zajmowała się w ciągu dnia tuzinem takich raczkujących maluchów.

Ponieważ Janet ciągle chorowała, często musiałam zostawiać ją w domu. Gdy kiedyś takiego dnia wróciłam wieczorem do domu, miałam wrażenie, że pomyliłam drzwi. W naszym pokoju, przy kuchence elektrycznej stała jakaś kobieta owinięta w mój wrapper i mieszała leniwie w garnku, a u jej stóp raczkowała, z wysoką gorączką, moja roczna córeczka. Mój mąż z przyjaciółmi tańczył w sąsiednim pokoju do głośnej, dzikiej muzyki przypominającej reggae. Nie należę do ludzi, którzy lubią urządzać sceny. Zamiast tego zawlokłam Johna do poradni życia rodzinnego, skąd wysłano nas do szpitala na badania seksuologiczne. Można powiedzieć, że zastosowano kropelki do nosa przy zapaleniu płuc. Nic się nie zmieniło. Wtedy po raz pierwszy chciałam się wyrwać z tego małżeństwa, które zaczęło się tak romantycznie.

John zrozumiał powagę sytuacji, na kilka miesięcy stał się znowu mężczyzną, którego kochałam, zajmował się nawet swoją córeczką. We wrześniu 1977 roku przyszedł na świat Bobby.

- Mój syn - oświadczył John, którego rozpieierała ojcowska duma.

Wtedy postanowił mi pokazać, że potrafi zarabiać pieniądze. No cóż, możliwe, że bardziej chciał to udowodnić sobie i swojemu synowi. W każdym razie nie zdążyłam tego zauważyć, bo poleciał do Nigerii. Żeby rozkręcić interesy, o których przez całe noce dyskutował z przyjaciółmi.

Musiałam pracować, mimo dwojga dzieci jakoś wiązałam koniec z końcem i posyłałam pieniądze do Nigerii. Po jakimś czasie przestałam otrzymywać wieści od Johna - zniknął nagle, jakby pochłonięta go afrykańska ziemia. Nie mogło być tak dalej! Janet i Bobby spędzali dnie w ciasnym mieszkaniu socjalnym angielskiej opiekunki razem z ośmiorgiem innych dzieci, trzema psami i dwoma kotami. Nie takie-go życia pragnęłam dla swoich dzieci. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Czy mam wracać do matki, do Niemiec? Mama, która zawsze była wyrozumiała i uwielbiała dzieci, kochała moje słodkie maleństwa na odległość. A ojciec? Czy mam z pokorą poprosić go o pomoc? Przecież jeszcze nie wybaczył mi nawet małżeństwa z Johnem. Poczucie winy tu z powodu moich dzieci, poczucie winy tam z powodu mego ojca. Zdecydowało dobro dzieci, skruszona skapitulowałam. Rodzice odzyskali mnie, a ja ich!

W czasie gdy mama troszczyła się o dzieci, ja robiłam w Monachium skromną karierę jako kierowniczką działu. Wystąpiłam do sądu o rozwód. Pozew rozwodowy, przesyłany przez pocztę tam i z powrotem, krążył między Niemcami i Nigerią. Nie udało się ustalić adresu Johna. Byłam żoną Nigeryjczyka, ale do tej pory nie widziałam Afryki. Było to w roku 1980, szóstym roku mojego małżeństwa. Dziadek i babcia otrzymali swoje role, Janet i Bobby znaleźli rodzinę. Miałam nadzieję, że wreszcie nastał spokój. Poza tym zbliżało się Boże Narodzenie.

Moje nadzieje miały okazać się płonne. Pierwszym sygnałem, że tak się stanie, był wypadek Bobby'ego na korytarzu w piwnicy: trzylatek spadł ze swego pierwszego roweru, który dziadek podarował mu w przeddzień Wigilii. Miał rozcięte czoło nad prawym okiem, krwawił, a do tego zwichnął lewą rękę. Mój synek siedział więc pod trzecią choinką swego młodziutkiego życia w opatrunku gipsowym i z grubym plastrem nad okiem.

Właśnie śpiewaliśmy *Cichą noc*, kiedy rozległ się dzwonek. Zaskoczeni popatrzyliśmy po sobie. Janet pierwsza zerwała się z miejsca i podbiegła do drzwi. Kilka sekund później usłyszałam, jak krzyczy zaafierowana:

-Mamo, chodź szybko! Jest tutaj jakiś czarny święty Mikołaj!

Janet nie rozpoznałaby swego ojca nawet wtedy, gdyby ten nie nadszedł na czarne, kędzierzawe włosy czerwonej czapki z białym pomponem. Właśnie stanął w drzwiach pokoju, obładowany błyszczącymi pakunkami, z niewinnym uśmiechem na twarzy. Wystraszona Janet chwyciła mnie kurczowo za rękę i wpatrywała się w czarnego świętego Mikołaja, który spóźnił się na wręczanie prezentów.

- *Happy Christmas, everybody*. Czy mogę widzieć mój syn? - spytał John w radosnej mieszaninie angielskiego i niemieckiego, którą się posługiwał.

Mimo że był mężem Niemki, nigdy nie chciał się nauczyć porządnie mojego języka; zawsze rozmawialiśmy po angielsku. Z początku miało to egzotyczny urok, ale w szóstym roku małżeństwa, roku frustracji, tylko mnie denerwowało.

Czarnoskóremu świętemu Mikołajowi usta się już nie zamknęły. Ale nie chodziło bynajmniej o zdziwienie dwuipółmetrową choinką,

wstawioną do pokoju przez mojego mającego skłonność do gigantomanii ojca, tylko żalonym widokiem, jaki przedstawiał jego jedyny syn i następca, którego przyszedł odwiedzić.

- Co zrobiliście mojemu Bobby'emu?! - zawołał po angielsku.

Przypadł do obolałego dziecka, wziął je na ręce i zaczął obsypywać zdumioną twarz pocałunkami. Nie wiem, czy Bobby'ego rozboleła głowa od tego rodzaju pieścizot i dlatego wybuchnął płaczem, czy zrobił to po prostu wyłącznie ze strachu, ale podejrzewam, że raczej to drugie. W każdym razie przyszedł czar Wigilii. Nie było już cichej nocy, tylko obszernie wyjaśnienia, jak doszło do wypadku w piwnicy. Myślę, że John uznał go w końcu za pierwszą próbę męskości swego syna. Albowiem jedyny wniosek, jaki wyciągnął z całej sprawy, brzmiał:

-Jutro kupię Bobby'emu nowy rower.

-Ależ John, jutro jest Boże Narodzenie. Wszystkie sklepy zamknięte!

- Okay, w takim razie pojutrze.

- Pojutrze też zamknięte.

- To typowe dla ciebie, Ilono. Dopiero co przyjechałem. Mam za sobą długą drogę z Nigerii do was, do Monachium, a ty kłócisz się ze mną.

Później dowiedziałam się, że nie przyjechał z Nigerii, tylko z Augsburga. Ledwie sześćdziesiąt kilometrów. I że był w Niemczech już od dwóch tygodni. W Augsburgu miał mieszkanie jeden z jego wielu kuzynów. I ten kuzyn miał przyjaciółkę, która miała przyjaciółkę... Mniejsza o to, ostatecznie żyliśmy już wtedy w separacji.

Odkąd pojawił się John, moja i bez tego bardzo cicha i ciężko doświadczona przez los matka, moja zdumiona córka Janet, a tym bardziej ja przestałyśmy odgrywać jakąkolwiek rolę. Nie liczyłyśmy się w ogóle, pozostawiając pole walki Johnowi, mojemu ojcu i Bobby'emu. Mama i ja zajęłyśmy się pieczeniem ciasta, a Janet przyłączyła się do nas. Opychałam się, sfrustrowana i bezradna. Po prostu powinnam była wyrzucić Johna za drzwi! Żyliśmy przecież w separacji. Ale jestem zbyt ustepliwa, o wiele zbyt taktowna. Biedne dzieci - oto tatuś zajął w Wigilię, w takie wielkie święto tatusia nie wyrzuca się po prostu na dwór. Co pomyśleliby o mnie Janet i Bobby?

Może wyszło tak dlatego, że wycofałam się z bożonarodzeniowego pola bitwy, a może to wina grzańca. W każdym razie mój jeszcze mąż i jego jeszcze teść nagle przypadli sobie do gustu. Gadali i gadali. Ilekroć podchodziłam do nich, dziwiła mnie specyficzna forma ich komunikacji. John mówił afrykańską angielszczyzną i znał niewiele niemieckich słów, a tata rozmawiał zazwyczaj po bawarsku. Czy John go rozumiał? Czy mój ojciec pojął wszystko, jak trzeba? Niestety, nie przątałam sobie tym głowy w wystarczającym stopniu, w skrytości ducha bawił mnie tylko widok dwóch podpitych świętych Mikołajów. Kiedyś miało się to srogo zemścić. Ale wtedy nie zdziwiła mnie już maszyna do liczenia, która pojawiła się potem przed nimi i w ciągu wieczoru wyrzucała z siebie girlandy papieru. Nie mogłam też przeszkodzić temu, że ojciec serdecznie zaprosił Johna, by został do sylwestra.

Jakie to wspólne zainteresowania stwierdzili tego wieczoru mój biały ojciec i mój czarny mąż? Naturalnie jedno: samochody. To przez nie stanęliśmy na drodze przeznaczenia i nikt nawet we śnie nie przypuszczał, jak to się może skończyć.

John i mój ojciec postanowili pod choinką, że będą zaopatrywać w samochody ojczyznę Johna, Nigerię, kraj bogaty w obfite złoża ropy naftowej. Obaj wiedzieli o samochodach tylko tyle, że powinny być jak największe, muszą wyglądać elegancko i mieć pod maską możliwie wiele koni mechanicznych. O tym, jak handlować, też mieli bardzo konkretne wyobrażenia: kupić, zapakować na statek, na miejscu wyładować i opylić z zyskiem. Na początek chcieli wziąć dziesięć sztuk. W Niemczech kupić tanio, w Nigerii sprzedać za astronomiczne sumy. Starszy brat Johna, Moses, miał utworzyć przedsiębiorstwo w Lagos, a jeden z ich kuzynów, który pracował jako celnik, zadbać o to, żeby auta sprowadzono bez przeszkód.

Ten handel samochodami od początku stał pod nieszczęśliwą gwiazdą. Tata i John kupili peugeoty, ponieważ w Nigerii miał być na tę markę szczególnie popyt, i dwa mercedesy. Może wynikało to ze specyfiki niemieckiego ruchu drogowego, do którego John nie był przyzwyczajony, możliwe też, że obu panom zabrakło staranności przy wyborze samochodów. W każdym razie do portu przeładunko-

wego w Bremie cztery z dziesięciu wozów trafiły poobijane, z uszkodzoną pompą olejową albo zepsutym gaźnikiem. Nie liczyły się moje nieśmiałe zastrzeżenia, że kiedy się płaci średnio 3000 marek za auto, trudno wymagać, żeby to była elegancka bryka. Co tam baba wie o samochodach? A poza tym:

- W Nigerii można wszystko tanio naprawić.

W tym samym stylu były utrzymane inne zastrzeżenia. Woda morską jest słona. Należało uwzględnić, że prysznic morską wodą na otwartym pokładzie raczej nie podniesie ceny samochodu. Ojciec uspokajał mnie jednak.

- Pod pokładem, Ilono, byłoby za drogo. Przecież taniej będzie potem je umyć i porządnie wypolerować. Kiedy auta dotrą do Lagos, John je odbierze i da do naprawy.

John przytaknął skwapliwie.

Rachunek obu supersprzedawców był prosty: cena kupna 3000 marek za każde auto plus około 7000 marek „kosztów dodatkowych” równa się 10000 marek, a cena sprzedaży w Nigerii - 10000 nair, wtedy 20 000 marek. Z jednego zrób dwa. Był to jednak rachunek z cholernie wieloma niewiadomymi. A w wypadku straty jednego wozu ryzykowało się nie 3000 marek, tylko 10 000. W ciągu trzech miesięcy auta będą sprzedane, dodawał mi otuchy ojciec. A kimś wielkim w tej branży można zostać dopiero wtedy, gdy zainwestuje się cały zysk w interes samochodowy. Nic już nie stało na przeszkodzie przyszlętemu życiu w charakterze milionera...

Autą załadowano na statek, a potem na froncie samochodowym zapanowała cisza. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że pojazdy dotrą cało do celu. Bank ojca też miał taką nadzieję: dał w sumie 50000 marek krótkoterminowego kredytu na handel autami. Firma spedycyjna, która wysłała wozy statkiem do Afryki, kazała ojcu podpisać weksle, płatne trzy miesiące później. Tu czyhało kolejne 25 000 marek.

A potem przyszedł telegram z Nigerii: Brat Johna, Moses, nieodzwony pomocnik w handlu samochodami na miejscu, jest umierający, John ma natychmiast przyjechać. No to pojechał. Z kolejnymi 25 000 marek, które bank nam pożyczył na ewentualne opłacenie cła i przygotowanie samochodów do sprzedaży.

Pierwotnie nie miałam nic wspólnego z tym bezsensownym handlem autami. Mimo to wraz z każdym dniem czekania stawał się on coraz bardziej moją sprawą. Czułam się odpowiedzialna za uczynki Johna. Każdy krok ojca człapiącego po mieszkaniu ze zwieszoną głową powiększał ciężar win uciskających moją duszę. Jeśli aut nie uda się sprzedać, będziemy zrujnowani.

Od Johna nie było żadnych wieści. Nie mogliśmy do niego zadzwonić, bo wyjechał, nie zostawiwszy numeru telefonu. Dał nam jedynie karteczkę, na której nagryzmolił kilka słów - adres swojego kuzyna gdzieś w Lagos. Wysłałam do tego kuzyna telegram: „John, zadzwoń natychmiast!”. „Natychmiast” to w Afryce pojęcie bardzo względne. W tym wypadku oznaczało dwa tygodnie, ze strachu prawie w tym czasie nie spałam. W końcu o pierwszej w nocy zadzwonił telefon. Przez szumy w słuchawce przebijał się - z bardzo daleka - głos Johna.

- Hi! Hello? Mówi John!
- O Boże, John! Gdzie jesteś? Wszystko z tobą okay?
- Tak, tak. Dzieci zdrowe?
- Tak, wszystko w porządku. Co z samochodami? Sprzedałeś je?
- Samochody? A co ma być z samochodami?
- John! Auta sprzedane?
- Stoją w porcie na cle. - Za tydzień ojciec miał zwrócić 75 000 marek! - Ilono, z autami jest problem.
- Byłam bliska omdlenia.
- Co z tym twoim kuzynem celnikiem?
- Nie jest już celnikiem. Potrzebuję jeszcze pieniędzy. Żeby wyostać auta, muszę opłacić cło.
- Przecież wzięłeś 25 000 marek!
- Ilona, mój brat Moses jest bardzo chory. Trzeba zapłacić szamanowi. Powiedz ojcu, żeby jeszcze przysłał pieniądze.
- Ojciec nie ma już pieniędzy!
- Musisz mieć pieniądze, Ilono, żeby zarobić pieniądze.
- Ile jeszcze?
- Myślę, że 10 000 marek wystarczy. Ale może 20 000 byłoby lepiej.
- John, chcesz sprzedać auta czy chcesz, żeby szamani się bogacili?

- Ilono, proszę, nie denerwuj się. Przy wyładunku dwa auta zostały uszkodzone. Trzeba je naprawić.

Połączenie się urwało. I mnie też urwał się film. Po prostu osunęłam się na podłogę. Kiedy mama o trzeciej w nocy wstała, żeby przynieść sobie z kuchni coś do picia, zastała mnie leżącą jeszcze na podłodze. Nie, właściwie nie beczałam, w każdym razie świadomie, nie, krzyczałam tylko cicho, jakby tłumiąc ten krzyk w sobie. W drodze na zewnątrz musiały jednak powstawać z tego łzy. O pierwszej w nocy nie można przecież krzyczeć z wściekłości. Obudziłabym dzieci.

Auta są po to, żeby nimi jeździć. A związek z mężczyzną wymaga zaufania. Takie jest moje przekonanie aż po dzień dzisiejszy. Mimo że przekroczyłam obie te reguły, w marcu 1981 roku było dla mnie jasne, że muszę polecieć do Nigerii i uporządkować sprawy. Mam bowiem jeszcze jedną zasadę: nie zostawiam nikogo na lodzie, a już na pewno własnego ojca, choć moje stosunki z nim były bardzo napięte.

Ale tata również był uparciuchem.

- Ilono, nie pojedziesz do Afryki sama! Ostatecznie chodzi o moje pieniądze, które John wyrzuca tam przez okno. Jadę z tobą.

- Przecież ty nie mówisz ani słowa po angielsku! - przypomniałam mu, ale to nie pomogło.

Kiedy John zadzwonił w umówionym terminie, poinformowałam go, że przyjeżdżamy i kiedy ma nas odebrać z lotniska. Na to John:

- O, świetnie, że przyjeżdżacie. Przywieźcie parę drobiazków, żeby zyskać przyjaciół.

Parę drobiazków? Ciężka beła złotego brokatu oraz dwie ogromne bele materiału z austriackimi haftami. Ojciec pojechał specjalnie trzysta kilometrów do Dornbirn w Austrii. Nie chciał przecież wyjść na dziada. Motyw haftów: gwiazdki na chłodnicy mercedesa, według Johna ostatni krzyk mody na nigeryjskim rynku. Następnego dnia przysłała jeszcze gigantyczna paczka z firmy wysyłkowej Quelle pełna pomalowanych złotą farbą bibelotów: popielniczek, wazoników, talerzyków, świeczników. Pchli targ przeznaczony na eksport do Afryki.

Tym razem ja wzięłam kredyt: 15000 marek, 10000 na auta, 5000 kosztowały bilety lotnicze Lufthansy. Musieliśmy wziąć business class,

bo na miejsca w tańszej klasie turystycznej czekalibyśmy jeszcze pewnie parę tygodni. Ojciec nie był zresztą typem człowieka podróżującego z tanim biletem. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył wtedy 125 kilogramów. Miał specjalne wkładki w butach ortopedycznych, a ubrany był w wełniany strój bawarski i filcowy kapelusz z kozią bródką zamiast piórka. Po prostu chciał zrobić wrażenie. Możliwe, że był to właściwy strój, by uzyskać kredyt z banku w Górnej Bawarii. Ale on wsiadł w nim także do samolotu lecącego do Afryki.

Podróż w nieznane

O przylocie do Lagos na lotnisku Murtala Mohammed samolot Lufthansy został skierowany do kołowania na odległy pas. Do tego momentu było mi wszystko jedno, czy mam ratować nieprzemyślane interesy ojca w Islandii czy na Syberii. Nie poleciałam do Afryki po to, żeby przeżywać przygody bądź upajać się zapachem wielkiego, szerokiego świata. Byłam dwudziestosiedmioletnią kobietą, na którą czekało w domu dwoje małych dzieci i góra długów. Mimo to już w tych pierwszych minutach, kiedy czekaliśmy spoceni przy otwartych drzwiach, dokonała się we mnie niewyjaśniona przemiana. Do kabiny wlewało się słodkawe, aromatyczne powietrze zmieszane z wonią kerozyny. Ten niemal stymulujący i podniecający zapach uzmysłowił mi, jak daleko zawiodła mnie podróż w nieznane. Byłam w Afryce!

Moje podniecenie wcale nie udzieliło się ojcu. Ponieważ miał na sobie płaszcz, a na głowie kapelusz, po niespełna dwóch minutach cały był zlany potem. Myślę, że właśnie szary filcowy kapelusz ojca uświadomił mi, że w Afryce wszystko jest niewyobrażalnie inne. Przed kontrolą paszportową chciał go nałożyć z powrotem, lecz w parnym upale filcowe nakrycie głowy zmniejszyło się o dwa numery. Tata wyglądał niczym rezerwowy klaun w cyrku. Z uporem godnym lepszej sprawy zostawił na głowie skurczony symbol bawarskiej przynależności plemiennej.

Staliśmy w kolejce, która posuwała się powoli w kierunku urzędników dokonujących odprawy przyjeżdżających. Ja ze zbędną gardero-

bą przewieszoną przez ramię, w każdej ręce duża torba. Mój ojciec w stroju bawarskim i płaszczu, na głowie kapelusz, po lewej stronie walizka pełna pomalowanych złotą farbą bibelotów, na samej górze kilka koszul i krawatów, a po prawej piękna aktówka, z której był bardzo dumny, bo przy otwieraniu rozkładała się w wachlarz.

Trzymałam w ręku przygotowany paszport i zaświadczenie o szczepieniach.

- Tato, masz swoje papiery?

Zamiast odpowiedzi sięgnął - gestem światowca - do lewej wewnętrznej kieszeni marynarki na piersi. *Voilà*, paszport. Zmarszczył czoło, chwycił paszport w zęby, obmacał kieszeń - już ze znacznie mniejszą pewnością siebie - jeszcze raz. Pudło. Zaświadczenie o szczepieniach zniknęło jak kamfora. Nic nie powiedziałam. Wiedziałam, że nie ma mowy o tym, żeby nas wpuścili do kraju bez zaświadczenia o szczepieniach.

Bez problemu przeszliśmy przez kontrolę paszportową i przesuwaliśmy się dalej do kontroli sanitarnej. Ojciec obmacał pozostałe kieszenie marynarki i płaszcza, po czym zatrzymał się pośrodku pracącego od tyłu tłumy.

- Na pewno jest w aktówce - oznajmił, przekreślił kod cyfrowy zamka, kliknęły zatrzaski.

Ktoś z tyłu zaraz wpadł na niego, aktówka się otworzyła i porządnie ułożone dokumenty wysypały się na ziemię. Dwadzieścia pomocnych rąk sięgnęło po rozrzucone papiery. Kapelusz ojca potoczył się gdzieś w bok, pot kapał. Szybko pozbieraliśmy cały ten papierowy kram, zanim ktoś zdążył przesadzić z pomocą. Dzięki tej radykalnej inwentaryzacji zawartości aktówki stało się jasne, że zaświadczenie, którego szukaliśmy, nie zabrało się z ojcem do Afryki.

- Myślę, że leży w domu na łóżku. Było przecież w dużej walizce, którą jeszcze raz przepakowałem przed wyjazdem.

A więc w końcu sobie jednak przypomniał.

Urzędnik odprawił mnie szybko. Widać było po nim, jak cieszy się już, że przyjdzie kolej na korpulentnego, białego bogacza, który nie będzie mógł okazać wymaganego zaświadczenia. Nie upłynęło nawet pięć minut, a ojciec miał mniej do niesienia. Zapomniało się zaświad-

czenia o szczepieniach? To kosztuje pół walizki bibelotów z Quelle, które zniknęły pod olbrzymim kontuarem pomocnego urzędnika.

Poszliśmy zabrać walizki z taśmociągu. Wokół sami usłudźni Nigeryjczycy, którzy oferowali nam pomoc. Ojciec się pocił i przynajmniej rozstał się w końcu ze skurczonym kapeluszem. Ucieszył się z niego jakiś sześciolatek - bo taki mały stał się w tym czasie filcowy kapelusik z kozią bródką.

Podeszliśmy do celnika. W tylu wielkich walizkach naprawdę są tylko rzeczy osobiste? Otworzyć! Przyjechaliśmy z dwiema dużymi belami materiału wyszywanego austriackim haftem. Po spotkaniu z celnikiem została tylko jedna. Mimo to musieliśmy zapłacić cło za drugą, a oprócz tego za grubą belę brokatu. Naturalnie bez pokwitowania!

Postanowiłam jednak, że nie dam sobie tak szybko popsuć dobrego humoru. Ze wszystkich stron napierały na nas głosy. Co drugi mężczyzna był taksówkarzem, co trzeci proponował wymianę pieniędzy na lewo, niektórzy chcieli pozbyć się łóżek hotelowych, inni zegarków i drewnianych rzeźb, które podziwiałam zafascynowana. W czasie gdy tata się dąsał, ja zaglądałam w życzliwe twarze, które uśmiechały się do mnie. A więc to była Afryka - ruchliwy, barwny tłum pogodnych ludzi, cieszących się z naszego przybycia.

Rozpoznałam Johna dopiero na drugi rzut oka. Żadnych szerokich spodni dzwonów, żadnej koszuli ze sztucznego jedwabiu. Nie, to był autentyczny pan z Afryki. W kolorowej koszuli o długości trzy czwarte i dopasowanych do niej spodniach emanował godnością i pewnością siebie, rozdawał nairy pomocnikom, którzy zataszczyli walizki na parking. Nawet na ojcu zrobiło to wrażenie. Niestety, jego respekt trwał tylko do chwili, gdy John zatrzymał naszą karawanę przed autem przeznaczonym dla nas. Ojciec rozejrzał się, czy nie ma może drugiego wozu podstawionego w tym celu. Nie, to był ten: niebieski garbus. Niekoniecznie odpowiedni środek transportu dla dwóch i pół kwintala żywej wagi ojca, wielkich walizek i mnie. Dobrze przynajmniej, że wyjęto przednie siedzenie obok kierowcy - żeby było miejsce na bagaże. My usadowiliśmy się z tyłu, duże walizki zajęły miejsce z przodu.

Podczas jazdy coraz niżej chowałam głowę w ramionach i z zatroskaniem patrzyłam ponad walizkami przez przednią szybę na nocny chaos, tymczasem John nieustraszenie torował sobie drogę wśród pędzących na łeb, na szyję, olbrzymich żółtych autobusów, przeładownych mikrobusów i śmierdzących ciężarówek. Wszystkie możliwe okna w samochodzie były otwarte. Wiele ich nie było - stare garbussy, jak wiadomo, nie mają z tyłu okien, które dałoby się otworzyć. Pociłam się chyba nie mniej niż ojciec, ciuchy lepiły się do ciała, w głowie huczało. Tak gorąco nie może być przecież nawet w Afryce! Coś się tu nie zgadzało! I ten smród!

- John, mógłbyś wyłączyć ogrzewanie? Cholernie tu gorąco.

Wyprzedzające nas auta trąbiły. Spojrzałam za siebie przez okno. Z tyłu otaczała nas mgła. Mgła? Bzdura! To był dym! I ten smród - nie pochodził z Afryki, tylko z Wolfsburga!

- John, zatrzymaj się, auto się pali!

Może nie powinnam była tak krzyczeć. John odbił gwałtownie kierownicę, garbus wpadł w poślizg, ojciec i ja zderzyliśmy się głowami. Głośne trąbienie, pisk hamulców. Wreszcie samochód stanął na bocznym pasie autostrady. Uciekać, nic, tylko uciekać. Przód zapchany okropnie ciężkimi walizkami, John nie żałował sił, żeby je wyciągnąć. A to trwało. Potem tata próbował się wyczołgać. Ja popychałam go od tyłu, a John ciągnął do przodu. W końcu stanęliśmy na szosie. Nocni rozbitkowie pośród swojego dobytku.

Dziwnym trafem John trzymał w ręku gaśnicę, wczołgał się do samochodu, z którego buchał dym i rozlegały się syki. Kaszląc i prychnając, wynurzył się z auta, cisnął na jezdnię zwęglone siedzenia i mruknął coś o stopionym akumulatorze.

Zanim się spostrzeżliśmy, John zaczął wymachiwać rękami i zatrzymała się taksówka (przejeżdżała tędy, mimo że to autostrada).

- Uważajcie na bagaże! - zawołał i zniknął.

Moja pierwsza noc w Afryce: przez dwie godziny stałam przy autostradzie z przeklinającym ojcem i dygotałam ze strachu. Czy zdarzają się tutaj rozboje na publicznej drodze? Przejeżdżające pędem samochody - wiele bez świateł - regularnie pokrywały nas chmurą kurzu. Ojciec kaszłał, z trudem łąpał powietrze i skarżył się na przemian, że

jest spragniony albo głodny. W końcu zatrzymało się jakieś auto. Dzięki Bogu - John. Pojazd miał bądź co bądź dwie zalety: po pierwsze się nie palił, a po drugie ojciec wybrał sobie do jazdy bardzo przewiewne miejsce. Rezerwowy wóz Johna był mianowicie małą ciężarówką i ojciec siedział przy bagażach wewnątrz skrzyni ładunkowej.

Nie ujechaliśmy nawet kilometra, kiedy natknęliśmy się po raz pierwszy na nigeryjskie wojsko: blokada drogowa. Żołnierze nic nam nie zrobili. Przeciwnie, gdyby tam nie stali, nie wyszlibyśmy bez szwanku z tej przykrej przygody na autostradzie. Ich obecność odstraszyła okolicznych rozbójników.

Mimo teścia i bagaży na platformie John jechał z zapierającą dech prędkością, testował resory chyba na każdej wyrwie. W końcu znaleźliśmy się w dzielnicy z dobrze wyasfaltowanymi uliczkami, na których stały same zepsute samochody. Reflektory wyłowiły z ciemności kolorowo pomalowany bungalow, przed którym jazda dobiegła końca. John zatrafił. Było ciemno, choć oko wykol, kiedy dotarliśmy w końcu do jego kuzyna, chiefa Bole. Z domu w zupełnych ciemnościach wyszła do nas gruba kobieta z lampą kerozynową w dłoni. Gryzący smród fekaliów zatykał mi dech. Przechodząc ostrożnie do budynku po kładce z dwóch desek, odkryłam, że kanalizacja wcale nie przebiega pod ziemią, a ściek płynie rowem obok ulicy.

Bole nie był kuzynem ani chiefa, tylko dalekim krewnym Johna. W porównaniu z wieloma pozostałymi kuzynami, których miałam jeszcze poznać, on naprawdę robił pieniądze. Właśnie na urządzeniach, które zapewniły przeżycie niebieskiemu garbusowi - na gaśniacach! Kuzyn Bole był drobnym, szczuplutkim mężczyzną po sześćdziesiątce, sympatycznym, o bystrych oczach. Jego dom znajdował się w lepszej dzielnicy, ale niestety nie miał klimatyzacji. Co jednak nie miało już większego znaczenia, bo przedsiębiorstwo energetyczne NEPA i tak wyłączyło prąd. I wskutek tego wentylatory nie mogły wykonywać swojej pracy... Czyli autentyczne wąskie gardło w gospodarce energetycznej jednego z najzasobniejszych w ropę krajów świata. Niebawem miałam się przekonać, jak Nigeryjczycy wyjaśniają skrót NEPA: „Never expect power again” (Nigdy nie spodziewaj się, że będzie znowu prąd). W świetle wytwarzanym przez agregat prądo-

twórczy przekonałam się, że wcale już nie jesteśmy biali, tylko staliśmy się czerwonoskórzymi: kąpiel pyłowa na autostradzie pozostawiła wyraźne ślady.

Paru chłopców wniosło na głowach do domu nasz dobytek. Złożyli bagaże jeden na drugim w salonie, który powoli zaczęli wypełniać zachowujący się głośno i rozmawiający wesoło obcy ludzie. Traciłam łokciem Johna.

- Czy oni przyszli tutaj z naszego powodu?

- Chyba przywieźliście prezenty? - spytał z wahaniem John.

Bibeloty z pchlego targu i drogie materiały... Niejasno uzmysłowiłam sobie, że kto wie, czy zważywszy na przeżyta martyrologię, takśówka i hotel nie byłyby w sumie tańsze niż odpłacanie się w ten sposób chiefovi za gościnność.

Chief Bole był uprzedząco grzeczny, ale knedlami i golonką nie mógł służyć. Jego żona, która bez przesady miała obwód w biodrach dwa razy większy od Bolego, podała ryż, *garri* i czerwoną „bitter leaf soup”. Ojciec nałożył sobie solidną łychę ryżu, zrezygnował z gęstej papki o nazwie *garri* i sięgnął po chochlę, żeby polać ryż czerwonym sosem mięsnym. Wystarczyło, że wciągnął w nozdrza zapach sosu i dostał ataku kaszlu. Nic dziwnego, w domu marudził już, kiedy do dałam czasem trochę curry, a curry to nic w porównaniu z nigeryjskim czerwonym sosem, którego głównym składnikiem było chili. Tata ostrożnie odsunął od siebie nietknięty talerz.

Gospodarz Bole, który wzrokiem czujnym jak łasica śledził każdy ruch dużego, białego mężczyzny, wysłał żonę na zewnątrz. Ta zaraz wróciła - z zupą z suszonych ryb. Dobry Boże! Mój ojciec nie lubił nawet rybek w stawie hodowanych dla ozdoby, a co dopiero mówić o jadalnych. Nie przełknął ani kęsa, choćby dla spróbowania. W końcu zapytał mnie szeptem, czy nie można by do restauracji...

W następnej chwili jego wzrok padł na stojącą na stole karafkę z wodą.

- Ilono, czy ta woda jest przegotowana?

Choć uśmiechając się przyjaźnie, przekazałam jego pytanie, przetłumaczone na angielski, chiefovi Bolemu, nie mogło to skłonić tego ostatniego do skinięcia głową. Tata pozostał więc spragniony. Czułam

się coraz bardziej nieswojo w narzuconej mi roli pośredniczki między Afryką a Europą. Roli, której sama przecież za bardzo nie rozumiałam! Miałam za sobą próbę w postaci małżeństwa z Johnem, toteż nie można mnie było wprawdzie zaszokować piekielnie ostrym nigeryjskim sosem, ale i ja na wszelki wypadek czekałam, licząc na to, że po posiłku podadzą piwo i lemoniadę 7 up.

Chief wydawał się nie zauważać, w jak rozpaczliwym stanie jest mój ojciec. Z niezmaconym spokojem starał się prowadzić konwersację. Chodziło, rzecz jasna, o auta. John bowiem mocno przesadził w swoich przechwałkach, twierdząc, że ojciec ma fantastyczne znajomości w niemieckich koncernach samochodowych, przede wszystkim w Mercedesie. Ostatecznie ojciec przyjechał tutaj jako handlarz samochodów, przynajmniej w pewnym sensie. A John potrzebował przekonującego powodu, żeby podesłać kuzynowi do domu dwoje Niemców jako gości. Czy ojciec nie chciałby wejść w handel samochodami z chieftem Bólem? Ojciec zrobił wielkie oczy: Co? Więcej aut?! A on nie sprzedawał nawet jeszcze tych dziesięciu!

Wściekły jak diabli i głodny ojciec poszedł do łóżka. Słyszałam, jak się tłucze w izbie, którą mu przydzielono. Po godzinie stanął przede mną zasapany i czerwony na twarzy.

- Ilono, jest za gorąco. Wydaje mi się, że się duszę...

Chief Bole zataszczył ze mną na taras materac, wokół którego ustawił moskitierę. John i ja mieliśmy do dyspozycji tylko jedno wspólne pomieszczenie. Ze wspólnym łóżkiem. Jakiegokolwiek inne rozwiązanie znacznie osłabiłoby jego pozycję w stosunku do kuzyna Bolego... Na szczęście pierwszej nocy John oszczędził mi nieprzyjemnej dyskusji o tym, że sprzedaż aut automatycznie nie uskrzydla leżącego odłogiem małżeństwa do nowej, erotycznej namiętności. Było jednak dla mnie jasne, że John będzie ignorował mój zamiar rozstania się z nim.

Następnego ranka ojciec wyglądał jak ciasto posypane czerwoną kruszonką. Materac był zbyt wąski, moskitiera lepiła mu się do ciała, a moskity do niej. Tak więc mimo tego zastosowanego w dobrej wierze środka zapobiegawczego dobrały się do jego słodkiej krwi.

- Ilono, chcę się przenieść do hotelu! Drugi raz nie przeżyję takiej nocy.

Wyprowadzka ojca z domu Bolego znacznie skwasiła humor temu ostatniemu. Jak ma robić interesy z ważnym człowiekiem z Niemiec, skoro ten nie chce korzystać z jego gościnności?

Przez dwie godziny krążyliśmy - chief Bole pożyczył nam peugeota, naturalnie z gaśnicą - po dzielnicy Ikeja, aż w końcu znaleźliśmy hotel. Na początku lat osiemdziesiątych za 500 marek można było dostać w Kempieńskim w Berlinie albo w Vier Jahreszeiten w Monachium całkiem porządny pokój. Za tę sumę ojciec zdobył w Lagos-Ikei skromny pokoik, tyle że z klimatyzacją. Zamierzaliśmy zostać dwa tygodnie. Ostatecznie ojciec wytrzymał w Nigerii dziesięć dni. Dało to sumę 5000 marek, plus dwa posiłki - po europejsku, rzecz jasna - po 200 marek dziennie. W ten sposób błyskawicznie poszło następne 7000 marek.

Już dwa dni pojeździe w upale z lotniska jasnyniebieski garbus był znowu gotowy do drogi. Tymczasem zastanawiałam się, dlaczego mamy sprowadzać auta akurat do miasta, w którym i tak jeżdżą już miliony aut. Bo kto mógł sobie na auto pozwolić, ten miał dwa wozy, jeden z parzystą liczbą początkową na tablicy rejestracyjnej i drugi z nieparzystą. Rząd miał nadzieję, że uda się odciążyc zakorkowane drogi wielomilionowej metropolii, jeśli w pewne dni będą mogły jeździć tylko auta z liczbą parzystą na tablicy rejestracyjnej, a w inne z liczbą nieparzystą.

Powietrze zatruwały spaliny w kolorze wściekle niebieskim. W tym powietrzu spędzałam wiele czasu: godzina jazdy, żeby zabrać ojca z hotelu, potem dwie godziny droga do portu i dwie z powrotem, znów do hotelu, a na koniec do domu chiefa. Jednego dnia garbusiem, drugiego peugeotem. W zależności od numeru rejestracyjnego...

Zamontowano z powrotem siedzenie obok kierowcy. Ojciec siedział z przodu i ciągle maltretował korbkę do opuszczania bocznej szyby w garbusie. Uważał, że w powietrzu na zewnątrz za bardzo czuć spaliny albo że w środku jest za duszno, a ja siedziałam z tyłu i tylko się pociłam. Prędko odzwyczaiłam się od czasochłonnego porannego makijażu. Kosmetyki rozkładały się już w swoich pojemnikach, powstawała mieszanina tłustej cieczy i grudek.

Budynek urzędu celnego w porcie. Wentylator mieszał powietrze pod sufitem, kontuar był pomalowany lakierem w kolorze ochry, za nim elegancka Murzynka w turbanie, malująca paznokcie. Czy możemy rozmawiać z celnikiem? Podniosła wzrok. Omiotła spojrzeniem Johna, następnie ojca, potem mnie, znowu Johna, a w końcu powędrowało z powrotem na jej paznokcie.

- *Master here tomorrow* - odezwała się wreszcie.

- Co ona powiedziała? - spytał ojciec.

- Że jej szef będzie jutro.

- Zapytaj ją kiedy.

Przetłumaczyłam. Dama przyglądała mi się długo. Zastanawiała się. W końcu odpowiedziała.

- I co mówi?

- Po południu.

- Po południe jest długie. Kiedy, Ilono?

Znow popatrzyła na mnie, potem na ojca, zwróciwszy oczy w górę, zapytała o radę wentylator i w końcu odpowiedziała:

- *Four...*

- Okay - oświadczył dzielnie ojciec. - Wrócimy tu jutro o czwartej.

Następnego dnia o czwartej ta sama zabawa. Tym razem przeszkodziłmi podczas czytania gazety.

- *Master here tomorrow.*

- Zapytaj ją kiedy, jutro jest długie.

Następnego dnia stanęliśmy przed damą o dziewiątej rano.

- *Master here tomorrow.*

Ojciec ostrzegł mnie już wcześniej, że jeśli kobieta jeszcze raz zacznie od *tomorrow*, to złapie ją za piękną czarną szyję i ukręci jej głowę. Uprowadziłam go, wyjęłam z torebki dwa banknoty po 50 nair i rozłożyłam starannie przed nią na kontuarze.

I stało się coś niewiarygodnego: dama wstała i wyszła z pokoju, kołyszając tyłkiem, który opinał udrapowany, kolorowy materiał. John gapił się na nią, nie mogąc oderwać wzroku. Miałam wrażenie, że przyszedł z nami tylko po to, aby uczestniczyć w tej demonstracji kobiecej zdolności poruszania się.

I patrzcie, patrzcie - zjawił się „master”. Sądzę, że gdybym nie wpadła na pomysł z pieniędzmi, moglibyśmy jeszcze tygodniami tam jeździć, by słyszeć za każdym razem: *Master here tomorrow*.

Master zaś nie wdawał się w żadne wstępy. Każde auto miało kosztować 1500 nair w postaci opłat celnych.

- *Andy you need for each car a different passport.*

- Co on mówi?

Rozejrzałam się po pokoju, szukając, na czym ojciec mógłby za chwilę usiąść, żeby ochłonać z szoku. Żadnego krzesła. A więc:

- Na każde sprowadzone auto musimy przedłożyć osobny dokument podróży.

- Ilono, daj mi krzesło, kręci mi się w głowie.

Przypomniałam sobie o stu nairach dla ospałej sekretarki i znowu spróbowałam szczęścia. Zapytałam, czy widział samochody. Master Tomorrow nie był w ciemie bity. Uśmiechnął się bardzo życzliwie. Gdybyśmy mogli zrezygnować z jednego mercedesa... Wyszliśmy, powietrze na zewnątrz mimo wszystko było trochę lepsze. Powiew od morza przynajmniej tłumił nieco zapach ropy. Skoro już przyjechało się na „urlop” do Afryki...

Niewiadome w naszym rachunku samochodowym zaczęły więc powoli pokazywać twarz. Wyjaśniłam ojcu, że musimy się rozstać z jednym z mercedesów, żeby w ogóle wydostać wozy z cła. Tata chciał zobaczyć auta. Wróciliśmy do master Tomorrow, który łaskawie odprowadził nas do odstawionych samochodów. Kiedy przemierzaliśmy port, spotkaliśmy wielu czarnych, którzy byli biali od stóp do głów, jakby ich opudrowano.

- Co oni robili? - spytałam Johna.

- Rozładowywali statki.

- A to białe to co?

- Myślę, że nawozy sztuczne.

- I co, tak bez odzieży ochronnej, bez masek przeciwpylowych? Oni są w samych szortach. Czy te nawozy nie są niebezpieczne?

John wzruszył ramionami.

- A ile dostają za tę pracę?

- Około dwudziestu nair tygodniowo.

Taka niesprawiedliwość okropnie mnie wkurzyła. A ja, głupia koza, dałam sto nair tylko za to, żeby sekretarka przywołała swojego szefa. Żeby zarobić tyle, ci mężczyźni musieli harować pięć tygodni z narażeniem zdrowia. Ciekawe, czy ta leniwa sekretarka przynajmniej dzieli chatę z jednym z tych biedaków. Wtedy moje 200 marek za przywołanie szefa trafiłoby może jednak we właściwe ręce. Muszę przyznać, że wąta to była nadzieja. Ale jako obcy w tym kraju i przedstawiciel białej rasy wcześniej czy później stwierdzisz w duchu, że cokolwiek zrobisz, zrobisz źle - po prostu dlatego, że twoje miejsce nie jest tutaj.

Wysoki płot, za nim auta. Rozpoznaliśmy naszą dziesiątkę nie bez kłopotów. Gdybyśmy nie zainwestowali w te blaszane pudła kilkudziesięciu tysięcy marek, po prostu bym się odwróciła i kazała wszystkie te trupy zezłomować. Nie wyglądały bowiem na coś więcej niż kupa złomu. Choć daliśmy wszystkie do polakierowania, po 1000 marek sztuka, żeby ładniej wyglądały, niewiele pozostało z nowego lakieru. Coś takiego nazywa się chyba rdzą nalotową. Ojciec głaskał auta z czułością. Master Tomorrow przyglądał się bacznie.

- Ilono, spójrz na to! - zawołał nagle ojciec i zniknął.

Odnalazłam go pochylonego nad jednym z peugeotów. Szerokie wgniecenia przebiegały za przednimi i przed tylnymi błotnikami, lakier był zdarty do samej blachy.

Rdza.

- To się zdarza podczas wyładunku. Liny - wyjaśnił John.

Spojrzałam na niego osłupiałym wzrokiem.

- To samo na tamtym zielonym peugeocie - dodał.

Również tam obejrzelśmy uszkodzenie. I znowu okrzyk strachu ojca:

- Ilono, ten peugeot po drugiej stronie! Jest bez kół. Postawiony tylko na kołach!

Wtedy przyjrzelśmy się dokładniej. Tu brakowało kół, prawie żadne auto nie miało już wycieraczek, w większości pojazdów wymontowano lusterka, z niektórych usunięto kompletne oświetlenie.

- Okay, dostanie swojego mercedesa. Jeśli wozy postoją tutaj dłużej, w ogóle nie uda nam się ich sprzedać. - Ojciec szybko się uczył, a master Tomorrow nie spodziewał się innego wyniku naszych oględzin. - Zapytaj go, czy możemy od razu zabrać auta.

Miałam wprawdzie wątpliwości, czy to będzie takie proste, lecz dzielnie przetłumaczyłam pytanie.

Odpowiedzią był życzliwy, szeroki uśmiech.

- *Do you have your licences!*

Trach, następna przeszkoda! Licencje? Na co?

John nam wyjaśnił: Rząd wprowadził licencje przywozowe, żeby ograniczyć wywóz waluty nigeryjskiej za granicę. Jedno auto - rocznie - na Nigeryjczyka. My byliśmy tylko jednym Nigeryjczykiem - i mieliśmy dziesięć bądź dziewięć aut. Nie zniechęciło mnie to i zapytałam, jak długo by trwało uzyskanie licencji. Trzy miesiące! Jak miałam przekazać coś takiego ojcu?

Pojechaliśmy z powrotem do Ikei. W samochodzie powiedziałam ojcu, jak sprawy stoją. Atak wściekłości przewyższył bez trudu poziomem głośności każde radio samochodowe z miejscową wrzaskliwą muzyką w autach stojących obok nas w korku. W następnych dniach postanowiłam zostawiać ojca w klimatyzowanym hotelu, żeby oszczędzać jego nerwy. I swoje też.

Tym razem John i ja już za pierwszym podejściem znaleźliśmy urzędnika wydającego licencje na przywóz. Ja też nauczyłam się czegoś. Przypadek chciał, że również ten jegomość potrzebował jeszcze jednego wozu. Jego stawka była jednak trochę wyższa niż w wypadku mastera Tomorrow: jeśli on dostanie jedno auto, my otrzymamy licencję na pięć. Mówiąc bez owijania w bawełnę: musieliśmy oddać w sumie trzy auta, żeby wydstać dziesięć - notabene tylko teoretycznie. Fantastyczny interes.

Gdy w dwa dni później odwiedziłam ojca w hotelu, na sam mój widok omal nie wybuchnął gniewem. Nigeryjskie przepisy importowe rozstroiły do reszty jego nerwy. Zaproponowałam, żeby wrócił do Monachium. Tu, na miejscu, nie mógł już nic pomóc, a jego obecność powodowała tylko dodatkowe koszty. Zgodził się. W jego oczach to ja byłam winna. Nie pomyślał o tym, że John nawarzył nam tego piwa. Niestety, nie miałam dość odwagi, żeby wygarnąć mu porządnie, co o tym sądzę. Wolałam stłumić w sobie gniew - gniew na tatę, na Johna, na Afrykę, na siebie.

Na lotnisku elegancka dama w okienku Lufthansy oświadczyła nam, że ubolewa, ale wszystkie loty do Niemiec są zabukowane. Może jednak wpisać ojca na listę oczekujących. Wówczas będzie musiał co wieczór stawiać się na lotnisku, próbując szczęścia. I rzeczywiście, robiliśmy tak przez dwa wieczory. Dopóki nerwy ostatecznie nie odmówiły ojcu posłuszeństwa i z głośnym jękiem nie osunął się na ziemię pośrodku terminalu. Przybiegł nawet dyrektor lotniska, bo wszyscy sądzili, że ojciec dostał zawału, co na szczęście nie miało miejsca. Szef lotniska uruchomił swoje znajomości i dwie godziny później mój udręczony ojciec siedział w airbusie Nigerian Airways. Przed odlotem poprosiłam go, żeby zgłosił w mojej firmie w Niemczech, że jestem chora. Za cztery dni miałam zarezerwowany lot powrotny.

Ojciec miał jeszcze w portfelu dokładnie dziesięć marek. Wystarczyło mu na przejazd z lotniska do domu.

W Afryce jego noga już nie powstała.

Choć może zabrzmiało to dziwnie: ojciec nie mógł się wprawdzie konkretnie przyczynić do wydobywania z cła zardzewiałych aut, ale jego obecność wiele znaczyła dla mnie i dla Johna. W tym świecie zdominowanym przez mężczyzn byłam bez niego tylko żoną Nigeryjczyka, dodatkiem do Johna. Wraz z wyjazdem ojca straciliśmy wszelką wiarygodność kredytową w oczach chiefa Bolego. Nie mieliśmy pieniędzy, żeby zapłacić mu za gościnę. Nie pożyczył nam nawet garbusa, gdyż to oznaczałoby inwestycję. Inwestycję w Johna i we mnie? Niezamożny John niewiele się liczył, a ja jeszcze mniej. Nie wzięłam tego pod uwagę, kiedy odsyłałam ojca do domu. Tego samego wieczoru John i ja wyprowadziliśmy się z domu chiefa Bolego. Jeszcze przed paroma dniami naśmiewałam się z niebieskiego garbusa, tym boleśniej odczuwałam teraz jego brak. Jeśli nie chcieliśmy chodzić pieszo, byliśmy zdani na drogę taksówki.

Zanim dane mi było odkryć piękno Afryki, upłynęło jeszcze sporo miesięcy. To, co właśnie przeżywałam, uważałam początkowo za degradację. Potrzebowałam trochę czasu, aby zrozumieć, że to dla mnie

szansa. Szansa poznania kraju takiego, jaki jest on naprawdę - a mianowicie z punktu widzenia Afrykanina. O tym jednak nie myślałam tamtego wieczoru...

Taksówka zatrzymała się na jednej z nieasfaltowanych ulic w Agege, chyba najbiedniejszej dzielnicy Lagos. W pierwszej chwili pomyślałam, że skończyła się nam benzyna. Błąd. John wysiadł, jakby nie zamierzał nic innego, niż zbadać pierwszą lepszą kupkę śmieci obok nas.

- John, co my tutaj robimy?

Wskazał ręką w dal.

- Tam stoi dom.

Ujrzałam biegnący równoległe do ulicy, śmierdzący rów ściekowy, co kawałek położone były luźne deski, po których przechodziło się na drugą stronę. Za rowem brunatnoczerwony, zakurzony teren, na nim w dużych odstępach skromne chaty o zardzewiałych, blaszanych dachach, czasem z nieotynkowanego kamienia, czasem z gliny, a między nimi palmy i postrzępione kępy bananowców. Między zabudowaniami nagie dzieci poganiały brudne świnie. A wszędzie strzępy papierów i resztki folii. Nieszczęśliwie połączenie ciemnych stron cywilizacji zachodniej i pierwotnej Afryki.

Zaczęło się ściemniać. Mój jeszcze mąż ruszył żwawo przodem, ja z dwiema swoimi walizkami za nim, a orszak zamykała gromada małych dzieci, wołających: *oi-bo, oi-bo*. Zawsze tak krzyczały, kiedy pojawiałam się w okolicy. Tak jak krowom na górskich pastwiskach wieszają się na szyi dzwonek, żeby odnalazł je gospodarz. Kiedy dzieci wołały: *oibo, oibo*, John wiedział, że lada chwila powinnam nadejść, gdyż *Ayibó* w języku joruba znaczy „Europejczyk” i jest używane jako synonim białych.

Marsz dobiegł końca przed wydłużoną chatą pokrytą blachą falistą. Obeszliśmy ją i wkroczyliśmy na „podwórze”. Powitała nas bogata mieszanina zapachów. Nad przenikliwym smrodem dobywającym się z otwartych kanałów ściekowych wisiła ciężka, słodka woń bijąca od zarośli hibiskusa, a do tego dochodził odór swobodnie biegających kóz. Znad płonącego przed domem ogniska wzbijał się gryzący gęsty dym. Ubranie lepiło mi się do skóry, pociłam się i czułam zupełnie nie na miejscu.

Z chaty wyszło blisko dziesięć kobiet, jedna z nich natychmiast rzuciła mi się w oczy. Przewyższała inne o głowę, była bardzo szczupła i miała skórę znacznie jaśniejszą od pozostałych. Wyróżniała się starannym ubiorem, miała na sobie kombinację składającą się z bluzki i dwóch chust z tego samego materiału, adamaszku; jedną z nich owinęła talię, tak iż powstała spływająca do kostek spódnica, drugą po prostu okryła ramiona. Włosy kunsztownie splotła w warkoczyki i obwiązała wokół głowy. Czarne oczy obwiodła antymonem, a paznokcie u rąk i nóg pomalowała na czerwono henną. Miała najwyżej dwadzieścia lat i była w zaawansowanej ciąży. John przedstawił mi ją jako swoją bratową Rhodę. Mnie wcale nie przedstawił jako Ilonę. Kiedy wkroczyłam w jego świat, John nadał mi nowe imię: Mama Okeoghene. Okeoghene to drugie imię Janet, które oznacza w tłumaczeniu „dar Boży”.

- W moim kraju nieuprzejmie jest, kiedy zwracasz się do mnie, wypowiadając moje angielskie imię John, jakbym był twoim służącym. Także imiona moich rodziców są dla ciebie tabu. Nazywaj mnie po prostu Papa Ajiri. Bądź co bądź Ajiri ma na imię nasz pierworodny syn - wywodził John-Papa-Ajiri. W języku Johna Ajiri znaczy „Niebiosom niech będą dzięki” i jest to drugie nigeryjskie imię Bobby'ego.

W chacie było sześć pomieszczeń -jedno zajmował właściciel domu z ciężarną żoną Rhodą, jedno zwolniono dla nas. Każde z pozostałych czterech pomieszczeń wynajęte było całym rodzinom, wskutek czego dom miał około dwudziestu do trzydziestu mieszkańców. Przydzielony nam „pokój” był kompletnie umeblowany: metalowe łóżko, dwa chwijące się krzesła, stół oraz drewniana komoda z wyłamanymi zamkami. Pod sufitem nieosłonięta żadnym abażurem żarówka. Podczas bliższych oględzin naszej kwatery odkryłam we wszystkich czterech rogach kadzielnice, a na zasłonach ktoś zawiesił na skórzanych pasach skórzane amulety wielkości dłoni. Dotknęłam jednego z nich.

-Nie dotykaj tego! - zawołał John ostrym tonem. - To *juju*. I nie zdejmuj ich. One nas chronią.

Chronią? Zażartowałam, że te *juju* na pewno chronią pokryte czerwonym kurzem firanki przed pralką.

- Pralka? - odburknął John. - Nie ma czegoś takiego jak pralka.

No, to spisałam się na medal, nie ma co! Razem z mężczyzną, z którym żyłam właściwie w separacji, siedziałam w pomieszczeniu przytulnym jak więzienna cela i miałam za zadanie uratować majątek ojca.

Nie mogąc zasnąć, przewracałam się z boku na bok na materacu, który musiał być zabójczy dla kręgosłupa. John myślał, że to próby zbliżenia z mojej strony, więc czym prędzej odsunęłam się na samą krawędź łóżka i bez słowa pokazałam mu plecy zawinięte we wrap-per. Obrażony, odwrócił się ode mnie.

W nocy musiałam wyjść do toalety. Kiedy John otworzył drzwi naszego pokoju, zobaczyłam, że przed zamkiem też wisi *juju*. Długi korytarz oświetlała pojedyncza żarówka. Po każdej stronie troje drzwi, zza których słychać było dudniącą muzykę lub wrzaski dzieci. Na obu końcach korytarza znajdowały się jeszcze jedne drzwi, zamknięte na sześć grubych zasuwek. John odsunął je, po czym otworzył kluczem i wyszliśmy na zewnątrz. Na dworze panowały egipskie ciemności. Podał mi latarkę kieszonkową i zaprowadził mnie do przegrody wysokości człowieka, skleconej z mat bambusowych, lin i słupków. A następnie zawrócił.

- Hej, co to ma znaczyć?
- Myślałem, że musisz się załatwić.
- Co, tutaj? Jak?
- Kucając.

I oddalił się, a ja weszłam do śmierdzącej jaskini pełnej much. Cała ta „toaleta” była zwyczajną dziurą w ziemi, z deską po jednej i po drugiej stronie.

W dwie minuty później spotkałam się z Johnem przed domem.

- Gdzie mogę umyć ręce?

John odetchnął głęboko, nie ukrywając rozdrażnienia, po czym podszedł do studni. Ja mu poświeciłam, a on nabrał wiadrem wody. W pobliżu studni leżało płaskie pudełko, a w nim kawałek mydła. John polał mi ręce wodą z blaszanej miski. Wystraszony szczur, bojący się wody, czmychnął mi spod nóg. Odruchowo cofnęłam się z krzykiem, John wystraszył się mojego wrzasku i skutek był taki, że mój wrapper przeszedł chrzest studzienny w środku nocy.

Teraz już wiem, że własna studnia jest oznaką dużego luksusu. Tamtej nocy nie miałam jednak pojęcia o takich rzeczach. Myślałam o swojej pięknej łazience w Monachium. I postanowiłam, że nigdy więcej nie pójde tu do ubikacji, a przynajmniej nie w nocy.

Po powrocie do pokoju John umieścił znowu na drzwiach owo dziwaczne *juju*. Wskazałam na mały czarny woreczek.

- John, to przecież dziecinada. Przed czym miałoby to chronić?

- To powstrzymuje nieszczęście.

Zaczęłam rozumieć, że w tym domu można obawiać się nieszczęść, kiedy wrócił właściciel domu: Moses, chory brat Johna. Zjawił się godzinę po północy, a jego pojawienie się wywołało zamieszanie w całym domu. Musiał długo i mocno walić w zaryglowane drzwi, żeby go ktoś usłyszał, a następnie zebrał całą swą odwagę i opuścił własny pokój.

Moses przedstawiał obraz nędzy i rozpaczony w ludzkim wydaniu. Czarną skórę miał poszarzałą i zapadniętą, mimo afrykańskich upałów dygotał w gorączce. Wrócił właśnie z ojczystej wioski rodziny Wowo, gdzie szukał pomocy u pewnego *babalawo*, czyli szamana. Problem nie polegał na tym, że lekarz z buszu nie potrafił już pomóc Mosesowi. On domagał się tylko więcej pieniędzy.

Szwagier i „juju”

Życie często bywa kwestią właściwego czasu. Co się tyczy brata Johna, Mosesa, trafił mi się najgorszy możliwy moment, żeby poznać tego człowieka. W „normalnej” sytuacji Moses pewnie pomógłby mi w sprawie z autami. A tak byłam świadkiem, jak ze wszystkich sił broni się przed przekleństwem śmierci. Na próżno.

Moses był drugim pod względem wieku dzieckiem w rodzinie i najstarszym synem. Rodzina Wowo pochodziła ze środkowozachodniej Nigerii i wysłała Mosesa do Lagos, kiedy miał zaledwie sześć lat. Wychowywał się tam w rodzinie kuzyna, jak powszechnie określa się dalekich krewnych. Przez dwa lata mały Moses mógł chodzić do szkoły, zanim w wieku ośmiu lat zaczął się uczyć tego samego zawodu, który wykonywał ojciec.

W przeciwieństwie do młodszego o osiem lat Johna Moses budował swoją egzystencję w sposób planowy. Kiedy skończył piętnaście lat, usamodzielniał się na tyle, że stał się szybko właścicielem firmy ogrodniczej, zatrudniał ludzi i miał dwa samochody. W wieku dwudziestu lat ożenił się z Efe, która skrzętnie pomnażała wspólny majątek jako handlarka. Zbudowali sobie w Agege duży dom, w którym właśnie gościłam, i wynajmowali pokoje.

A potem nastąpił moment zwrotny. Moses był w połowie czwartego krzyżyka, gdy rzuciło mu się w oczy, że ma wprawdzie z żoną pięcioro dzieci, lecz same dziewczynki. Pewnie nie skrzywdzę go, jeśli powiem, że w wypadku Rhody nie chodziło mu wyłącznie o przekazywanie swoich genów w postaci silnych chłopców. Rhoda była pięć-

ności. I miała o piętnaście lat mniej niż Efe, skrzętna matka jego pięciu córek. Tak więc Moses ożenił się również z Rhoda, która dostała osobny pokój w podłużnym budynku z płaskim dachem, tyle że równocześnie Efe z pięcioma dziewczynkami też egzystowała w jednym pokoju. Jej rodzina mieszkała w wiosce oddalonej o pięćset kilometrów na wschód od Lagos i tam Efe pojechała po radę, jak postępować z niewiernym Mosesem.

Po kilku miesiącach Efe wróciła do Lagos. Rhoda, piękna rywalka, pilnie ćwiczyła z Mosesem, pragnąc dorobić się męskiego potomstwa. Z powodem - była w ciąży. Wyglądało jednak na to, że Efe nie da się odstraszyć. Dogadzała swojemu Mosesowi, gotując jego ulubione potrawy i otwarcie okazując mu miłość. Taktyka Efe przyniosła owoce. Także ona zaszła znowu w ciążę.

Jedno tylko dziwiło Mosesa: Efe miała w swoim pokoju komodę, którą zawsze teraz starannie zamykała. Kiedy Moses zażądał klucza, okropnie się wściekła. W okresie bożonarodzeniowym - akurat w dniach, gdy John pojawił się u nas w Bawarii - Efe przygotowała swojemu Mosesowi wielką ucztę. Tylko dla niego. Skutek był niezwykły - od tego dnia Moses miał kłopoty z wychodzeniem do toalety. W czasie gdy obie jego żony nabierały krągotności, on gwałtownie chudł, czuł się słaby, miał gorączkę. Wkrótce potem nie był już w stanie pracować, nie mógł załatwić nowych zleceń dla swojej firmy ogrodniczej ani nadzorować pracowników.

Moses czuł zbliżające się niebezpieczeństwo, pojechał więc do wioski rodzinnej i poprosił o pomoc swojego *babalawo*. John zrelacjonował mi, że *babalawo* zapytał wyrocznię, która mu powiedziała, że Moses jest śmiertelnie chory. Moses wyprawił do Lagos posłańca, który z kolei wysłał telegram do Bawarii. Ta wiadomość skłoniła Johna do powrotu do Nigerii i od tej pory los brata był dla niego ważniejszy niż nasze auta.

John i Moses postanowili najpierw uchylić rąbka tajemnicy Efe, a zdaniem *babalawo* tajemnica ta miała jednoznaczne imię - czary. Zabezpieczyli dowody w zamkniętej komodzie - roztarte liście i owoce, proszek, maść i kadzidło. Efe została wypędzona i odesłana razem z córkami do wioski rodzinnej. Żeby nie mogła nigdy wró-

cię, na drzwiach i na firankach powieszono *juju*, które miały ponoć moc magiczną. Niestety, nie przyczyniło się to do wyzdrowienia Mosesa. Podobnie jak następna wizyta u *babalawo*, z której wrócił owej nocy.

Wzgląd na stan zdrowia Mosesa nie mógł mnie skłonić do zupełnego wyrzeczenia się swoich potrzeb i życzeń. Zapytałam, czy nie mógłby nam pożyczyć jednego z dwóch samochodów dostawczych, żebyśmy mieć czym jeździć, kiedy zajdzie potrzeba. John już wcześniej pytał. Ale...

- Jest problem. Jednym wozem robotnicy pojechali po kozy na północ.
- Kozy?

W moim naiwnym pojęciu koza to wróg ogrodnika. Okazało się jednak, że to fałszywe rozumowanie: te kozy miały pomóc ogrodnikowi Mosesowi i jego ekipie - jako zwierzęta ofiarne, żeby interesy szły lepiej.

- Okay. A drugi?
- Stoi w firmie.
- No, to pojedźmy tam!

Na skraju ulicy czekaliśmy we troje na taksówkę. Moses nie dał rady stać, skulony z bólu kuczał w przydrożnym pyłe. Miałam niewłaściwy kolor skóry i znajdowałam się w towarzystwie dwóch mężczyzn. Żaden kierowca nie chciał zabrać takiego tercetu. A jeśli już, to za bardzo zawyżoną cenę. Na każdym kroku pojawiały się problemy, z którymi się nie liczyłam.

Firma ogrodnicza Mosesa mieściła się w lepszej dzielnicy Lagos, Ikei. Tam na zmożonego chorobą bossa czekała pracownica - i zupełnie zdemolowany drugi pikap. Właściwie do kasacji. Jeden z pracowników dachował nim kiedyś na dziurawej ulicy.

Firma miała czterech dużych klientów. Podskakującą na wybojach taksówką objeżdżaliśmy ich kolejno, żeby przypomnieć przynajmniej o niezapłaconych rachunkach. Doszło przy tym do mojego pierwszego spotkania z GRA, *Government Residential Area*, czyli z dzielnicą, w której mieszkają głównie biali. W tamtym momencie nie potrafiłam sobie wyobrazić, że już w kilka miesięcy później sama będę mieć wilę i poznawać od wewnątrz życie tego białego getta.

Kiedy zjawiałam się jako biała kobieta z dwoma czarnymi mężczyznami, nie darzono nas zaufaniem do tego stopnia, żeby normalnie otworzyć, a nie uchylić tylko drzwi domu. Cztery razy staliśmy w ogrodzie, wśród wspaniałych, kolorowych gajów orchidei, posadzonych przez Mosesa i jego ludzi w swego rodzaju oazach. Rezultat naszego objazdu był przygnębiający. Master numer jeden - firma zbankrutowała, master nie do odnalezienia. Numer dwa - szef przebywał od kilku tygodni na urlopie w Niemczech. Numer trzy - brakowało jeszcze gotowego trawnika z Anglii, więc tutaj też ani grosza. Numer cztery - pracownicy Mosesa już zainkasowali. Żeby zapłacić za kozy...

Tego dnia widać było coraz wyraźniej, że stan Mosesa się pogarsza. Nie mógł wytrzymać nawet pięciu minut w pozycji wyprostowanej, skurcze jelit co rusz zmuszały go do przykucnięcia. Z tym chorym człowiekiem nigdy nie osiągnę celu, stwierdziłam w duchu i powiedziałam to zresztą otwarcie Johnowi.

John nie interesował się już jednak zardzewiałymi samochodami, lecz wyłącznie śmiertelnie chorym bratem. Jeśli Moses umrze, John zostanie jego następcą. Dla przypomnienia: Moses miał wtedy pięcioro dzieci, a dwoje było w drodze.

John chciał poprosić o pomoc innego uzdrowiciela, prawdziwego doktora z buszu, który mieszkał w pobliżu oddalonego o sto pięćdziesiąt kilometrów Ibadanu. Słyszałam już co nieco o nadprzyrodzonych zdolnościach doktorów z buszu należących do osiadłego tam plemienia Joruba. Jako nieświadoma *oibo* zawiozłabym Mosesa do szpitala. Wtedy byłoby jednak jeszcze drożej, jak oświadczył John.

- Nie sądzę też, żeby Moses mógł zaufać szpitalnym lekarzom. - Popatrz na mnie wzrokiem szukającym pomocy. - Podróż do Ibadanu jest droga. 200 marek. I jeszcze 1000 marek na *babalawo*. Ale Moses to przecież mój najstarszy brat. Chodzi o jego życie. On też zrobiłby to dla mnie!

Zanim wyjechali, poprosili piękną Rhodę w zaawansowanej ciąży, żeby troszczyła się o mnie.

Musiałam jeździć do urzędu celnego zatłoczonymi autobusami miejskimi, podczas jazdy ludzie wisieli na drzwiach niczym kiście winogron. Szczególny sposób zwiedzania miasta. Po obu stronach

dróg szybkiego ruchu widniały niskie, kryte blachą falistą chaty pośród morza pozbawionej perspektyw, jak się wydawało, zardzewiałej nędzy. Wszędzie stały stare, zepsute samochody. Drogi były usiane wybojami. Tu i ówdzie na zakurzonych poboczach leżały rozkładające się zwłoki psów, a czasem nawet ludzkie trupy.

Nie należy przykładać standardów obowiązujących w krajach wysoko uprzemysłowionych do afrykańskiego trybu życia. Mimo to tak się robi. Nędza, choćby najbardziej relatywizowana, zawsze pozostaje nędzą. W wioskach pośród cudownych, rozległych krajobrazów, które miałam wkrótce poznać, mieszkało mało ludzi. Ludzie głodowali, czekając na lepsze jutro. A ja chciałam tutaj sprzedawać zdezelowane europejskie auta! Może w tym rozklekotanym, śmierdzącym autobusie, narażona na zdraдлиwe przeciągi, powinnam była uzmysłowić sobie daremność mego przedsięwzięcia. Po prostu powiedzieć sobie: „Okay, Ilono, zbyt wiele wzięłaś na swoje barki, to o numer za duże na ciebie”. Ale ja nie chciałam kapitulować. Upór? Arogancja białych, którym się wydaje, że mogą traktować obcą kulturę wedle swojego widzimisie? Z pewnością nie ja jedna popełniłam ten błąd i zapłaciłam za to.

Ostatecznie chodziło tylko o siedem samochodów, które stały w porcie. Z dumą położyłam przed celnikiem pozwolenia na przywóz „naszych” siedmiu aut. Jako kupców wpisano siedmiu spośród bardzo, bardzo licznych kuzynów Johna i Mosesa.

- Bardzo dobrze, w takim razie może pani odebrać auta - powiedział urzędnik, rzuciwszy przelotnie okiem na dokumenty.

Uśmiechnęłam się uprzejmie.

- Czyli wszystko jest w porządku.

- Och, na pewno. Dokumenty przewozowe ma pani przy sobie, pani Wowo?

- Oczywiście.

Jasne, wszystko miałam przy sobie. Położyłam mu je przed nosem. Na dłużej zagłębił się w moje papiery. Przejrzał wszystkie.

- Dokumenty przewozowe wystawione są na Johna Wowo - oznajmił lakonicznie.

- No, oczywiście, to przecież mój mąż.

- Jest tu z panią, przy samochodzie? Mogłaby go pani poprosić do środka?

- Dlaczego?

- To on jest importerem, a tym samym właścicielem, pani Wowo - odparł spokojnie celnik.

Oznaczało to, że Rhoda i ja odbyłyśmy całą drogę na próżno. Musiałam zadzwonić do ojca.

Twarz Rhody rozpromieniła się.

- Urząd telegraficzny jest w Ikoyi na Lagos Island. Przy okazji będziemy więc mogli pójść na targ - powiedziała.

Podziwiałam jej niezłomny optymizm. Wydawało się, że nasza odyseja - wielogodzinna jazda autobusem przez ogromne miasto - nie zniechęciła jej ani trochę. Przeciwnie: na targu w centrum Lagos zrobiła najpierw duże sprawunki, zanim dotarliśmy do urzędu telefonicznego. Zręcznie niosła na głowie swoje zakupy - nie oglądając się na ciężę i zbliżający się poród.

Zapłaciłam za rozmowę do Niemiec - i musiałam czekać. Dwie godziny, dopóki nie poinformowano mnie, że jest rozmowa, którą połączono ręcznie. Wreszcie wezwano mnie do dusznej kabiny. I znowu czekanie. W końcu grzmiący głos ojca, który przekazał mi, że zostałam wyrzucona z pracy bez wypowiedzenia i że miał bardzo nieprzyjemną rozmowę z moim szefem.

- Ilono, nie masz pojęcia, co się tutaj dzieje! Byłem w banku... przedłużyć weksel... dwadzieścia procent odsetek, Ilono! Dwadzieścia! Plus 2000 marek opłata manipulacyjna... Gangsterzy, powiadam ci. Ale to jeszcze nie wszystko... Ilono... jesteś tam jeszcze...?

Słuchałam go cierpliwie. Że obciążył hipotekę domu. I widzi już rozwiązanie naszego problemu - jeszcze więcej aut do Nigerii! Na pokrycie długów. Tym razem ja krzyknęłam do słuchawki zdecydowane „nie!” i zapytałam o dzieci. Żeby się dowiedzieć, że Janet spadła z konia, ale nie doznała poważniejszych obrażeń. A Bobby połączył baterię. Ostatnie słowa, jakie usłyszałam, zanim połączenie zostało przerwane, brzmiały „kapusta kiszona”.

Czekając - daremnie - na ponowne połączenie, zachodziłam w głowę, jaki może być związek między Bobbym, baterią i kapustą

kiszoną. Dowiedziałam się dopiero po wielu tygodniach. Moja mama, pielęgniarka z powołania, kazała wtedy chłopcu zjeść kilogram kapusty kiszonej. Na szczęście lubił kapustę. Potem posadziła go na nocniku i czekała, dopóki nie rozległo się „plim” i dziecko nie wydziło wreszcie guziczka.

W każdym niemieckim supermarkecie, który chce zademonstrować, że ma towary z całego świata, można obecnie zobaczyć przypominające kawior wnętrza papai, umoszczone czysto i sterylnie na plastikowej podkładce, jakby to były czarne perły natury. Jakież przeciwieństwo tego stanowi krzykliwy targ w centrum Lagos! To istna uczta dla zmysłów. Większość towarów jest wyłożona na zwykłych regałach pod daszkami z drewna i blachy. Bardzo cenne u nas papaje leżą po prostu na stertach, obok mango, banany najróżniejszych odmian (te zupełnie małeńkie są najśodsze), ananasy, cytryny, jasne bulwy manioku, ciemne bulwy ignamu, grube jak pień drzewa, duże blaszane misy pełne czarnych, żółtych i czerwonych nasion strączkowych: fasoli, soczewicy lub grochu, kukurydzy, misy pełne żółtawobrazowego proszku *garri* (uzyskiwanego z tartych bulw manioku), orzeszki ziemne w niewyobrażalnych ilościach, świeżo prażone lub jako miękkie masło orzechowe w płaskich naczyniach.

Są także stoiska oferujące suszone i świeże ryby albo mięso, które często bywa tak świeże, że krew kapie do podstawionych miseczek i tam się ścina. Kury na sprzedaż trzymane są w małych, drewnianych klatkach, beczące kozy i barany czekają na kupców, uwiązane na sznurku. Albo *bushmeat*, mięso z dżungli: na przykład zajęcy, mrówników lub - szczurów.

Barwna różnorodność, która przypomina rajski ogród, zaludniona rozgadany i śmiejącymi się ludźmi, wylewnie okazującymi życzliwość i rzucającymi się sobie w objęcia. Bez przerwy wymienia się pozdrowienia, widać kobiety albo i mężczyzn, którzy nie zważając na otaczający ich zamęt, padają na kolana, aby okazać szacunek jakiejś wysoko postawionej osobie. Oprócz nieprzebranego bogactwa skarbów natury odkrywałam, robiąc wielkie oczy, artykuły codziennego użytku: maczety, kapelusze, lampy naftowe, części samochodowe, tkaniny w wielkim wyborze i żywych barwach, stare gramofony lub

rowery. W cieniu swoich kramów stały przekupki w kolorowych wrapperach i turbanach, czyli kunsztownie zawiniętych *gele*. Mocnymi głosami rozmawiały ze sobą w różnych melodyjnych językach i dialektach. Wszystkie głośno i jedna przez drugą.

Wielonarodowa Nigeria najlepiej demonstruje swoje różnice na targu, w prawdziwym tyglu plemion. Bo czarny naturalnie nie zawsze oznacza czarny, występują najrozmaitsze odcienie. Wytworni Fulanie z północy mają najjaśniejszą skórę. Wyróżniają się także ubiorem: muzułmańskie kobiety chodzą zasłonięte, niektórzy mężczyźni ubrani w peleryny do samej ziemi, inni noszą się na modłę zachodnią z krawatem włącznie. Można także dostrzec albinosów lub Murzynów cierpiących na liszaj biały.

Wspólne wszystkim wydaje się zamiłowanie do złotej biżuterii, którą noszą demonstracyjnie na rękach, ramionach lub szyi. Kto ma pieniądze, ten pokazuje to otwarcie. Na nas sprawia to wrażenie samochwalstwa; dla Nigeryjczyków bogactwo, do którego się doszło, jest powodem do dumy. Trędowaci bez nóg poruszają się wśród tłumu na skleconych przez siebie deskorolkach. Czarni jak smoła żebra bracy proszą o jałmużnę. Inni śpią obok przepływającego strumienia ludzi, tuż przed ryczącym radiem tranzystorowym. W każdej części targu otacza człowieka inny zapach. Czasami również woń odchodów - toalet tutaj nie ma. Szerokie szaty kobiet stanowią dyskretną zasłonę. A jak potem coś zostaje, to trudno, po prostu musi zostać.

Handlem zajmują się tutaj kobiety. Funkcjonuje on jednak zupełnie inaczej niż u nas: zysk jest natychmiast ponownie inwestowany w towar, który piętrzy się wysoko na stosach. Nic dziwnego - nieufność wobec banków jest wielka. I uzasadniona. *Mammies* są naprawdę dzielne, żonglują kredytami, kupują całe ciężarówki lub autobusy, z którymi wchodzi w następny interes, transport ludzi i towarów. Wiele z nich radzi sobie bardzo dobrze, chociaż nie umieją pisać ani czytać.

Na tym barwnym, głośnym targu po raz pierwszy poczułam, jaki przyjemny jest ten mój „przymusowy urlop”. Tuż obok właściwego targu odkryłam halę, w której było jeszcze więcej stoisk.

Z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia weszłam do środka obserwowana podejrzliwie przez handlujących. Na końcu hali było wciśnięte w kąt stoisko, zasłonięte wielką, plastikową płachtą. Przyciągała mnie do niego aura tajemnicy i magii. Rhoda nie chciała się zatrzymywać, gdyż tutaj, jak wyjaśniła, robią zakupy święci mężowie. Pewnie chciała mnie w ten sposób odstraszyć. Osiągnęła skutek przeciwny - ostatecznie jestem córką Niemki leczącej za pomocą kiszzonej kapusty...

Stoisko okazało się supermarketem okolicznych *babalawo*. Rozpoznałam magiczne *juju* z czarnej skóry. Ale były też szkielety małp i psów, skóry węży, zęby rekinów, kości, miski pełne ślimaków kauri, łańcuszki, futra, muszle, proszki i zioła.

Nie odstraszył mnie nawet czarny jak smoła handlarz o pokrytej bliznami twarzy, który miał jedną źrenicę białą jak śnieg, natomiast drugie oko uciekało mu ciągle do góry. Chciał mi przepowiedzieć przyszłość w trudno zrozumiałym pidżynie. Tego było już dla Rhody za wiele - odeszła. I dlatego nie widziała, jak zmierzył mnie swym jedynym okiem tak przenikliwie, że poczułam na plecach zimne dreszcze. Zrozumiałam, że czekają mnie bolesne doświadczenia, ale także spełnienie dzięki wielkiemu zadaniu. I że mam kupić jedną z jego przynoszących szczęście bransolet z czarnego włosia ze słoniowego ogona. Żeby zgodziło się też to, co mówił o spełnieniu.

Rhoda czekała na mnie cierpliwie. Rzuciła okiem na moją nową bransoletę. Kupiłam ją właściwie bardziej jako ozdobę, lecz Rhoda oświadczyła, że to magiczny talizman, właśnie *juju*. Zapytałam ją, co sądzi o *juju* w domu Moseasa. W odpowiedzi wyjaśniła mi, że w niektórych ogrodach wieszają się na drzewie miotły z chrustu. Włamywacz jest wówczas zmuszony wziąć miotłę i zamiatać ogród. I to tak długo, aż wróci właściciel domu, aby wezwać policję. Stłumiłam pełen niedowierzania śmiech. Kiedyś później przeczytałam w prasie notatkę, że w pewnym sklepie złapano włamywacza wymachującego miotłą *juju*. Jedna wiara góry przenosi, a inna każe tańczyć miotle. W każdym razie moja bransoleta *juju* była niedroga, piękna i pewnie już nieraz pomogła. Kto by to zresztą wiedział dokładnie. Szczęście bowiem przyszło znowu, choć nie od razu.

W taksówce, gdy jechałyśmy z powrotem, u Rhody zaczęły się bóle porodowe, czego zresztą należało się spodziewać na wyboistych drogach. Taksówkarz wysadził nas w pobliżu domu Mosea i znów musiałyśmy maszerować przy akompaniamencie okrzyków: *oibo-oibo*. Mimo bólów Rhoda nie pozwoliła sobie pomóc w dźwiganiu, tylko zmierzała do celu z podniesioną głową, niosąc na niej torbę z zakupami. Ja podążałam za nią. To, co Rhoda wykonała bez trudu pomimo bólu i ciężarów, mnie się nie udało: przechodząc po jednej z wąskich desek przerzuconych nad rowem z gnojówką, poślizgnęłam się. Plusk, i moja stopa utkwiała w mazi. Stopę zdołałam wyciągnąć, ale but został w środku. Takim powszednim przeciwnościom nie może przeszkodzić nawet magiczna bransoleta *juju*.

- *Oi-bo, oi-bo* \ - rozbrzmiewało w moich uszach.

Ojej, ojej! Jak wydostać but z gnojówki? Pojawił się jakiś starszy mężczyzna, który miał przy sobie laskę, nadającą się znakomicie do wyłowienia buta ze śmierdzącej mazi. Miałam może włożyć ten zaświniony but? Gdy tylko pomyślę o bucie w gnojówce, jako córka pielęgniarki przypominam sobie od razu co najmniej dwie choroby, które mogłyby mnie dopaść. Poszłam więc dalej boso. Tak czy owak, spełniłam jednak w ten sposób dobry uczynek. Następnego dnia moje oczyszczone buty zdobiły nogi sąsiadki.

Każda kobieta inaczej pamięta swoje pierwsze dziecko. Mimo to wydaje mi się, jakby były tylko dwa rodzaje porodów - albo wśród niekończących się cierpień, albo szybko i prawie bez kłopotów. W moim życiu wszystko wydaje się toczyć zgodnie z metodą cierpienia, także rodzenie dzieci. Janet miała ułożenie czołowe, bóle porodowe ciągnęły się w nieskończoność. John przyszedł rano do szpitala po bolesnej dla mnie, a dla niego zakrapianej nocy. Ponieważ dziecko jeszcze się nie urodziło, nie wpuszczono go do mnie, ale lamentował tak długo, aż położna ustąpiła. Miałam dość całego świata, a tu John powiedział mi ni mniej, ni więcej, tylko to, że kobieta ma trudności z porodem wtedy, kiedy się puściła. I oświadczył, że zostanie przy mnie, dopóki się nie przyznam, że go zdradziłam. Położna natychmiast wyrzuciła go za drzwi.

Wreszcie w niedzielę w nocy, tuż po drugiej, urodziła się Janet. Mnie pomogło znieczulenie rdzeniowe, jej kleszcze. A przez cały ten czas leżałam podłączona do rurek i tokografu*. Kiedy przeszłam przez tę bramę bólu, w szpitalu zjawił się John, wyspany, świeżo ogolony i z obfitym śniadaniem w żołądku, żeby dokonać oględzin naszego wspólnego dziecka.

- To dziewczynka.

Dwa lata później, kiedy w mękach wydałam na świat Bobby'ego, który ważył prawie pięć kilo, John oświadczył, pęczniąc z dumy:

- Mój duży chłopiec.

Jakże inaczej wszystko odbywało się tutaj, w tej podłużnej chacie obok śmierzących rowów! W ciągu następnych godzin miałam podziwiać Rhodę, o której wiedziałam już wcześniej, że trudno ją wzruszyć. Ani razu nie była wcześniej na konsultacji u lekarza, nie znała badań profilaktycznych czy USG. Kiedy pojawiły się już bóle w odstępach pięciominutowych, bynajmniej się nie położyła, nawet nie usiadła, prawie nie jęczała. Nie, Rhoda zaczęła gotować. Przycupnęła na podwórzu na zydlu przy ognisku, obok innych kobiet. Kobiety gotowały wielkie ilości ciepłej stawy. Zastanawiałam się, kto ma to wszystko zjeść - wystarczyłoby co najmniej dla dwudziestu osób, a nas było sześcioro.

Nikt nie posłał po lekarza. Po zapadnięciu ciemności kobiety rozeszły się do domów, bo po ciemku bały się wychodzić na zewnątrz. Ktoś posłał wcześniej chłopca do pewnej bardzo grubej kobiety, akuszerki. Ta kobieta, Rhoda i ja wycofałyśmy się do pokoju Rhody. Wszystkie drzwi domu zostały jak zwykle zamknięte, drzwi pokoju Rhody dodatkowo jeszcze raz. Normalna noc. Po wyjeździe Mosesa i Johna do szamana pod Ibadanem zamieszkałam w pokoju Rhody, w którym znajdowało się żelazne łóżko.

Kiedy bóle porodowe zaczęły się powtarzać w coraz krótszych odstępach i Rhoda musiała przeć, trzymała się prętów łóżka w półprzy-

* *Tokograf*- przyrząd do rejestracji skurczów macicy podczas porodu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

siadzie. I tak też urodziła - kucając na kamiennej posadzce, pokrytej jedynie liśćmi dzikiego wina. Podczas porodu akuszerka mało delikatnie masowała brzuch Rhody kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki. Zręcznie złapała niemowlę, które szybko wyślizgnęło się na zewnątrz, i - pohuśtawszy je za rączki i nóżki oraz obróciwszy kilkakrotnie w powietrzu, dopóki nie zaczęło krzyczeć - położyła je na podłodze owinięte w nową, bawełnianą pieluszkę. Przyglądałam się w napięciu, obserwując wrażliwą główkę noworodka, która podczas tej procedury niebezpiecznie chwiała się na wszystkie strony.

- Dzięki temu nasze niemowlęta są silne. Wy za bardzo rozpieszczacie swoje dzieci. My możemy potem nosić na głowie duże ciężary - oświadczyła akuszerka, śmiejąc się z moich wątpliwości.

Dopiero gdy pępowina przestała pulsować, przewięzała ją dwa razy nicią i przecięła, wyjąwszy z torebki żyłkę. Następnie dała mi niemowlę do potrzymania. Kiedy wzruszona kołysałam w rękach wrzeszczące wniebogłose dzieciątko, złana potem Rhoda czekała na wydalanie łożyska. Akuszerka wyciągnęła je za pozostałą część pępowiny, po czym włożyła je do przygotowanej w tym celu metalowej miski. Tę przykryła kolorową chustą batikową, posypawszy łożysko sproszkowaną skórą słoniową i wymruczawszy nad nim następujące zaklęcie:

- Niech odejdą wszystkie stare czarownice i wszyscy, którzy wiedzą, że przyszły czynić zło.

Akuszerka wyjaśniła mi, że słoń bardziej niż jakiegokolwiek inne zwierzę symbolizuje siłę i ma chronić niemowlę przed zawistnymi kobietami. Potem wsunęła miskę pod łóżko. Do kolejnej blaszanej miski nalała gorącej wody i rozpuściła w niej wywar z ziół i roślin leczniczych. Następnie wzięła ode mnie spokojnie śpiące, nagie niemowlę, żeby natrzeć je przygotowaną ziemią. Miało to noworodkowi pomóc w oswojeniu się z nową przestrzenią życiową. Później akuszerka czterokrotnie wykąpała niemowlę w misce z roztworem ziół, stosownie do przypisanej danej płci symboliki liczb - chłopców myje się tylko trzykrotnie.

Prawą ręką nalała krzyczącemu teraz dziecku do ust i nosa tej samej wody, w której było kapane. Poza tym wykonała małą gruszką tradycyjną lewatywę, aby usunąć smótkę - pierwszy stolec noworodka. Następnie napluła na plecy i brzuch niemowlęcia, masowała go

bardzo długo jakimś oleistym lotionem, który miał mocny, ale przyjemny zapach ziół. Szczególną uwagę przywiązywała do wydłużonej wskutek porodu głowy dziecka.

W tym czasie Rhoda umyła się przygotowaną wcześniej, prawie gotującą wodą, która stała w pokoju na płycie kuchennej. Piersi wymasowała sobie masłem karite, a siarę usunęła palcami maczanymi w gorącej wodzie.

- Gorąca woda sprawia ból, ale dodaje sił. Skóra staje się piękna i ustępuje zmęczeniu. Obmycia gorącą wodą, przeprowadzane przez czterdzieści dni po porodzie dwa razy dziennie, pomagają kobiecie zachować młodość i usuwają przekrwienia. Także dobrze przyprawiona zupa, wywary roślinne i gorące okłady na brzuch pomagają wyrównać temperaturę wewnątrz ciała - wyjaśniła akuszerka.

Rhoda musiała zjeść przygotowany sos z potażem i napić się gorącej wody, żeby pobudzić wydzielanie mleka. Akuszerka surowo zabroniła jej jedzenia mięsa przez następne czterdzieści dni. W końcu Rhoda mogła się położyć. Ale bynajmniej nie na miękkim łóżku. Ta zadziwiająca kobieta rozwinęła na ziemi swoją matę z sitowia i położyła się na niej. To było jej nocne posłanie. Za przykrycie wystarczyła jeszcze jedna bawełniana chusta batikowa w biało-niebieskie pasy. Gruba akuszerka położyła się obok. Niemowlę ułożyła przy piersi Rhody. Podobnie jak w poprzednie noce ja mogłam spać w osieroconym łóżku.

Długo nie mogłam zasnąć, wsłuchując się w zmęczony oddech Rhody, z którym mieszało się pełne zadowolenia pomlaskiwanie noworodka i chrapanie akuszerki. Byłam tak nakręcona, jakbym sama wydała na świat dziecko.

Szóste dziecko Mosesa było kolejną dziewczynką. Czyż ten mężczyzna nie opuścił swojej żony Efe dlatego, że rodziła mu same dziewczynki? Czyż nieszczęście Mosesa nie zaczęło się od tego, że zapragnął męskiego dziedzica?

W niespełna miesiąc później również Efe urodziła dziecko, i to oczekiwanego z utęsknieniem chłopca.

Po południu następnego dnia wrócili z Ibadanu John i Moses. Można było podarować sobie pytania o powodzenie podróży. Nie ulegało wąt-

pliwosci, że czas Mojżesza na ziemi dobiegał kresu. Nie wiem, czy Mojżesz uświadamiał sobie związek między płcią swego dziecka a bezsensownością własnego cierpienia. W każdym razie nie dawał tego poznać po sobie. Wydawał się ogromnie uradowany z maleństwa o gęstych, kręconych włosach i żywych oczkach. Zgodnie z tradycją jeszcze tego samego dnia wieczorem pomimo bólu wykopał dół pod pizangiem poza parcelą w twardej jak kamień, gliniastej ziemi i tam pochował łożysko.

John szybko mi uświadomił, że w następnym tygodniu mamy już zaplanowane wszystkie dni. Pod koniec tego tygodnia, a dokładnie siódmego dnia po urodzeniu, dziecko Rhody miało zostać powitane na ziemi wspianiałymi chrzcinami. Do tego czasu powinniśmy odebrać z portu wszystkie auta. Opowiedziałam Johnowi o mojej wpadce z papierami przewozowymi. Ponieważ John był przekonany, że problem ten rozwiąże sama jego obecność, następnego dnia po jego powrocie pojechaliśmy do portu. Powinnam była się domyślić: ledwo znalazłam się blisko usunięcia jednej przeszkody, pojawiła się nowa - port został zamknięty!

Dotychczas ani przez chwilę nie zaprzętałam sobie głowy faktem, że port jest prywatny. Teraz dowiedziałam się, że rząd zamknął wszystkie porty prywatne. Od tej pory wszelkie dobra luksusowe - a ta kategoria obejmowała też naturalnie nasze auta - miały być zarządzowane wyłącznie przez porty państwowe. Narzędzie kontrolne polityki gospodarczej, mające chronić słabą walutę. Tym razem nie dało się sprawy załatwić za pomocą pięknych słów i banknotów. Przeciwnie: księgowy wystawił nam horrendalny rachunek za postój aut! Nasz import samochodowy okazał się więc w końcu walką zboża z kamieniem młyńskim. Popatrzyłam na swoją bransoletę ze słoniewego włosa - co za bolesne doświadczenia!

Na szczęście mogliśmy przynajmniej wziąć pikap z firmy ogrodniczej. Mojżesz kazał nim przywieźć kury, ryż i ignam na przyjęcie dla pewnie setki gości. Już piątego dnia po narodzeniu dziecka zaczęły się przygotowania do wystawnej uroczystości rodzinnej, ostatecznej, w której miał wziąć udział Mojżesz - a mianowicie chrzcin jego na razie bezimiennej szóstej córki.

Świeże ryby kontra problemy małżeńskie

Tańczono i ucztowano przez całą noc z siódmego na ósmy i przez i następny dzień. Także Rhoda tańczyła na podwórzu pod baobabem, w świetle ogniska, płonących pochodni i lamp naftowych, trzymając przeważnie noworodka w bawełnianej chuście, którą owinęła wokół bioder. To zadziwiające, jak wielu krewnych, przyjaciół i znajomych mieli Rhoda i Moses. Podczas ceremonii nazywanej *spraying* podarowali oni matce i dziecku dużo pieniędzy, które tańcząc, przyklejali Rhodzie na czole. Ta dziękując, wtykała kolejne banknoty za fałdkę swojego wrappera, a w końcu jej brzuch wydawał się mieć taki sam obwód jak przed porodem...

Dziecko otrzymało dwa imiona: chrześcijańskie, Nora, i afrykańskie, Oghenekome. W języku plemienia Isoko, do którego należał mój szwagier, znaczyło ono „niech się dzieje wola Boga”.

W pewnym momencie John rzekł do mnie:

- Rozmawiałem z *babalawo* także o naszych problemach, Ilono. To bardzo mądry człowiek. Mówi, że może nam pomóc.

Przyjrzałam mu się podejrzliwie. Siedzieliśmy na długiej, drewnianej ławie przy klepisku, na którym odbywały się tańce. Rhoda tańczyła wśród swoich gości. John sprawiał w pewnym sensie wrażenie egzotycznego naczelnika plemienia. W migotliwym świetle pochodni jego ciemna skóra połyskiwała ciepłym blaskiem. Ubrany był w afrykańską koszulę o długości trzy czwarte i dopasowane do niej spodnie z cienkiej, białej bawełny, które cudownie kontrastowały z jego skórą. Ten sam materiał Moses załatwił także dla mnie. Ja z kolei wyglądałam w nim jak nieudana, zbyt blada bliźniacza siostra Johna. Idę

o zakład, że nie wyglądalіśmy na parę, która - przynajmniej z mojego punktu widzenia - właśnie się rozwodzi.

John w dalszym ciągu przyglądał się zespołowi na drugim końcu klepiska, który grał nigeryjskie przeboje.

- *Babalawo* powiedział, że sprzedaż aut nam nie wychodzi przez nasze problemy małżeńskie - mówił dalej.

- Ach tak? I ty też tak uważasz?

- To doświadczony człowiek. Twierdzi, że nieporozumienia i napięcia między nami sprawiają, że nasz wspólny interes nie może się powieść.

- John, do czego zmierzasz? Jeśli chcesz się ze mną przespać, to powiedz. Ale znasz odpowiedź.

Właściwie chciałam powiedzieć, że samochody to nie była sprawa Johna i moja, tylko mojego ojca i Johna. A oni dwaj na pewno nie byli mężem i żoną. Teoria szamana niezupełnie więc się zgadzała...

Jako Niemka stąpam może zbyt twardo po ziemi. Człowiek z Afryki, jak John, patrzy na długi zupełnie inaczej. Nie pozwala się przytłoczyć przeszłości, tylko cieszy się chwilą obecną. I dlatego teraz wykorzystał chrciny do zainicjowania nowych przedsięwzięć. Były to wątpliwe moim zdaniem pomysły na różne interesy: jego znajomi chcieli importować za naszym pośrednictwem rozcieńczacz korektora, maszyny do produkcji papieru toaletowego, nawet rtęć do drukowania pieniędzy i do czarnej magii. Padały także propozycje, które wydawały mi się o kilka numerów za duże, jak import maszyn do wywoływania zdjęć, miedzianych kabli lub całego wyposażenia piekarni. Niektórzy goście tak się rozochocili, że od razu chcieli mi dawać zadatek. Na koniec zostałam z całym stosem wizytówek; większość sprawiała wrażenie wykonanych przez samych zainteresowanych, którzy przedstawiali się na nich jako *president* jakiejś firmy. John mówił jednak o ogromnych zyskach - jakby miał je już w kieszeni.

- Rozmawiałem z Mosesem. Chce jechać z nami - wyznał mi późną nocą.

- Do szamana, od którego właśnie wróciliście? Co to da? Moses nie czuje się przecież lepiej. Przyjrzyj mu się tylko!

- Pojedziemy do innego *babalawo*. To prawdziwy mędrzec z plemienia Jorubów. On nam pomoże - przepowiadał.

Zaintrygowało mnie słowo „Jorubowie”. Słyszałam już różne tajemnicze historie o tym ludzie i jego obrzędach religijnych. Obróciłam swoją bransoletę *juju*, sygnalizując w ten sposób milczącą zgodę.

Na wyjazd do *babalawo* nie mogliśmy wziąć starej półciężarówki Moseśa, gdyż potrzebowali jej pracownicy w zakładzie ogrodniczym. Alternatywą była żółta taksówka zbiorcza marki Mitsubishi. W czasie gdy John targował się z kierowcą o cenę, chory Moses szarpany skurczami kuczał na ziemi. W tym momencie przejeżdżało jakieś auto, kierowca pomachał mi życzliwie. W mercedesie, który wydawał mi się znajomy - był to jeden z samochodów ojca - za kierownicą widniał nie kto inny, tylko master Tomorrow, który siedział sobie w najlepsze za zasuniętymi szybami, przy włączonej klimatyzacji. Obok niego królowała młoda dama, której starannemu manikiurowi przyglądałam się przed kilkoma dniami. A więc nie sprawdziła się moja teoria o wyższej sprawiedliwości i biednym robotniku, z którym panienka miałyby się dzielić moją hojną łapówką. Zamiast tego było tylko sztyderstwo realnie istniejącej niesprawiedliwości.

Czterogodzinna jazda przy akompaniamencie ryczącej muzyki, którą współpodróżni próbowali zagłuszyć konwersacją, okazała się jednak zajmująca. Dotychczas widywałam tylko płataninę ulic Lagos, chaos, który pożerał krajobraz. Po raz pierwszy oglądałam niepowtarzalną, bujną przyrodę Afryki: olbrzymie lasy tropikalne z nieznanymi gdzie indziej potężnymi drzewami, bajeczne gaje palmowe, przez które droga szybkiego ruchu prowadziła prosto jak strzała. W drodze do Ibadanu, gdzieś na autostradzie zaraz po minięciu Abeokuty, Moses, ściśnięty na siedzeniu obok kierowcy, kazał zatrzymać mikrobus. Po obu stronach drogi dżungla. Żeby dotrzeć do wioski, musieliśmy dalej iść pieszo.

Jestem mieszczuchem, i to do szpiku kości. Jako dziecko mieszkałam przez pewien czas z rodzicami na jednym z przedmieść Monachium. Dla mnie już to było życie na wsi. Do szkoły musiałam chodzić przez pola i łąki, co zajmowało mi trzy kwadranse, później jeździłam na rowerze.

Nienawidziłam tej drogi do szkoły. Przede wszystkim w ostre zimy. Czułam wtedy autentyczny wstręt do przyrody.

A teraz akurat handel samochodami rzucił mnie w sam środek afrykańskiej przyrody i dziczy. Do znanego mi cywilizowanego świata było stąd równie daleko jak z Ziemi na Księżyc. W tym momencie odbierałam wprawdzie swoje otoczenie jako bardzo malownicze, lecz równocześnie czułam się nie na swoim miejscu. Było to w porze suchej, temperatura znacznie przekraczała 35 stopni Celsjusza. Z bezchmurnego, błękitnego nieba lał się żar. Nasunęłam nisko na twarz słomkowy kapelusz i wędrowałam wąską ścieżką, potykając się na nieutwardzonym, gliniastym gruncie. W Lagos włożyłam białą, bawełnianą bluzkę z długimi rękawami oraz białe, płócienne spodnie. Niedługo były białe. Spodnie szybko stały się brązowe od kurzu, a bluzka mokra od potu. Musiałam zmienić sandały, kiedy dróżka prowadziła obok wysokiej do kolan trawy. Zdaniem Johna mogły być tutaj węże... Co za uprzejmość! Na szczęście miałam w torbie płócienne tenisówki, które z całą pewnością także nie były idealnym obuwiem chroniącym przed ukąszeniem węża...

Dżungla, która z autostrady wydawała się gęstym skupiskiem roślinności, przechodziła na wzgórzu w rzadszy las wysokopienny. Wilgotna sawanna rozciągała się stąd aż do odległego o siedemdziesiąt kilometrów Ibadanu. Przechodziliśmy obok paru karczowisk powstałych metodą wypalania drzew. Pochylone postacie - w tym wiele dzieci - przekopywały ziemię uprawną, zbierając bulwy ignamu i maniok. Między poletkami rosły drzewa rodzące owoce cytrusowe i orzeszki kola oraz kępy bananów. Znajdowały tutaj pożywienie stada kóz pilnowane przez pastuszków.

Szliśmy i szliśmy, Moses z odkrytym torsem dzielnie na przodzie, niosąc na głowie chwiejącą się niebezpiecznie, metalową miskę z napojami w butelkach. John, noszący się po europejsku, w koszuli i spodniach z zaprasowanym kantem, taszczył trzy worki żywności - miały to być dary dla doktora z buszu. To zrozumiałe, że żądał zapłaty w towarach, których nie było na pustkowiu: Gordon's Dry Gin i Jim Beam, 7 up i cola, ryż i suszona fasola. Najchętniej rzuciłabym się na niesioną przez Johna colę, ale w równikowym upale miała ona temperaturę bliską wrzenia.

Wreszcie w jakiejś osadzie natrafiliśmy na kiosk z prażonymi kolbami kukurydzy i świeżą wodą, którą czerpano z wiadra chochłą. Odoczynek!

- *Oibo, oibo* \ - rozległo się natychmiast.

Pulchna kobieta razem z małym synkiem przyniosła dwa mniej więcej trzydziestocentymetrowe, okrągłe stworzenia. Przy bliższych oględzinach okazało się, że to ślimaki. Potwory z dżungli, które francuskiemu kucharzowi śniłyby się potem po nocach. Cudownie, kupujemy! Doktor z buszu dopiero się ucieszy. Są olbrzymie ślimaki, w porządku, ale gdzie się podziewają „typowe” afrykańskie zwierzęta, antylopy, gazy, lub inne dumy niejednego niemieckiego zoo?

- Zjedzone - wyjaśnił John.

Nie przez lwy, ale przez zbyt wielu ludzi mieszkających między Lagos a Ibadanem, tymi dwoma rosnącymi w szalonym tempie aglomeracjami w południowo-zachodniej Nigerii, z których większą jest Ibadan. W 1980 roku w Lagos mieszkały cztery miliony osób, a w 1990 już siedem milionów! Jeszcze bardziej imponujący jest rozwój Ibadanu, który w 1990 roku liczył szacunkowo dziesięć milionów mieszkańców. Miasta te leżą w odległości zaledwie stu pięćdziesięciu kilometrów. Między nimi nie ma już miejsca dla dzikich zwierząt.

Kiedy masowałam spuchnięte stopy mieszcza, John przygotowywał mnie na to, co ma nastąpić. Znajdowaliśmy się na terenach Jorubów, jednego z dwustu pięćdziesięciu plemion i grup etnicznych, które dopiero w połowie lat sześćdziesiątych połączyły się, tworząc państwo nigeryjskie w obecnym kształcie. Ze wszystkich plemion najbardziej znani są Jorubowie. Handlarze niewolników wywozili Jorubów aż do Ameryki i na Haiti, gdzie z ich pierwotnych obrzędów wykształcił się w ciągu wieków słynny kult - wudu. Widziałam z nich do tej pory tylko wierchołek góry lodowej w postaci *juju* wieszanych na drzwiach i firankach.

John nie należał do tego plemienia, ale mówił jego językiem, jakby był jednym z Jorubów. Mój obrotny eksmaż trafił do swego brata w Lagos już jako mały chłopiec i tam wychowywał się wśród Jorubów.

Byłam gotowa wędrować wiele kilometrów, aby uzyskać pomoc od prawdziwego szamana Jorubów. Nie dla ratowania aut czy małżeństwa, wyłącznie z ciekawości.

- Ilono, to, co zobaczysz, wyda ci się może, hm, dziwne. Święty mąż, do którego idziemy, składa ofiarę swoim bogom, wzywa naszych przodków, aby nastroić ich przychylnie. - John wydawał się zastanawiać, jak właściwie powinien nastroić swoją żonę Europejkę. - Jeszcze kilka lat temu jako biała nie zostałabyś nawet dopuszczona przed jego oblicze.

- Kilka lat temu, John, nawet we śnie nie pomyślałabym o tym, żeby udać się do szamana mieszkającego w buszu.

John popatrzył na mnie z powagą.

- Biali uważają, że *babalawo* to szaman. Tylko po części tak jest, bo *babalawo* wytwarza też medykamenty. Ważne, że jest kapłanem religii ifa. Powinnaś więc okazać mu szacunek. Na powitanie musisz przykleknąć. Mężczyźni muszą nawet leżeć płasko na brzuchu w jego obecności. Dopóki święty mąż nie pozwoli nam wstać i usiąść na wyznaczonym wcześniej miejscu.

Wkrótce potem znowu weszliśmy w gęsty las tropikalny. Co rusz na wąskiej ścieżce spotykaliśmy Murzynów. W pewnej chwili ujrzałam w buszu w pewnej odległości dwie zupełnie nagie czarne kobiety, które od stóp do głów obsypane były jakimś białym proszkiem, a we włosy powtykały dla ozdoby kolorowe pióra.

- Nie patrz na nie. One są szalone - ostrzegł mnie John.

Na starym rowerze pedałowiał młody człowiek, który przewoził dwie kobiety: jedną na bagażniku, a drugą na kierownicy. Huk, wszyscy troje upadli. I wybuchnęli śmiechem. Potem prowadzili rower, bo pękła opona w przednim kole.

W końcu dotarliśmy do celu. Polana - okrągłe czerwone chaty z gliny z dachami z pierzastych liści palmowych, dwa pokryte blachą falistą domy z cegły: wioska doktora z buszu. Nagie dzieci powitały nas okrzykiem: *oibo, oibo*, śmiały się do nas z otwartymi ustami i śpiewały ulubioną rymowankę: *Oibo, oibo, ifya eaten peppa mo an mo, ya grow yella mo an mo*. („Biały człowieku, jeśli będziesz jadł jeszcze więcej pieprzu, będziesz żółkł coraz bardziej”).

Do Johna podeszła starsza kobieta, za którą podążyliśmy do chaty otoczonej płotem z plecionych gałęzi. Z tyłu budynku znajdował się dość duży, porządnie zamieciony plac, na ziemi rozrzucone były gałązki świętego drzewa. Dwie duże, gliniane czary ofiarne, na ściankach zakrzepła krew, pojemniki, do których łańcuchami i rzemykami przymocowano zwierzęce czaszki i kłódki lub buteleczki z lekarstwami. Obok pobrudzone butelki po dżinie i małe bębenki. Żona szamana przyjęła od nas przytaszczone towary, pliki banknotów zmieniły właściciela.

Poproszono nas do środka. Na zewnątrz świeciło oślepiające słońce, wewnątrz chaty powitała nas ciemność, tylko przez wąski otwór w dachu wdzierało się trochę światła. W powietrzu wisiała gryząca woń wygasłego żaru. John i Moses padli na twarz, kładąc się na brzuchu w pyłe podłogi. Także ja ukłękłam i pochyliłam się nisko. Ostrożnie uniosłam głowę, aby spojrzeć na ubranego w zwierzęce skóry gospodarza. Był młodszy, niż się spodziewałam, może koniec piętego krzyżyka, i dość wysoki. Miał poznaczoną bliznami twarz o ostro wyciętych ustach i przenikliwych oczach.

Powiedział coś w języku joruba, na co John i Moses podnieśli się z ziemi.

- Możesz wstać - mruknął do mnie John.

Pozwolono nam usiąść na kolorowych matach z łyka w głębi pomieszczenia. John i kapłan coś mówili, Moses i ja słuchaliśmy. Nie rozumiałam ani słowa. Ale i tak było jasne, że chodzi o mnie. Tymczasem moje oczy przyzwyczyły się do półmroku, dzięki czemu mogłam stwierdzić, że chata jest znacznie większa, niż przypuszczałam, a to dlatego, że pozostałe cztery pomieszczenia pogrążone były w ciemnościach. Ze znajdujących się w pobliżu przedmiotów rytualnych najpierw sięgnięto po najbardziej świecki z nich - butelkę dżinu. *Babalawo* trzykrotnie wylał na ziemię po odrobinie alkoholu. Dla przodków, jak wyjaśnił mi szeptem John. Potem zapalono ogień w metalowej misie z kadzidłem, jednak dym nie bardzo chciał uchodzić przez otwór w dachu. W dusznym, gorącym powietrzu zaczęłam kaszleć.

Chociaż John jeszcze przed wejściem wręczył kobiecie sporo nair w banknotach, *babalawo* zażądał teraz, żebyśmy mu dali kilka monet

kobo, których mieliśmy uprzednio dotknąć ustami. Monety należało w pozycji klęczącej złożyć u jego stóp. *Babalawo* umieścił na nich swą różdżkę wróżbiarską, krowi ogon w kolorze kremowym. Dzięki temu drobne pieniądze uzyskały tajemniczą moc, a banknoty, które wzięła od nas stara, były przeznaczone na użytek codzienny. Podobno John nie wyjawiał temu *babalawo* powodu naszej wizyty. Kiedy ów zaintonował jakieś śpiewy, John szepnął do mnie, że wzywa różnych bogów, swoich *orishów*.

Po czym nastąpiło znajdowanie prawdy. *Babalawo* zaczął wypytywać wyrocznię. Przed nim stał *opon*, okrągła tarcza z ciemnego drewna, ozdobiona biegnącym dookoła rzeźbionym paskiem i pokryta od spodu jasną gliną. Podczas długiej procedury szaman przerzucał z ręki do ręki okrągłe orzeszki. Krótką rzeźbioną laską zaznaczał kreski na glinianej powierzchni. Potrzebowałam sporo czasu, żeby zrozumieć system: przy przerzucaniu z ręki do ręki kilka orzeszków zawsze spadało na ziemię. Ale rzut „liczył się” tylko wtedy, gdy wypadł mu jeden lub dwa orzeszki. Paradoksalnie stawiał dwie kreski przy jednym orzechu, a przy dwóch tylko jedną. W sobie tylko wiadomy sposób mędrzec doszedł przy tym do jakiegoś rezultatu, który przekazał Johnowi w języku joruba, bez przerwy spoglądając na mnie. Nie spodziewałam się niczego dobrego, kiedy John po dłuższym potoku słów *babalawo* zaczął wreszcie tłumaczyć na angielski.

- On mówi, że nasza droga prowadzi nas ku zgubie. Mieliśmy wspólny cel, ale straciliśmy go z oczu. Żeby odnaleźć szczęście, powinniśmy skorygować swoją drogę. Jesteśmy mężem i żoną, lecz stoiszmy naprzeciw siebie jak wrogowie. Jeśli nie zmienimy postępowania, nasze wspólne przedsięwzięcie nie może zakończyć się sukcesem.

Muszę przyznać, że w pierwszej chwili byłam wściekła. *Babalawo* przemawiał głosem tłumacza Johna, z którym chciałam się rozwieść! Co oznaczał tutaj wspólny cel? Samochody były celem Johna i mego ojca. Ale moja irytacja przycichła. Popadłam w zamyślenie. Może ten kapłan miał jednak trochę racji - zaczęłam się przeciwieście identyfikować z tą sprzedażą aut, odesłałam ojca do domu i sama próbowałam chwycić wszystko w swoje ręce. I tym samym uczynić z tego moją własną sprawę.

Nasze interesy będą się układać tylko wtedy, kontynuował szaman, gdy John i ja nastroimy łagodnie bogów i przodków przez ofiarę przebłągalną. Musimy przygotować uroczystość ofiarną z udziałem wielu gości. Ja mam wyrazić żal za niewłaściwe postępowanie. Niewłaściwe postępowanie? Nie zdradziłam Johna, on natomiast oszukał mnie iks razy. Ale jak bardzo liczyły się takie drobiazgi u Afrykanina, który mógł żyć w poligamii? Mój błąd na pewno polegał na tym, że w ogóle wmieszałam się we wszystko.

Przyczyna naszej wpadki w interesach została więc odkryta. Naprawa szkody będzie drogo kosztować, oznajmił *babalawo* ustami Johna. Musimy złożyć ofiarę, aby poprosić *orishów* o korzystne pokierowanie naszym losem. Na uroczystość ofiarną potrzebne są odpowiednie dary. I to nie od Mr. Gordona, Mr. Jima Beama czy Mr. Coca-Coli. Nie, ryby, świeże ryby rozwiążą nasze problemy małżeńskie. A wtedy pozbędziemy się też kłopotów w interesach.

- Świeże ryby, John? Tutaj, w buszu?

- W pobliżu płynie Ogun - święta rzeka. Jorubowie nazywają ją rzeką-matką. Musimy udać się do wioski rybackiej po święte ryby. Musimy natychmiast wyruszyć, bo wkrótce zrobi się ciemno.

Znał człowieka grającego na bębnie w pobliskiej wiosce rybackiej. Moses, który był zbyt osłabiony, by podołać dalszym trudom, pozostał w wiosce szamana.

Dwóch miejscowych mężczyzn i kilkoro dzieci wyruszyło przodem. Długimi nożami, zwanymi *cutlass*, torowali drogę przez dżunglę do naprawdę malowniczo położonej maleńkiej wioski, stanowiącej skupisko okrągłych, glinianych chat. Była już noc, kiedy dostaliśmy do jedzenia posiłek składający się z tłuczonych bulw ignamu, suszonych ryb oraz gęstego, śluzowatego sosu z okry.

Uprzejmy bębniarz oddał nam do dyspozycji jedną ze swoich trzech chat. Na szerokim, skrzypiącym metalowym łóżku John i ja obróciliśmy się automatycznie ku sobie. Kumkały żaby, cykały świerszcze. Mój rozwód był czymś odległym. Bardzo odległym. Nagle miałam całkowitą pewność, że muszę zrobić wszystko, aby uratować swoje małżeństwo. Głupie auta zostaną sprzedane, tata po-

zbędzie się długów, John będzie szczęśliwy, dzieci może odzyskają ojca i nie będę już musiała sama przebijać się z nimi przez życie...

W afrykańską noc leżeliśmy gdzieś w chacie z gliny i słyszałam głos Johna, który opowiadał o swoich marzeniach - ożywionym handlu między Afryką a Europą. Znów był potężnym synem pokojowego plemienia w pełnym tajemnic, nieznanym mi świecie, który musiałam jeszcze odkryć. A potrafił tak pięknie opowiadać.

Poranek zaczął się od głośnego piania kogutów. Sny wyśnione w nocy ustąpiły miejsca niezliczonym ukąszeniom moskitów. Bębniarz z dumą postawił przed nami dwie metalowe miski z wodą. Miotając się i szukając pomocy, patrzyły z nich na mnie cztery prawie czarne ryby z długimi wąsami; ich długość wahała się od trzydziestu do osiemdziesięciu centymetrów. Musieliśmy zapłacić za nie majątek. Nie wszystko jednak można zmierzyć wartością wyrażoną w pieniądzech! Zdaniem bębniarza, żeby złowić te czarne ryby, trzeba było bardzo dużo szczęścia. Biedne stworzenia miały więc załatać moje małżeństwo - za cenę życia.

Tam, gdzie żyją ryby, jest również woda. Och, jakże marzyłam o kąpieli! W rzece-matce pluskały się wesoło dzieci, kobiety robiły pranie. Czy mogłam zanurzyć się w tych falach? John uznał, że to niedobry pomysł. Praczkę i dzieci specjalnie mu nie przeszkadzały. Ale mężczyźni z wioski, którzy wysiadali beczynnie, jedli orzeszki kola albo żuli kawałki drewna pako, aby ostrzyć w ten sposób zafarbowane od orzeszków zęby. Pewnie John nie zamierzał dawać darmowego spektaklu ze swą kąpiącą się *żoną-oibo* w roli głównej. Wolał przy taszczyć parę wiaderka wody za kępę zarośli i tam polewać mnie za pomocą małej miski, którą co rusz zanurzał w wiaderku. Najpierw jednak, mimo moich głośnych protestów, natarł mnie czarnym, oślizgłym mydłem, które jednak łagodziło swędzenie po ukąszeniach moskitów.

W drodze powrotnej musieliśmy nieść nie tylko ryby rozwiązujące kłopoty małżeńskie, ale także świeże wino palmowe, orzeszki kola - i jakieś wypatroszone martwe zwierzę o szarej, szpeciniastej sierści. Do dzisiaj nie jestem pewna, czy ten rarytas na ucztę nie był przypadkiem szczurem. John mówił o nim eufemistycznie *bushmeat*. Po długim marszu w upale z powrotem do domu *babalawo* cenne czarne ry-

by nie pływały już jednak tak żwawo w napełnionych świeżą wodą z rzeki miskach. Czy miały jeszcze dość kondycji, żeby nadawać się na atrybut do przepowiedni małżeńskiej?

Pierwsza para ryb miała złożyć życie w ofierze za Johna i moje małżeństwo, które dzięki afrykańskiej nocy nabrało pewnego rozpędu. Szaman rzucił zamaszystym ruchem obie ryby, spryskane dwoma łykami wi-na palmowego, na specjalnie w tym celu przygotowaną betonową płytę na podwórzu posiadłości. Przez wiele minut miotały się w agonii. *Babalawo* badał ich ułożenie. Ryby leżały obok siebie, ale nie w jednej linii, jedna z łbem odchylonym w stronę drugiej, druga spoglądała martwym okiem zupełnie gdzie indziej. Ojej! Na pewno nie była to dobra wróżba.

- Bogowie wybaczą ci, przodkowie nie - przetłumaczył John niezrozumiałe dla mnie słowa w języku joruba.

Następna para ryb musiała wylądować w pyle, tym razem za rdzewiejące auta w porcie. Na koniec leżały lekko skulone, w chwili śmierci nie zaszczycając się nawet spojrzeniem. *Babalawo* też wydawał się dosyć niezadowolony z rezultatu, w każdym razie sądząc po słowach Johna.

- Musimy poprosić przodków o pomoc.

Ci najwidoczniej tak byli rozgniewani tym, że zawiodłam jako żona, iż nie chcieli mnie wspierać w handlu autami. Nie pomogła afrykańska noc z seksem małżeńskim na skrzypiącym łóżku przy akompaniamencie kumkania żab i cykania świerszczy. Trzeba było użyć silniejszych środków: odprawić uroczystość ofiarną. Kobiety oczyściły z łusek ryby ofiarne i przygotowały z nich potrawy.

Tej nocy świętowano. Nawiasem mówiąc, bez Moseśa, którego miałam zobaczyć dopiero następnego dnia. Pewnie *babalawo* doszedł do wniosku, że Moses nie dość surowo ukarał żonę - czarownicę Efe - aby żyć dłużej. Żaden szaman nie mógł podejmować dalszych prób leczenia w imieniu bogów bądź przodków, jeśli Efe nie odpokutowała dostatecznie za swoje czary.

Na początku uroczystości ofiarnej John otrzymał od *babalawo* czarny, ręcznie szyty, napełniony lekarstwem amulet, który zawieszony został na szyi na skórzanym pasku. Oprócz tego szaman wręczył mu metalową puszkę z czarnym kremem. Do zastosowania w samochodach? W małżeństwie? John zapiął koszulę nad amuletem i milczał, kiedy go

o to zapytałam. Obecna była już cała wioska, kobiety zaczęły coś monotonnie śpiewać, bębniarz z kilkoma kolegami starał się, jak mógł.

Kapłan dał mi do picia jakiś gorzki napój, kobiety zaczęły z wolna tańczyć w świetle ogniska, niezauważalnie rytm bębnowy stał się szybszy, zostałam wciągnięta w krąg tańczących. Zakręciło mi się w głowie, musiałam usiąść. Szaman spuścił parę kropel krwi z kury do glinianego naczynia oraz pokropił ziemię.

Nie, Ilono, tutaj się nie odpuszcza! Tańcz! Krzyczą do mnie jakieś niezrozumiałe słowa. Tańcz! Szarpia mnie, podrywają na nogi. Tańczę. Wybijane werble szaleją w mojej głowie. Cała wioska kręci się wokół mnie. Widzę tylko białka oczu *babalawo*. Strumień płynu trafia mnie w twarz. Nawet go nie obcieram. Żałuj, Ilono, krzyczy John po niemiecku. Bluzkę mam poplamioną czymś czerwonym, moje gołe stopy bardziej ubijają ziemię niż tańczą.

Żałuj, Ilono, żałuj!

Widzę moją małą Janet, może dwuletnią, jak raczkuje mi pod nogami, kędzierzawe włosy związane czerwonymi wstążeczkami, obłędne warkoczki jakby były naelektryzowane. A pod jednym z krzaczków kuca Bobby, który się tam załatwia, czuć smród. Tańczę.

Żałuj, Ilono, żałuj!

Ojciec patrzy na mnie z wyrzutem. Ma na głowie filcowy kapeluszik, który skurczył się w upale. Żal mi go. Wydaje się taki bezradny. Janet woła: Mamo, zrobiłam sobie ziazia w palec! Ale to nie palec Janet krwawi, tylko mój własny.

Tańcz, Ilono. Żałuj, Ilono, żałuj!

Bobby jednak nadal kuca pod krzakiem. Muszę mu podetrzeć pupę. Bo cały się pobrudzi tą kupą. Moje pieniądze, Ilono, odzyskaj moje pieniądze. Pomysłże o mamie. Mamy sprzedać dom? Ilono, mąż i żona powinni być razem! Rozgniewałaś przodków.

Żałuj, Ilono, żałuj!

Kocham moją rodzinę! Janet, Bobby'ego! Trzymam na ręku Janet, tańczę z nią dookoła ogniska. Ależ to Bobby. Mój Boże, on potrafi bębnić. Oczywiście, przecież kupiłam mu w Londynie bębenek. Boże, dlaczego mam tak mało czasu dla dzieci! Nie, to nie Bobby. Bobby raczkuje w stronę ogniska. Niech go ktoś zabierze. Mamo!!!

Tańcz, Ilono! Żałuj, Ilono!

Tak, do cholery! Tak!! Żałuję!

Musisz powiedzieć: Jestem częścią mojej rodziny! Obiecuję, że będę należeć do mojej rodziny! Obiecay to, Ilono.

Trafia we mnie strumień płynu. I jeszcze jeden. Białka oczu *babalawo*. Pióra kury są przesiąknięte czymś czerwonym. Wszędzie krew. Osuwam się na ziemię.

Tak! Żałuję! Obiecuję, że będę należeć do mojej rodziny. Janet krzyczy: Mamo! Bobby podnosi zwisający łeb martwej kury. Kura bije skrzydłami.

Robi mi się czarno przed oczami.

Bolała mnie głowa. Bolały mnie plecy. Leżałam na ziemi na jakiejś macie. Chata. John leżał obok mnie.

- Daj mi wody - powiedziałam.

Wygramoliłam się przed chatę, gdzie wstał już nowy ranek. Zobaczyłam czarny popiół ogniska między kamieniami, na których poczerśniała już rozlana krew. Ból głowy ustąpił, ale prawie nie czułam nóg, które jakby były z waty. Wyglądałam okropnie, niczym ofiara minionej nocy. Co oni ze mną zrobili? Żadna pralnia na świecie nie wywabiałaby tych plam na mojej bluzce. Poczłapałam z powrotem do chaty. John spał, więc potrząsnęłam nim.

- Proszę, pomóż mi się umyć. A potem chodźmy stąd, proszę.

John znowu polewał mnie wodą z wiadra. Rzeka-matka nie toczyła tego ranka dość wody, żeby zmyć ze mnie całą ślinę, alkohol i krew. John podał mi długą, afrykańską suknię, którą włożyłam przez głowę.

Pożegnaliśmy się z *babalawo*. Spojrzał na mnie przenikliwie ciemnobrązowymi oczyma i powiedział głębokim głosem:

- Staniesz się kimś szczególnym. Ale musisz odzyskać równowagę.

Mówił czystą, bardzo wyraźną angielszczyzną. Nieźle mnie wodził za nos.

„*Babalawo* jest mądrym człowiekiem” - stwierdził kiedyś John. Może pluł trochę za dużo ten mędrzec. Poza tym swoje metody stosował dość samowolnie. Ale mądrzy ludzie miewają ponoć rozmaite dziwactwa.

Wioska szalonych kobiet

róbowalam więc odzyskać równowagę. Ponieważ chwiałam się na nogach, nie było to takie proste. A poza tym to wilgotne, upalne powietrze! John narzucał zbyt szybkie tempo. Mosesowi było znacznie trudniej niż mnie nadążyć za nim. W końcu osunął się na ziemię, bezgłośnie, jakby pod zbyt wielkim ciężarem. Cały był zlany potem. Wspólnie próbowaliśmy go podnieść, chwyciwszy pod pachy, bardziej go wlekliśmy, niż sam szedł. Po wyjściu spod dających cień roślin lasu tropikalnego byliśmy wystawieni na upał sawanny. Zieleń bliskiej jeszcze puszczy rozplynęła się jak w krzywym zwierciadle. Mokre, wymizerowane ciało Mosesa zawisło ciężko po mojej stronie. Jakaś dziura, nierówność terenu czy po prostu moja słabość? Ostre jak nóż ukłucie w kostce - skręciłam nogę. John nazbyt był zaskoczony, żeby utrzymać nas wszystkich. Obaj mężczyźni upadli na mnie, uderzyłam skronią w coś twardego. Przerwa w programie.

Zawsze nienawidziłam, kiedy mnie głaskano po policzkach. Ale John nie tylko mnie głaskał, on trzaskał mnie na odlew, jakby mieszkaliśmy we mnie zły afrykański duch. Zatrokana, błyszcząca od potu twarz Johna nade mną, na tle bezlitośnie błękitnego nieba. Szarpnięciem podniósł mnie z ziemi i mniej więcej posadził. Mój szwagier Moses leżał w żółtej trawie jak kupka nieszczęścia, prawa kostka zdążyła mi już spuchnąć. Ostrożnie pomacałam skroń, w której pulsowała krew.

- John, ja już nie mogę.
- Okay, okay. Sprowadzę pomoc.

Pomoc przyszła sama, bezgłośnie z pobliskiego lasu. Najpierw dwie, potem cztery, a w końcu stanęło nad nami pięć prawie zupełnie nagich, czarnych kobiet. Wydawały się nierealne, przypominały postacie ze snu. Wzięły na ramiona mnie i Moseśa, John maszerował za nami o własnych siłach. Zaniosły mnie do zwyczajnej ciemnej chaty z gliny i położyły na macie na ziemi, ktoś podał mi w chochli wody o lekko stęchłym smaku. Słyszałam, jak John na zewnątrz rozmawia z kobietami. Mówił w języku joruba. Nie rozumiałam ani słowa. W końcu wszedł do środka. Wyglądał na bardzo zmartwionego, ale starał się nie dać tego poznać po sobie.

- Ilono, muszę cię tu zostawić z Mosesem - zaczął. - Wrócę sam do Lagos.

- Nie możesz tego zrobić, John!

- Jutro będę z powrotem. Jutro rano. Obiecuję ci. Muszę sprawdzić jakieś auto.

- Gdzie je dostaniesz?

- Dostanę. Obiecuję. One nic ci nie zrobią. Nie martw się. Są wprawdzie... - Zrobił trochę zbyt długo przerwę. - Tubylcy są trochę inni, ale tutaj mieszkają tylko kobiety. Będą się troszczyć o ciebie.

Ostrożnie obmacałam spuchniętą kostkę. Najłżejsze dotknięcie sprawiało piekielny ból. Opadłam z powrotem na matę. Dobry Boże, co ja zrobiłam światu, że muszę tak pokutować! Niezdolna do ruchu leżałam w pustej chacie gdzieś w afrykańskiej dżungli.

Przez głowę przemknęło mi zdanie *babalawo*: Musisz odzyskać równowagę. No, oczywiście! To takie proste! Brakowało mi równowagi! W chwili, kiedy skręcałam nogę, stało się to aż nadto wyraźne. Śmiertelnie chory Moses formalnie wisiął na mnie. Ale czy nie był to też w jakimś sensie symbol stanu mojego ducha? Ze wszystkich stron wywierano na mnie naciski. Musiałam być wszystkim równocześnie: matką dwojga dzieci, żywicielką tych dzieci i dlatego jednocześnie menedżerką w pewnym szwedzkim koncernie, który oczekiwał ode mnie, że - leżąc tu, w dżungli - będę sprzedawać jego maszyny dla przemysłu drzewnego.

Nie dość na tym: obiecałam ojcu, że doprowadzę do końca sprzedaż aut. Tę akurat sprawę wymyślił sobie John. A gdzie byłam ja? *Ba-*

balowo miał rację: straciłam wewnętrzną równowagę. W tym stanie, zważywszy na to w dodatku, że John chciał mnie przekształcić z powrotem w swoją żonę, nie było mowy, żebym postawiła cokolwiek na nogi. Nawet siebie.

Obudziłam się, gdy ktoś ostrożnie uniósł moją głowę i przysunął mi chochlę z wodą do warg. Wypiłam chciwie. Przez otwór wejściowy zauważyłam, że na zewnątrz się ściemniło. Musiałam prześpać wiele godzin. W chacie paliły się, kopiąc, dwie pochodnie. Mimo tego ciepłego światła wydawało mi się, że kobieta, która dała mi pić, nie jest Murzynką. Miała brązowy, a raczej brązowawy kolor skóry i bardzo jasne, niebieskie oczy, którymi spokojnie mnie mierzyła.

- Lepiej? - zapytała mnie po niemiecku; w kącikach jej wąskich ust pojawił się niepewny uśmiech, a przy okazji duża luka między zębami.

- Tak, dziękuję - odpowiedziałam mechanicznie, nie zastanawiając się nad tym, skąd mówiąca po niemiecku kobieta znalazła się w dżungli.

- Obandażowałam pani kostkę, kiedy pani spała. Nie wyglądała dobrze - dodała miękko, ciemnym głosem i znów uśmiechnęła się niepewnie. - Jest pani głodna?

- Chyba tak - mruknęłam i podniosłam się na łokciach, by usiąść.

Prawe podudzie owinięte było jakimiś zielonymi liśćmi aż po palce u nóg, ale w dotyku było przyjemnie chłodne.

- Nie mamy zbyt dużego wyboru, jeśli chodzi o jedzenie. Ale smaczne jest *dodo* z ignamem. Spróbuj pani?

- Z największą ochotą - odparłam trochę egzaltowanie, nie zastanawiając się nad doborem słów.

- Przyniosę jedzenie - oświadczyła moja wybawczyni i uśmiechnęła się nieśmiało. W jej zachowaniu nic nie wskazywało jednak na to, żeby za słowami miały pójść czyny. Uśmiechała się tylko i patrzyła na mnie.

Coś tutaj się nie zgadzało...

- Naprawdę byłoby super, gdybym mogła coś zjeść - próbowałam jej przypomnieć o tym, co przed chwilą sama powiedziała.

- Oczywiście - potwierdziła z uśmiechem.

Tym razem ostrożnie wstała i powoli wyszła. Mój mózg zaczął stopniowo funkcjonować, nie podsuwał jednak żadnego wyjaśnienia, skąd pojawiła się kobieta, która nie była biała ani czarna, tylko brązowa. I w dodatku mówiła bezbłędnie po niemiecku.

Upłynęła chyba cała wieczność, zanim nieznajoma wróciła i postawiła na ziemi w pewnej odległości ode mnie drewnianą misę z pieczonymi bananami, zwanymi *dodo*, oraz ubijanymi bulwami ignamu. Ukłoniła się, położyła dłonie płasko na ziemi i wymruczała jakieś niezrozumiałe słowa, po czym ponownie sięgnęła po jedzenie i podała mi z tym samym nieśmiałym uśmiechem.

- Smacznego.

Przyglądała się, jak błyskawicznie opróżniłam talerz. Uśmiechała się w dalszym ciągu. Poczułam się jakoś dziwnie. Oczywiście nie oczekiwałam od napotkanego w dżungli anioła o brązowej skórze idealnego zachowania w stylu europejskim. Ktoś, kto żył tutaj, musiał być zupełnym indywidualistą.

-Prawdopodobnie zdziwiła się pani, spotykając mnie tutaj - zagadnęła z nieśmiałym uśmiechem biała kobieta o brązowej skórze.

- Mówiąc szczerze, tak. Na pewno trzeba zrezygnować z niektórych rzeczy...

-Zrezygnować? O nie, mam wszystko, czego potrzebuję. - Uśmiechnęła się znowu. -Aleja niewiele potrzebuję. Miejsca do spania i czegoś do jedzenia.

- Kiedy zjawiłam się tu dziś w południe, były jeszcze inne kobiety. Wszystkie nagie z... nie wiem... wyglądały jak upudrowane. Z piórami we włosach.

Starałam się nadać rozmowie formę niewymuszanej pogawędki. Również moja rozmówczyni była nieubrana, ale brązowy pył pokrywający jej ciało sprawiał, że nie wydawała się naga.

Naturalnie zauważyła moje spojrzenie.

- Ziemia jest moim ubraniem - oświadczyła.

Nie mogłam się powstrzymać, miałam to pytanie na końcu języka:

- Dlaczego pani tak żyje?

Ponownie uśmiechnęła się nieśmiało, nie była jednak obrażona. Jej uśmiech wydawał się raczej wyrozumiały.

- Nie umiałabym żyć inaczej. Zanim tu przyjechałam, byłam bardzo chora. Teraz jest lepiej. Nie mogę więcej żądać. - Zrobiła przerwę. - Była pani u *babalawo*, prawda? I co, pomógł pani?

Wykombinowałam, że musiała być pacjentką szamana, w przeciwnym razie jej pytanie nie miałoby sensu. Nie odpowiedziałam więc otwarcie.

- Na pewno bardzo zbił mnie z tropu. Sądzę, że powinnam być lepiej przygotowana. Przyszłam tu z kimś innym raczej z ciekawości. John tego chciał.

- On chce, żeby pani zmieniła zdanie. To rozumiały. *Babalawo* sprawił, że zaczęła się pani zastanawiać, czy postępuje pani słusznie. Ale on nie może pani tego powiedzieć. Odpowiedź musi pani znaleźć sama. Ta odpowiedź jest w pani. - Kiedy mówiła, wzięła mnie za rękę, odwróciła dłonie do góry i przyglądała się im w migotliwym świetle pochodni. - Ma pani małe dłonie. I jakie miękkie. Pracuje pani głową, od razu to widać. - Popatrzyła mi w oczy. Wydawało mi się, jakby jej oczy dotykały mojej skóry. - Martwi się pani. Za wiele chcą od pani. A pani nie umie mówić „nie”. To niebezpieczne, to panią wykańcza.

Roześmiałam się mimo woli, zmieszana faktem, że ta naga, biała kobieta o brązowej skórze rozmawia ze mną tak otwarcie. Postanowiłam odwrócić sytuację. Nie zamierzałam tak łatwo odsłaniać swojego wnętrza przed obcą osobą. Mimo że miała rację.

- Proszę, niech pani opowie coś o sobie. Interesowałoby mnie, dlaczego pani żyje tutaj. Na co pani chorowała, zanim przyszła pani do *babalawo* i postanowiła tutaj zostać? - zapytałam.

W dalszym ciągu patrzyła na mnie, ale jej wzrok wydawał się przynikać mi na wylot. W końcu zaczęła mówić, już bez uśmiechu:

- Czy mówi pani coś nazwa Gabersee? Byłam tam prawie pięć lat.

Przeszył mnie dreszcz. Gabersee to nazwa kliniki psychiatrycznej w pobliżu Wasserburga pod Monachium. To wyjaśniało wszystko. Siedziałam w środku dżungli razem z wariatką!

- Bardzo męczący okres - ciągnęła. - Wyłącznie medykamenty. Prawie nie było czasu na terapię. Tak nie można pomagać ludziom. Rozchorowałam się na dobre. Z tego powodu nie mogłam wykonywać tego zawodu.

- Jak to? Jakiego zawodu? Myślałam...

- Myślała pani, że jestem wariatką. Wiem. Może zresztą jestem. Tak, to nawet prawdopodobne. No bo kto biega po dżungli nago?

Podniosła się i podeszła powoli do ciemnego kąta chaty. Usłyszałam szelest papierów, a niewiele później trzymałam w ręku niemiecki paszport, wystawiony przez referat spraw wewnętrznych w Monachium na nazwisko doktor Julii Schafer. Kobieta na zdjęciu paszportowym wykazywała bardzo odległe podobieństwo do mojej rozmówczyni.

- Tak kiedyś wyglądałam - oświadczyła. - Nie pokazałam pani tego zdjęcia po to, żeby nie uważała mnie pani za wariatkę. Ma ono pani tylko uzmysłwić drogę, jaką przeszłam, zanim znalazłam się tutaj.

- Nie uważam pani za wariatkę, Julio.

- Nie Julia. Tutaj nazywam się Oluwafemi. To słowa z językajoruba, które znaczą „Bóg mnie kocha”. Bo tego właśnie musiałam się nauczyć: kochać samą siebie. Żeby Bóg mógł mnie kochać.

- Jest pani lekarką?

Pomyślałam o swojej nodze i instynktownie dotknęłam zielonego opatrunku. Kostka mnie już nie bolała.

- Ma pani na myśli te liście na nodze? Ach, to potrafi każdy, kto zna się na medycynie naturalnej. Nie ma też w tym żadnych czarów. - Ostrożnie odwinęła opatrunek z mojej białej nogi. - Niech pani spróbuje wstać. Jeśli to nie złamanie, co właściwie przyjmuję z założenia, kostka powinna być już zdrowa.

Podniosłam się ostrożnie.

- Niech pani mocno stanie - zachęciła mnie.

Bóle faktycznie zniknęły.

- To cudowne. Bo koniecznie muszę wyjść na chwilę - powiedziałam.

- Tak, oczywiście - odparła, ale nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby wskazać mi drogę.

- Hm, a gdzie... gdzie mogłabym...?

- Pokażę pani.

Wzięła jedną z pochodni i ruszyła przodem do „toalety”, czyli ukrytej za wysokimi paprociami dziury w ziemi. Z głębi dżungli dobiegały jakieś szelesty. Wróciłam czym prędzej na mały plac otoczony czterema, pięcioma chatami. Trzy lub cztery mieszkanki wioski

siedziały wokół ogniska i śmiejąc się, rozmawiały. Z uwagi na słabe światło trudno było ocenić ich wiek. Oluwafemi zaproponowała mi miejsce obok siebie. Paliła, obok niej leżała paczka marlboro.

- Pani mąż mi podarował - wyjaśniła.

John właściwie palił rzadko. Nie wiedziałam nawet, że miał przy sobie marlboro.

Ledwo usiadłam, poczułam, że za mną coś się porusza. Odwróciłam się i w odległości może trzech kroków ode mnie zobaczyłam jedną z upudrowanych na biało kobiet. Zbliżyła się do mnie z wyciągniętymi rękami. Wystraszona, zerwałam się na równe nogi.

- Proszę usiąść. Funke nic pani nie zrobi. Jest nieszkodliwa.

- *Touch hair, ma'am* - powiedziała biała Murzynka, która nazywała się Funke.

Zabawę tę znałam już od dzieci w domu Mosesa, które chciały dotykać moich miękkich, rudawych włosów. Ale Funke nie była już dzieckiem, tylko grubą, nagą kobietą. Tyle że z twarzy o niewinnym spojrzeniu przypominała trzyletnią dziewczynkę. Ostrożnie dotknęła moich włosów, mrużąc bez przerwy: „*How go de go?*”, co znaczyło mniej więcej „*Jiow are you?*”, czyli „Jak się masz?”.

Jeśli w wypadku Julii-Oluwafemi może trochę zbyt szybko pomyślałam, że mam do czynienia z wariatką, to gdy chodziło o Funke, byłam tego pewna. Dlaczego te kobiety żyły tutaj, w dżungli? Bo zostały odepchnięte? A może Julia-Oluwafemi sama została ich terapeutką?

Zaczęła opowiadać.

- Byłam psycholożką. No, w każdym razie myślałam, że nią jestem. Ale stanowiłam tylko narzędzie. Wszystko we mnie broniło się przed takim życiem. Byłam wtedy mężatką. Mój mąż dostał propozycję wyjazdu do Lagos jako kierownik Instytutu Goethego. To uratowało mi życie. Byłam bowiem bliska obłądki. Całkiem wyraźnie potrafiłam rozpoznać u siebie pewne symptomy. Ale najgorsze było poczucie, że zawiodłam. Chciałam pomagać, chciałam leczyć ludzi. Nie tego jednak ode mnie oczekiwano.

Julia-Oluwafemi, kobieta wędrująca między kulturami, która uciekła przed nadchodzącą epoką high-techu, aby żyć wśród nagusów, popatrzyła w zamyśleniu w ogień.

- Proszę choćby wziąć Funke. Widzi pani ciało prawie sześćdziesięcioletniej kobiety. Ale w jej oczach odkrywa pani trzyletnie dziecko. Jeśli zajmie się nią niemiecka psychiatria, na diagnozę nie trzeba będzie długo czekać: schizofrenia. Podkreślam, że ona tylko wygląda jak ktoś inny, właśnie jak starzejąca się kobieta. A jest dzieckiem. Nie znam historii jej choroby. Nikt nie umiał mi nic opowiedzieć. Funke została przepędzona ze swojej wioski jako obłąkana. I co z tego, że nigdy nie poznam jej historii? Biorę ją po prostu taką, jaka jest - dziecko, które dopiero co nauczyło się zrozumiale mówić. I Funke jest szczęśliwa. Bez psychotropów wyleczyłam więc człowieka.

- Wyleczyła pani dziecko. Dziecko w starzejącym się ciele kobiety.

- Słusznie. Teraz pani rozumiała, w czym rzecz. Ona tylko wygląda jak ktoś, kim nie jest.

Wstała, wrzuciła papierosa w ogień i zaczęła wykonywać lekkie kroki wokół ogniska, jasne płomienie rzucały przy tym na ziemię jej zniekształcony cień. Kolejno podnosiły się pozostałe kobiety, nawet Funke naobmacywała się moich włosów wystarczająco długo, aby przyłączyć się do innych. Bez żadnego wtóru bębna nagie kobiety tańczyły wokół ogniska, trzymając się za ręce. Jakby słyszały własną melodię i swój wewnętrzny rytm.

Przyglądałam im się. Sześć płaszących cieni na tle ogniska. Sześć ciemnych sylwetek. Teraz niełatwo już było rozróżnić, która z nich jest doktor Julią Schafer z Monachium. „Ona tylko wygląda jak ktoś, kim nie jest”, tak powiedziała. Z pewnością odnosiło się to również do niej samej. Może stąd ta brązowa ziemia na jej ciele. Nie ośmieliłam się jej o to zapytać. Utrzymanie równowagi życiowej - wąska grań między obłędem a rzeczywistością.

Po chwili otworzył się łańcuch tańczących i kobiety chwyciły mnie za ręce. Byłam jedną z nich. W kręgu zwariowanych kobiet w środku dżungli.

- To nie przypadek, że mojego męża przeniesiono do Lagos. Nie było też przypadkiem, że skręciłaś sobie kostkę tu, w pobliżu naszej wioski - powiedziała później Julia-Oluwafemi, kiedy siedziałyśmy w jej ubogiej chacie. - Potykamy się podczas wędrówki przez życie, przeważnie nieświadomie, ale w pewnym momencie stajemy z powrotem

na nogach. Lubię przyglądać się Afrykankom, kiedy noszą na głowie ciężkie kosze. Nigdy nie tracą równowagi. Zawsze ją zachowują. Tego nauczyłam się tutaj: odnajdywania wewnętrznej równowagi.

- Co się stało z twoim małżeństwem?

Sądziłam, że to niemożliwe, aby jej mąż jako kierownik Instytutu Goethego, wizytówki kultury niemieckiej za granicą, chciał być kojarzony z nagą kobietą z dżungli. Ale Oluwafemi nie odpowiedziała mi na to pytanie. Rok później, kiedy byłam na przyjęciu w niemieckiej ambasadzie na Victoria Island w Lagos, mówiono, że doktor Schafer jest od roku w stanie spoczynku. Pytano mnie, czy go znam. Powiedziałam, że poznałam jego żonę. W odpowiedzi usłyszałam od zaskoczonych osób, że nic nie wiedziano o tym, aby doktor Schafer był żonaty.

Tej nocy spałam źle, miałam jakiś zagmatwany sen. Następnego ranka, podczas pożegnalnego śniadania przy ognisku, Julia-Oluwafemi zapytała mnie:

- Śniło ci się, Ilono, że twój ojciec jest ciężko chory, pamiętasz?

- Skąd o tym wiesz?

- Mówiłaś przez sen. Prawie bez ustanku. Zresztą ze mną na początku też tak było.

Faktycznie, powoli wracała pamięć, i naprawdę śnił mi się tata. Przerażający sen, pewnie pod wpływem wielu przeżyć. W tym śnie tata, jak ja w rzeczywistości przed dziesięcioma dniami, balansował nad rowami z gnojówką w pobliżu domu Mosesa. Okazał się jeszcze większym niezdarą niż ja i wpadł do gnojówki głową wprzód. Odwiozła go karetka pogotowia, bo nie mógł odzyskać oddechu. A ja nie miałam samochodu, żeby pojechać za ambulansem. Biegłam więc za nim i skręcałam sobie nogę. Wtedy nadjechał samochodem terenowym John z jakąś mocno uszminkowaną, tęgawą Murzynką. Zatrzymali się i pozwolili mi usiąść z tyłu. Ale zamiast do szpitala, zawieźli mnie na cmentarz. John powiedział: „Moses umarł”.

Kiedy opowiedziałam swój sen, Oluwafemi ośwadczyła po prostu:

- Powinnaś zadzwonić do Niemiec, Ilono.

Funke o dziecięcej twarzy podbiegła zdyszana do ogniska, wymachiwała ramionami i wykrzykiwała ochryple:

- *Kekeh! Kekeh!*

- Mówi, że nadjeżdża auto - przetłumaczyła Oluwafemi. Podniosła się i weszła do swojej chaty, która stała w pobliżu. Kiedy z niej wyszła, ku mojemu zdziwieniu miała biodra obwiązane wrapperem. Uśmiechnęła się nieśmiało i powiedziała: - Jeśli twój sen ma się sprawdzić, to nadjeżdża właśnie twój mąż i znajduje się w towarzystwie wymalowanej, grubej kobiety.

W ten sposób poznałam w dżungli u zwariowanych kobiet Mary. Szacowałam jej wiek na dwadzieścia kilka lat. Może była starsza, ale kto wie, czy nie młodsza. W każdym razie była bardzo... no cóż, właśnie okrągła. Typ afrykańskiej „mammy”. Są kobiety, które lubię od pierwszego wejrzenia. Ona do nich nie należała. Było w niej coś zgniłego. Ciągłe uśmiechała się od ucha do ucha, a jej palce były obładowane złotą biżuterią tak samo jak szeroka szyja. W Nigerii ludzie lubią pokazywać, kiedy mają pieniądze. Zgodnie z tym ta Mary musiała mieć krocie. Ja zaś byłam blada, zakurzona i spłukana. Miałam poczucie niższości. Kiedy John wyniósł brata z jednej z chat - bo Moses nie mógł już chodzić - pożegnałam się z Oluwafemi długim uściskiem.

- Na twoich barkach spoczywa zbyt wiele ciężarów, Ilono - powiedziała mi na pożegnanie. - Zrzuć je. Wtedy odzyskasz równowagę. - Popatrzyła mi w oczy. - I nie zdradź nikomu mojej tajemnicy.

Kiedy siedem miesięcy później razem z siostrą Moniką w drodze do miejsca kultu Jorubów chciałam odwiedzić Oluwafemi, nie zastałam jej już. Wioska zwariowanych kobiet zniknęła, jakby była jedynie wytworem mej wyobraźni.

Johnowi udało się jakoś przejechać nissanem patroliem przez sawannę i podjechać blisko wioski szalonych kobiet. Przy włączonej klimatyzacji wróciliśmy jakoś na trasę szybkiego ruchu, a potem do Lagos. John i gruba Mary siedzieli z przodu, ja ze szwagrem Mosesem z tyłu. Jedno pytanie tłuło mi się po głowie: Skąd tak nagle wzięło się to auto i ta kobieta? Przez cały czas musieliśmy się przecieć tłuc taksówkami. A teraz John tak po prostu pojawił się razem z tą kobietą!

- Mary natychmiast była gotowa mi pomóc - odparł.

„Mi pomóc”. Pochwalona odwróciła się do mnie, pokazując w uśmiechu śnieżnobiałe ząbki; między siekaczami widniała szero-

ka luka. Wśród nigeryjskich kobiet taka luka uchodzi za oznakę szczególnej piękności. Na Boga, ta kobieta wydawała mi się dziwnie znajoma...

Właśnie minęło południe, kiedy dotarliśmy do domu Mosesa w Agege. John natychmiast wysłał chłopców po anglikańskiego pastora. A więc teraz, kiedy zawiedli wszyscy znani Johnowi *babalawo*, musiał włączyć się Kościół białych ludzi. Zawsze fascynował mnie ten nigeryjski slalom między religiami.

John wziął mnie na bok.

- Muszę zawieźć Mosesa do jego wioski.

- Nie możesz mu tego zrobić! - zawołałam. - W tym stanie nie wolno go nigdzie wozić!

- Prosił mnie o to - odparł John. - Chce umrzeć w wiosce naszych przodków. Jest najstarszym mężczyzną w rodzinie i musi być pochowany w domu rodzinnym. Tego wymaga nasza wiara.

A ja miałabym czekać, dopóki John kiedyś nie pojawi się znowu? Postanowiłam z nim jechać. Także po to, aby być dla niego ciągłym przypomnieniem, że oprócz tamtego świata jest również ten świat. Z zardzewiałymi autami i żoną, która musi wrócić do Niemiec. Wzięliśmy z firmy ogrodniczej pikapa, ów pojazd wszechstronnego zastosowania. Zawinięty w koce i chusty, umierający Moses siedział podczas swej ostatniej ziemskiej podróży wciśnięty między Johna za kierownicą i mnie.

Nie miałam pojęcia, w co się wdałam! Pierwsza część trasy prowadziła autostradą na wschód w kierunku Benin City. Nagle bez ostrzeżenia wyrósł przed nami leżący w poprzek dwupasmowej jezdni mikrobus; wcześniej najwidoczniej ominął przewróconą ciężarówkę i sam się przewrócił. John nie zdążył w porę zatrzymać pikapu, który miał starte hamulce, i zjechał na nieutwardzone pobocze. Huknęło, pikap obrócił się dookoła własnej osi, a my powpadaliśmy na siebie. Wybuchły lamenty: ludzie w mikrobusie sądzili, że Moses jest tak blisko śmierci z powodu wypadku. Wskutek wymijającego manewru pękła opona, którą należało załatać.

Dalsza jazda po naszej stronie autostrady była niemożliwa.

- Trzeba się przenieść na drugą stronę - stwierdził John.

Ruch na autostradzie był wprawdzie niewielki, ale mieliśmy jechać pod prąd? Z umierającym w samochodzie? Nie był to raczej dobry omen... Pikap został przetoczony na przeciwną stronę jezdni. I pojechaliśmy dalej. Nikt nie oburzał się na nas. Raz tylko zatrafiło inne auto. Na pewno siedział w nim Niemiec...

Z Benin City John zabrał swoją najstarszą siostrę, okrągłą Elisabeth, która usadowiła się na platformie wraz z całą górą toreb. Pojechaliśmy jeszcze kawałek autostradą, potem poruszaliśmy się po wyboistych, coraz węższych drogach, które tylko gdzieś tam były asfaltowane i wiły się przez pagórkowatą okolicę wśród gęstych lasów tropikalnych. To był skarbiec tego hojnie obdarzonego przez naturę kraju: tutaj wydobywano ropę i pozyskiwano drewno. Bardzo rzadko otwierał się widok na rozległy krajobraz z niezliczonymi odcieniami zieleni. Wśród kipiącej bujnym życiem przyrody wznosiły się smukłe szyby wiertnicze, z których biły w niebo wielometrowe płomienie, umożliwiając spalanie nadmiaru gazu.

Obładowane pniami drzew, wielkie ciężarówki mijały nas z dużą szybkością, co rusz wymuszając na Johnie pierwszeństwo przejazdu. Obowiązywało prawo silniejszego. Wzdłuż drogi ciągnęły się wioseczki z maleńkimi straganami i krzywymi chatami w opłakanym stanie. Już dawno złożyłam mapę: te miejscowości, wszystkie bezimiennie, i tak nie były na niej uwzględnione.

Późnym popołudniem dotarliśmy do miasta o nazwie Ughelli. Ostatnia większa miejscowość przed definitywnym zanurzeniem się w głuchej prowincji. Stojące ciasno jedna przy drugiej, niskie gliniane chaty miały rdzawobrazowe blaszane dachy, daleko wystające, żeby deszcz nie rozmiękczył murów. Infrastruktura miast już wtedy nie nadążała za ich rozrostem. Było zbyt mało ulic, a te istniejące były za wąskie, zapchane ludźmi, autami, rowerami i zwierzętami. Ulica stanowiła równocześnie targ i warsztat samochodowy, żłobek dla dzieci i pastwisko dla kóz.

John prowadził nerwowo. Nagle wyrósł przed nami autobus pełen ludzi. John skierował pikapa w bok, lecz mimo to uderzył w autobus. Krzyki, niekończąca się gadanina, jakiś mężczyzna z zakrwawioną głową wskazał naszego pikapa. Mimo to John chciał odjechać, ludzie

zaczęli jednak walić pięściami w wóz, otworzyli drzwi i wyciągnęli Johna. Policjant w mundurze w kolorze błota krzyknął coś na Johna.

- Ilono, zostaw mi pieniądze. I jedź dalej! Ja dojadę później! - zawołał do mnie John. - Elisabeth zna drogę!

I w następnej chwili zniknął mi z oczu porwany przez tłum. Stwierdziłam, że siedzę za olbrzymią, czarną kierownicą, opiera się o mnie półżywy człowiek, a obok niego kobieta, którą ledwie rozumiałam; dzieci na zewnątrz wrzeszczały jak zawsze: *oibo, oibol*

Zagrzechotała skrzynia biegów, wielka jak koło młyńskie kierownica dała się obrócić z najwyższym trudem. Pikap ruszył z miejsca i podskakując na wybojach, posuwał się zrywami przez zakorkowane ulice. Jechałam oczywiście znacznie wolniej niż John, lecz dla Elisabeth wciąż jeszcze zbyt szybko. Krzyczała „Stop-stop-stop!” zawsze dopiero wtedy, gdy minęliśmy już skrzyżowanie, na którym mieliśmy skręcić. Wąskie drogi, rowy po obu stronach. Pociłam się, kierując ociężałym pojazdem. Moses już od dłuższej chwili wydawał się martwą kukłą ubraną w jego rzeczy, a jego siostra bez przerwy mruzczała coś do siebie, jakby się modliła.

A potem huknęło znowu. Znałam ten odgłos, zabrzmiał jak strzał. Kolejna opona. Tym razem z tyłu. Mieliśmy wprawdzie oponę zapasową, ale nią była teraz ta przebita na autostradzie. Pikap miał napęd na tylne koła, nie można więc było jechać dalej. Spojrzałam na zegarek - dwie godziny do zapadnięcia ciemności. Rozpaczliwie próbowałam wydobyć z Elisabeth, jak daleko jeszcze do celu. Mówiła dużo, lamentując, płacząc, a ja nie rozumiałam nic. Mimo to podejmowałam kolejne próby dowiedzenia się od niej, czy moglibyśmy tam dotrzeć pieszo.

Kiedy nadeszła grupa kobiet, które wyprzedziliśmy pół godziny wcześniej, znalazłam dziewczynę rozumiejącą mój angielski. Tak, idą do Ivori-Irri, powiedziała. To była wioska rodzinna Mosesa i Johna! Wspólnie zrobiliśmy z chust nosze, na których położyliśmy nieprzytomnego Mosesa.

Ta dziwna procesja dotarła do Ivori-Irri tuż po zapadnięciu ciemności. Bolał mnie każdy mięsień i każda kość. Ludzie w wiosce zaraz otoczyli nas kołem, ubolewali nad Mosesem, gadali z Elisabeth. Dzieci dotykały mojego ubrania i włosów. Poczłapałam razem z innymi do

domu z jednym tylko pomieszczeniem, gdzie położyliśmy Mosesa na ziemi. Nasze cienie podrygiwały w świetle lamp kerozynowych.

I nagle wybuchł ochrypły, jazgotliwy lament - Moses wydał ostatnie tchnienie. Stałam pośród wszystkich tych ludzi i patrzyłam na leżącego na ziemi Mosesa, który w półotwartych oczach miał już tylko pustkę. On jest już spokojny - tylko to przyszło mi na myśl. Mną, która miałam za sobą prawdziwą odyseję, nikt się nie interesował. Usiadłam w jakimś kącie na podłodze, spragniona i głodna. Byłam wykończona. A potem odpłynęłam. Tak po prostu.

Kiedy odzyskałam przytomność, pierwsze promienie porannego słońca wpadały przez szczelinę między niedomkniętymi okiennicami. Potrzebowałam paru minut, żeby odzyskać orientację. Jak przez mgłę widziałam jakąś postać wymachującą kilofem i wbijającą go w twarzą, glinianą podłogę chaty. Przetarłam oczy, usuwając resztki snu, i stwierdziłam, że to kobieta w zaawansowanej ciąży. Trzy małe dziewczynki nieporadnie próbowały odgarniać wykruszoną ziemię łopatami. Trochę z boku, jakby nie obchodziła ich ciężka praca ostrzyżonej do skóry ciężarnej, siedziały, lamentując, inne kobiety.

Podniosłam się powoli, jakbym znajdowała się w stanie pośrednim między snem a rzeczywistością. Ciężarna z trzema dziewczynkami. Czyżby to...? Tak, to była Efe. Czarownica, która otruła swego niewiernego męża, Mosesa. Tak więc wyglądała jej kara: ostrzyżona do skóry, w ciąży, w chacie męża kopała grób dla niego. Zwłoki Mosesa, owinięte w obszyty koronką, biały kaftan, *agbadę*, leżały w kącie domu pomiędzy płaczącymi kobietami.

Nie wiem, czy Efe rzeczywiście otruła męża. Później, kiedy zaczęłam się zajmować medycyną, odkryłam, że Moses zmarł prawdopodobnie na niedrożność jelit. Potworna śmierć, jelito pęka, zatruwa organizm. Czy było to dzieło czarownicy? Efe w każdym razie traktowano jak czarownicę. Wieczorem, kiedy już wykopała na tyle duży dół, że nie było jej z niego widać, kobiety wyprowadziły ją z domu i nacięły jej nożem blizny na ciele, a w otwarte rany wcierały chili. Rzekoma czarownica krzyczała, jej córki, płacząc rozpaczliwie, wieszały się matki. Na koniec głośnymi wrzaskami wypędzono Efe do pobliskiego lasu.

Tymczasem dotarł do wioski John. Krzyknęłam na niego, że nie powinien dopuścić do wysłania bratowej do lasu. Ja miałam jednak tylko jeden głos, a wioska setki. I te głosy były donośniejsze od mojego. John nie pozwolił mi pójść za Efe.

- Jeśli teraz pójdziesz za nią, to wszyscy uznają, że ty też jesteś czarownicą.

Chciałam natychmiast wrócić do Lagos. Było mi wszystko jedno, czyje uczucia w ten sposób obrażę. Tutaj i tak mogłam tylko robić wszystko źle. Jeśli nawet Efe ponosiła winę za los Mosesa - co winne było nienarodzone dziecko?

Tej nocy zwłoki Mosesa zostały pogrzebane w ziemi jego dawnego domu. Właściwa uroczystość żałobna miała się odbyć dopiero po powrocie Johna do Ivori-Irri z dużą sumą pieniędzy, gdy odwiezie mnie do Lagos.

Przy pożegnaniu matka Johna wzięła mnie w objęcia i podarowała mi parę połyskujących srebrzyście obręczy ze starego afrykańskiego złota. Z wdzięczności za to, że przyprowadziłam do domu jej najstarszego syna. Według mojego systemu wartości nie zasłużyłam na tę biżuterię. Pomagając sprowadzić Mosesa do wioski rodzinnej - tak myślałam - przyczyniłam się też pośrednio do dręczenia Efe.

John uległ moim naciskom. Jakoś udało mu się przygotować pikapą do jazdy. O świcie opuściliśmy Ivori-Irri. Po przejechaniu kilku kilometrów zobaczyliśmy na skraju drogi jakieś zawiniątko - to był człowiek. Poznałam po materiale sukienki. Efe! John chciał po prostu jechać dalej, ale zaciągnęłam hamulec ręczny i wyskoczyłam z wozu. Efe wiła się z bólu w kurzu, z obłędem w oczach, jęcząc i śliniąc się. Jej twarz i usta były pomazane krwią. W ramionach trzymała nagie niemowlę, jeszcze w białej mazi płodowej, całe powalane ciemnoczerwoną krwią. Przy dziecku wisiała długa pępowina - z konieczności Efe musiała ją odgryźć sama. Wzięłam od niej maleństwo i zawiętałam w swój czysty T-shirt. John patrzył na mnie zaskoczony.

-Zawieziemy ją teraz do szpitala! - krzyknęłam na niego. - Inaczej się wykrwawi. Nie możesz do tego dopuścić!

We dwoje przenieśliśmy Efe na platformę pikapu. Usiadłam obok niej i podałam jej niemowlę. Odstawiliśmy Efe do małego szpitala

blisko Ughelli. Warunki, w jakich się urodził syn Efe, spowodowały ciężkie upośledzenie. Jeszcze w naszej obecności dostał napadu drgawek. Kilka miesięcy później John zabrał chłopczyka do Lagos i oddał na wychowanie Rhodzie. Dziecko zmarło w wieku dwóch lat podczas jednego z takich ataków.

Nie zamieniłam z Efe ani słowa. Ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że nie jest to nasze ostatnie spotkanie.

Kiedy dotarliśmy w nocy do Lagos i do domu Moseesa, zastałam tam znowu krągłą Mary. Rozmawiała z grupą kobiet przy miejscu do gotowania na wolnym powietrzu. Wydawała się dobrze znać wszystkie. John przejawiał obcą mu dotąd aktywność: zaczął pakować do toreb swoje i moje rzeczy. Mimochodem wyjaśnił mi, że przenosimy się do domu Mary. Bo Mary ma razem z bratem warsztat samochodowy przy wiecznie zakorkowanej autostradzie Lagos-Agege, łączącej lotnisko i city.

I John, nagle chłodny pragmatyk, oświadczył:

- Auta muszą być naprawione. Mamy to robić tutaj?

Wszystko to wydawało mi się co najmniej dziwne. Czyżby Mary była... Ale przecież nie dalej, jak parę dni temu posklejaliśmy z nie-małym trudem nasze małżeństwo! John wypierał się jakichkolwiek intymnych kontaktów z Mary. Twierdził, że to jego kuzynka...

- Chyba nie obiecałeś jej za to samochodu?

- Jednego peugeota 504 - odpowiedział i jakby nigdy nic pakował dalej.

W ten sposób z dziesięciu pozostało jeszcze całe sześć aut na spłacenie długów ojca. Moich własnych długów wolałam nawet nie liczyć.

John zaczął zbierać wszelkie pieniądze, jakie były w domu. Choć Rhoda piekliła się okropnie, musiała oddać pieniądze wręczone przez gości podczas chrzcina dziecka - żeby było na auta. Pojechaliśmy do warsztatu Mary, czyli baraku, na którym ktoś wymalował na niebiesko od strony szosy wielkimi kulfonami: „car repair”. Na po-

dwórzcu stała szopka, peugeot postawiony na kamieniach, pod nim dwie męskie nogi. Należały one do Nathana, osiemnastoletniego brata kuzynki Mary.

W cieniu baraku siedziało trzech mężczyzn. Czekali na nas. I - o dziwo! - mieli przy sobie pieniądze. Zadatek za auta, które następnego dnia zamierzaliśmy odebrać z cła. To Mary, bynajmniej nie John, wzięła od nich pieniądze zwinnymi palcami i ukryła wewnątrz swojego wrappera. Przyglądałam się temu bez słowa.

Tego dnia miałam ogromne trudności z odzyskaniem mowy. W baraku „car repair” była dokładnie jedna sypialnia. Z jednym łóżkiem. John i ja dostaliśmy łóżko, Mary rozłożyła przed nim na ziemi swoją matę i położyła się, jakby to było oczywiste. Jakby należała do nas.

Daremnie próbując zasnąć, uprzytomniłam sobie nagle, skąd znam tę Mary. To znaczy, nie ją znałam. Znałam inne takie Mary jak ona. Nagle się pojawiały, kiedy zostawiałam Johna na parę tygodni samego w Londynie, a sama jechałam do Monachium. Wtedy te Mary nosiły moją podomkę, myły zęby moją szczoteczką i sypiały z moim mężem. O Boże, ależ byłam głupia! Nic się nie zmieniło. Po co całe to zawracanie głowy z zaklinaniem przodków i bogów? Czyżby wszyscy tutejsi bogowie trzymali tylko z mężami? Czy ja mam być ciągle winna? Chciałam jeszcze tylko odebrać pieniądze ojca, a potem wyjechać. Z Johnem u mego boku nigdy nic nie będzie, jeśli chodzi o równowagę i tak dalej.

Otworzono znowu port, który teraz podlegał bezpośrednio państwu. John wyłożył banknot po banknocie na kontuarze nowego celnika, a ten przybił wreszcie ogromną liczbę pieczętek na papierach. Byliśmy we czworo - John, ja, Mary i Nathan. A więc na początek musieliśmy zostawić w porcie trzy auta. Chłopiec z warsztatu o imieniu Jojo towarzyszył nam w drodze do portu jako eskorta.

Z kanistrów nalaliśmy do baków benzynę. Żaden silnik nie zaskoczył. Kiedy Mary poszła kupić nowy akumulator, John, Nathan i Jojo zaczęli wymieniać opony. Ponieważ w większości przypadków chodziło o peugeoty tego samego typu, uzupełnialiśmy braki w systemie modułowym. W końcu zostały trzy auta, praktycznie bez kół.

Jedyną osobą, której ta praca sprawiała frajdę, był Nathan. Co prawda chłopak pocił się w upale tak samo jak John, ale bez przerwy podśpiewywał pod nosem. Kiedy wreszcie pojawiła się Mary, pierwszy przywrócony do życia samochód ułatwił rozruch następnemu, czyli mercedesowi, temu, który pozostał. Ktoś pilnie potrzebował jego rury wydechowej. Spowita w niebieskawą chmurkę spalin, głośna jak śmigłowiec na niewielkiej wysokości, ruszyłam z miejsca. W końcu wypchnęliśmy i odholowali także dwa pozostałe wozy.

Cała akcja trwała aż do popołudnia. Kiedy wyjechaliśmy wreszcie z portu, zaczęły się już godziny szczytu. Mieliśmy przed sobą jazdę przez Lagos. W korkach. John jechał pierwszy, potem ja, Nathan i Jojo. Nathan jak szalony zaczął migać światłami. Coś było nie w porządku. Pękła opona. Zmienialiśmy ją w środku korka. W żółtym tempie ruszyliśmy dalej. Rzuciłam okiem na wskaźnik temperatury wody w chłodnicy. Alarm! Wreszcie droga wolna, wskaźnik się uspokoił. Z całego tego stresu nic nie rzuciło mi się w oczy, ale gdy pojechaliśmy dalej, zauważyłam, że z peugeota Johna coś wycieka. Wkrótce potem z wozu przede mną zaczął wydobywać się czarny dym. Po prawej stronie pojawiła się stacja benzynowa, John włączył migacz. Praktycznie żaden samochód nie miał już w baku benzyny.

John podjechał dymiącym wozem pod sam dystrybutor, my troje za nim. Natychmiast podbiegli do nas, wymachując rękami, jacyś zdernerwowani mężczyźni, którzy krzyczeli:

- *Go away! Go away!*

John otworzył drzwiczki po stronie kierowcy, odblokował pokrywę silnika i chciał właśnie wysiąść. Co najmniej dziesięciu ludzi rzuciło się na niego, jeden wcisnął go z powrotem do środka wozu. Przeklinając, wypchnęli go ze stacji benzynowej na szosę. W takich sytuacjach nie potrafię szybko myśleć, więc tylko osłupiałam ze strachu. Widziałam, jak wszystko, co ma nogi, krząta się i taszczy wodę. Po kilku minutach w miejscu, gdzie stał peugeot Johna, znajdowała się gruba, biała chmura, z której wyłonił się wysmarowany sadzą John. Kiedy dym się rozwiął, pod maską silnika ujrzeliśmy obraz zniszczenia.

W tej sytuacji mój głośny jak śmigłowiec mercedes ciągnął sparaliżowanego peugeota przez korki uliczne do „car repair” Mary. Jak

urzeczona wpatrywałam się we wskaźnik temperatury, zastanawiając się, kiedy mój pojazd spotka taki sam los jak auto Johna. Ale mercedes wytrzymał.

Czterech klientów Mary miało kwaśne miny. Pewnie im obiecała, że wozy będą wkrótce w najwyższej formie. Poprzedniego dnia bacznie obserwowałam wręczanie zadatku i wiedziałam, który z mężczyzn chce kupić mercedesa. Kiedy Mary była zajęta pozostałymi, wzięłam go na stronę.

- Ma pan szczęście - powiedziałam. - Pańskie auto jest najlepsze ze wszystkich. Sama je przyprowadziłam. Potrzebuje tylko nowej rury wydechowej. Dostanie ją pan bez problemu.

- To prawda - przyznał mężczyzna - ale auto nie ma reflektorów, brakuje też wycieraczek. A gdzie lusterka wsteczne?

- To przecież drobiazgi. Samochód jeździ. Będzie pan z niego dumny.

- A lakier? To rdza.

- Lakier jest nowy. Musi pan tylko trochę wypolerować.

- Dam pani 5000 nair.

10000 marek? Mieliśmy co najmniej 100000 marek długów! Cena mercedesa była skalkulowana na poziomie 12000 nair, a więc, lekko licząc, 24 000 marek.

- Chciałam zaproponować panu interes - oznajmiłam chłodno. - Naprawimy wóz, a wtedy dostaniemy za niego 12000 nair. Tak było umówione.

Odwrociłam się.

- Okay, okay. - Mężczyzna mnie dogonił. - 7500 nair.

- Nie mogę tego zrobić. 11 000 nair, nie mniej.

Mary i John w dalszym ciągu perswadowali coś pozostałym klientom, którzy stali przy peugeotach. Moja ambicja rosła. Chciałam w końcu sama dostać do ręki pieniądze. Ostatecznie były to przede wszystkim pieniądze ojca. Musiałam dać radę. Wyciągnęłam do mężczyzny swą bladą dłoń białej kobiety.

- 10500. W gotówce i od ręki.

Przybił. Oczy o mało nie wyszły mi z orbit! Wręczył mi 10000 nair. 500 zapłacił wcześniej Mary w postaci zadatku.

John i Mary mieli mniej szczęścia z pozostałymi klientami. Twierdzili, że dostali tylko po 3000 nair. Spodziewanych jeszcze 4000 będą potrzebować, żeby wydostać z portu i przygotować do jazdy trzy pozostałe auta.

Tym samym miałam całe 38000 ze spodziewanych 100000 marek. Zresztą tylko teoretycznie. A gdyby mnie złapano z tymi pieniędzmi na lotnisku, czekałaby mnie bardzo niewesoła kariera: w więzieniu.

- Znam kogoś, kto wymienia pieniądze - oświadczył John.

On zawsze znał kogoś. Tym razem była to handlarka na Victoria Island. Co oznaczało ponownie jazdę przez całe Lagos... Wcześniej była bezsenna noc obok Johna i Mary. A rano zdarzenie zasługujące na uwagę. Mary wymiotowała, tak samo zresztą jak poprzedniego ranka.

Mówią o mnie, że mam talent do pokerowych zagrywek. Kiedy Mary wróciła z tak zwanej toalety, wzięłam ją jak siostra za rękę i zapytałam:

- No, to jak, Mary, kiedy masz termin?

- Wiesz o tym? - Jej ciemne okrągłe oczy stały się jeszcze bardziej okrągłe.

- Oczywiście. Poza tym jesteś w odpowiednim wieku, żeby to zrobić.

- Tak się cieszę, że teraz i ty wiesz!

Obliczyłam szybko.

- Jesteś w drugim miesiącu?

- Tak bym chciała, żeby był chłopiec, i mam nadzieję, że będzie, wspomóżono Ilono. - Uśmiechnęła się promiennie, ukazując lukę między zębami.

W odpowiedzi przywołałam na usta niepewny uśmiech.

Pora była wyjaśnić parę spraw.

- John, sądzę, że wiem, dlaczego przodkowie nie chcą nam pomóc w handlu samochodami. Dlatego, że gramy nieuczciwie. Mam na myśli Mary. Spodziewa się twojego dziecka. A ty śpisz ze mną w dzungli przy cykaniu świerszczy i opowiadasz u *babalawo* o afrykańskiej rodzinie. Jesteś świnią, John. Nigdy dotąd nie czułam się tak wystawiona do wiatru. Tamtej nocy w dzungli... naprawdę byłam gotowa zacząć z tobą od nowa. Szczerze... Z dziećmi... one powinny mieć znowu ojca... ach, zapomnij o tym. Zapomnij na zawsze.

Siedziałam w klimatyzowanym wozie terenowym mojej - no właśnie: kogo? Konkurentki? Ależ tak: „współżony”. John wpatrywał się bez słowa w zderzak jadącego przed nami pojazdu.

- Wróciłeś z Niemiec na początku stycznia, żeby pomóc swojemu choremu bratu Mosesowi. Miałeś zadbać o sprzedaż aut. A ty znalazłeś jeszcze czas, żeby zabawiać się z tą wymalowaną Mary? Na pewno jej opowiadałeś, że rozkręcasz wielki handel samochodami. Ale później ja przyjechałam. Z tym się nie liczyłeś. Wszystko poszłoby jednak po twojej myśli, gdyby nie to, że Mosesa i mnie opuściły siły w dżungli. Ja bym wróciła do Niemiec, a ty miałbyś jak u pana Boga za piecem. Głupio wyszło, prawda?

Gotowało się we mnie. Mimo klimatyzacji.

- Chciałaś się przecież rozwieść - odezwał się w końcu głuchym głosem.

- To po co wzywaliście w dżungli duchy, jeśli wcale nie traktowałeś tego serio? Nie znam się na magii czarnych bogów, John, ale nie miałabym nic przeciwko jej poznaniu. Jestem pewna, że zrobiłeś coś, czego nie powinienesz być zrobić. Nie tylko mnie okłamałeś. Okłamałeś także *babalawo*.

- Wyroczeni nie można okłamać. Nie zrobiłem nic niewłaściwego. Każdy mężczyzna w Afryce może mieć wiele żon.

Tego tylko brakowało, żeby zaczął opowiadać o słynnym wówczas nigeryjskim śpiewaku Feli Kuti - który miał dwadzieścia sześć żon. W mojej głowie rozprzestrzeniła się pustka. Jakbym miała zrobić coś ważnego. I zapomniała. No, jasne... Sen w chacie Oluwafemi... Mój ojciec! Boże, muszę czym prędzej zadzwonić do Monachium!

Rhoda powitała mnie podniecona, trzymając w rękę telegram z Niemiec, który przyszedł przed pięcioma dniami. Nadany w dniu, kiedy miałam ów sen. „Ojciec miał zawał. Natychmiast wracaj. Mama”.

Wszystko przepływało obok mnie. Jak w filmie. Targ w Lagos. Ludzka ciżba. John niewiarygodnie się sprężył, żeby wymienić możliwie jak najwięcej nair na walutę, którą wolno mi było wywieźć. Wyciskał, ile się dało, mówił rękami i nogami. Suma nie była jeszcze wystarczająca; wymieniliśmy dopiero 3000 nair.

W końcu ciasny pokój, okrągła kobieta. Handlowała sukniem i biżuterią. Pewnie John opowiedział jej, że martwię się o swojego ojca. Przyglądała mi się łagodnym wzrokiem jak matka. Pod kilkoma owiniętymi wokół ciała spódnicami miała schowaną pękatą torebkę z pieniędzmi. Dała mi stosunkowo dobry kurs w różnych walutach. Ale więcej niż 5000 nair nie chciała wymienić. Ponieważ sama często robiła interesy za granicą, potrzebowała dewiz. Mimo to byłam jej wdzięczna. Miała rzadki jak na to miasto rekinów charakter: pomimo twardej walki o chleb powszedni pozostała człowiekiem.

Z urzędu telegraficznego spróbowałam jeszcze dodzwonić się do Niemiec - żadnych szans. Pojechaliśmy prosto na lotnisko. Miałam szczęście: dostałam ostatnie wolne miejsce do Monachium. Jako że „car repair” Mary znajdował się w niewielkiej odległości od lotniska, pozostało nawet dość czasu na przywiezienie moich walizek. Ale co zrobić z dużą ilością nigeryjskich pieniędzy, których nie wolno było wywozić? Postawiłam wszystko na jedną kartę, to znaczy: zapakowałam 10000 nair do jednej z walizek. To kwota, za którą jeden z robotników portowych u мастера Tomorrowa musiałyby taszczyć worki przez całe życie.

Pośpieszyliśmy z powrotem na lotnisko. Serce podchodziło mi do gardła. Jeśli odkryją pieniądze, okaże się, że wszystko na próżno. Objęłam bransoletę ze słoniowego włosa, uśmiechnęłam się łagodnie, powiedziałam celnikowi: „Dzień dobry” i do siebie w duchu: Ilono, pamiętaj o wewnętrznej równowadze.

Przysięgam: byłam jedyną osobą, której nie przeszukano bagaży. Kiedyś coś musiało mi się udać.

Moja najbardziej zwariowana decyzja

Bilans handlowy operacji sprzedaży samochodów nie prezentował się dobrze. Przy udziale własnym w wysokości 40 procent odzyskałam zaledwie 25 procent. Na uniwersytecie przy takim wyniku na pewno oblałabym egzamin... Stewardesa podała mi właśnie sok pomidorowy, kiedy mój wzrok padł na papiery rozłożone na kolanach sąsiada. Ów liczył coś, przekreślał i zaczynał od nowa. Usłyszałam, jak mówię:

- Nie uwzględnił pan przeniesienia straty.

Mężczyzna - nawiasem mówiąc, nie dostrzegłam go jeszcze jako osoby, interesowałam się tylko jego kolumnami liczb - zwyczajnie pochylił się ku mnie. Policzyliśmy wspólnie i doszliśmy do wniosku, że jego inwestycja absolutnie powinna się opłacić.

- A o co tak w ogóle chodzi? - zapytałam tonem pogawędki.

- O hamulce - odpowiedział. - Mieliliśmy pertraktacje w sprawie zbudowania fabryki w Lagos.

- Jeśli chodzi o auta, to mam ich po dziurki w nosie. - Roześmiałam się.

- Zajmuje się pani eksportem? - chciał wiedzieć.

- Z umiarkowanym powodzeniem - przyznałam. - Nie wkalkulowałam paru nigeryjskich cech charakteru. - Po czym całkiem mimochodem, naprawdę nie wiem dlaczego, wypowiedziałam zdanie, które wywołało promienny uśmiech na bladej twarzy mego jasnowłosego sąsiada ubranego w piaskowy garnitur: - Jestem żoną Nigeryjczyka.

Wówczas mężczyzna podał mi lekko wilgotną dłoń i przedstawił się jako Michael Bernhard, dyrektor finansowy Strengfurt AG.

- Nie miałyby pani ochoty popracować w kierownictwie naszej firmy w Lagos? Pilnie potrzebujemy nowego kontrolera finansów. Najlepiej kogoś, kto pozostaje w związku małżeńskim z Nigeryjczykiem; to z uwagi na odsetek zatrudnionych cudzoziemców. Jeszcze lepiej, żeby to była kobieta, która lubi się wtrącać. Co pani na to?

Omali się nie zakrztusiłam swoim sokiem pomidorowym.

- Zaproponujemy pani takie warunki, których nie będzie pani mogła odrzucić - oświadczył Bernhard na wysokości 10000 metrów. - Dom, auto, szofer, personel, pensja krajowa i zagraniczna...

Pomyślałam o rowach z gnojówką, glinianych chatkach z prymitywnymi wychodkami, skorumpowanych masterach Tomorrowach, piekącym skwarze, trupach na ulicach, czarnej magii i czarnych macho, którzy żenią się iks razy...

- Wie pani co, pani Wowo, w przyszłym tygodniu po prostu zajrzy pani do Kolonii! Moja sekretarka zadzwoni do pani jutro rano i każe zostawić dla pani na lotnisku bilet - rzekł bez ogródek Bernhard. - Kiedy sobie porozmawiamy, zawsze jeszcze będzie pani mogła powiedzieć „nie”.

Przyszły mi na myśl moje dzieci, Janet i Bobby, moja matka, mój ojciec. Usłyszałam śmiech Bernharda.

- Dom w białej dzielnicy, który będzie pani zajmować, jest ogromny. Mogłaby pani wziąć ze sobą nawet rodziców. Jest też bardzo dobra szkoła niemiecka. To wszystko oczywiście my opłacamy.

Westchnęłam.

-Muszę się zastanowić.

W tych godzinach wyobraziłam sobie, jak nieskomplikowane może być życie. Wystarczyło siedzieć w samolocie obok kogoś, kto złoży człowiekowi u stóp wymarzony zawód... Wreszcie nie musiałabym gonić za pieniędzmi: to one przychodziłyby do mnie. Czy sprawiła to bransoletka ze słoniowego włosa, „wewnętrzna równowaga”, czy po prostu od dawna należna porcja szczęścia, która przysługuje każdemu?

Z takim uczuciem euforii wysiadłam z samolotu w Monachium. Żeby boleśnie zderzyć się z rzeczywistością przy taśmie z bagaża-

mi - moja walizka nie dotarła na miejsce. A w niej całe moje pieniądze, a raczej pieniądze taty! Wpadłam w panikę. Miałam złożyć zawiadomienie o zaginięciu bagażu i w rubryce „wartość straty” wpisać 20000 marek w nigeryjskiej walucie? Co by to dało? Linie lotnicze odpowiadały za straty tylko do wysokości 1000 marek.

-Większość bagaży odnajduje się wcześniej czy później, pani Wo-wo. W wypadku lotów z Afryki często mamy problemy.

W domu Janet i Bobby zawojowali mnie zupełnie.

- Mamo, co nam przywozłaś?

Kochany, mały niemiecki świat, taki posprzątany, taki czysty. Ale tylko na wierzchu - pod nietkniętą powierzchnią widniała ryna: długi, upomnienia z banku, ojciec, który załamał się pod tym ciężarem. Leżał w łóżku bład jak trup, podłączony do kroplówki. Naprawdę był chory! To samo powiedział mi też ordynator. Że mój ojciec przeliczył się z siłami. Poza tym w Afryce nie zażywał regularnie tabletek na obniżenie poziomu cukru i ciśnienia krwi. Zdaniem lekarza powinien natychmiast przejść na rentę.

Wielkie nieba, tyle długów! A ojciec niezdolny do pracy! Wszystko zostałoby na mojej głowie. Obdzwoniłam przyjaciół i znajomych, czy nie wiedzą o jakiejś pracy dla mnie. Na próżno błagałam o łaskę swego poprzedniego pracodawcę. W książce telefonicznej wygrzebałam jakiegoś zawodowego łowcę głów, pośredniczącego w zatrudnianiu menedżerów. Co takiego? Dobrze płatna praca w Monachium, i to od zaraz? A skąd on taką weźmie? Nie umie przecież czarować.

Najpierw należało jednak zażegnać wszelkie przychodzące mi od razu na myśl katastrofy. Na lotnisku, z odnalezioną walizką w rękę, pomaszerowałam z biciem serca prosto do damskiej toalety, zaczęłam grzebać w swoich biustonoszach i bluzkach. Ej, jak to miło, 10000 kolorowych nair!

Nastąpił maraton od banku do banku. Nigeryjskie nair? Nie, przykro nam! Nie przyjmujemy. Musiałam udać się nawet do Szwajcarii, żeby wymienić w końcu nairy na marki. Ale miałam w sumie prawie 30000 marek. Upomnienia z firmy spedycyjnej należało traktować poważnie. Targowałam się i stosowałam pokerowe zagrywki jak na targu w Lagos, żeby ograniczyć żądania. Po półgodzinie spedytorka zre-

dukował nasze długi o jedną czwartą. Oddałam mu prawie całą swoją piękną gotówkę - bolesne rozstanie! Za te pieniądze musiałam się długo pocić, drzeć i modlić. Żeby teraz zobaczyć, jak znikają w zwyyczajnej, stalowej kasetce...

Uprzejmość spedytora wyjaśniła się w następnych pięciu minutach, gdy weszła jego sekretarka z butelką szampana. Spedytor odkorkował, napełnił kieliszki, trącił się ze mną i powiedział:

- No, to za dalszą dobrą współpracę, pani Wowo!

Zdziwiłam się tylko na moment, uznałam to za normalny zwrot po pomyślnym załatwieniu interesów.

- No tak, nigdy nie wiadomo - odparłam, w duchu zaś pomyślałam: Nigdy więcej nie wdam się w takie ryzykowne przedsięwzięcie!

Uśmiech na twarzy spedytora zamarł w jednej chwili.

- Jak pani to rozumie?

- Handel samochodami to dosyć męcząca sprawa - odparłam wymijająco.

- Pani ojciec wydawał się bardzo zadowolony z pani pracy. Jak on to powiedział... Aha. Pierwszy raz to tylko balon próbny. I że wszyscy wyciągnęliście naukę z popełnionych błędów - dodał spedytor.

- Tak powiedział mój ojciec?

Mój żołądek pierwszy pojął te sygnały: ojciec znowu coś wymyślił!

- Owszem, tym razem załadujemy auta na pokład od razu w kontenerach. Wtedy przy wyładunku nie może się nic zepsuć.

- A ile aut ma być tym razem? - zapytałam tak spokojnie, jak to było możliwe.

- Dwanaście.

- Drugi raz nie popełnię tego głupstwa!

- Za późno, pani Wowo. Samochody są już w Bremie i za kilka dni zostaną załadowane na statek - oświadczył oschle spedytor. - Otrzymaliśmy już telegram od Johna Wowo. To przecież pani mąż, prawda? W depeszy potwierdza, że zamówił auta i gotów jest je odebrać zgodnie z terminem.

Wściekła wsiadłam do swojego golfa i pojechałam do szpitala.

- Ilono, znalazłem handlarza samochodów, który współfinansuje tego rodzaju przedsięwzięcia. On odroczy nam płatność wszystkich

rachunków do czasu sprzedaży aut - powiedział ojciec, gdy bardzo ogłędnie zapytałam go w szpitalu o te samochody. - A poza tym, Ilonko... - Popatrzył na mnie czule ojcowskimi oczami. - Musimy jakoś pozbyć się tych długów. Nie znam lepszego sposobu. A ty?

Odpowiedź na to pytanie próbowałam znaleźć następnego dnia w Kolonii w firmie Strengfurt AG. Moja swoboda manewru w pertraktacjach była nadzwyczaj ograniczona. Bernhard zaproponował mi takie warunki, że istotnie bardzo trudno byłoby odmówić. Po okresie próbnym mogłabym ściągnąć dzieci. Wpisali to nawet z radością do umowy. Dlaczego, uświadomiłam to sobie dopiero później: dzięki temu znacznie większe było prawdopodobieństwo przedłużenia przeze mnie umowy.

Kiedy omawialiśmy dokładnie wszelkie szczegóły, na dalszy plan zeszło wszystko, co denerwowało mnie w Nigerii. Nagle przypomniałam sobie domy, którymi mój szwagier Moses opiekował się jako ogrodnik. W takiej willi rezydowałabym teraz z Janet i Bobbym! Dbałby o nas życzliwy personel. Odbywalibyśmy podróże. Mogłabym pokazać dzieciom, gdzie są ich korzenie. I w ten sposób podjęłam najbardziej zwariowaną decyzję w życiu - decyzję o powrocie do Afryki.

Kiedy wieczorem wracałam samolotem do Monachium, miałam w kieszeni podpisaną umowę. Był w niej tylko jeden haczyk: w najbliższym czasie miałam przejść w Kolonii dwumiesięczne przeszkolenie, aby zapoznać się ze strukturą organizacyjną i wewnętrznymi regulacjami firmy. Jeszcze z Kolonii zadzwoniłam do firmy spedycyjnej. Poprosiłam o przełożenie załadunku aut o parę tygodni. Trochę się już nauczyłam: tym razem zapakuje się od razu części zapasowe, żeby na miejscu dać niezwłocznie auta do naprawy.

-Mamo - oświadczyłam w domu -jadę znowu do Afryki.

- Myślałam, że ci się nie podobało?

- Tym razem będzie inaczej, mamó.

Wyjaśniłam jej wszystko.

- Skoro tak uważasz, Ilono - rzekła na koniec. - Przecież na pewno dobrze przemyślałaś sprawę.

Przynajmniej dzieci, zostając u niej, były w dobrych rękach. W zamyśleniu obracałam bransoletę ze słoniowego włosia.

- Ładne - stwierdziła mama. - Co to jest?
- Amulet, który przynosi szczęście.
- W takim razie uważaj na niego. W najbliższym czasie będziemy potrzebować mnóstwo szczęścia.

Wzięłyśmy się w objęcia i uściskały mocno.

Zostałam „niedzielną” matką. W ciągu dwumiesięcznego stażu w Kolonii Strengfurt opłacał mi co dwa tygodnie bilet lotniczy do Monachium. Przywoziłam prezenty dla dzieci, a czas poświęcałam przede wszystkim na rozmowy z rodzicami. Z reguły chodziło o pieniądze: ojciec zamierzał sprzedać dom i wynająć inny, daleko od Monachium w dolnobawarskim trójkącie uzdrowiskowym. Jego plany nieudolnie zasłaniały fakt, że był kompletnym bankrutem. Pozostałe interesy sfinansował, biorąc kredyty pod hipotekę domu, który był teraz zadłużony aż po szczyt dachu. Co prawda ojciec czuł się znowu dobrze, lecz stało się jasne, że nie może już pracować. Moja siostra, Monika, akurat zdała maturę, chciała studiować. Nagle stwierdziłam, że to ja jestem żywicielką naszej wielopokoleniowej rodziny.

Dział personalny mojego nowego pracodawcy załatwił mi perspektywę niemieckiej szkoły w Lagos. Z dumą pokazałam je rodzicom.

- Janet i Bobby będą mieszkać u nas - oświadczył szorstko ojciec, wstał i wyszedł z pokoju.

- Co go ugryzło, mamó?

- Uważa, że dzieciom będzie lepiej w Niemczech. Ojciec nie był zbyt zachwycony Afryką.

- Będziemy mieszkać w białej dzielnicy, w willi - podkreśliłam.

- Ojciec wybrał piękny dom w Dolnej Bawarii. Z dużym ogrodem - odpowiedziała mama.

W cztery tygodnie później rodzice razem z moimi dziećmi zabrali mnie do Bad Griesbach. Z dumą pokazywali mi piękny, duży dom, za który płaciłam czynsz.

Przeprowadzka odbyła się w weekend, który spędziłam w Londynie, gdzie brałam udział w międzynarodowym szkoleniu. Podarowałam sobie wieczorne zwiedzanie i zostałam w naszym ekskluzywnym hotelu; przy restauracyjnym barze czekałam, aż się zwolni stolik. Lu-

biłam tę trochę drobnomieszczańską, ale przytulną atmosferę z ciemną boazerią z drewna tekowego i wypolerowanymi na błysk mosiężnymi świecznikami. Dziewczynka w wieku Janet wylała sobie jakiś czerwony sok na białą bluzkę. Prawdopodobnie porzeczkowy. Nokaut dla każdego znanego mi środka piorącego. Mimo woli uśmiechnęłam się, widząc, jak zrozpaczona matka dziecka nieporadnie próbuje usunąć nieszczęsną plamę.

- Dorastanie może być czasem bardzo trudne - odezwał się męski głos lekko śpiewnym, rozbawionym tonem.

W ogóle nie zauważyłam, że obok mnie ktoś stoi. Wysoki, bardzo elegancki mężczyzna o krótkich, czarnych, kręconych włosach i ciemnej cerze, ubrany w czarną dwurzędówkę uśmiechnął się do mnie bystrymi, nieco drwiącymi oczami.

- O tak - podjęłam z zapałem. - Mój ojciec przy takiej okazji od razu palnąłby mnie w ucho.

- Ja musiałbym sam sprać w domu plamę. I następnym razem już bym diabelnie uważał - odpowiedział młody człowiek, którego nie opuszczał dobry humor.

-Pański ojciec pewnie był dobrym pedagogiem - stwierdziłam z uznaniem.

- Mój ojciec?! - Roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip. - Nigdy nie troszczył się o moje wychowanie. Jest Afrykaninem. Była już pani kiedyś w Afryce?

Skinęłam głową bez słowa.

- Wygląda na to, że się pani nie podobało?

-Tam jest inaczej. - Po czym dodałam uprzejmie: - Naturalnie wiele zależy od tego, jak się przeżywa Afrykę. - Ostrożnie zmierzyłam go wzrokiem. - Pan pochodzi zapewne z Afryki Północnej?

- Wprost przeciwnie. - Roześmiał się beztrzesko. - Pochodzę z Londynu. - Zrobił przerwę. -1 z Nigerii.

-Naprawdę? Byłam tam jeszcze sześć tygodni temu!

- Niech zgadnę: robi pani tam interesy? Między Europą i Afryką? Jaka branża?

Ten bezpośredni, nieskomplikowany sposób zbierania informacji zrobił na mnie wrażenie. Zręcznie grał na klawiaturze flirtu, biznesu

i światowości, wykorzystywał czas oczekiwania przy barze, żeby nawiązywać kontakty - takiego czy innego rodzaju. Postanowiłam mieć się na baczności.

Pojawienie się starszego kelnera sprawiło, że nasza rozmowa zmieniła się w kolację przy świecach. Podczas nadzwyczaj ciekawej konwersacji nie chodziło wcale o auta, tylko o Afrykę i Europę. O różnice między kulturami. Temat, z którym się zмагаłam, odkąd zostałam żoną Johna. Tymczasem Victor - tak nazywał się mój znajomy z baru - żył tym tematem. Jego ojciec był chiefem. Ale nie pomniejszym jak kuzyn Johna, Bole, który handlował gaśnicami, tylko autentycznym naczelnikiem plemienia z bogatej w ropę południowo-wschodniej Nigerii.

Jego matka wywodziła się z bardzo poważanej londyńskiej rodziny. Dopiero parę miesięcy później odkryłam, że należała do brytyjskiej szlachty. Sam Victor praktycznie nigdy nie mieszkał w Nigerii. Wysyłano go do internatów w Anglii i Szwajcarii, w USA studiował inżynierię i gospodarkę rynkową. I czuł się Brytyjczykiem. W Lagos nie znał ani części miasta, gdzie znajdował się dom Moseasa, ani dzielnicy, do której miałam się przeprowadzić po szkoleniu w Niemczech.

- Ale chętnie panią tam odwiedzę, jeśli pani pozwoli - powiedział na pożegnanie.

Był jednak pewien szkopuł: ja sama nie znałam jeszcze swojego nowego adresu.

- Znalazłem panią w Londynie, Ilono, to odnajdę panią także w Lagos - rzekł i pocałował mnie delikatnie w policzek.

Rany! Pocałunek od syna naczelnika plemienia i widoki na randkę. Tyle że nie wiadomo, gdzie i kiedy... Mimo to całkiem niezły bilans wieczoru, który właściwie chciałam spędzić samotnie.

Firma Strengfurt AG była zadowolona z moich postępów w nauce. Po ośmiu tygodniach wysłano mnie z powrotem do Afryki. Podczas pożegnania z dziećmi w Dolnej Bawarii polało się wiele łez. Mama obiecała, że przyleci z nimi na Boże Narodzenie i potem zostaną u mnie. Pod warunkiem, że przejdę pomyślnie okres próbny. Ojciec

napomniął mnie, bym zajmowała się autami. Jeśli teraz będę w Lagos dłużej, mógłby je przecież częściej wysyłać.

- Czuję się już naprawdę dobrze, Ilono. Jestem o wiele za młody, żeby iść na rentę.

Ojej!

Zabrałam ze sobą oba moje koty. Zostały umieszczone w specjalnych klatkach, które można wziąć na pokład samolotu. Firma spedycyjna miała przewieźć osobno dwa stalowe kontenery wielkości szafy oraz cztery ogromne kufry. W nowej ojczyźnie chciałam mieć wokół siebie możliwie jak najwięcej dawnego domu.

Część 2

Nowa Wniośność

*Kiedy pożar trawi twój dom,
musisz najpierw ugasić płomień
na własnym ubraniu.
(prysłowie nigeryjskie)*

Osioł opętany na punkcie seksu, przeklęty master

Femi, mój sympatyczny kierowca, zatrzymał wóz przed jasno oświetlonym bungalowem otoczonym białym murem wysokości mężczyzny. Okolice ta w ogóle była niepodobna do tamtej nędznej dzielnicy, w której musiałam mieszkać jako biała żona biednego Murzyna. Femi nacisnął klakson, gdy samochód zahamował przed wysoką bramą z kutego żelaza. Z drugiej strony błyskawicznie podbiegli do niej dwaj schyleni mężczyźni, otworzyli, wjechaliśmy na teren posesji i bramę równie szybko zamknięto. Strażnicy wycofali się do drewnianych chatek po obu stronach wjazdu. Femi usłużnie otworzył mi drzwiczki. Zostawiając na razie w samochodzie przywiezione koty, wysiadłam z aktówką w rękę i ruszyłam w stronę oddalonego mniej więcej o pięćdziesiąt metrów, jasno oświetlonego portalu. Femi natychmiast zniknął z powrotem w peugeocie.

Otworzyły się drzwi domu. O futrynę opierał się jakiś niechlujnie ubrany biały - rozpięta koszula wychodziła mu ze spodni, włosy zmierzwiłone, w lewej ręce trzymał szklaneczkę whisky. Z trudem utrzymując równowagę na wysokich obcasach podczas marszu po nierówno ułożonych płytach, w pewnej chwili usłyszałam za sobą tętent kopyt, lecz nie odniosłam tego, rzecz jasna, do mojej obecności. Stukot kopyt zbliżał się w szalonym tempie.

Mężczyzna z whisky w rękę przyglądał mi się z uśmiechem, lecz ani myślał mnie ostrzec. W ułamek sekundy później poczułam na karku gorący oddech zwierzęcia, potem ugryzienie w ramię,

a w końcu uderzenie kopytem w drugie ramię. Krzyknęłam, odwróciłam się, potężnie zamachnęłam się trzymaną w ręku ciężką aktówką i zdzieliłam w bok napastnika za mną, który wspiał się na tylnych nogach.

Pomiędzy nimi zwiślał zwierzęciu kołek długości chyba trzydziestu centymetrów. Mimo że byłam w panice, zdziwiłam się. To nie był kołek! To był jego penis, który wysunął się cały z napletka! Ten bydlak chciał mnie pokryć. Ruszyłam pędem w stronę domu i mężczyzny w drzwiach, który zaśmiewał się do rozpuku.

- Niech pan coś zrobi! - krzyknęłam na niego.

- Eddie, *piss off**! - powiedział z niewzruszonym spokojem pijaczyna.

I rzeczywiście, bydlę zawróciło, a po drodze dwa razy zaryczało ochryple „ihaaa”. A więc to nie koń, tylko osioł. Osioł opętany na punkcie seksu. Patrzyłam za nim przez chwilę oniemiała. Odwracając się gwałtownie, żeby się bronić, odłamałam sobie obcas nowych skórzanych czółenek. Lewe ramię piekło mnie od ugryzienia, prawe bolało od uderzenia kopytem. Obolała pokuśtykałam do domu, nie za bardzo zachowując prezencję energicznej kontrolerki finansów z Monachium. Mój Boże, znowu, czy mój drugi początek w Afryce musiał wypaść jeszcze gorzej niż pierwszy?

Uśmiechający się mężczyzna podszedł do barku i nalał mi szklaneczkę whisky.

- Witamy w Afryce. Jestem Klaus Nickel. A pani nazywa się Wowo?

To miał być mój szef? Nickel miał pod pięćdziesiątkę, mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne, przeredzone już włosy. Nie był brzydki, ale przepity, jakby zawsze miał alkohol w zasięgu ręki. Odruchowo wzięłam od niego szklaneczkę, lecz natychmiast z obrzydzeniem ją odstawiłam.

- Gdzie jest łazienka?

Nie doczekałam się odpowiedzi, zamiast tego podeszła do mnie wysoka kobieta o ciemnobłond włosach, może w połowie piątego krzyżyka, która sprawiała podobnie nieporządne wrażenie jak Nickel.

* *Piss o*/(ang.) - Spier...laj.

Miała na sobie jasnoczerwoną, mocno wyciętą lejbę, spod której przy każdym ruchu wyłaniały się obwisłe piersi.

-Jestem Gerda Nickel. Pokażę pani łazienkę. Widzę, że jest pani zupełnie wykończona, moja droga.

Kiedy prowadziła mnie przez hall, który miał chyba ze czterdzieści metrów kwadratowych, wyraźnie znosiło ją na boki. Dla mnie to było niepojęte! Przecież to małżeństwo reprezentowało niemiecki konserw działający w wielu krajach! Czyżbym z jakąś magiczną siłą przyciągała obłąkańców?

Gerda Nickel miała przynajmniej jedną zaletę - ten sam numer butów co ja, dzięki czemu przez resztę wieczoru nie musiałam chodzić boszo ani kuśtykać. W łazience siedziałam chyba całą wieczność: najpierw odświeżyłam się, potem dokładnie zbadałam przed lustrem nadgryzione ramię i dopiero wtedy odważyłam się wyjść.

Gdy wchodziłam do tego dziwnego domu, pewnie nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz, po powrocie, okazało się, że jest tu pełno ludzi. Nikt nie był trzeźwy, od wypoconej whisky wilgotniały koszule. Nieśmiało rozejrzałam się dokoła. Czułam się ciałem obcym. Biała wśród białych - a mimo to nienależąca do tego grona.

Podszedł do mnie mężczyzna tuż po trzydziestce. Średniego wzrostu, z wyglądu właściwie całkiem do przyjęcia. Przeczesał palcami jasne włosy, uśmiechnął się ujmująco, wietrząc świeże mięso.

- Pierwszy raz w Afryce, co? - zagaął.

-To zależy...

Przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

-Dlaczego jest pani tutaj? - Nie dał mi szansy odpowiedzi, tylko od razu kontynuował: - Są trzy powody, dla których biali przyjeżdżają do Afryki: seks, żądza przygód lub pieniądze. - Zaśmiał się cynicznie. - Ale w Afryce to wszystko stanowi właściwie jeden powód. Przyjeżdżasz dla żądzy przygód, szukasz seksu i tracisz pieniądze.

Bernd Waltersdorf, inżynier, był jednym z najsympatyczniejszych pracowników Strengfurt AG w Lagos. W kwestii „świeżego mięsa” na szczęście pomyliłam się co do jego osoby. Stałą towarzyszką Bernda była wysoka jak tyka, niewyobrażalnie szczupła Murzynka o urodzie fotomodelki. Wyciągała mu z kieszeni każdego dolara, każdą na-

irę, każdą markę, lecz jemu było to obojętne, bo tak według niego powinien patrzeć na świat męzczyzna.

- Za to jest mi wierna. Zbyt wiele jest chorób, których można się tu nabawić. Poza tym nie można ufać Afrykanom. Ciągłe próbują wydobyc od człowieka jakieś informacje. - Bernd pociągnął łyk whisky i kontynuował swój wywód. - Recepta na to, jak tutaj przeżyć, jest następująca: zadawaj pytania, słuchaj, sam nie odpowiadaj na żadne. Kłamstwo jest formą konwersacji. Kłamstwo jest okay, pozwala chronić informacje. Tak widzą to Afrykanie.

Klaus Nickel wypatrzył mnie znowu; pro forma ciągnął mnie od jednego gościa do drugiego. Nazwiska, twarze, zmieniające się jak w filmie. Potem znaleźliśmy się w jego gabinecie. Nadal trzymałam w ręku aktówkę, to wypróbowana broń w razie ataku.

- Przywiozła pani pocztę z Niemiec?

Wskazał mi krzesło przed biurkiem, sam także usiadł, w dalszym ciągu tak samo rozchełstany jak na początku naszej znajomości. Wyjęłam koperty formatu A4 - było ich blisko trzydzieści - i mu podałam. Szybko znalazł to, czego szukał. Dwie najgrubsze. Nawet się nie odwrócił, tylko bez skrępowania rozerwał obie na moich oczach i położył zawartość na biurku. Gdyby mnie wzięto z tym na kontrolę osobistą! Przedemną leżało co najmniej 200000 dolarów. Nie wydobyłam z siebie żadnego dźwięku.

Nickel zauważył moje zdumienie i natychmiast schował banknoty w szufladzie biurka.

- *Money makes the world go round** - powiedział, uśmiechając się jak uczeń przyłapany na ściąganiu.

Jeśli daje się kontrolerowi finansowemu łapówkę do przewiezienia samolotem, to czego można oczekiwać od reszty firmy? Potrzebowałam paru tygodni, żeby dojść do tego, że pieniądze Strengfurtu nie przepływają zgodnie z przeznaczeniem wyłącznie do kieszeni jakichś typków w rodzaju mastera Tomorrowa. Nie, mareczki przychodziły od białych

* *Money makes...* (ang.) - „Forsa wprawia w ruch ten świat”, fragment piosenki z filmu *Kabaret*.

i pozostawały często w rękach białych. Na przykład Nickela. **Dalej** przekazywał on tylko niewielką część, żeby interesy jego pracodawców kręciły się nadal. Nauczyłam się też, że nie interesuje to nikogo.

Kiedy opuszczałam bungalow Nickela, ponownie usłyszałam głośne „iah”. Prędko podreptałam na obcasach do czekającego na mnie wozu. Femi wysiadł i otworzył mi drzwiczki. A tymczasem nadbiegał już galopem głupi osioł, amator seksu...

Femi podwiózł mnie tylko kawałek do przeznaczonego dla mnie domu, może w połowie tak dużego jak rezydencja Nickela. Zamiast wysokiego białego muru, posypanego na wierzchu szkłem, moją przyszłą siedzibę otoczono obrzydliwym, wysokim na metr pięćdziesiąt drutem kolczastym, za którym rozciągał się wspaniale kwitnący ogród.

Ken, mój *houseboy*, powitał mnie w śnieżnobiałej koszuli i czarnych spodniach, obok niego stało dwóch niedużych mężczyzn z grubymi, oznaczającymi przynależność plemienną bliznami na twarzy, ubranych w przypominające tuniki szerokie, szare szaty i wyposażonych w łuki i strzały. Ci dwaj byli moimi *night watches*, mającymi strzec mojego domu w nocy. Prawie nie mówili pidżynem, lecz wyłącznie jednym z wielu północnonigeryjskich dialektów. Ken pochodził ze wschodu, czyli dawnej Biafry. Nawet on nie mógł się z nimi porozumieć. *Day watches*, których miałam poznać następnego ranka, mówili przynajmniej pidżynem, odmianą angielskiego, która ma swój własny słownik.

Ken zajął się pokazywaniem mi mojego domu. Domu, w którym wszystkie okna były zakratowane, a drzwi dawały się odemknąć dopiero po otwarciu krat. Ale była przynajmniej klimatyzacja, zapewniająca przyjemny chłód. Położona w ogromnych pomieszczeniach marmurowa posadzka nadawała jednak skapo i bez zbytków umeblowanemu domowi wdzięk lodówki.

Dwukondygnacyjny budynek składał się z dwóch oddzielonych od siebie stref, połączonych zewnętrznymi schodami. Na parterze, oprócz garażu dla dwóch aut, znajdował się ogromny „salon”, z którego korzystałam tylko wtedy, gdy przychodzili goście. Na piętrze były cztery sypialnie z podwójnymi łóżkami, trzy łazienki i kuchnia, szczyca się trzema dużymi zamrażarkami i dwiema wysokimi do

sufitu lodówkami, a wszystkie te pomieszczenia otaczały *living room*. Po stronie frontowej, na całej szerokości budynku rozciągał się taras, całkowicie oszklony.

Ken przestrzegał mnie, żebym zawsze się porządnie zamykała. Po co więc strażnicy przez dzień i noc? Po co na wszystkich drzwiach dodatkowe kraty? I w tym ogromnym, luksusowym domu mieszkałam tylko ja i oba moje koty. W dodatku ojciec odradzał mi zabieranie zwierząt. Teraz byłam zadowolona, że przynajmniej one dwa będą ze mną dzielić ten samotny przepych. Wpuściłam z plastikowych skrzynek Gwiazdkę, moją czarną, rozpieszczoną perską kocicę, oraz Frosty, prześliczną kotkę syjamską o niezrównanym srebrzystym spojrzeniu.

Rozległo się nieśmiało: „Sorry, madam”. Przy zakratowanych drzwiach z kuchni do *living roomu* stał nieśmiało zgięty w ukłonie Ron, mój steward. Pewnie Ken zapomniał mi go przedstawić. Gdy chciałam podejść do niego, Ron cofnął się o krok i popatrzył na mnie bojaźliwie. Trzymałam na rękę cierpiącą na chorobę lokomocyjną Frosty. Kiedy ja robiłam krok w stronę Rona, on robił krok do tyłu, wycofując się w stronę kuchni. A gdy moja żółtooka Gwiazdka również zapragnęła zawrzeć z nim znajomość, Ron po prostu uciekł. Schronił się za bezpieczną kratą w drzwiach i gapił się na nas z drugiej strony. W jakimś sensie ten moment przypominał spotkanie w zoo. Tylko - kto był w środku, a kto na zewnątrz?

- Boi się pan kotów? - zapytałam zupełnie niepotrzebnie.

- Czy Ron się boi? - Następnego dnia Bernd Waltersdorf wprost skręcał się ze śmiechu. - Gdybyś podsunęła mu pod nos sowę, jego reakcja byłaby taka sama! Koty podobnie jak sowy i nietoperze, należą do inwentarza czarownic. Na pewno Ron opowiada teraz wszystkim, że jesteś czarownicą!

Wtedy uważałam to za dowcip. Gdybym przeczuwała...

Mój dom znajdował się na terenie Government Residential Area, getta dla białych, w których domy stoją połączone w grupy. Za każdym domem mieszczą się *boy's quarters* - oddzielone murem wysokim chyba na dwa metry. Tam to, na tyłach mojego domu, w nędznym, podłużnym, niskim budynku z czworgiem drzwi, mieszkali

steward Ron z dwiema żonami i trojgiem spośród wielu jego dzieci, *houseboy* Ken (z ciągle zmieniającymi się przyjaciółkami), służąca Simi i czterech strażników, którzy żyli w Lagos bez rodzin; ze względu na brak miejsca trudno sobie zresztą wyobrazić, żeby było inaczej. Tych trzynaście osób nie miało do dyspozycji nawet połowy tej powierzchni, jaką zajmowałam ja z dwoma kotami, trzema łazienkami i trzema zamrażarkami...

Biuro Strengfurt AG znajdowało się tuż obok domu szefa Nickela i jego ryczącego osła, którego ciągle było sływać. Na obiad zapraszaaliśmy się kolejno do każdego z nas. Najczęściej jednak jechaliśmy (choć zawsze bez Nickela) do mnie, bo Ron naprawdę dobrze gotował. Bardzo po europejsku, a nawet znał wiele dań niemieckich.

- Nauczył się od żony twojego poprzednika - wyjaśnił Bernd.

- Bernd, nic mi jeszcze nie mówiłeś o tym Hartmannie. Dlaczego uciekł na łeb na szyję?

- Hartmann był młody, jakieś dwadzieścia osiem lat. Przyjechał do Lagos z żoną Iris, taką młodziutką blondynką. Śliczną jak malowanie. Dla obojga była to pierwsza praca za granicą. Nie mieli dzieci. Hartmann rzucił się w wir pracy, a jego Iris siedziała w domu i się nudziła. Proszone kolacje i popołudniowe kawki to nie jest aż taka atrakcja dla kobiety, na oko, dwudziestoczteroletniej, prawda? Po sąsiedzku mieszkało wtedy angielskie małżeństwo, Shiltonowie. Iris zaprzyjaźniła się z panią Shilton, która była prawie w tym samym wieku. We dwie nie były już takie samotne, gdy mężowie szli do pracy.

Shiltonowie byli w Nigerii już od dwóch lat i narobili sobie wielu wrogów. Oboje bowiem nie za bardzo lubili Murzynów. Szczególnym wrogiem pani Shilton był jej *houseboy*. Przyłapała go parę razy na kradzieży i dlatego porządnie złajała. Zrobiła to jednak bardzo niemądrze, bo w obecności jego żony i dzieci przed *boy's quarter*. Dwa dni później w nocy, kiedy Shiltonowie położyli się już spać, przed dom podjechało kilka pikapów. Nocni strażnicy nie mieli do roboty nic pilniejszego, jak ukryć się pod zaparkowanymi samochodami. Pewnie *houseboy* otworzył wtedy zakratowane drzwi i napastnicy wpadli do sypialni Shiltonów. Samego Shiltona przywiązano do łóżka i pobito, a jego żonę gwałcono przez wiele godzin na jego oczach. Potem ban-

dyci splądrowali dom i zniknęli. Następnego dnia panią Shilton, której zupełnie pomieszało się w głowie, wsadzono do samolotu lecącego do Anglii. Jej mąż próbował przekonać policję, że za tym wszystkim mógł stać tylko ich *houseboy*. Policja jednak nic nie zrobiła i Shilton także wyjechał, nie oglądając się na nic. Naturalnie Iris dowiedziała się o wszystkim i nie chciała zostać w tym kraju ani dnia dłużej. Hartmann oczywiście wyjechał razem z nią.

Chciałam wybrać się znowu na targ, ów kolorowy symbol Afryki, który pokazała mi Rhoda. Wizyta na targu, na który odwiózł mnie Femi, wypadła jednak zupełnie inaczej. Ktoś potracił mnie, bo tym razem, wystrzegając się afrykańskiej maskarady, nie włożyłam wrappera - i moja torebka z prawem jazdy oraz pieniędzmi zniknęła. Krzyknęłam za uciekającym złodziejem, ktoś podjął pościg i zatrzymał go. Odzyskałam torebkę. Lepiej by jednak było, gdybym trzymała język za zębami! Złodziejowi zarzucono oponę samochodową, żeby nie mógł uciec, i bito go do krwi. Nawet żebracy go kopali. Tłum wrzeszczał i klaskał, spojrzenia ludzi mówiły, że oczekują ode mnie pochwały. A ja się wstydziłam. W końcu przyszło dwóch policjantów, którzy zabrali nieszczęśnika, znów okładając go pałkami.

Kilka dni później potwornie rozboleła mnie głowa, tak że nie wytrzymałam w biurze. Pieszko ruszyłam w dziesięciominutową drogę do domu, chciałam się położyć. Wprawdzie ze względów bezpieczeństwa zabroniono mi chodzić pieszo, ale Femi pojechał załatwiać na mieście jakieś sprawy. Było wczesne popołudnie. Co rusz spotykałam kobiety niosące na głowie baniaki z wodą lub wiaderka, każde o pojemności od dziesięciu do dwudziestu litrów. Im bliżej byłam domu, tym więcej spotykałam kobiet. A przed moim domem stały w kolejce, czekając, aż mój kucharz Ron napełni wodą z kranu ich baniaki i wiaderka. Wodą, której poprzedniego dnia kupiłam za 400 marek i kazałam napełnić tysiąclitrowy kontener na dachu.

Na mój widok Ron zrobił potwornie zaskoczoną minę, ale damy czekające w kolejce jeszcze zaopatrzył. Wieczorem poprosiłam go o rozliczenie pieniędzy za prowadzenie domu. Przyszedł z długachną

listą produktów żywnościowych. Roiło się na niej od błędów. Delikatnie zwróciłam mu na nie uwagę. Ron uśmiechnął się do mnie uprzejmie: Ostatecznie ma dwie żony i troje dzieci, a w stronach rodzinnych czeka żona numer trzy i jeszcze sześcioro dzieci. Miałam mu opowiedzieć o swoich dwojgu dzieciach, dziesięciu zdezelowanych autach i 100000 marek długów? Pewnie nie zrozumiałby związku. Ja byłam biała i bogata. On czarny i biedny. A między nami wykopany głęboki rów, pełen nieporozumień.

Nieporozumień, które czasem mogą kończyć się tragicznie. Gdyby jakiś biały opowiedział mi historię o skurczonym szefie, prawdopodobnie bym nie uwierzyła. Ale Femi, który obcował z obiema kulturami, był wiarygodnym źródłem.

-Przed rokiem mieszkał tu, w *community*, pewien biały z żoną. Przyjechał z pani kraju, *Germany*. Przysłała go jego *company*, żeby zorganizował firmę na nowo. Robotny człowiek, zawsze pracował. Ale w ogóle nie rozumiał Afryki. Jednego z brygadzystów nowy master bardzo nie lubił. Ciągłe go łąjał. W końcu go wyrzucił. W dniu swego odejścia brygadzista przyszedł do biura mastera: Master, niech mi pan pozwoli zostać. Mam rodzinę. Ale niemiecki człowiek pozostał nieugięty: Odejdź, jesteś zwolniony.

Wtedy brygadzista powiedział: Jeśli mnie pan zwolni, przydarzy się panu coś złego. Rzucił na mastera klątwę i zniknął. Niemiec go tylko wyśmiał.

W tydzień później niemieckiego mastera rozboleła głowa i ciągle chciało mu się pić. Wszystko go bolało. Ale pracował dalej, bo był robotnym człowiekiem. Tydzień później wszystkie garnitury Niemca okazały się za duże, kołnierzyki koszul odstawały od szyi, a buty spadały z wychudzonych nóg. Mężczyzna z wysoką gorączką poleciał do Niemiec, ale jego żona została tutaj. Niemieccy lekarze stwierdzili, że nie zgadzają się wyniki pomiarów, jakie przeprowadzono przed jego wyjazdem do Afryki. Poza tym mężczyzna zmałał; zamiast metra osiemdziesięciu sześciu miał tylko metr osiemdziesiąt trzy. Jego stopy zmniejszyły się o numer. Nie rozpoznano jednak żadnej choroby. Mężczyzna chciał zresztą wrócić do żony do Lagos, bo praca też była dla niego bardzo ważna.

Wrócił i popracował jeszcze tydzień. Pewnego ranka przyjechał po niego kierowca. Żona Niemca odprowadziła męża do samochodu, ten wsiadł z tyłu, kierowca chciał ruszać, więc zapytał jak co rano: Do biura, sir? Ale jego master nie odpowiedział. Kiedy kierowca się odwrócił, master powoli przechylał się właśnie w bok. Kierowca wysiadł i zaczął wołać o pomoc. Wszyscy przybiegli, także żona mastera. Za późno. Biały master już nie żył.

- To pan był jego kierowcą? - zapytałam Femiego.

- *Yes, madam.*

Nigdy nie mogłam za długo wytrzymać w wielkim, pustym domu, dlatego robiłam tyle wycieczek z Femim. Tym bardziej nie rozumiałam takiej kobiety jak Gerda Nickel, która rzadko opuszczała dom, choć nie miała w nim nic do roboty. Nie pozwalano jej dotknąć się żadnej pracy. Poza tym wyglądało na to, że Gerda niczym się nie interesowała. Właściwie żyła od przyjęcia do przyjęcia. Nie wychodziła nawet do ogrodu, bo opętany na punkcie seksu osioł nastawał również na nią. Nickel mógłby bez trudu przepędzić zwierzę do diabła, ale ponieważ tego nie zrobił, nasuwało się podejrzenie, że to on wytresował tak osła. Wskutek tego zwierzę prześladowało nie tylko odwiedzające willę kobiety, lecz przede wszystkim żonę gospodarza.

Izolacja we własnym domu nie służyła psychicznemu zdrowiu Gerdy. Piła alkohol jak gąbka. Po pijanemu kazała się kierowcy wozić do supermarketów. Kiedyś wykupiła cały zapas szczoteczek do zębów w sklepie, innym razem kazała przywieźć z targu sto kur. Służba musiała je potem zabić i oskubać, po czym steward musiał kury zamrozić. W zamrażarkach było przecież miejsca pod dostatkami. Niestety, wkrótce potem zdarzyła się przerwa w dostawie prądu. Wszystkie kury się rozmroziły, a na białych kafelkach przed zamrażarkami potworzyły się wielkie, śmierdzące, czerwone kałuże. Rano przyszła do kuchni Gerda, zobaczyła, co się stało, i przerażona podniosła krzyk. Nikomu nie udało się jej przekonać, że w zamrażarkach nie leży trup. Najpóźniej w tym momencie Klaus Nickel powinien był pomóc żonie, ale tego nie zrobił. Nieszczęście potoczyło się więc dalej.

Gerda, która sama nie miała potomstwa, nienawidziła dzieci. Przede wszystkim siedmiorga czy ośmiorga swojego stewarda. Ciągłe napominała go, żeby nie wpuszczał dzieci do domu szefa. Steward zresztą przeważnie przestrzegał tego zakazu. Ale jego najmłodsza córka, niepełna dwuletnia o lalkowatej buzi, naturalnie nie rozumiała zarządzeń ojca. Steward właśnie zmywał naczynia, gdy jego najmłodsza latorośl bawiła się w kuchni. Musiał na chwilę wyjść, żeby wynieść śmieci. Kiedy wrócił, zastał przy zlewie swoją madam. Z wściekłością na twarzy wciskała właśnie jego córeczkę do brudnej wody. Za karę, bo mimo zakazu weszła do domu. Uderzeniem pięści przerażony ojciec oddzielił szefową od udreżonego dziecka.

Gdyby wrócił tylko minutę później, jego córeczka by nie żyła. A tak śliczne dziecko miało pozostać kaleką do końca życia. Wymagającą stałej opieki. Klaus Nickel wsadził żonę do samolotu lecącego do Niemiec. W *community* opowiadano, że nie wyszła już z zakładu dla nerwowo chorych. Nickel dał stewardowi mnóstwo pieniędzy, żeby trzymał język za zębami i zniknął na zawsze razem ze swoim kalekim dzieckiem. Sam Nickel był potem wolnym człowiekiem, nie zmienił już jednak stanu cywilnego. Miał mnóstwo przyjaciółek. Nagle zniknął także opętany na punkcie seksu osioł. W każdym razie ten czworonogi.

Nickel zaczął tworzyć sieć powiązań handlowych z Nigeryjczykami. Ustawa nakazywała pięćdziesięcioprocentowy udział Nigeryjczyków w nowo powstających firmach. Świetna konstrukcja prawna, pozwalająca na obieg pieniędzy innymi kanałami. Najważniejszym pomocnikiem Nickela w tym procederze był jego główny księgowy Lion Okoro. A ja, jako kontrolerka finansowa, byłam naturalną przeciwniczką takich powiązań. Ostatecznie moja praca polegała na ograniczaniu kosztów i szukaniu oszczędności. Z początku Okoro, który studiował w Niemczech ekonomikę przedsiębiorstw i choćby dlatego liczył na objęcie mojego stanowiska, przynosił do mnie, jak się należy, wszystkie dokumenty. W niektóre samotne weekendy wyżywałam się na otrzymanych od Okoro aktach, sprawdzając swój węch detektywistyczny. Brakowało sporych kwot, które przelewano na jakieś inne konta.

Któregoś dnia jeden z księgowych wygadał się, że Okoro buduje dom. Co za przypadek! Główny księgowy buduje dom akurat wtedy, gdy firma uruchamia nową fabrykę. W nowomowie bankowej to naturalnie tylko „fistaszki”, od których koncern obracający miliardami nie zbiednieje. Ale po co w takim razie byłam w Lagos? Rozmowa z Nickelem nie przyniosła rezultatu. Niczego innego nie mogłam się jednak spodziewać. Sensowne wydawało się natomiast przypuszczenie, że Nickel trzyma z Okoro: dzięki temu miał w ręku buchaltera, który krył jego własne, znacznie bardziej lukratywne interesy. Jedno wielkie bagno. Kiedy mogłam udowodnić Okoro szereg malwersacji, poinformowałam kierownika produkcji, Jurgena Weissa, któremu mogłam zaufać.

Potem, w którąś sobotę, Okoro zaprosił Nickela i mnie na wielką imprezę. Nie podejrzewałam niczego, kiedy Nickel poprosił mnie, żebym reprezentowała firmę. On sam miał ponoć inne zobowiązania. Femi miał w ten weekend służbę, więc by mnie zawiózł. W piątkowy wieczór, ku memu zaskoczeniu, Nickel oświadczył jednak, że potrzebuje Femię - co nie zdarzyło się nigdy dotąd. W sobotę wieczorem Femi miał odebrać z lotniska gości firmy.

- Wie pani co, pani Wowo - oznajmił na koniec wspaniałomyślnie mój szef - niech pani jedzie sama. W pewnym sensie to przecież wyjazd służbowy.

W sobotnie południe pojechałam więc sama do Okoro, przebijając się wozem firmowym przez całe Lagos. Chodziło o uroczyste oddanie do użytku jego domu. Gigantyczne przyjęcie z setkami gości i kilkoma zespołami muzycznymi. Muszę przyznać, że Okoro bardzo się o mnie troszczył. Czas mijał szybko. Był już wieczór, kiedy ruszyłam w drogę powrotną. Po przejechaniu mniej więcej trzech kilometrów peugeot zaczął się krztusić. Na pustej szosie nastąpił koniec jazdy - nie było w baku benzyny. Mogłabym przysiąc, że gdy przyjechałam, bak był w połowie pełny. Femi nigdy by mi nie zostawił prawie pustego baku.

Znalazłam się w pułapce! Samiuteńka jak palec stałam gdzieś na peryferiach Lagos w nieprzeniknionych ciemnościach. I było już dośyć późno. Co miałam robić? Zablokować drzwi i czekać w samocho-

dzie? Dopóki „ktoś” się nie zjawi? Policja? Lub najpierw gangsterzy, którzy zbiją w aucie szyby?

Postanowiłam wysiąść i pomaszerować pieszo. W pobliżu żywej duszy. A tym bardziej policji, która poza tym ciągle działa kierowcom na nerwy swoimi kontrolami. Słyszałam tylko szczenie jakichś psów.

Wcześniej usłyszałam motorower. Jechał szybko. Myślałam już, że nie chodzi o mnie, bo wyglądało na to, że minie mnie pędem. Nagle poczułam cios, który przeszył mnie niczym silne porażenie prądem. Obróciłam się dookoła własnej osi i upadłam w przydrożny kurz. Kiedy się jeszcze zastanawiałam, czy do mnie strzelano, usłyszałam warkot powracającego motoroweru. Zatrzymali się, zabrali moją torebkę, która leżała parę metrów dalej, i z dużą prędkością odjechali bez słowa. Moje pieniądze, moje nowe nigeryjskie prawo jazdy, moje klucze do domu! Choć irytowała mnie jeszcze utrata rzeczy doczesnych, to jednak, jak się wydaje, nadal żyłam.

Chwiejąc się na nogach, oszołomiona, ruszyłam ulicą. W końcu rozległ się za mną odgłos pracującego silnika. Policja! Nie miałam wątpliwości, że na tych szerokościach geograficznych nie są oni przyjacielem i pomocnikiem każdego. Miałam jednak szczęście. Zabrali mnie na swój posterunek, na którym przekrzykiwało się apokaliptyczne zgromadzenie bezrękich żebraków, pobitych do krwi złodziei, pijanych dziwek i jęczących białych, którzy jak ja skarżyli się, że stracili takie czy inne mienie. Opowiedziałam o swoim nieszczęściu jednemu z policjantów, po czym taksówka odwiozła mnie do domu. Musiałam wstąpić do *boy's quartier* po stewarda Rona. Bez klucza, jak wiadomo, nie mogłam przecież wejść do domu. W przeciwieństwie do bandytów, którzy mieli moje klucze i dzięki nim mogli to zrobić w każdej chwili. Natychmiast zadzwoniłam do Kolonii i opowiedziałam o swoim pechu. W tydzień później przyszła przesyłka z nowymi zamkami patentowymi, do tego czasu pełnili służbę strażnicy z karabinami.

Femi osobiście przyprowadził peugeota, o którego dbał z wszelkimi honorami. Szok dla biedaka: koła, lusterko wsteczne, światła i inne pożyteczne części zapasowe zostały wymontowane przez złodziei. Dokładnie tak jak poprzednio w porcie. Teraz przynaj-

mniej nie ja będę musiała za to zapłacić. W warsztacie Femi sam zbadał, co się stało. Przedziurawiono przewód doprowadzający benzynę. Żebym odjechała dostatecznie daleko i utknęła w jakimś odludnym miejscu.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć, Ilono - oburzał się Bernd. - To są metody mafii!

- Mafia by mnie zastrzeliła - odparłam rzeczowo.

Stało się jednak jasne, że jeśli nadal będę bruździć Nickelowi, nie ujdzie mi to już płazem. Nie wystarczy więc wymanewrować Okoro. Muszę pokrzyżować szyki temu podstępnemu Nickelowi. Albo trzymać się z daleka od tych spraw. Przyjrzałam się w lustrze czerwonej pędze, jaka została mi na ramieniu i plecach po uderzeniu pejcem przez bandytów. Na drugim ramieniu widać było jeszcze bliznę po ugryzieniu przez osła Nickela. Byłam autentycznie naznaczona! Jak zła czarownica. A przecież byłam tylko zwyczajną kontrolerką. Dla Nickela jedno i drugie znaczyło pewnie to samo.

Powrócił także mój dawny problem - auta Johna i mojego ojca. Tym razem jednak John mnie nie oszuka, choć nie zamierzałam bezpośrednio brać udziału w całej akcji. Razem z Femim przejechałam parę razy obok warsztatu Mary. W końcu wysłałam przodem Femiego, żeby ustalić, ile samochodów zostało już sprzedanych. Praktycznie wszystkie! Zadzwoiłam do ojca do Niemiec i powiedziałam mu, jakich instrukcji ma udzielić Johnowi.

Kilka dni później siedziałam w mieszkaniu jednego z przyjaciół. Serce biło mi jak szalone. Z pokoju obok słyszałam głos Johna, który przyniósł, jak się należy, pierwszą ratę należności za sprzedane samochody. Kiedy poszedł, przeliczyłam zostawione przez niego kolorowe nigeryjskie banknoty. Prawie wszystko wręczyłam Mike'owi, Amerykaninowi, który po wielu latach spędzonych w Nigerii zamierzał sprzedać swój jacht kierownikowi produkcji w Strengfurcie, Jurgeniowi Weissowi. W ten sposób Mikę dowiedział się, jaka powinna być oficjalna cena kupna jego jachtu. Jako powracający, mógł legalnie wymienić nairy na dolary i przesłać je do kraju. Jiirgen Weiss z kolei miał przelać równowartość w markach niemieckich ze swojego niemieckiego banku na obciążone długami konta ojca.

I powiodło się! Dochód ze sprzedaży drugiego transportu aut rzeczywiście pokrył nawet część długów zaciągniętych na pierwszy transport. Mimo to pozostało mi jeszcze 50000 marek na minusie. Niemniej jednak ojciec był ze mnie bardzo zadowolony. Ja zresztą też. Mimo to John zarobił na tym handlu więcej: kupił bowiem parcelę i rozpoczął budowę dużego domu. W drodze z biura do domu Fermi jechał codziennie obok placu budowy i informował mnie o postępach. Wyglądało na to, że John znacznie bardziej angażował się w budowę domu niż w handel samochodami. Dopiero gdy ojciec zapowiedział przysłanie do Lagos trzeciego ładunku aut, opowiedziałam mu o domu Johna. Wreszcie ojciec zrozumiał, że w interesach z Johnem może zyskać tylko jeden z nich - a mianowicie John.

Yemi a tradycja obrzezania

Moim obu kotom życie w naszym chłodnym, prawie sterylnie czystym domu wydawało się trochę nudne. Zwłaszcza Gwiazdka, moja długowłosa kotka perska, spędzała dużo czasu na polowaniu. Z braku myszy łowiła kolorowe jaszczurki, które godzinami leżały na murach, wygrzewając się w słońcu. Nikt mnie nie ostrzegł, że należy kotu tego zabronić. Oczywiście. Ron i Ken nienawidzili przecież obu moich pokojowych tygrysów.

W pewną sobotę wieczorem Gwiazdka zaczęła wymiotować raz za razem. Torsje wstrząsały pięknym zwierzęciem. Bez rezultatu przeszukałam swoją ogromną apteczkę domową. Po Ronie i Kenie nie mogłam spodziewać się pomocy. Posłałam więc po Femiego, który miał właściwie wolny weekend. Minęła cała noc. Zjawił się dopiero w niedzielę w południe, a w jego towarzystwie elegancki Murzyn ubrany po europejsku. Femi powiedział już weterynarzowi, którego z trudem udało mu się odnaleźć, że przyjechałam z Niemiec. Abiola powitał mnie więc po niemiecku. Gwiazdce - bliskiej kocich zaświatów - zaaplikował kilka zastrzyków i dał mi lekarstwa, które w następnych dniach postawiły kotkę z powrotem na nogi. Od tej pory nigdy więcej nie polowała na jaszczurki.

Naprawdę bardzo mi żal mojej Gwiazdki, która musiała tak cierpieć, żebym mogła poznać Abiolę. Już kilka dni później razem z żoną Yemi zaprosił mnie do siebie do domu. W ich małżeństwie panowało niezwykle jak na nigeryjskie warunki równouprawnienie. Oboje przed piętnastoma laty wyjechali do Berlina. Najstarsza córka została

z babką, w rodzinnej wiosce w dżungli na terytorium Jorubów. Abiola studiował w Berlinie weterynarię, Yemi zdobyła kwalifikacje pielęgniarki i położnej. Dopiero przed rokiem wrócili razem z dziećmi do Nigerii, po urodzeniu przez Yemi czwartej córki. Abiola rozwinął na nowo działalność przede wszystkim dzięki pieniądzą białych, którzy mieli zaufanie do lekarza znającego ich język i chętnie powierzali mu swoje zwierzęta.

Abiola i Yemi mieli mnóstwo wielkich planów. Yemi realizowała właśnie marzenie swego życia - stworzenie domu porodowego. Zbierała na to pieniądze od zamożnych ludzi i kształciła Nigeryjki, które zamierzała zatrudnić. Ciągle była w ruchu, mówiła, śmiała się. Po pracy często kazałam się wieźć do nich.

Ale nowo otwarty dom porodowy poznałam dopiero wtedy, gdy moja służąca Simi nie zjawiła się w pracy, a Ken nie chciał powiedzieć, co się stało. Simi była w swoim pokoju w *boy's quarter*. Wychudzona leżała nieruchomo na macie na podłodze. Małe pomieszczenie wypełniał nieprzyjemny zapach krwi i moczu. Nie chciała jednak przyjąć ode mnie pomocy. Posłałam więc po Yemi, która wzięła ją do domu porodowego.

Dla Yemi historia choroby Simi należała do smutnej rutyny. Kiedy Simi miała jedenaście lat, została wydana za znacznie starszego mężczyznę z rodzinnej wioski i natychmiast zaszła w ciążę. Ciąża była ponad siły dla jej delikatnego ciała, nie udzielono jej opieki lekarskiej. Bóle porodowe trwały przez wiele dni, a mimo to pozostały bez skutku: dziecko umarło jeszcze w jej łonie. W końcu jakaś akuszerka wyjęła dziecko po brutalnym nacięciu krocza, uszkadzając przy tym pęcherz i odbył. A w dodatku prawdopodobnie używała niesterylizowanych narzędzi, od czego rana zaczęła ropieć; utworzyły się przetoki. Wskutek nieudanej operacji Simi nie mogła utrzymać moczu ani stolca. To wyjaśniało, dlaczego zawsze tak pachniała tanimi perfumami i ciągle się przebierała.

Pracowała u mnie, żeby zaoszczędzić dość pieniędzy na prawdziwą operację, która umożliwiłaby jej jako młodej kobiecie życie godne istoty ludzkiej. Mąż bowiem ją odtrącił. Yemi pomogła Simi, mimo to dziewczyna nie mogła potem kontynuować pracy w moim

domu: w jej osłabionym ciele rozwinęła się gruźlica. Uzgodniłyśmy z Yemi, że odeślemy Simi do jej rodzinnej wioski, żeby tam mogła wyzdrowieć. Wkrótce po powrocie dziewczyna ponownie wyszła za mąż i urodziła dwoje zdrowych dzieci.

Grace, następczynię Simi, poznałam w domu porodowym. Była już w połowie czwartego krzyżyka, silna kobieta, której urodzenie piątego dziecka pomogło w pewnym stopniu przeboleć utratę czwartego. Była przekonana, że mała Mercedes jest reinkarnacją jej córeczki Bintu. Bintu zniknęła, gdy miała akurat półtora roczku. W owym czasie Grace mieszkała z mężem w Ajegunle; on pracował jako czyściciel wychodków, ona miała stoisko przy ulicy, na którym sprzedawała papierosy, mleko skondensowane i pomidory w puszkach. Rodzina mieszkała w nędznej chacie.

Potem mąż Grace zachorował - gruźlica. Grace nie wiedziała, co począć. I wtedy usłyszała o banku narządów, który kupuje nerki. Ona sama jednak - podobnie jak jej mąż - nie wchodziła w rachubę jako dawca z powodu słabego zdrowia. Najstarszemu synowi, który miał wówczas piętnaście lat, ojciec zabronił oddania nerki. Od pewnego przyjaciela mąż Grace dowiedział się, że inny bank narządów poszukuje niemowląt i małych dzieci. Ale Grace nie chciała oddać swojej słodkiej Bintu, która zaczęła tak pięknie paplać.

W tamtym czasie dostali jeszcze jedną hiobową wiadomość, że osiedle domków z blachy falistej ma być zburzone. Grace rozglądała się gorączkowo za nowym dachem nad głową. Kiedy wróciła do domu, jej mąż i mała Bintu zniknęli. On wrócił później z całą górą banknotów. Nie tylko zgodził się na wycięcie córce nerki, ale sprzedał całe dziecko. Za nową chatę w dzielnicy biedoty. Mimo to Grace nie odeszła od niego.

Nie przeprowadziła się do dawnego pokoju Simi, tylko co wieczór jeździła do domu. Swojej małej Mercedes nie zostawiała już jednak samej z mężem, tylko zabierała ze sobą do pracy. Na wszelki wypadek.

Wówczas niewiele jeszcze słyszałam o obrzezaniach w Nigerii, sądziłam, że ten temat należy już do przeszłości. Co za błąd! Yemi opowiadała o pacjentkach rodzących dzieci wśród potwornych męczarni.

A potem dostała wiadomość, że w jej rodzinnej wiosce ciężko zachorowała jej siostrzenica, dwunastoletnia Selia. Przekonałam Femiego, żeby zostawił mi służbowy samochód, i pojechałam tam z Yemi.

Po podróżach z Johnem nie szokowały mnie już surowe warunki w wiosce niedaleko Ilaro, około stu kilometrów na zachód od Lagos przy granicy z Beninem. Spałyśmy na ziemi w domu matki Yemi, glinianej budowli, z której odpadała fasada. Dom nie miał wprawdzie ubikacji ani kuchni, ale było w nim za to pomieszczenie pełne masek i świec, w którym stał ołtarz. Kiedy weszliśmy do Selii, dziewczynka leżała na podłodze z wysoką gorączką, obsiadła ją chmara much. Pomagałam podawać jej antybiotyk w płynie.

W nocy Yemi opowiedziała mi, na czym polega choroba jej siostrzenicy. Kilka tygodni temu Selia przeszła pierwszą miesiączkę. Dlatego razem z innymi dziewczynkami miała być obrzezana, a następnie zaprowadzona do rodziny swego młodego męża, któremu ją obiecano jeszcze jako dziecko. Uroczyste obrzezanie obchodzono bardzo hucznie: było dobre jedzenie, napoje, tańce i śpiewy przy wtórze bębnow.

Selię rozebrano i związano jej ręce na plecach, trzy kobiety przytrzymały dziewczynę w pozycji siedzącej na niskim krześle. Jedna z nich złapała ją mocno za pierś, dwie pozostałe rozwarły jej uda, żeby szeroko otworzyć srom. Akuszerka odmówiła modlitwę, po czym złożyła bogom w ofierze kurę, jaja i ryż. Następnie stara akuszerka odcięła Selii żyłkę łechtaczkę - bez znieczulenia i prawdopodobnie bez dezynfekcji. Selia wiała się w piekielnych bólach, mimo że spętana, broniła się tak mocno, iż stara straciła równowagę i powiększyła ranę bardziej niż to konieczne. Matka Selii obcierała obficie płynącą krew samymi palcami. Pozostałe kobiety, macając, sprawdziły, czy skutek cięcia usunięto wszystko, co trzeba. Akuszerka posmarowała otwartą ranę pastą z jakichś ziół. Cała procedura trwała mniej więcej dwadzieścia minut.

Żeby rana goiła się lepiej, Selii związano nogi. Nieprzytomną położono na posłaniu w domu kobiet. Jednym z następstw operacji było zapalenie pęcherza. Ponieważ oddawanie moczu sprawiało piekielny ból, Selia powstrzymywała się od sikania. Kiedy rana się nie goiła, a Selia popadła w delirium, matka zabrała ją z domu kobiet. Nie wie-

dząc, co począć, zwróciła się do swojej siostry Yemi. Bez jej pomocy Selia by umarła, co wytłumaczono by jako wolę Boga. W dniu naszego przyjazdu dobiegły właśnie końca uroczystości pogrzebowe dziewczyny obrzezanej tego samego dnia co Selia.

Choć cierpienia Selii wydawały mi się przerażające, Yemi wiedziała, że jeszcze większym barbarzyństwem musi być dla mnie obrzezanie faraoniczne. Usuwa się wówczas łechtaczkę i mniejsze wargi sromowe od dołu do góry i wyskrobuje od wewnątrz wargi sromowe. Następnie akuszerka łączy je trzema lub czterema kolcami akacji, a wszystko zszywa nicią. W pozostawiony otwór w tkance bliznowatej wtyka się źdźbło słomy lub trzcinkę, żeby umożliwić odpływ moczu i krwi menstruacyjnej. Yemi przyznała, że prawie wszystkie obrzezane kobiety mają przez całe życie problemy zdrowotne, które wymagają właściwie stałej pomocy lekarskiej. Właściwie...

Kobiety po obrzezaniu faraonicznym Yemi poznawała już po chodzie: nie potrafią należycie podnosić nóg przy chodzeniu, tylko nimi powłóczą. Poród po obrzezaniu to przeważnie krwawa męczarnia. Mimo to prawie wszystkie kobiety dają się potem ponownie zaszywać, żeby zachować atrakcyjność dla męża.

Yemi nie oczekiwała ode mnie zrozumienia miejscowych obrzędów i zwyczajów. Próbowałam ją przekonać do naszych europejskich poglądów o samostanowieniu w sprawach seksualnych.

- Macie wiele przesądów, Ilono - odparła spokojnie Yemi. - Mnie moje obrzezanie w ogóle nie przeszkadza.

Ups! Wpadka! Nie przyszło mi do głowy, że sama Yemi też może być obrzezana. Yemi zachowała powagę.

- Ilono, trzeba patrzeć na naród w kontekście jego tradycji. W moim plemieniu obrzezanie to prastary rytuał. Dziewczeta czują społeczną presję choćby za sprawą swoich przyjaciółek. Domagają się go już małe dziewczynki. Wierzą, że obrzezanie pomaga w higienie narządów płciowych, uniemożliwia śmierdzące wycieki, nie pozwala się zalegnać pasożytom, a nawet chroni przed gwałtem, sprzyja poczęciu i ułatwia poród. A wszystko to są tylko argumenty kobiet. Mężczyźni w niektórych okolicach żenią się tylko z obrzezanymi kobietami. Ale na pewno wiesz to wszystko.

Przekonywanie kobiet, że ich córki będą miały lepsze życie bez obrzezania, stanowiło część pracy Yemi w domu porodowym. Ale ona była w rozterce między zachodnim oświeceniem a afrykańską tradycją. Zadałam jej drażliwe pytanie:

- A twoje córki, Yemi? Je także każesz obrzezać?

- Moja najstarsza wychowała się u swojej babci. Moja matka wcale mnie wcześniej nie spytała. Dla niej było absolutnie jasne, że to się robi.

- A ty sama też byś przeprowadziła obrzezanie dziewczyny? - Nie odpuszczałam.

Yemi bez cienia wątpliwości skinęła głową.

- W dżungli na pewno. Jeśli taka jest tradycja rodzinna. U mnie przynajmniej pacjentki mogą być pewne, że wszystko odbywa się w higienicznych warunkach. Ale tu w Lagos - zastrzegła się - ta tradycja to już w dużej mierze przeżytek.

- Tradycja jest więc ważniejsza od samostanowienia?

- W twoim kraju nauczyłam się - odpowiedziała mądrze Yemi - że uważacie za słuszną tylko jedną drogę. I dlatego, że samemu się jakichś rzeczy nie robi, nie powinny ich także robić inne narody.

- A więc twoja odpowiedź brzmi „tak”?

- Jestem za samostanowieniem w obrębie danej kultury, Ilono. Tradycje trzeba pielęgnować. Nawet jeśli ludzie stojący z boku tego nie rozumieją. A teraz ja cię zapytam: Uważasz, że to słuszne, że misjonarze wędrują po świecie i narzucają innym narodom swoją wiarę?

Dzisiaj sędzę, że przez Yemi przemawiał pragmatyzm. Ona nie chciała zmieniać, tylko dostosować się do warunków. Dlatego wybrała takie, a nie inne zawody: pielęgniarka, położna. Pomagać, żeby ułatwiać ludziom życie. Nie po to, żeby je zmieniać. I dlatego było rzeczą oczywistą, że Selia wkrótce po wyzdrowieniu wyjdzie za mąż i będzie rodzić dzieci wśród straszliwych męczarni. A jeśli umrze przy porodzie, to taka będzie wola Boga. Yemi swoją pomocą będzie mogła powstrzymać tę wolę tylko na krótko.

Yemi pomagała innym tak dużo, że zbyt mało uwagi poświęcała własnemu ciału i wrażliwej duszy. Cierpiała na ciężką astmę. W pe-

wien piątek, po trzech miesiącach znajomości z Yemi i Abiola, przyszłam do nich na kolację. Yemi była właśnie po kolejnym gwałtownym ataku astmy i nadal cierpiała na krwawe wymioty.

-Myślę, że powinnam pójść do lekarza. Bo jestem też znowu w ciąży.

Uśmiechnęła się dzielnie. U nas w takich wypadkach wzywa się karetkę pogotowia. Ale w Lagos wszystko było znacznie bardziej skomplikowane. Abiola nie posiadał takiego luksusu jak telefon. Musieliśmy poprosić Femiego, który czekał na mnie w samochodzie, żeby pojechał do kuzyna Abioli w odległej dzielnicy. Ten kuzyn miał prywatną klinikę, do której chcieliśmy zawieźć Yemi. Femi zawiadomił kuzyna i wrócił do Abioli, i dopiero wtedy, w środku nocy, mogliśmy przetransportować Yemi do kliniki.

Szpital sprawiał wrażenie bardzo zadbanego, według europejskich standardów. Kuzyn czekał już na Yemi, zbadał ją i umieścił w jednoosobowej sali. Obiecałam jej, że nazajutrz rano przyjdę ją odwiedzić razem z Abiola.

- To na pewno nic groźnego. Nie martw się. Najpierw się prześpię - powiedziała do męża.

Ale Abiola się martwił, bardzo się martwił.

- Miło z twojej strony, że nam pomogłaś, Ilono. Bo na pewno nie mógłbym prowadzić samochodu - rzekł rozdygotany.

Następnego ranka o wpół do ósmej stałam z Femim przed domem Abioli. Dzieci błagały, żeby je zabrać do matki. Zaproponowałam, żeby je wziąć: niech zobaczą, że z Yemi wszystko w porządku. Nie było jeszcze ósmej, kiedy dotarliśmy do prywatnej kliniki. Drzwi do pokoju Yemi były zamknięte.

- Cicho, dzieci. Mama jeszcze śpi - powiedział Abiola i otworzył drzwi, trzymając w ręku termos z Ostfriesentee, ulubioną herbatą Yemi.

Dzieci cisnęły się za nim.

-Mamo!

Abiola cofnął się, jakby się zderzył ze ścianą. Trzy dziewczynki zamarły. Dopiero w tym momencie i ja zajrzałam do pokoju. Krew. Wszędzie krew.

Pewnie Yemi próbowała w nocy wstać, poprosić o pomoc. Nie miała już siły dojsć do drzwi, osunęła się na ziemię i wykrwawiła. Abiola wypuścił z ręki termos, odwrócił się, krzyknął, wybiegł na korytarz. Sześćioletnia córeczka szlochała rozpaczliwie:

-Mamo!

Dwie młodsze, jedna trzyletnia, druga roczna, nic nie rozumiały. A potem zaroilo się od lekarzy, pielęgniarzy i pielęgniarek. Dobry Boże, a gdzie oni byli wcześniej?

Poprosiłam w firmie o urlop i wzięłam wszystkie trzy dziewczynki do siebie, do wielkiego domu. Wreszcie moja liczna służba miała coś do roboty. Oba koty, za sprawą których poznałam tę rodzinę, miały za zadanie pocieszyć złamane serca trzech małych dziewczynek. Zatrzymałam je u siebie do pogrzebu Yemi. Zapuszczony cmentarz, na którym wyblakłe, plastikowe kwiaty pomiędzy brudnobiałymi nagrobkami na próżno starały się obiecywać zmarłym żywą pamięć. Zresztą grób Yemi wkrótce po pogrzebie nie wyglądał inaczej. Jednak w rocznicę śmierci żony Abiola publikował zawsze anons na pół strony uzupełniony jej zdjęciem. Rok w rok to samo zdjęcie ślicznej młodej kobiety, która nigdy się nie starzała.

„Tradycje należy pielęgnować. Nawet jeśli ludzie stojący z boku tego nie rozumieją”. Jakbym słyszała głos Yemi, kiedy sadiłam krzak hibiskusa na jej grobie. Jego czerwone kwiaty błyszczały mocno, wyróżniając w ten sposób miejsce spoczynku tej niezwykłej kobiety.

Wraz z Yemi jakbym straciła też Abiolę. Bywały w świecie weterynarz, przybity zgrzyotą, odsunął się od wszystkich ludzi. Dopiero później dowiedziałam się, co było przyczyną: to z małżonków, które owdowiało, miało się wyrzec świata na trzy miesiące. Abiola wprawdzie pracował dalej, ale rygorystycznie unikał wszelkich kontaktów prywatnych. Po tych trzech miesiącach zorganizował w wiosce Yemi wspianą uroczystość żałobną, na którą ja, jako obca, nie zostałam zaproszona. Dziewczynki Abioli zabrała do wioski babci któraś z krewnych. Wychowywane wcześniej po europejsku, miały żyć teraz w dżungli, której nie znały.

Co jakiś czas podejmowałam próbę dotarcia do Abioli. Odcinając się od świata, na pewno nie przysłużył się swoim córkom. Zastanawiałam się, jak mogłabym pomóc tej rodzinie, która stanowiła dla mnie grono najważniejszych przyjaciół. Moja Janet była teraz w wieku środkowej córki Abioli. Może mogłyby się zaprzyjaźnić. Ale Janet nie była przy mnie. Tylko daleko. I znalazła już w szkole pierwsze przyjaciółki...

Prześłanie sowy

Sąsiedni dom ukrywał się za białym murem wysokości mężczyzny: błyszczały na nim w słońcu kolorowe szkiełka. Po raz pierwszy dwuskrzydła brama była otwarta. Do środka wjeżdżały trzy samochody: na przedzie nowy czarny mercedes, w którym siedziała młoda Murzynka w złotym turbanie, *gele*, czyli kunsztownie zawiniętej na głowie chuście - wyglądała w nim jak królowa. Jej szyję zdobiły złote obręcze. Obok niej gruby Murzyn. Za mercedesem wjechały dwa załadowane walizkami i kuframi pikapy, na platformie każdego z nich uzbrojony w karabin ochroniarz.

- Femi, czyżby sprowadzał się mój nowy sąsiad?
- On już jest pani sąsiadem, ma'am.
- Pewnie jego żona wraca z podróży? - wysunęłam przypuszczenie.
- Nie, ma'am. Według mojej oceny znowu sprowadził sobie żonę.
- Czyżby miał ich kilka?
- Tak, ma'am. O ile mi wiadomo, ma ich wiele.

Z bardzo prostego powodu moja wrodzona ciekawość nie obrała sobie dotąd za cel sąsiedniego domu: otóż ode mnie widać go było tylko przez wąskie, wysoko umieszczone zakratowane okno w toalecie na pierwszym piętrze. Wpadłam do domu, pobiegłam do toalety na piętrze i zaczęłam wyglądać przez okienko na podwórze sąsiada.

A tam obwieszona biżuterią Murzynka rozglądała się właśnie po swojej nowej siedzibie. Myślałam, że mnie wzrok myli: na jej powitanie pojawiało się coraz więcej i więcej kobiet, wszystkie ubrane w długie, białe szaty. Całe siedlisko kobiet. Zaczęłam liczyć. Nie da-

łam rady. Roiło mi się w oczach. Przy dwudziestej trzeciej zrezygnowałam. Ale na pewno było ich co najmniej trzy tuziny. Poza tym dochodziło coraz więcej dzieci.

W końcu gromada ludzi - a wśród nich gruby mężczyzna - zniknęła w licznych drzwiach budynku. Tymczasem pięciu lub sześciu jeszcze grubszych, ogolonych do skóry mężczyzn dokończyło rozładunku obydwu pikapów i zataszczyło wszystkie rupiecie do głównego budynku. Zbiegłam na dół do Kena. On na pewno będzie wiedział, co to za harem po sąsiedzku.

Ken nabrał wody w usta.

- Nie znam tego człowieka, ma'am.

- Ken, mieszka pan tutaj o wiele dłużej ode mnie. Niech mi pan wreszcie powie, kim jest ten sąsiad!

W końcu odpowiedział, wbijając wzrok w ziemię:

- Nazywają go czarnym Jezusem, ma'am. Tak w każdym razie mówią ludzie.

- A te kobiety, Ken? Dlaczego ma tyle kobiet?

- Żyją u niego jak w klasztorze, ma'am. On obdarowuje je dziećmi, a one pracują dla niego.

- A ile on ma tych kobiet?

- Dzisiaj przybyła kobieta numer 39, ma'am.

Mój sąsiad miał trzydzieści dziewięć żon, więcej niż miesiąc dni. A w moim domu nie było ani jednego mężczyzny przez cały rok... Swego rodzaju niesprawiedliwość.

Chrześcijański harem - czegoż to nie ma na tym świecie! A potem podczas jednego ze spacerów rozpoznawczych po ogrodzie usłyszałam piękną niemiecką piosenkę ludową *Ludzik stoi w lesie*. Zatrzymałam się i zaczęłam nasłuchiwać. Jakaś kobieta śpiewała melodyjnym, dźwięcznym głosem. Potem spróbował powtórzyć piosenkę dziecięcy głosik, ale z „ludzika” dziecko robiło „rudzika”.

- Ludzik - poprawiła łagodnie kobieta.

To była lekcja niemieckiego. Lekcja niemieckiego w haremie.

- Halo, proszę pani, słyszy mnie pani?! - zawołałam ponad wysokim murem w stronę otwartego okna na pierwszym piętrze.

Moje próby zbliżenia przyniosły sukces dopiero po kilku dniach: do mojego ogrodu wpadł kamień owinięty papierem. W ten sposób poznałam Lisę, czterdziestoosmioletnią wówczas monachijkę. W tydzień później spotkałyśmy się w domu Mili, znajomej Lisy. Na spotkanie w dzielnicy Suru Lere przywiózł Lisę jeden z ochroniarzy jej Jezusa. Mila nazywała siebie *consultant*, doradczynią. A w jakich sprawach doradzała, miało się dopiero okazać.

W pierwszej chwili zdziwił mnie dom Mili, w którym również mieszkało mnóstwo kobiet, zwracających się do niej wyłącznie per „siostr”. Były to przede wszystkim młodziutkie dziewczyny, niektóre nawet jeszcze nie nastolatki. Sam dom, bez żadnych znamion luksusu, okazał się wydłużonym, pokrytym blachą falistą domem z gliny z ośmioma pokojami po każdej stronie. Mila, korpulentna kobieta między czterdziestką a sześćdziesiątką, była obwieszona złotymi łańcuszkami i bransoletami, a wśród jej grubych palców nie było takiego, na którym nie błyszczałyby duży pierścień. Podczas pierwszego spotkania prawie ze mną nie rozmawiała, ale wydawała się obserwować mnie z daleka.

Oczywiście interesowało mnie, jak Niemka może się dzielić mężem z trzydziestoma ośmioma kobietami. Skoro ja miałam już problemy z jedną współżoną... Lisa, rzecz jasna, patrzyła na tę sprawę zupełnie inaczej. Przyjechała do Nigerii z mężem Niemcem, który uczył w szkole. Szesnastoletnia wówczas córka zdecydowała się zostać w Niemczech i mieszkać w internacie. Lisa nie miała w Lagos żadnych obowiązków. Miała wtedy czterdzieści dwa lata i wchodziła w okres przekwitania - o wiele za wcześnie. Za pośrednictwem Mili, która oddała jej do dyspozycji jedną ze swoich „sióstr” jako służącą, nawiązała kontakt z Jezusem. I stała się częścią *jego family*, jak on to nazywał. Pozostanie w tej rodzinie na stałe wydawało jej się całkowicie naturalne - została więc trzydziestą trzecią żoną Jezusa. Było to sześć lat temu.

Każda kobieta, która weszła do „rodziny” po niej, była przez inne najpierw „oceniana”, tak samo jak swego czasu Lisa. Jaka małoduszna musiała jej się wydawać moja zazdrość o Mary: *wfamily* Jezus należał do wszystkich swoich kobiet. Duchowy związek z nim był bo-

wiem ważniejszy niż obcowanie cielesne. Każda kobieta miała własny pokój, podobnie jak Jezus. Tam kobiety go odwiedzały. Dzieliły się nim tak samo jak pracą w domu i wychowywaniem dzieci - których było, nawiasem mówiąc, pięćdziesięcioro siedmioro.

Jednym z nich była pięcioletnia wówczas Irina. Jej matką była Lisa, która mimo rzekomej menopauzy zaszła znowu w ciążę. Była ona wdzięczna Jezusowi za to, że zwrócił jej młodość. Mała Irina, bardzo ładne dziecko w kolorze kawy z mlekiem, sprawiała wrażenie osóбки wielce zrównoważonej. Mówiła po niemiecku jak dorosła, rozmawiała z dziewczętami u Mili jakimś śmiesznym pidżynem i według Lisy potrafiła powiedzieć kilka zdań w językach joruba i ibo.

Podczas jednej z wizyt obserwowałam Milę, jak przepowiadała przyszłość swoim „siostram”. Robiła to w bardzo nieskomplikowany sposób, używając muszli ślimaków kauri, które rzucała na ziemię. Uważałam, że to zabawa dla zabicia czasu, i zapytałam żartem, czy mogłaby to zrobić także dla mnie. Odmówiła, mlaskając z dezaprobatą językiem.

W tamtym czasie bolała mnie często lewa noga, ale starałam się nie dopuszczać myśli o bólu i po prostu mniej obciążałam tę nogę, co doprowadziło do lekkiego utykania. Podczas następnej wizyty w Niemczech zamierzałam iść z tym do mojego monachijskiego lekarza, jeśli bóle do tego czasu nie ustąpią. A przede wszystkim miałam złe sny.

W owych snach, z których budziłam się zlnana potem, pojawiała się ciągle gruba sowa z puszystymi uszami. Ta sowa, mająca w przybliżeniu wielkość kury, siadała mi na piersi, rozkładała duże skrzydła i przykrywała mnie swoimi piórami. W innym śnie pojechałam za nią do wioski Johna. Sowa wleciała do domu, w którym ciężarna Efe kopła grób dla Mosesa. Scena przebiegała tak, jak ją przeżyłam. W moim śnie jednak Efe się śmiała, a Moses stał w grobie po barki i machał do mnie życzliwie. Podbiegłam do Mosesa, żeby pomóc mu wyjść z grobu, on jednak chwycił mnie za rękę i ściągnął w dół. Za późno zorientowałam się, że to nie Moses czekał tam na mnie, tylko John. Kiedy leżałam już w grobie, John zaczął go zasypywać. Potem usiadł na ubitej ziemi. „Była czarownicą”, powiedział, jedząc palcami z miski papkę *garri*, którą wciskał mi do ust przez zwały ziemi, jakbym miała się nią udusić.

Kiedy się obudziłam, Frosty zlizywała mi szorstkim języczkiem pot z mokrego końca nosa. Mój bezosobowy, zimny dom zaczynał mnie przerażać. Co wieczór ze strachem kładłam się spać.

Podczas mojej następnej wizyty Mila bez ogródek oświadczyła:

- Opowiedz mi, co ci się śniło poprzedniej nocy.

Gdy opowiedziałam swój sen, Mila ponownie brzydtko mlasnęła językiem: Nigeryjczycy wyrażają w ten sposób niezadowolenie.

- Ktoś cię wzywa - rzekła w końcu. - Sowa jest znakiem, ale ty nie potrafisz go zrozumieć. Wyjaśnię ci to.

To, że Efe rzekomo była czarownicą, słyszałam już od Johna - i z należytą porcją białego sceptycyzmu włożyłam to między afrykańskie mity i bajki. Jednak Mila też nie mówiła nic innego!

-Jeśli ona cię wzywa, musisz pójść do niej. W przeciwnym razie wydarzy się coś złego.

W ułożeniu muszelek kauri dostrzegła moją rychłą śmierć. Przestraszyłam się. Mila popatrzyła na mnie wyrozumiale.

-Nie znaczy to, rzecz jasna, że faktycznie umrzesz. Wyrocznia przepowiada ci tylko twoją drogę. Jeśli znasz swoją drogę, możesz ją zmienić. Taki jest sens tej przepowiedni.

Mila przywołała jedną ze swoich sióstr, Rosę, chudą, może dziesięcioletnią dziewczynkę. Rosę miała pojechać ze mną do pewnej wioski w pobliżu miejscowości Irun. Mieszkały tam mądre kobiety. Potem Mila przekazała mi kilka reguł zachowania: Nikomu mam nie mówić, jak się nazywam, tylko przybrać inne imię. Włosy muszą spleść w warkocze; nie wolno mi ich nigdy czesać. Paznokci w żadnym razie nie powinnam obcinać, tylko je obgryzać i połykać, a ekskrementy zakopywać. Nie wolno mi było zabrać zdjęć swoich ani mojej rodziny, w ogóle najważniejszy był ścisły zakaz fotografowania.

Następnie na zewnętrznej stronie środkowego palca mojej prawej ręki zrobiła małe nacięcie, w które wtarła jakiś czarny proszek. Tę bliźną długości dwóch centymetrów mam do dzisiaj.

- A teraz naucz się pozdrawiać dragą kobietę - powiedziała Mila. - Proszę, nie prawą, tylko lewą. Kładziesz jej na pulsie palec wskazujący, środkowy i serdeczny, mały palec i kciuk chwytają za nadgarstek.

Zmierzyłam wzrokiem „doradczynię” i zapytałam rozbawiona:

-Milo, czyżbyś mnie wysyłała do jakiejś wioski czarownic?

Młasnęła tylko językiem i wyciągnęła do mnie otwartą dłoń.

- Nie wsparłabyś trochę finansowo mnie i moich „siostr”?

Pożyczyłam od Berndta dżipa plus kanister benzyny, stewardowi kazałam zapakować do turystycznej lodówki trochę żywności, poprosiłam jedną z „siostr” o zaplecenie mi włosów, załadowałam do dżipa całą górę utensyliów - od grubych beli białego materiału i sandałów po różne napoje - i razem z małą Rosę wyruszyłam w drogę. Jechałyśmy cały dzień, zanim znalazłyśmy się w pobliżu Irun, 400 kilometrów na północny wschód od Lagos. Przez pierwsze 300 kilometrów trasa prowadziła przypominającymi autostradę szosami, które z powodu złego stanu nawierzchni często były jednak jednopasmowe. Pozostała część drogi była wyboista, niekiedy musiałam pokonywać mostki zbudowane z przerzuconych nad wodą luźnych bali.

W jednej z wiosek musiałyśmy zostawić dżipa, Rosę zorganizowała kilka dziewcząt, które pomagały nam dźwigać. Dalej ruszyłyśmy pieszo. Droga powrotna zajęła mi potem trochę ponad godzinę. Ale w tamtą stronę wlokłam się cztery godziny. Noga tak mnie bolała, że ledwo mogłam chodzić. Kiedy usiadłam nad małym jeziorkiem, żeby ochłodzić spuchniętą nogę, Rosę krzyknęła na mnie, bym tego nie robiła. Później dowiedziałam się dlaczego: zarazki bilharczozy, choroby pasożytniczej, przenoszone są przez stojącą, ciepłą wodę.

Do wioski mądrych kobiet dotarłyśmy dopiero wieczorem. Rosę przedstawiła mnie jako Maję i kładąc się płasko na ziemi, wręczyła prezenty. Ta uniżoność odnosiła się do okrągłej kobiety, w typie „mammy”, która decydowała tutaj o wszystkim. Po powitaniu kazała mnie wnieść do skromnej, przykrytej liśćmi palmowymi glinianej chaty, gdzie wykończona osunęłam się na ziemię.

Musiałam zasnąć od razu. We śnie znów ukazała mi się gruba sowa z dużymi uszami, ale tym razem siedziała u moich stóp. Zerwałam się wystraszona. To nie była sowa, tylko kobieta, która *gele* związała w taki sposób, że koniuszki turbanu lekko sterczały po bokach. Siedziała obok chudej, pomarszczonej kobiety, która w świetle kerozynowej

lampy badała moją spuchniętą nogę. Stara kobieta posmarowała mi ją jakimś chłodzącym płynem, a druga, ta w *gele*, dała mi do picia coś gorzkiego, czego nie byłam w stanie zatrzymać w sobie dłużej. Dostałam okropnych torsji, wymiotowałam, dopóki miałam czym; w końcu została tylko czerwona piana, która toczyła mi się z ust. Później dostałam do picia wodę, która miała wyraźny posmak żelaza.

Po jakimś czasie zapadłam w gorączkowy sen, z którego obudziłam się rano z bólem brzucha. Obok mnie siedziała jeszcze, po nocnym czuwaniu, kobieta w chuście przypominającej sowę. Podkładała pode mnie oddarte kawałki materiału jeden po drugim. Najwidoczniej przeżyte tortury wywołały u mnie miesiączkę. Miałam wrażenie, że ani chybi całkiem się wykrwawię! Zawieszona gdzieś między życiem a śmiercią, majaczyłam na wpół przytomnie, nie będąc w stanie rejestrować tego, co dzieje się dokoła. Kiedy ustało w końcu wyczerpujące krwawienie, kobieta w ozdobnej chuście na głowie zaczęła chodzić ze mną po chacie tam i z powrotem. Wreszcie znów miałam się poświęcać uwagę komuś innemu, a nie tylko własnemu bolącemu ciału.

-Efe! - powiedziałam głośno. - Efe, to przecież pani!

Wyciągnęła dwa palce i położyła mi na wargach, po czym wskazała siebie.

-*Me Nita* - powiedziała w pidżynie, to znaczy: Nazywam się Nita.

Jasne, a ja byłam Maja. Nigdy nie podawaj swego prawdziwego imienia...

Wieczorem mogłam wreszcie wyjść na mały plac wioskowy, na którym tłoczyło się ponad dwadzieścia kobiet. Jedna z nich znalazła jadowitego zielonego węża przed domem rytuałów, większej, okazałej budowli z ozdobnymi drewnianymi kolumnami, które tworzyły biegnącą dookoła loggię. Zinterpretowano to jako znak od przodków, którzy wybrali ten dzień na odprawienie rytuału. Wokół ogniska tańczyły z obnażonymi biustami, przytupując i śpiewając, inne kobiety, które miały obwiązane biodra białymi chustami. Miały na sobie różne ozdoby: bransolety lub łańcuszki z dzwoneczkami na nogach, niektóre wpięły kwiaty we włosy lub zakryły głowę *gele*.

Nad ogniskiem unosił się gryzący dym, który odurzał zmysły. Najwidoczniej palono duże ilości kadzidła. Na skutek żaru bijącego od

ognia i ciągłego tańca kobiety błyszcząły od potu. Wyziewy ich ciał mieszały się z zapachem kadzidła i tytoniu, który kilka z nich paliło albo żuło.

Chuda, stara kobieta położyła na stosie chrustu moją nogę, która grubością nie przypominała już słoniowej, tylko prawie wróciła do normalnych rozmiarów. Reszta mojego ciała spoczęła na macie obok ogniska. W tej niezwykłej pozycji stałam się świadkiem rytuału, który się niezwłocznie rozpoczął. Kobieta określana przeze mnie jako „mammy” siedziała tuż przy ognisku na swego rodzaju zydłu i nosiła przypominające perukę nakrycie głowy ze szklanych paciorków, fantastycznie skrzących się w blasku ognia.

Chuda jak patyk Nita została rozebrana, ukłękła przed „mammy”, wzięła do ręki małą, brązową lalkę z gliny i wrzuciła ją do ognia. Po chwili lalka pod wpływem żaru rozpadła się na kawałki, co kobiety skwitowały pomrukiem. Jedna z nich przyniosła żywą, trzepoczącą się kurę, którą „mammy” potrzyzymała przez chwilę za nogi nad głową Nity, a następnie zanurzyła jej łeb w kociołku z kłębiącą się cieczą. Wyciągnęła kurę i zakręciła nią młynka nad głowami pozostałych tak mocno, że tylko fruwały odpadające pióra. Z niewiarygodną prędkością zbliżyła kurę do miski, po czym szybkim cięciem prawie zupełnie odkroiła jej łeb.

Pulsująca krew popłynęła strumieniem do otwartych ust Nity, która zaczęła pić chciwie. Kiedy ptak się wykrwawił, otworzono mu brzuch i podano Nicie niektóre podroby. Ta polizała zakrwawiony woreczek żółciowy, a potem posmarowano żółcią jej ciało. Następnie napiła się gotowanego nad ogniskiem wywaru i rozpoczęła ekstazy taniec, w uniesieniu wywracała oczami i przestała kontrolować swoje ciało, które podrygiwało gwałtownie. W końcu pozostałe kobiety złapały ją i łagodnie położyły na ziemi. Kiedy skończył się taniec Nity, również ja musiałam opuścić plac, zostałam odniesiona z powrotem do chaty.

Tamtego wieczoru nie zrozumiałam sensu całego rytuału. Elementy ułożyły się w całość niczym puzzle dopiero później, w Monachium, gdy poprosiłam swojego internistę, żeby zbadał mi żyły w nogach. Za pomocą podwójnej sonografii i ultradźwięków stwierdził lewostronny

syndrom pozakrzepowy: w Afryce zakrzep zablokował mi żyłę biodrową - dlatego noga tak mocno napuchła. Gdybym nie pojechała do wioski Nity, mogłam umrzeć. Tak jak zobaczyła to w swojej wyroczni *consultant* Mila. Dzięki temu, że Mila „przełożyła” mój sen o sobie, trafiłam do Nity. A Nita - jestem o tym przekonana - to była Efe, tamta Efe, której kiedyś uratowałam życie, razem z Johnem zawożąc ją do szpitala. W podzięcie ona ustrzegła mnie od śmierci.

Profesor etnografii na uniwersytecie w Ibadanie, któremu opowiedziałam o rytuale, zapytał mnie, czy na początku ceremonii zniszczono lalkę. Kiedy potwierdziłam, wyjaśnił, że w tę lalkę wszedł duch. I ów duch wezwał mnie do Efe alias Nity.

- Tej kobiecie, która panią wezwała, wyświadczyła pani dużą przysługę - objaśnił profesor - a ona dowiodła innym kobietom ze swojego zgromadzenia, że dysponuje wielką siłą duchową.

-I co ona z tego ma? - zapytałam.

- Kiedy opuści swoją wioskę, będzie mnóstwo wiedzieć o sztuce leczenia. Będzie mogła zarabiać dużo pieniędzy jako uzdrowicielka. Ludzie będą ją prosić o odczytywanie snów, przeprowadzanie rytualnych ubojów, wieszczenie albo zdejmowanie uroków. Albo też o rzucenie na kogoś klątwy.

- Przywodzi to na myśl praktyki czarownic - powiedziałam.

Profesor roześmiał się.

-No, a co pani myślała! Pani też przecież była w wiosce czarownic. Czyżby pani o tym nie wiedziała?

Serce księcia

Karteczka na moim biurku pochodziła od Nickela. Krótkie polecenie, żebym tego dnia w południe zjawiła się w pewnej kancelarii adwokackiej. Mieliśmy pertraktować z nowymi partnerami na temat założenia kolejnego zakładu produkcyjnego. Podany adres mieścił się na Victoria Island - czekała mnie więc jazda przez całe miasto. Nie mogłam jednak znaleźć Femiego, bo Nickel kazał mu gdzieś jechać. Nowa szykana i kolejny trik, żeby mnie wyrolować. Przez godzinę siedziałam jak na rozżarzonych węglach, wreszcie Femi wrócił.

Wyprężyłam pierś, chwyciłam mocniej aktówkę i pomaszzerowałam do eleganckiego biura, oczekując jakiejś seksistowskiej uwagi ze strony Nickela. Zwróciło się ku mnie pięć par oczu należących do mężczyzn. Spośród obecnych znałam dwóch: uśmiechającego się szyderczo Nickela i mężczyznę, który - gdy weszłam - podniósł się przedko i zbliżył do mnie z otwartymi ramionami.

-Ilona! A nie mówiłem pani, że odnajdę panią nawet w Lagos?!

- Victor! A co pan tutaj robi?

Głupie pytanie! Przystojny mężczyzna pocałował mnie. Na oczach Nickela. W kancelarii adwokackiej. Wprowadzie bardzo oficjalnie w oba policzki, ale widziałam już niedowierzanie w brudnej oślej wyobraźni Nickela: on nigdy nie uwierzy, że te pocałunki miały niewinne źródło i były następstwem niewinnego flirtu przy świecach w londyńskiej restauracji.

W trakcie pertraktacji okazało się szybko, że Victor stoi po niewłaściwej stronie. Jego rodzina sprzedała Strengfurtowi duży teren w po-

blizu Lagos, gdzie miała powstać druga fabryka - tym razem sprzęgieł. Nie musiałam się długo przysłuchiwać rozmowie panów, aby stwierdzić, że atmosfera jest lodowata. Powodem były naturalnie pieniądze. Nickel i jego afrykański partner nie chcieli ponosić kosztów uzbrojenia terenu, tylko proponowali odliczyć dwadzieścia pięć procent od ceny kupna. I to pomimo że umowa była praktycznie gotowa do podpisu. Kiepski styl, ale chętnie stosowana praktyka. Jako kontrolerka finansów u Nickela musiałam być po jego stronie, toteż znajdowałam się w mało komfortowej sytuacji.

Po trzygodzinnej gadaninie sprawa się wyjaśniła, nie musiałam się opowiadać po żadnej stronie. Wystarczył drobny kompromis: Victor sprzedał teren z piętnastoprocentowym upustem. W rewanżu zakłady produkcyjne Strengfurt AG miały otrzymywać na zasadzie wyłączności dostawy ropy pochodzącej z rafinerii, w której udziały miał ojciec Victora. To było dla mnie najważniejsze odkrycie: rodzina Victora należała do najbogatszych klanów na południu kraju. Podczas gdy sekretarka adwokata przepisywała na czysto nową umowę, Victor umówił się ze mną na lunch w wytwornym angielskim klubie graczy w polo w Ikoyi, sąsiedniej dzielnicy z pięknymi domami z czasów kolonialnych.

Gdy stając sztywno na wysokich obcasach, wychodziłam z Victorem pod rękę z kancelarii, czułam na karku zazdrosne spojrzenia Nickela. Bardzo przyjemne uczucie. Przyszłam jako przegrana - a wychodziłam jako zwyciężczyni. Z Victorem.

- Victorze, dlaczego mi pan nie powiedział, że jest pan prawdziwym księciem? - zapytałam go przy stole, kiedy znaleźliśmy się w pochodzącym z przełomu wieków miejscu spotkań elity.

- Czy to moja wina, że jestem księciem? Już się nim urodziłem. Ale o uznanie ludzi, z którymi się stykam, muszę walczyć. A jak mam to robić, gdy ludzie wiedzą, kim jestem? Każdy drętwieje z respektu. To nudne, proszę mi wierzyć! - oświadczył z lekko zblazowanym oksfordzkim akcentem, który u każdego innego mężczyzny prawdopodobnie by mi przeszkadzał. W wypadku przystojnego Victora dodawał mu nieodpartego uroku.

- Czy to, że ludzie wiedzą, kim pan jest, stanowi dla pana jakieś obciążenie?

-Nie. Dzisiaj już nie. Nauczyłem się z tym obchodzić. Bardzo przyjemnie jest cieszyć się poważaniem. Respekt, jaki mi okazują, wypracowałem sobie na uniwersytecie, i on odnosi się do mojej osoby. W każdym razie przede wszystkim. Nie chciałem - jak niektórzy z moich kuzynów - wieść żywota playboya. Wtedy byłbym tylko bezużytecznym dodatkiem do mojej rodziny.

- W Londynie opowiadał mi pan, że pański ojciec nigdy nie troszczył się o pana. A teraz pana szanuje?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zjawił się starszy kelner.

- Ilono, nadal tak pani lubi *mousse au chocolat*! Tutaj jest bardzo dobry!

-Zauważył pan to?! - Poczułam, że serce przez kilka taktów bije mi szybciej.

- Owszem, zauważyłem. - Powłóczyście spojrzenie. A potem księżę z wyższych sfer w każdym calu zwrócił się do kelnera: - Proszę, dwa razy *mousse*.

Tak, ojciec Victora szanował swego udanego syna. I to tak bardzo, że obecnie prawie siedemdziesięcioletni senior uważał go za całe swoje życie. Victor pozostał jego jedynym potomkiem. To niezwykle jak na Afrykanina.

- Proszę powiedzieć: kiedyś zostanie pan królem swojego plemienia, prawda?

- Na pewno uważa pani to za bardzo staroświeckie?

Wprawiał mnie w zakłopotanie. Ostatecznie żaden przyszły król nie zaprosił mnie nigdy dotąd na pudding czekoladowy!

Victor roześmiał się.

-Przyszły król! - Na jego kształtnych ustach pojawił się lekko gorzki grymas. - Ja też stałem już przed drzwiami dyskoteki, w której mnie nie znano. Czarni nie mają tutaj wstępu, ofuknął mnie bramkarz przy drzwiach. Do dziś jestem wdzięczny temu typkowi, chociaż brzmi to może dziwnie. Takie doświadczenia odciskają piętno, bo pokazują człowiekowi granice. Dla jednych jestem przyszłym królem, dla innych po prostu czarnuchem.

-Proszę, niech pan tak nie mówi, Victorze! W świecie roi się od głupców!

- **Ma pani rację**, Ilono. **I dobrze jest poczuć to na własnej** skórze, zanim człowiek zostanie królem.

- Pan będzie dobrym królem.

- Co to znaczy: „dobry”, Ilono? Wszystko ma dwie strony, i podobnie jest z dobrem. To, co jedni uważają za dobre, drudzy odrzucają. Chciałbym widzieć obie strony. Ale to chyba raczej niemożliwe. Jednak muszę być świadomy odpowiedzialności, to na pewno.

Victor był przystojny, uprzejmy i powściągliwy, filozof i książe. W milczeniu jadłam *mousse*, obserwując, jak delikatnymi, zadbanymi dłońmi bierze serwetkę i ociera usta, żeby całkiem niewinnie zapytać:

- Widziała pani już trochę Nigerii, Ilono? Czy do tej pory nie wyjeżdżała pani ani razu z tego Lagos?

„To Lagos”... Dla Victora to pozbawione twarzy, chaotycznie rozrastające się *boomtown**. On myślał po europejsku, marzył o Szwajcarii i naturalnie o Londynie. Jak jego matka, która nigdy dotąd nie była w Nigerii. W ramach drugiego małżeństwa wyszła za mąż za członka brytyjskiej izby wyższej. To już prędzej był świat Victora, do którego pragnął powrócić za parę dni. Najpierw jednak musiał polecieć na północ, do Kaduny. Wydawało mi się, że w tonie jego głosu przebija brak ochoty na tę podróż.

- Była już pani kiedyś na północy, Ilono?

Zaprzeczyłam. Serce zaczęło mi bić trochę szybciej, kiedy on ciągnął dalej:

- Proszę pojechać ze mną. Koniecznie powinna pani poznać północną część Nigerii. Jest zupełnie inna niż rejony, które już pani widziała - powiedział na swój elegancki sposób jakby mimochodem.

Jak gdyby chodziło o moją wiedzę geograficzną. Jego miękkie akasmitne spojrzenie spod długich rzęs wydawało się niezupełnie świadome znaczenia słów, które wypowiedział. A może jednak? Może szukał sympatycznej towarzyski podróży, osoby, z którą mógłby przyjemnie gawędzić po drodze? Chyba że ten chłodny arystokrata o łagodnym spojrzeniu był w rzeczywistości szczwanym lisem?

Boomtown (ang.) - pot. określenie błyskawicznie rozwijającego się miasta.

- Tam też zamierza pan sprzedawać jakieś tereny, Victorze? - spytałam wymijająco, mimo że perspektywa wspólnej podróży z tym mężczyzną rodziła we mnie oczywiście całkiem inne pytania...

- Nie, mój ojciec wydaje tam gazetę. Nic rewelacyjnego, w każdym razie nie taką jak gazety znane pani z Europy. W tym kraju największe dzienniki mają nakład 200 000 egzemplarzy. Nawet w Ibadanie, ogromnym mieście, gdzie mieszka więcej ludzi niż w Londynie.

- Analfabetyzm? - wysunęłam przypuszczenie, kontynuując konwersację bez należytą koncentracji.

- Nie, chodzi o papier. Nie ma go pod dostatkiem. - Przerwa. - I o politykę - dodał ciszej. - Tak naprawdę jadę tam dlatego, że zdaniem ojca za mało wiem o kraju moich afrykańskich przodków. W tym względzie niewątpliwie ma rację. - Po kolejnej przerwie wyjaśnił mi rzecz do końca. - W przyszłym roku mam zostać wiceprezesem jego koncernu, więc wcześniej chyba rzeczywiście powinienem się mu przyrzec.

Książęta podróżują w bardziej komfortowych warunkach niż zwykli śmiertelnicy: dwusilnikowy prywatny samolot ojca Victora stał gotów do startu, żeby przewieźć nas do oddalonej o prawie 900 kilometrów Kaduny. Po raz pierwszy w życiu wsiadałam do takiej blaszanej skrzyni ze skrzydłami, ale serce przestawało mi bić już przy każdej dziurze powietrznej, w jaką wpadały duże samoloty liniowe.

W maszynie, która czekała w prażącym słońcu, panował nieznośny upał. I było bardzo ciasno. Nagle mój książę znalazł się tak blisko mnie, że niemal się dotykaliśmy. Czułam uderzenia gorąca, a zarazem zimne dreszcze chodzące mi po plecach, dłonie mi zwilgotniały, pot wystąpił z porów. Głośno hałasując, prawie bez amortyzacji, maszyna pomknęła po pasie startowym i wspinała się stromo w górę. Co za widok na Lagos, miasto z tysiącem lagun, wieloma odnogami rzecznyymi i pobliskim morzem. Co za cudowne położenie! Pilot wykonał pętlę, a następnie mocno przechylił maszynę, żeby skrócić na północ. Nasze ciała zostały przy tym przyciśnięte do siebie.

- Boi się pani, Ilono? - Victor popatrzył na mnie z z troską.

- Nigdy dotąd nie siedziałam w czymś takim - przyznałam się speszona.

Wziął w dłonie moje wilgotne i zimne ręce. Wstydziłam się, przede wszystkim dlatego, że zaczęłam pocić się jeszcze mocniej. Wdychałam świeżą woń jego wody kolońskiej i słuchałam melodyjnego głosu, którym opowiadał mi coś o Lagos. Mądre zdania o przyroście ludności, wielu religiach i nieudolności kolejnych rządów, które targane konfliktami interesów nie potrafiły zapanować nad miastem ani nad całym krajem. Ale jakie to wszystko miało znaczenie - tu, w górze? Samolocik wpadał wprawdzie co chwila w dziurę powietrzną, by jednak zaraz wspinać się z powrotem. Nie czułam już, że właściwie powinnam drżeć o życie. Przecież Victor trzymał mnie za ręce. Jeśli o mnie chodzi, ten lot mógł trwać bez końca. Latanie łączy. Teraz przekonałam się o tym na własnej skórze...

W pewnym momencie zielona kraina w dole zmieniła się w brązową, wyschniętą, prawie pustynną równinę, wypalone pola kłuły w oczy jak brzydkie czarne plamy. Victor opowiadał o wielu żyjących tam plemionach, którym jest ciężko, o wielu wojnach, jakie toczono o tę częściowo całkiem wyschniętą krainę. Tym sposobem dowiedziałam się mimochodem, dlaczego lecimy akurat do Kaduny, miasta stworzonego przez Brytyjczyków od podstaw dopiero w 1913 roku - ojciec Victora podziwiał bowiem dawne rządy kolonialne. A więc przywoływane przez Yemi kulturowe samostanowienie nie istniało - zamiast tego było miasto z szerokimi alejami, zaprojektowane przy desce kreślarskiej. Nie tak afrykańskie jak Nigeria, którą znałam.

Gazeta mieściła się w brzydkim, funkcjonalnym budynku z epoki kolonialnej. Victor zabrał mnie na rozmowy, jakby to było oczywiste, i przedstawił jako „przyjaciółkę z Niemiec”. W Niemczech standardem były wtedy elektryczne maszyny do pisania, w biurach pojawiły się pierwsze komputery, gazety likwidowały właśnie tradycyjny skład z użyciem ołowiu. Tutaj stukały stare remingtony, lecz ludzie byli szczęśliwi. Gazety mogły wreszcie drukować to, co chciały. Pod rządami wybranego w wyborach prezydenta Shehu Shagari panowała przez krótki czas wolność prasy.

Victor chciał obejrzeć tor wyścigów konnych oraz sąsiadujące z nim, mocno zakurzone, miejskie boisko do gry w polo. W stajniach syn wydawcy wdał się w fachową rozmowę ze stajennymi. To był je-

go świat, a nie archaiczne wydawnictwo. Niedaleko boiska do gry w polo znajdował się nasz hotel, Durbar, który miał wtedy akurat pięć lat. Apartamenty były nawet wyposażone w telewizor. Tyle że my nie włączyliśmy go ani razu...

Victor wykonał elegancki skok do hotelowego basenu, a ja, jako nieumiejąca pływać, mogłam tylko czekać na niego, żeby potem wytrzeć jego wysportowane ciało ręcznikiem. W komfortowym apartamencie elegancki kelner obsługujący nasze piętro podał nam wyborną brytyjską kolację. Dla mojego księcia uroczysta kolacja była tylko przygrywką. Dopiero po niej mogłam wreszcie skonstatować, że jest nie tylko księciem, ale i mężczyzną.

Przed wejściem do hotelu kupiłam od ulicznego sprzedawcy kilka ładnych rzeźbionych figurek z ciemnego drewna - przedstawiających lwy, słonie i antylopy. Teraz zapytałam Victora, czy takie zwierzęta żyją jeszcze na wolności. W pierwszej chwili zdziwił się, lecz natychmiast uśmiechnął się do mnie.

- Ilono, to wspaniały pomysł!

Miał na myśli park narodowy Yankari, rezerwat zwierzyny, o powierzchni 2200 kilometrów kwadratowych, położony około 250 kilometrów na wschód od Kaduny. Następnego ranka siedzieliśmy znowu w małej maszynie jego ojca i lecieliśmy na płaskowyż Jos. Wylądowaliśmy w mieście Bauchi, gdzie wynajął dla nas samochód razem z kierowcą, mocno zardzewiałego landrovera, który według mnie niezbyt budził zaufanie. Podobnie zresztą jak kierowca, Hassan, kościsty mężczyzna w długiej, białej szacie i białym turbanie. Hassan okazywał wprawdzie wielką uniżoność, ale nie patrzył nam w oczy. Nigdy nawet się nie skrzywił, bez względu na to, co jeszcze miało się zdarzyć. Victor uśmiechnął się do mnie, dodając mi otuchy, więc wgramoliłam się do pojazdu Hassana. Może powinnam była uprzytomnić Victorowi, że przeżyłam już nieprzyjemne niespodzianki podczas przejazdów po tym kraju. Ale jego wprost rozpierała pozytywna energia.

Płaskowyż Jos to żyzna kraina, nigeryjski eden, w którym uprawia się warzywa. Klimat był przyjemny i niezbyt gorący. Victor starał się nie pokazywać, że jest bogatym człowiekiem z Londynu, wypyując

Hassana o jego angielski pojazd. A ten przejechał już 300000 kilometrów po nigeryjskich drogach i bezdrożach...

Trawa sawanny była dość wysoka i soczyście zielona. Lwy, słonie, żyrafy, sępy, małpy - Hassan obiecał nam, że zobaczymy wszystkie te zwierzęta. Ale na razie nie widzieliśmy ani jednego. Pośród sawanny sterczały natomiast, niczym miniaturowe gotyckie katedry, co najmniej dwumetrowe, rdzawoczerwone kopce termitów ze spiczastymi wieżami. Ambicja Hassana, żeby pokazać nam obiecane zwierzęta, rosła. Kierował samochód coraz dalej w głąb gęstej roślinności. W końcu zobaczyliśmy w pewnej odległości stado słoni, chyba osiem sztuk. Było już po południu, słońce przekroczyło najwyższy punkt swojej wędrówki po niebie. Żeby lepiej widzieć, wystawialiśmy głowy przez otwór w dachu landrovera. Szare olbrzymy w ogóle nie zwracały na nas uwagi.

- Niech pan podjedzie trochę bliżej - poprosił Victor.

Hassan wrzucił ze zgrzytem bieg i wóz, podskakując, potoczył się dalej po nierównym gruncie. Głośny warkot silnika rovera nie przeszkadzał słoniom. Przez lornetki widzieliśmy zwierzęta bardzo dobrze. Dla ochłody wachlowały się zadziwiająco dużymi uszami. Hassan stał obok nas i przeszukiwał wzrokiem okolicę. Nagle wskazał w zupełnie innym kierunku.

- Proszę tam spojrzeć. Tam jest lew. Naprawdę macie szczęście!

W podanym kierunku musiałam długo szukać, zanim faktycznie zdołałam dostrzec jasnobrażową plamkę w rozwidleniu gałęzi drzewa. Znowu usłyszałam niezdrowe grzechotanie pod maską, gdy Hassan włączył silnik, żeby podjechać bliżej do obiektu, który miał wzbudzić naszą ciekawość. Silnik zawył krótko, lecz auto nie ruszyło z miejsca. Hassan powtórzył manewr, zazgrzytało jeszcze głośniej. W końcu wóz, podskakując, pojechał dalej. W czasie gdy my stojąc, trzymaliśmy się dachu, Hassan skierował wóz powoli w stronę lwicy. Stado ptaków poderwało się do lotu. Słonie przebiegły jeszcze kilka kroków i zastygły w bezruchu. Lwica, która znajdowała się już powyżej dwieście metrów na lewo od nas, nie ruszała się. Śpiąc, leżała na rozwidleniu gałęzi.

- Powinniśmy przyjechać tutaj tuż przed zachodem słońca - powiedział Yictor. - Wtedy lwica wykazywałaby trochę więcej energii.

Popatrzyłam na niego. Czyżby nie zauważył, że z landroverem coś jest nie w porządku? Victor rozkoszował się przyrodą - a tymczasem ja bardziej martwiłam się drogą powrotną. Przyłożyłam do oczu lornetkę i omiatałam wzrokiem sawannę, ale nie w poszukiwaniu zwierząt, tylko innych samochodów. Szkopuł w tym, że ich nie było. Ambicja Hassana, który chciał nam zaprezentować prawdziwe safari, zawiodła nas w głąb parku narodowego, z dala od utwardzonej drogi.

- Hassan, jak pan sądzi, spotkamy jakieś żyrafy? - spytał Victor, który dobrze bawił się na tym safari.

Głośno trzasnęło pod maską - udręczony silnik zawył, rachityczny ze starości pojazd nie przejechał już ani metra.

- To pewnie wał rozrządu - stwierdził spokojnie Victor.

„Proszę nie opuszczać pojazdu” - ostrzegał napis przy wjeździe do parku. Hassan wysiadł z landrovera, z całym spokojem otworzył maskę i zajrzał do środka. Popatrzyłam na Victora. Na jego ustach błąkał się ironiczny uśmiech.

- Ilono, to jest Afryka. Dzieje się coś, co właściwie nie powinno się zdarzyć. Czy to nie ciekawe?

Chyba też powinnam była postudiować parę lat w Oksfordzie, żeby równie spokojnie oceniać życie! Niestety, w pobliżu nas była nie tylko lwica i stado słońi, lecz także wiele komarów, których żądzę krwi nie wolno lekceważyć, i to one dobrały się nam teraz do skóry. Victor zasunął dach i zaczęliśmy zabijać komary.

Piaskowego landrovera pośród zielonobrazowej sawanny na pewno trudno było dostrzec.

- Może powinniśmy zatracić - zaproponował Victor.

Dokonane przez Hassana pobieżne oględziny silnika przyniosły jedynie prostą konstatację:

- *Engine broken.* - Czyli: silnik zepsuty.

Kiedy pocąc się w środku wozu, czekaliśmy i trąbili, Hassan wdrapał się na dach swego pojazdu. Przez blachę słyszeliśmy, jak bez przerw mówi do siebie. Czy błągał o pomoc Allaha, czy duchy przodków, tego nam nie zdradził. Po jakimś czasie zaczęliśmy jednak

martwić się o niego. Lwica zeskoczyła bowiem z drzewa i w trawie sięgającej po pachy nie można było już jej wypatrzeć.

- Hassan, niech pan wejdzie do środka! - zawołał Victor, nie chcąc dopuścić do tego, żeby nasz kierowca na naszych oczach stał się przekąską jakiejś lwicy. Z wysokiej trawy do auta był najwyżej metr. Skok na dach, i byłoby po Hassanie.

Hassan wrócił więc do wozu i bez słowa wziął się za trąbienie. Potężny słoń, samiec, uniósł trąbę i ociężale ruszył prosto na nas. Czyżby chciał wyłączyć klakson?

- Myślę, że Hassan powinien przestać trąbić - powiedziałam drżącym głosem.

- *Stop honking* - rzekł krótko Victor.

Hassan posłuchał, mimo to słoń się zbliżał. Zaczął obmacywać trąbą szyby.

- Sądzę, że chce dostać coś do jedzenia - domyślił się Victor. - Jeśli mu nic nie damy, pójdzie sobie.

Rozczarowany ssak o grubej skórze rzeczywiście się wyniósł. Odechnęliśmy z ulgą. Mimo to nasza sytuacja nie uległa zmianie. Pociłiśmy się w saunie, jaką stał się rover, i opowiadaliśmy sobie o swoim życiu. Wtedy po raz pierwszy opowiedziałam komuś o swojej samochodowej drodze przez mękę.

- W takim razie postąpiłaś bardzo odważnie, wybierając się ze mną na to safari - stwierdził Victor.

- Uznałam, że przeżyłam już dość przygód z samochodami.

- Masz rację - orzekł - na następną wycieczkę wybierzemy się łodzią. - Uśmiechnął się do mnie szelmowsko i mnie objął. Oparłam mokrą od potu głowę o jego ramię. - A tak właściwie to wierzysz w los? W coś takiego jak przeznaczenie? - zapytał, patrząc rozmarzonym wzrokiem na cudowny krajobraz.

W tym momencie jakbyśmy obydwój wypadli poza czas, a ziemia przestała się obracać. Awaria samochodu pokrzyżowała wszelkie nasze plany. Nikt nie mógł do nas tutaj dotrzeć. Właściwie była to zatrwająca myśl, zważywszy na nasze położenie, lecz zarazem moment wprost bajecznie piękny. Pośród pierwotnej przyrody obok

mężczyzny, którego cieszyła moja bliskość. Odprężyłam się i pozwoliłam mu, żeby delikatnie masował mi kark.

Przypomniała mi się Mila, doradczyni. Po moim powrocie z wioski czarownicy powróżyła mi przecież jeszcze raz z muszli ślimaków kauri. „Spotkasz mężczyznę. On jest inny niż wszyscy pozostali”, przeczytała słowa swojej wyroczni. Ale potem znowu wydała to swoje brzydkie mlaśnięcie. „Musisz uważać na wasze szczęście. Jest coś, co pracuje przeciwko waszej miłości i możliwe, że zniszczy tę miłość”.

„Wyrocznia przepowie ci tylko drogę. Jeśli znasz tę drogę, możesz ją zmienić. Taki jest sens wyroczni”, powiedziała wtedy.

Bliskość Victora także mnie sprawiała przyjemność i zastanawiałam się, jak mam ochronić nasze szczęście. I w ogóle - przed kim? Przed lwami i słoniami? Na myśl o tym uśmiechnęłam się.

- Ty nie wierzysz w los - stwierdził Victor. W jego głosie po-brzmiewało lekkie rozczarowanie.

- Jeszcze nie wiem - odparłam leniwie, przyjmując z przyjemnością jego pieszczoty, gdy głaskał mnie po głowie.

- Co musi się stać, żebyś wiedziała? - zapytał, pochylając się nade mną, żeby mnie delikatnie pocałować.

- To wystarczy mi na razie jako dowód.

Roześmiałam się i objęłam jego głowę rękami. Nie, nie chciałam dowodów. Bo jeśli słowa Mili miały się sprawdzić, to powinnam cenić tę chwilę bardziej niż przyszłość. Zgodnie z tym wszystkim, czego dowiedziałam się już za pośrednictwem Mili, istnieją siły, których nie potrafimy sobie wyobrazić. Energie, które kobiecie oddalanej o 400 kilometrów umożliwiły na przykład wezwanie mnie do siebie.

-W której religii właściwie się wychowywałaś? - spytałam go później.

- W anglikańskiej - odparł. - Ale wydaje mi się, że wiara chrześcijańska nie udziela wystarczających odpowiedzi na wszystkie pytania. Ojciec poradził mi, żebym się zajął religią ifa. Ifa powiada, że warstwa spirytualna i materialna stanowią jedność. To wyjaśniałoby naszą awarię tutaj. Duch naszego kierowcy nie jest w harmonii z maszyną, którą on obsługuje. Dlatego maszyna odmawia posłuszeństwa wtedy, kiedy jest najbardziej potrzebna. Jeśli utożsamimy się teraz

z losem zepsutego silnika, my też zawiedziemy. Dlatego najlepsze dla nas jest to, co w tej chwili robimy. Czekamy rozluźnieni i w miarę możliwości nie myślimy o zepsutym aucie.

- A jeśli nikt nas nie znajdzie, Victorze?

- Na pewno zostaniemy odnalezieni. Popatrz, nad naszym wozem krążą jakieś duże ptaki. To pewnie sępy.

- Victorze, one chcą nas pożreć! - zawołałam bojaźliwie.

Nie zrobiło to na nim wrażenia, pieścił mnie dalej, masując moje skronie.

- Może i mają taki zamiar. Ale równocześnie zwracają na nas uwagę innych.

Miał rację. Jeszcze przed zachodem słońca zjawili się dwaj uprzejmi strażnicy parku narodowego, zabrali nas do swojej terenowej toyoty i odwieźli do niepozornego hotelu. Hassan musiał zostawić swojego landrovera na pustkowiu, z którego to powodu zaczął głośno lamentować.

W parku narodowym Yankari - teraz już wiem o tym - jest piękny kompleks hotelowy, zbudowany na wzór afrykańskiej wioski. Strażnicy przyrody zawieźli nas jednak do pierwszego lepszego hotelu na skraju rezerwatu. Już gigantyczne kopce termitów przed nim nastroiły nas na nocleg szczególnego rodzaju. Do jedzenia były zebrane na płaskowyżu Jos truskawki, słodkie i świeże w smaku i zapachu. Poza tym były dwa łóżka z dziurawymi kołdrami. Dziś tego hotelu na pewno już nie ma - termyty dawno go pożarły. Podobnie jak Koran i Biblię w nocnej szafce. I nogi tej ostatniej. Tamtej nocy wzięły się ostro do roboty - bez przerwy słychać było skrzypienie. Ale nam to nie przeszkadzało. O ileż romantyczniej było tutaj w porównaniu z idealnym betonowym kłocem w Kadunie. Nigdy bym nie pomyślała, że tylko zachichoczę, kiedy karaluch będzie się wspinał po mojej nodze. Victor elegancko się go pozbył, pstryknawszy palcem. Gdybym siedziała w tym samym „hotelu” z Johnem, na pewno bym się wściekła i przez resztę nocy nie zmrużyła oka.

- Czy to, co słyszemy, to szczekanie psów? - zapytałam.

- Brzmi raczej jak wycie małą - odrzekł Victor.

Na zewnątrz spadł na ziemię jakiś metalowy przedmiot, głośno pobrząkując.

- Małpy? - zapytałam.
- Prawdopodobnie hieny - mruknął Victor. - W kubłach na śmieci na pewno nie brakuje odpadków, które wyciągają.
- Nie boisz się?
- Hieny żywią się wyłącznie padliną - odpowiedział w ciemności. - A my chyba jesteśmy bardzo żywi, nieprawdaż?

Niech afrykańskie siły pierwotne szaleją sobie na zewnątrz. Ja przytuliłam głowę do piersi mojego księcia i słuchałam bicia jego serca. Brzmiało tak uspokajająco.

Duch ze zwróconymi do tyłu stopami

Od śmierci Yemi minęło kilka tygodni. Nie wierzyłam już, że Abiola zgłosi się znowu do mnie. Ale oto nagle stanął przed moimi drzwiami. Ucieszyłam się niewiarygodnie na jego widok, lecz równocześnie wstydziłam się okazać tę radość. Chciałam mu wiele opowiedzieć, a przede wszystkim miałam pracę dla niego. Lekko-myślnie opowiedziałam bowiem ojcu o Nickelu i jego machinacjach.

- Potrzebujesz psa, który cię będzie ochraniał - stwierdził tata.

Ojciec wiedział też, jak mam wejść w posiadanie psa. Moja siostra Monika po zrobieniu matury czekała na miejsce na studiach i miała czas. Chciała więc do mnie przyjechać i przy okazji przywieźć mi psa obronnego. Poprosiłam ojca, żeby załatwił mi airedale terriera, takiego dużego zwierzaka wyglądającego niczym miś pluszowy. Zamiast jednego psa przyleciały dwa. Jak ojciec coś robił, robił to gruntownie. Początek był bardzo obiecujący: żaden z pracowników lotniska nie odważył się podejść do klatek psów. Albowiem zamiast jednego aire-dale terriera Monika przywiozła dwa dogi!

- To prawdziwe psy obronne. Rzeczywiście będą na ciebie uważać - zapewnił ojciec przez telefon.

Jeden dog był w czarno-białe plamki, drugi w brązowo-czarne pręgi. Miały po cztery miesiące i już w tym wieku były niezwykłych rozmiarów - ledwo się mieściły w klatkach. Abiola przyniósł niezbędne dokumenty pozwalające na wwóz. Wspólnie załadowaliśmy klatki na pożyczoną przeze mnie małą ciężarówkę. Zapadał już zmierzch, kiedy wreszcie wyjechaliśmy z lotniska. Pierwsza kontrola policyjna nie kaza-

ła na siebie długo czekać. Monika spojrzała na mnie z przerażeniem, gdy dwaj policjanci zbliżyli się do naszych siedzeń - z karabinami w rękę.

- Ojej -jęknęłam. - Teraz znowu się zacznie! Oni chcą zawsze pie-
niędzy. Robbój w biały dzień, mówię ci. To potrwa dziesięć minut
i bez łapówki poniżej pięćdziesięciu nair na pewno się nie obejdzie.

Policjant arogancko podszedł do okna.

- *God dey, ma'am.* Jechała pani za szybko.

-To niemożliwe, sir, jestem...

Nic więcej nie zdążyłam powiedzieć. W tym momencie rozległo
się z tyłu odważne, bardzo głębokie „hau!” A w odpowiedzi na to tro-
chę głębsze i jeszcze odważniejsze „hau! hau!”.

Policjant odskoczył do tyłu, wyciągnął broń i wlepił wzrok w plat-
formę wozu, gdzie ujrzął dwa dogi, które stały w swoich boksach
i również gapiły się na niego. Jego kolega nawet się nie ruszył.

- Okay, ma'am, jest okay. Miłej jazdy.

-Nie wiem, czego ty chcesz, Ilono. Byli przecież bardzo mili -
skomentowała Monika.

- Czy te dogi mają już właściwie jakieś imiona? - zapytałam.

- Prażkowany ma na imię Baatzi, a ten w plamki Dolly.

- Dolly -jak lalka? - Abiola uśmiechnął się. - To imię pasuje jak ulał...

- Myślę, Moniko, że tata miał rację. Dogi to na Nigerię dobry po-
mysł - oświadczyłam.

I rzeczywiście tak było. Podczas kontroli policyjnych wystarczało, że
spuściłam trochę szybkę w oknie i zapytałam uprzejmie, czego stróże
prawa sobie życzą. Wtedy zaciekawiona Dolly wysuwała zza mnie swój
sympatyczny psi pysk. O godnej uwagi fizjonomii: jedna strona była
czarna, a druga biała. Po czarnej stronie niebieskie oko, po białej brzo-
we. Jej długi język zwiisał z pyska, z czerwonych warg kapała ślina.

-Jest okay, ma'am. Miłej jazdy.

- Sympatyczni policjanci - stwierdziła Monika.

- Też tak uważam - zgodziłam się.

Odepchnęłam delikatnie pysk Dolly, zasunęłam z powrotem okno
i ruszyłam. Policjanci gapiłi się za nami osłupiałym wzrokiem. Dolly
otrząsnęła się. Jej ślina zachlapała szyby. Po prostu wszystko miało
swoją cenę.

A propos ceny - także karma dla psów była w Afryce droga. A dogi lubią świeże mięso, i to w dużych ilościach. Nie żałowałam go moim kochanym zwierzakom, choć miałam przy tym bardzo mieszane uczucia. Nie umknęły mojej uwagi spojrzenia Rona i Kena, kiedy podawali soczyste mięso Baatzi i Dolly. Bo tymczasem ich rodziny jadały dzień w dzień papkę *garri*. Było dla mnie rzeczą absolutnie zrozumiałą, że gdy nie uważałam, brali mięso dla siebie, a dogom dawali *garri*.

- Dogom musisz codziennie zapewnić mięso i kości. Bez zawartego w tym jedzeniu wapna dostaną krzywicy. One jeszcze rosną, Ilono - ostrzegął mnie Abiola.

Od tej pory dbałam o to, żeby moje cztery czworonogi rzeczywiście dostawały przeznaczone dla nich jedzenie. Koty rybę, a psy mięso.

Dogi rosły niesamowicie szybko. Kiedy Baatzi i Dolly hasały po ogrodzie, nikt nie śmiał tam wejść. Nawet Ken, który miał dbać o ogród. Tyle że po krótkim czasie nie bardzo było już o co dbać. Psy przekopały każdą piędź ziemi. Wśród Niemców w naszej dzielnicy szybko rozpowszechniła się opinia, że moje psy znacznie skuteczniej odstraszą gości niż na przykład znienawidzony przez wszystkich osioł Nickela. Wkrótce potem pojawiły się pierwsze zapytania, czy nie sprzedałabym jednego z nich. Za bardzo już jednak polubiłam moje dwa wielkie dzieciaki. Przekazywałam więc te zapytania mojemu ojcu. Import psów był o wiele łatwiejszy niż import samochodów. A Abiola miał coraz więcej nowych wdzięcznych klientów.

Moja siostra powinna naturalnie zobaczyć z Afryki tyle, ile to możliwe. Z drugiej strony zbliżał się nieuchronnie powrót Victora do Londynu. A obiecał mi przecież jeszcze jedną wycieczkę - łodzią. Abiola i Victor, którzy rozumieli się już świetnie dzięki wspólnej miłości do zwierząt, odbyli naradę i doszli do wniosku, że powinniśmy urządzić spływ czołnem przez laguny na wschód od Lagos. Abiola wsadził Baatzi do auta i poprosił Monikę, by usiadła z przodu obok niego; ja z Victorem i Dolly pojechaliśmy drugim wozem, jaguarem księcia, odpowiadającym jego statusowi. Yictor uznał, że nasi zwierzęcy

ochroniarze są *very sophisticated**. Fakt, że właściwie nieszkodliwe psy działają odstrasżająco przez samą swoją obecność, korespondował z jego oschłym, brytyjskim poczuciem humoru.

W Ejinrin na skraju dżungli, która ciągnęła się przez setki kilometrów wzdłuż Zatoki Benińskiej za mangrowe porastające bagniste wybrzeża morskie i szerokimi lagunami, Abiola nieomylnie znalazł to, czego szukaliśmy - czółna. Długie, wydrążone z pnia, w zależności od rozmiarów popychane przez jednego lub kilku tubylców.

Towarzystwo Abioli (i naturalnie obecność dogów) oszczędziło nam kosztów wynajęcia strażnika do aut, co pilnie zalecano. Jaguar Victora podczas jego nieobecności na pewno znalazłby nowego właściciela... Poprosiliśmy Abiołę, który znacznie lepiej radził sobie z dialektami, aby wynegocjował w naszym imieniu cenę całodziennego wycieczki łącznie z dwoma wioślarzami. Kiedy Abiola jeszcze się targował, podszedł do nas młody, mocno umięśniony młodzieniec. To znaczy - podszedł do Moniki, mojej ślicznej dwiętnastoletniej siostry. Dragal skinał na nią i Monika przyjęła jego zaproszenie. Młody człowiek miał czółno długości około sześciu metrów.

- Cena specjalna dla ciebie i twoich przyjaciół - powiedział w pidżynie.

- Ilono, podejdz no tutaj!

Młodzieniec znał się na swoim fachu. W łodzi leżało już kilka poduszek, a jego przyjaciel bez ceregieli wcisnął Monice na głowę słomiany kapelusz z szerokim rondem. Nie musiałam długo czekać i także dostałam kapelusz.

- Chroni przed słońcem - powiedział chłopak.

Brzmiało to przekonująco. Kiedy wręczył kapelusz również Victorowi, zjawił się Abiola ze swoim bosmanem, ale było już za późno - zdecydowaliśmy się na Ezego, jak nazywał się wysportowany młodzieniec.

Jego przyjaciel, którego przedstawił jako Chidiego, był wprawdzie zdecydowanie mniej rozmowny, ale w tym czasie przygotował do drogi łódź, nazywaną pirogą. Dno posypał trawą, na której położył maty

* *Very sophisticated* (ang.) - bardzo wyrafinowany, wyszukany.

z sitowia. Eze przy taszczył z jaguara nasze dwie turystyczne łódki z jedzeniem i napojami. Abiola, w końcu medyk, napomniął nas, byśmy włożyli solidne buty, bo za pośrednictwem wody można się zarazić bilharcją. Dlatego Monika i ja miałyśmy na nogach obuwie sportowe, Victor zaś włoskie sznurowane trzewiki, a do tego nosił obowiązkowy komplet z białego płótna. To, że po tej wyprawie jego drogie ciuchy nie będą miały żadnej wartości, należy naturalnie uznać jedynie za małoskłą uwagę pedantycznej Niemki. Victor myślał w innych kategoriach; takie sprawy były dla niego drugorzędne.

W wąskiej łodzi z zaokrąglonym dnem ubranie było jednak dla mnie najmniejszym zmartwieniem. W takich sytuacjach osoba nieumiejąca pływać zastanawia się raczej nad tym, czy żywa wyjdzie znowu na ląd... Prędko jednak zapomniałam o swych obawach, obserwując drzewa w najróżniejszych odcieniach zieleni i sunąc bezgłośnie po ciemnej tafli wody o lekko zgniłym zapachu.

Ciszę rozdzierały ptaki o mieniących się wszystkimi kolorami piórami, wydające skrzekliwe gwizdzące, wabiące dźwięki. Zielone pnącza i gałęzie drzew skrywały wewnątrz dżungli niczym gęsta zasłona. W wąskich odnogach rzeki błyszcząły jakby oglądane przez dziurkę od klucza różnobarwne wodne kwiaty.

Od czasu do czasu widzieliśmy rybaków, szerokim łukiem wrzucających do wody sieci. W jednej z odnóg rzeki obserwowałam jednego z nich, który miał osobliwą metodę wabienia ryb: najpierw sypał jakiś proszek na powierzchnię wody. Zapytałam stojącego przede mną i wiosłującego rytmicznie Ezego, czy to jakaś czynność rytualna. I otrzymałam odpowiedź, którą wtedy uznałam za żart:

- Nie, proszę pani, to proszek usypiający ryby.

Później dowiedziałam się, że istotnie są rośliny, których utarte w moździerz strąki nasienne oddziałują na skrzela ryb i porażają układ oddechowy. Ryby pływają wtedy do góry brzuchem po powierzchni i łowi się je dużą siecią. To metoda, którą naturalnie można stosować tylko praktycznie w stojących wodach, jak choćby na skraju laguny.

Eze skierował czółno ku brzegowi i wyskoczył zwinnie na ląd. Nadzedł czas na przechadzkę wzdłuż kilku budowli na palach - i piknik.

Chidi przykucnął z boku, ale Eze przysiadł się do nas. Dużo o sobie opowiadał, na przykład, że jest ochrzczonym katolikiem i w ogóle człowiekiem o wiele bardziej w stylu zachodnim niż jego kuzyn Chidi. Chidi wierzy jeszcze w te „bzdury” o ludziach z rzeki. Oczywiście zaraz nastawiłam uszu i zapytałam, co konkretnie ma na myśli.

- Krokodyle. Chcecie je zobaczyć?

Oczywiście, że chcieliśmy! Chidi protestował wprawdzie, co poznaliśmy tylko po jego nastroju, ale Eze przeforsował swoją wolę. Pewnie obiecywał sobie wyższy napiwek, jeśli zaoferuje nam trochę *action*. Nasi wiosłarze skierowali łódź w jedną z odnóg rzeki. Gałęzie drzew niemal dotykały powierzchni wody. Eze robił się coraz bardziej rozmowny. To kraina *earthspirits*, mówił - duchów ziemi. Dla zamaskowania wykorzystują one ciała krokodyli. Ludzie żyjący nad rzekami czczą je i składają im ofiary. Są jednak także wynaturzone *earthspirits*, które mają stopy zwrócone do tyłu. Mają wprawdzie tylko osiemdziesiąt do stu dwudziestu centymetrów długości, ale są tak silne, że potrafią wywracać łodzie rybackie i pożerają rybaków.

Istotnie, widzieliśmy parę krokodyli, które pływały w wodzie, ale wydawały mi się zbyt małe, żeby były w stanie wyrwać łódź. Jednak w głębi zarośli wylegiwały się większe okazy, o długości dwóch do trzech metrów, które ucinały sobie właśnie południową drzemkę.

- Pewnie nie ma jeszcze godziny duchów - zauważył oschle Victor.

- Ma pan jeszcze parę nair? Jeśli tak, to pokażę wam skrzynię, przy której składa się ofiary krokodylom - zaproponował Eze.

Zignorował protest Chidiego. Łódź przedzierała się teraz przez zielony dywan alg, na którym pływały lilie wodne. Eze skierował ją ku piaszczystej łasze i elegancko wyskoczył na ląd. Chidi zaczął go łajać, lecz Eze wyśmiał kuzyna. W południe krokodyle są zbyt leniwe i nie chce im się ruszać, jak nam wyjaśnił. A do skrzyni mamy tylko pięć minut. Za jedyne pięćdziesiąt nair gotów był pokazać nam coś, czego *oibo* nigdy nie oglądają. Zawahaliśmy się. Pięćdziesiąt nair to wynagrodzenie za dwa i pół tygodnia pracy. Musiało więc to być coś szczególnego...

Z początku droga była dobrze widoczna, ale potem pnącza zasłoniły widok. Nasączony wodą grunt był miękki i mieliśmy wrażenie, że

idziemy po skrzypiących, mokrych chmurach. Nagle Eze zatrzymał się przed krzakiem i obiema rękami rozgarnął gęstwinę. Moja siostra krzyknęła piskliwie z przerażenia. Opleciona liśćmi, stała tam ciemna misa, w której leżała kura bez głowy. Wokół misy widać było resztki piór i ślady ciemnej krwi. Trochę powyżej, wśród gałęzi drzewa, wisiała wyrzeźbiona z drewna maska przedstawiająca głowę krokodyla. Wszędzie roiło się od wszelkiego robactwa: chrząszczy, czerwów i tłustych much.

-*Earthspirit* przychodzi tutaj jeść - wyjaśnił Eze.

- Smacznego - podchwycił Victor. - Lepiej chodźmy stąd, zanim moskity nas zjedzą.

- Proszę zaczekać! - zawołał Eze. - Nie widział pan jeszcze krokodyli. Są w jeziorze za skrzynią. Przywabię je.

Ale Victor chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą w kierunku Chidiego, który ruszył już w drogę powrotną do czółna. Odwróciłam się do Moniki, która przypuszczalnie chciała jeszcze pójść do krokodyli. Ezego już nie widziałam. Zniknął w gęstych zaroślach. Usłyszałam jeszcze jego ponaglenie:

- *Come, Monika!*

- Zaczekajcie jeszcze chwilę na mnie! - zawołała do nas Monika.

W tym samym momencie usłyszeliśmy zniekształcony, przeciągły krzyk, a potem zapanowała cisza. Potworna cisza. W następnej chwili Chidi przemknął obok nas, odsunął na bok zdumioną Monikę i zniknął między liśćmi. Wtedy również my i Monika ruszyliśmy biegiem, przez ścianę z liści. Zderzyliśmy się z Chidim, który wyciągnąwszy w naszą stronę rękę, wycofał się ostrożnie.

Przed nami leżało zarośnięte różnymi pędami, małe jezioro. Woda w nim wydawała się kipieć. Jadowicie zielone cząstki roślin wodnych na powierzchni rozpryskiwały się na wszystkie strony. Pośród tego śmigały ciemnobrązowe końce ogonów krokodyli uderzających w wodę. Ujrzyliśmy też brązowe ramię mężczyzny rozpaczliwie szukającego oparcia, którego nie było. Usiana zielonymi punkcikami twarz Ezego wynurzyła się na chwilę z mazi, po czym zniknęła z powrotem. Chidi coś krzyknął, Victor przytomnie próbował ułamać gałąź jakiegoś drzewa. Ta jednak, elastyczna jak guma, odskoczyła na

poprzednie miejsce. Potem rozległ się przeraźliwy krzyk Moniki. Wskazywała ręką krokodyla. Był niezbyt duży, długi może na metr, i zwinnie jak łasica pełzał do wody, w której Eze walczył ze śmiercią. Równocześnie zauważyliśmy, że stoimy już po kostki w błocie, a grząski grunt pod nami nadal ustępuje.

-Wracamy na drogę! - zawołał Victor.

Wzajemnie pomogliśmy sobie wydostać się z bagna. Wystraszeni i drżący staliśmy znowu przed skrzynią ze szkaradną głową krokodyla i patrzyliśmy po sobie bezradnie. Znajdowaliśmy się w samym środku dżungli i nie mieliśmy przewodnika, który by nas z niej wyprowadził.

- Zaczekajcie, proszę. Sprawdź, co robi drugi - powiedział Victor. Byłam tak spanikowana, że skinęłam głową bez słowa i wzięłam Monikę w objęcia. Victor rozejrzał się za jakąś gałęzią, którą mógłby wziąć z sobą, i zniknął wśród liści. Niedługo potem wynurzył się z powrotem zza zielonej zasłony. - Wracamy na łódź - oświadczył, biorąc mnie za rękę.

W milczeniu maszerowaliśmy przez dżunglę, wystraszeni, że nie odnajdziemy drogi.

- Co stało się z tym drugim, z Chidim? - zapytałam w końcu Victora.

- Roi się tam od krokodyli - odparł Victor. - Uciekłem stamtąd, Ilono. Może powinienem był mu pomóc, ale ja nie nadaję się na bohatera. - Uśmiechnął się krzywo. - Przykro mi.

Pogłaskałam go delikatnie po twarzy.

- Eze wiedział, że za tą skrzynią są krokodyle. W takim razie musiał też wiedzieć, że jezioro otaczają bagna. Świadomie naraził się na niebezpieczeństwo.

- Dla pięćdziesięciu nair, Ilono, zaryzykował życie, żeby nam coś zaoferować - rzekł Victor. - Nie wiemy nawet, czy ma rodzinę. Nonsense, oczywiście, że ma rodzinę, wszyscy tutaj mają duże rodziny.

Postanowiliśmy odczekać w czółnie pół godziny - może Chidi jednak wróci. Czas włókł się niemiłosiernie. Bez słowa czekaliśmy pośród cudownej przyrody, której niebezpieczeństw nie dostrzegaliśmy. Siedzieliśmy tam jak na talerzu, jako gotowe danie dla głodnych krokodyli. Minęło pół godziny, mimo to żadne z nas nie chwyciło za wiosło.

Upłynęła chyba cała wieczność, gdy w końcu zjawił się Chidi, zupełnie przemoczony i zielony od stóp do głów. W milczeniu ciągnął za sobą krokodyla. Jego twarz wydawała się kamienną maską, na której widzieliśmy tylko mięśnie i ścięgna. Związał łeb krokodyla brązową, przypominającą rzemień taśmą - według Victora splecioną z lian. Przednie i tylne łapy były podwiązane do góry, w kierunku pleców, wskutek czego gad ślizgał się na brzuchu. Chidi wciągnął krokodyla do czółna, na sam tył, i dał nam znak, byśmy wsiedli. Do jednej łodzi z krokodylem! Monika zajęła miejsce osierocone przez Ezego, ja przeszłam na środek, Victor zachował się wspaniałomyślnie, siadając najbliżej krokodyla.

Chidi wyprowadził nas zręcznym manewrem z odnogi rzeki na otwarte wody laguny. Stojąc, kierował łódź przez jej środek. Tam prąd był chyba najsilniejszy. Zerknęłam na zasznurowany łup Chidiego. Było to piękne zwierzę z jasnobrazowym mazerunkiem na ciemnej, stwardniałej skórze. Próbowalam wydobyć z Chidiego, co zamierza zrobić z gadem. Nie odpowiedział. Na drogę powrotną potrzebowaliśmy najwyżej pół godziny, prąd ciągle nas unosił. W Ejirin, skąd wyruszyliśmy na tę wyprawę, Chidi przybił do brzegu. Czyjeś pomocne dłonie wyciągnęły nas z łodzi. Błyskawicznie otoczyła nas gromada ludzi. Wyglądało na to, że Chidi z podnieceniem opowiada im o losie Ezego. Paru mężczyzn odcumowało łodzie i powiosłowało bardzo szybko w kierunku, z którego przybyliśmy.

Abiola czekał z dogami w pobliżu samochodów. Wykorzystał czas na to, żeby popytać trochę na przystani. Kiedy opowiedzieliśmy mu o Ezem, wydawał się od razu zorientowany, co to za upiorne postacie z rzeki, którym stopy przyrosły odwrotnie do ciała.

- A co Chidi zamierza zrobić z tym schwytanym krokodylem? - zapytaliśmy.

- Przypuszczam, że zabierze go do *babalawo* - odparł Abiola. - Jego zdaniem to ten krokodyl, który zabił Ezego. *Babalawo* spróbuje obłaskawić ducha, który mieszka w krokodylu, żeby uwolnił duszę Ezego.

Popatrzyliśmy po sobie bezradnie. Od strony wody usłyszeliśmy odgłos rozłupywania drewna. To Chidi stał na brzegu i rąbał siekierą czółno, którym przypłynęliśmy. Łódź natychmiast nabrała wody i zatonęła.

- Nie chce już korzystać z tej łodzi - wyjaśnił Abiola.

Wcześniej leżał w niej bowiem duch z odwróconymi stopami. Choć my widzieliśmy tylko ślicznego krokodyla, który nam towarzyszył w drodze powrotnej.

Bożonarodzeniowy niewypał

Interesy wzywały Victora z powrotem do Londynu. Obiecał wrócić po Bożym Narodzeniu i wtedy zostać już całkiem. Sześć tygodni bez mojego księcia! Ciągłe kłótnie z Nickiem sprawiły, że uznałam za wskazane kupno wreszcie własnego auta. Nabyłam volkswagena passata, żeby Monika, moje dzieci i moja matka, które wybierały się do mnie na Boże Narodzenie, mogły bez przeszkód poruszać się po kraju.

Wcześniej auto przeszło chrzest bojowy podczas podróży do dwóch ośrodków kultu spirytualistycznego, które chciałam pokazać Monice (i sobie). Abeokuta, obecnie morze krytych blachą falistą domów, to dawne miejsce schronienia niewolników. Uciekali tam od własnych królów, którzy sprzedawali ich za granicę: do Ameryki Północnej, Haiti, Brazylii. Nad miejscowością położoną nad świętą rzeką Ogun górują olbrzymie bloki skalne, które sprawiają wrażenie, jakby chciały zniszczyć miasto i jego mieszkańców. Według legendy bogowie istotnie mieli taki zamiar, lecz ofiary w ostatnim momencie powstrzymały ich od tego. Na jednej ze skał upamiętniono miejsce krwawego rytuału: zabito tutaj białych, którzy chcieli wysadzić ją w powietrze, bo wewnątrz góry spodziewali się znaleźć złoża złota i diamentów.

Austriaczka Susanne Wenger rozszawiła poza Afryką miejscowość Oshogbo. W latach sześćdziesiątych, gdy sama była już po czterdziestce, pani Wenger razem z nigeryjskimi rzeźbiarzami rozpoczęła przekształcanie świętego lasu nad rzeką Oshun w dzieło sztuki sakralnej.

Powstały po części monumentalne, dziwaczne domy i rzeźby z cementu oraz drewna, które przy wysokiej wilgotności powietrza nieustannie trzeba odnawiać: syzyfowa praca dla bogów.

Las jest mieszkaniem *oriszów*. Dzięki zadaniu, któremu poświęciła odtąd życie, drobna, biała kobieta stała się kapłanką w służbie bogini rzecznej Oshun. W religii ifa Oshun symbolizuje kobiecą siłę, płodność, kreatywność, zmysłowość. To życzliwa bogini, której odpowiednikiem w mitologii greckiej byłaby Afrodyta. W haitańskiej wersji wudu, kultywowanej również w okolicach Nowego Orleanu, Oshun przybrała postać tajemniczej Erzulie. Zamierzałam pokazać ten magiczny las mojemu zainteresowanemu religią księciu, kiedy ten wróci z Londynu. Życie pani Wenger dowodziło, że wiara Jorubów, ifa, wcale nie jest religią zastrzeżoną tylko dla Afrykanów. Ta godna podziwu kobieta jest bowiem powszechnie szanowana przez tubylców jako kapłanka, czyli *olorisza*.

Zbliżyły się dwudzieste urodziny mojej siostry. Ponieważ chciała je obchodzić w domu z przyjaciółmi, poprosiłam Femiego, żeby pojechał na lotnisko i zabukował jej lot powrotny. Femi wrócił rozpromieniony.

- Pani siostra, ma'am, będzie mieć towarzystwo. Pani mąż John leci tym samym samolotem.

- Na miłość boską, Femi, niech pan odwoła tę rezerwację. Bo inaczej on dowie się, że jestem w Lagos!

- Przepraszam, ma'am, o tym nie pomyślałem.

Przesunęłam więc lot powrotny Moniki i świętowaliśmy jej dwudzieste urodziny na plaży w dawnym porcie Badagry, skąd wywożono niewolników. Dla Moniki, dziecka zimnych i szarych dni listopadowych, pływanie w morzu w dniu urodzin było zupełnie nowym doświadczeniem. Niestety, bolesnym: morze ma tam bowiem potężne prądy podwodne, które ją porwały. Niesamowita siła wlokła Monikę wzdłuż plaży. Wyszła z wody z pozdzieranymi do krwi kolananami i rękami.

Jej przedłużony pobyt przyniósł jeszcze jedno odkrycie: Ron, mistrz kuchni, który miał litościwe serce dla wszystkich cierpiących na brak wody sąsiadów, okazał się zdrajcą nie tylko, gdy chodziło o moje zapasy wody.

- Ilono, ten Ron, wydaje mi się, że on cię szpieguje - obwieściła mi pewnego dnia Monika. - Codziennie dzwoni do pana Nickela. I opowiada mu, co robisz.

- Naprawdę? Co słyszałaś?

- Chodziło o przełożenie mojego powrotu. Ron powiedział Nickelowi, że nie lecę dlatego, że na pokładzie będzie John.

Co Nickel mógł zrobić z tą, jak sądziłam, niepoważną informacją? Wiele! Niestety, uświadomiłam to sobie później... W tym samym czasie złożył wymówienie steward mojego serdecznego kolegi Bernda. Namówiłam go, żeby wziął Rona, i tak się stało.

- Okay. Dobrze gotuje, a o mnie co niby miałyby opowiadać? I tak uchodzę już za człowieka niewiarygodnego...

Ronowi powiedziałam, że chcę zatrudnić dziewczynę do dzieci. Ostatecznie w cztery tygodnie później miały przyjechać do Lagos Janet i Bobby. Tessy nie bardzo mogła zastąpić Rona. Jej repertuar potraw obejmował jedynie kuchnię afrykańską. Pozostało mieć nadzieję, że będzie umiała obchodzić się z dziećmi. Ze sztuką kulinarną Rona obcowałam odtąd jako gość Bernda, a obecnością Moniki cieszyłam się tylko do następnego lotu Lagos-Monachium. Pod eskortą dogów udałyśmy się znowu na lotnisko.

-I jak? - zapytałam siostrę. - Co opowiesz mamie? Żle było u mnie w Afryce?

Monika uśmiechnęła się.

- Trochę chaotycznie. Ale bardzo ciekawie - powiedziała. Potem przyjrzała mi się w zamyśleniu. - Ale jesteś pewna, Ilono, że Bobby'emu i Janet będzie tutaj dobrze?

W drodze powrotnej zastanawiałam się, ile jest podobieństw pomiędzy życiem w Dolnej Bawarii a życiem w Afryce...

Zbliżające się święta miały zwrócić dzieci nie tylko mnie, lecz także Abioli. Tak postanowiłam.

-Abiolo, nie możesz zostawić dziewczynek w dżungli. One są przyzwyczajone do niemieckich świąt - powiedziałam.

- Masz rację, Ilono. Ale bez Yemi święta będą dla mnie nie do zniesienia.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- A co byś powiedział, gdybyśmy świętowali wszyscy razem?

Boże Narodzenie było ulubionym tematem rozmów moich niemieckich kolegów. Ale oprócz mnie nikt nie pomyślał o tym, że trzeba by kupić drzewko. Ponieważ w Afryce nie ma jodeł, oni po prostu do tych jodeł latali. Fred, inżynier sprzedaży, miał drzewko z poprzedniego roku. Rachityczną, metrową zaledwie sztuczną choinkę z kolorowymi, kiczowatymi ozdobami, którą mi zostawił. On i jego żona już od tygodni nie mówili o niczym innym oprócz jazdy na nartach w Zillertal.

A teraz zielone drzewko stało u mnie w złotej klatce i czekało na moje dzieci, okropnie rozpieszczone, gdy chodzi o świętowanie Bożego Narodzenia. Dziadek przyzwyczał je do tego, że zawsze była jodła kaukaska wysoka co najmniej na dwa i pół metra. Bobby i Janet nie potraktują serio mojej afrykańskiej oszczędnościowej choinki. Abiola próbował dodać mi otuchy.

- Moje dziewczynki będą bardzo szczęśliwe, mając choinkę - a ich zachwył zarazi twoje dzieci.

Cztery dni przed świętami Abiola przywiózł z dżungli swoje dziewczynki, przy okazji zabrał od razu matkę. Taką naprawdę okrągłą „mammy”, która mówiła prawie wyłącznie w języku joruba, ale za to była niezwykle pogodna i zarażała swoją życzliwością innych. Uważała, że to pasjonujące zaczynać na starość nowe życie w wielkim mieście i pomagać synowi. Miałam nadzieję, że moja matka tak samo na luzie potraktuje zamianę Dolnej Bawarii na Lagos.

Kiedy jechaliśmy z lotniska do domu, Janet i Bobby od razu zaczęli się pocić w moim passacie.

- Uff, mamó, ale tu gorąco - zauważyła Janet.

- Pić mi się chce - poskarżył się Bobby.

- Kiedy wreszcie będziemy na miejscu? - marudziła Janet.

- Jeśli unikniemy korków, za dobre pół godziny - odpowiedziałam. - He czasu zajął wam dojazd z Dolnej Bawarii na lotnisko w Monachium?

- Dwie i pół godziny, Ilono. Nie wyobrażasz sobie, ile śniegu leży u nas - odparła mama.

- Byliśmy już wiele razy na sankach! - zawołał czteroletni Bobby.

- Janet zaczęła jeździć na nartach - uzupełniła mama.

- Dziadek kupił mi nowy, bardzo drogi kombinezon narciarski.

Świetny pomysł mojego ojca. Nowy kombinezon narciarski na pewno będzie dziecku potrzebny w Nigerii!

- Jestem głodny. Zatrzymamy się przy McDonalddie? - zapytał Bobby.

Oszczędziłam sobie trudu i nie wyjaśniłam mu, że nasz świat nie jest jeszcze tak zuniformizowany, żeby w Lagos były McDonaldy na każdym rogu.

- Zaraz będziemy w domu - uspokoiłam go. - Jedzenie na pewno jest już gotowe.

- A kto gotuje, Ilono? - spytała mama.

- Mam kucharkę, mam. Bardzo się stara.

Ale jedzenie Tessy powinno też smakować. Tymczasem przyrządzona przez nią kura okazała się włóknista i twarda, ryż się kleił, a sos był za ostry. Jedliśmy w milczeniu, niechętnie rozrywając mięso na talerzu czubkami palców.

- Jest pudding? - zapytał Bobby.

Gdyby chłopczyk się domyślał, ile zachodu kosztowało zdobycie tutaj puddingu przyrządzanego na sposób niemiecki. I ile pieniędzy! Mimo to pudding nie był ten co trzeba. Janet marudziła, że ma smak mydła, i zostawiła swoją miseczkę. Bobby był mniej wybredny lub po prostu tylko głodny. Wsunął cztery porcje.

Dobrze przynajmniej, że były Frosty i Gwiazdka. Janet rzuciła się z całą swą miłością na obie kotki. Wreszcie coś swojskiego...

- A jak się mają psy? Sikają jeszcze w mieszkaniu? - zaciekawiła się mama.

Janet została przy kotach w domu, Bobby i moja matka poszli ze mną do ogrodu przywitać się z dogami.

- Taki wielki ogród. I taki zaniedbany. Cóż to, Ilono, nikt się nim nie zajmuje?

- Zajmuje się, mam, mam nawet ogrodnika.

- Takiego jak kucharka?

Nadbiegły rozbrykane dogi, wzbijając tumany kurzu wielkimi łapami. A potem rzuciły się do Bobby'ego. Ich grzbiety znajdowały się dokładnie na wysokości jego oczu. Bobby schował się za moją matkę.

-Babciu, boję się!

W ten sposób przestał istnieć dla Bobby'ego temat ogrodu.

Później Janet zapytała:

- Mamo, czy to jest nasza choinka?

- Tak, ładna, prawda?

- Dziadkowa jest dużo większa. Sięga do sufitu.

- Czyżbyście już świętowali Boże Narodzenie?

- Przecież w Boże Narodzenie nie będzie nas w domu.

-Ale będziemy świętować tutaj, w waszym nowym domu.

-Ach, tak...

To niewiarygodne, że dziecko może włożyć tyle rozczarowania w dwa nic niemówiące słowa!

Wigilia przyniosła jednak jeden autentyczny punkt kulminacyjny: prawdziwą choinkę. Wysoką na dwa metry, z zielonymi - i to autentycznymi - igłami. Do tego dwie ogromne paczki. Jedna z ozdobami choinkowymi i girlandami, druga z zabawkami dla chłopczyka i dziewczynki, a oprócz tego francuskie perfumy dla matki i dla mnie. Niewiele brakowało, bym uwierzyła znowu w świętego Mikołaja. Dopóki na podstawie załączonego listu nie ustaliłam, że ten święty Mikołaj ma na imię Victor.

Boże Narodzenie było wielokulturowe, z sześciorgiem dzieci, dwiema babkami, dwiema różnymi kuchniami: Tessy gotowała dla wszystkich po afrykańsku, mama natomiast - na ile pozwalały skąpe zasoby - po niemiecku. Dla dzieci - i dla mnie - zdecydowanie zwyciężyła w tej rywalizacji mama. Nawet Abiola zalecał mi, żebym namówiła Bernda do oddania mi szpiegującego Rona.

- Tessy jest marną kucharką!

Samą uroczystość próbowaliśmy przekształcić w radosne przyjęcie dla dzieci pod Victorową choinką, która w rekordowym tempie traciła igły. Moje dzieci pozostały jednak bardzo ciche. Miałam nadzieję, że druga pod względem wieku córka Abioli zaprzyjaźni się z Janet, która miała niemal tyle samo lat co ona, ale moja nadzieja się nie spełniła. Obie dziewczynki prawie się nie odzywały. Bobby przyglądał się otoczeniu szeroko otwartymi oczami i kiedy ci wszyscy czarni ludzie chcieli z nim świętować, schował się po prostu za plecy babki.

- Jutro pojedziemy wszyscy na plażę - obiecałam.

Nie pomyślałam jednak o tym, że Janet i Bobby mają nadzieję na kąpiel w morskich falach. Po zakończonych krwawo przeżyciach Moniki wolałam jednak tego zaniechać. Jeden niewypał gonił drugi. W tropikalnym słońcu dzieci marzyły o jeździe na saniekach. Bobby'ego dręczyły w nocy koszmary senne, obudził się z głośnym płaczem. A następczej nocy męczył go po raz pierwszy atak astmy.

Nie zamierzałam jednak się poddać. Kiedy Janet pójdzie już do szkoły, na pewno znajdzie przyjaciółki. Taką miałam nadzieję. I cierpiałam. Nie wzięłam pod uwagę tego, że dziecko musi być co rano przewożone autobusem szkolnym przez zakorkowane miasto, co zajmuje półtorej godziny, a wieczorem to samo z powrotem. Jednocześnie nasiliła się astma u Bobby'ego, pilnie potrzebne lekarstwo było po prostu nie do zdobycia.

Mama przełożyła lot powrotny już po raz drugi. Bez niej w ogóle nie byłoby o czym mówić, bo Bobby tak się bał Tessy, która zresztą nie rozumiała moich dzieci, że opowiadał o niej przez sen podczas nocnych koszmarów.

A to wszystko w czasie, gdy Strengfurt AG zaczął budować drugi zakład produkcyjny i prawie codziennie musiałam zostawać po godzinach. Nickel czyhał tylko na mój błąd. Niewątpliwie poznał się jako pierwszy na tym, do czego nie przyznawałam się nawet przed sobą: że nie radzę sobie z podwójnym obciążeniem.

Szefowa działu personalnego z Kolonii, z którą się zaprzyjaźniłam, ostrzegała mnie, że Nickel psuje mi opinię w centrali; odbyła się już nawet konferencja kryzysowa poświęcona mojej osobie.

-Nickel mówi, że zaniedbuje pani swoje obowiązki. Chce, żeby pani odeszła. Ale szef stoi za panią. Odrzucił wniosek o przedłużenie pani okresu próbnego. Chce jednak, żeby angażowała się pani na sto procent.

Nocny atak astmy, podczas którego Bobby omal się nie udusił, przyniósł raptowną zmianę sytuacji.

-Chłopiec potrzebuje innego klimatu. Nie znosi tego wilgotnego upału - orzekł pediatra.

Niemal fizycznie słyszałam, jak wszyscy odetchnęli z ulgą. Pożegnalną kolację gotował - ku zadowoleniu wszystkich - Ron, który wrócił do mnie. Było już jednak za późno. Dzieci wraz z moją mamą odleciały nieodwołalnie do Niemiec. Tam, gdzie były ich serca - przy babci i dziadku.

Nickel potrafił wykorzystać moją słabość. Kiedy - teraz znów jako singiel mając pod dostatkiem wolnego czasu, który spędzałam samotnie - ślęczałam po nocach nad aktami, stwierdziłam deficyt w wysokości pół miliona marek. Kwota ta została wzięta ze specjalnego funduszu Strengfurt AG, żeby - jak to się ładnie nazywa - utrzymać płynność finansową. Moje dochodzenie wykazało jednoznacznie: Okoro zaksięgował całą sumę na kontach pewnej firmy w Lagos, którą przez podstawione osoby prowadził sam Nickel. Po wielogodzinnym studiowaniu akt także Bernd poradził mi, żebym złożyła doniesienie na Nickela, że popełnił defraudację. Nie zdążyłam tego zrobić. Nickel przysłał mi do domu gościa, argumentując, że dom gościnny firmy jest odnawiany, a ja mieszkam sama w dużym domu.

Dieter Scholl był typem mięczaka, który zaczesywał na łysinę skąpe, jasne włosy. Jako specjalista odpowiedzialny za budowę obiektów produkcyjnych miał nadzorować montaż nowej fabryki. Scholla poprzedzała sława kobieciarza. Podobno nazywają go „ogierem”, relacjonował z zatrokaniem Bernd. Wprawdzie poprosiłam Kena, żeby przygotował dla Scholla parter, to jednak nie powstrzymało tego ostatniego od przychodzenia wieczorami do mnie na górę. Nie jestem raczej osobą, która wyprasza gościa tylko dlatego, że jej się nie podoba. Na to jestem zbyt dobrze wychowana. Nie byłam jednak w stanie wytrzymać długo w tym kagańcu, który sama sobie nałożyłam. Scholl uważał mnie za zwierzynę łowną przeznaczoną na odstrzał.

Ale Scholl był mi obojętny. O wiele ważniejszy był powrót Victora z Londynu! W połowie stycznia stanął w moim zakratowanym *living-roomie* z bukietem czerwonych róż. Mimo upału miał na sobie biały garnitur i bordowy krawat z końskim wzorkiem, import dla

dżentelmenów z *merry old England**. Ken wprost płaszczył się przed nim: „sir” to „sir” tamto. Uśmiechałam się w duchu. Ta formalna słuźalczność spływała po Victorze jak woda po gęsi.

Tak, byłam zakochana w moim pięknym księciu z jeszcze bardziej obcego dla mnie świata. Ale nie tylko on przywrócił mi wewnętrzną równowagę, sprawiło to całe moje nowe życie. Z wszelkimi moimi potknięciami oraz intrygami i machinacjami Nickela. Zamierzałam nauczyć się, jak radzić sobie z tym wszystkim. U boku Victora było to bez wątpienia łatwiejsze. Mimo że Victor nie chciał zamieszkać w moim domu. Twierdził, że ma dla mnie niespodziankę. Nie chciałam już dalszych niespodzianek - on był dla mnie niespodzianką. Najpierw pocałował mnie w policzek, *very british*, a potem oświadczył w perfekcyjnej oksfordzkiej angielszczyźnie:

- To specjalna niespodzianka. Spodoba ci się.

W odległości dwóch godzin jazdy samochodem, wliczając korki, w Ikoyi, czyli dawnym Lagos z czasów kolonialnych, Victor dostał od ojca dom. Ale jaki! W parku pośród palm stała dwupiętrowa, biała willa z zielonym, miedzianym dachem i długimi, zadaszonymi tarasami. Dom był urządony ze smakiem: angielskie skórzane meble i ciemne tekowe boazerie, przytulny i w ogóle nie w stylu afrykańskim. Równie dobrze - przynajmniej patrząc od wewnątrz - mógłby stać w Walii.

- Udała się niespodzianka? - zapytał Victor.

Dowiedliśmy sobie, że tak było, na pierwszym piętrze, z dala od oczu służby.

- Duży dom, prawda?

- Mhm - zamruczałam w odpowiedzi w jego objęciach.

- A tak notabene: nie brakuje ci dzieci?

-Owszem... Nawiasem mówiąc, bardzo je ucieszyła choinka od ciebie. Ale poza tym to była totalna kłapa.

- Naprawdę? Może twój dom nie jest właściwym otoczeniem dla twoich dzieci.

* *Merry old...* (ang.) - wesoła stara Anglia.

Powoli zaczęłam myśleć przytomnie. Właściwie byłam całkiem dumna ze swojego domu, nawet jeśli było w nim parę krat za dużo. Znałam Lagos i wiedziałam, że naprawdę wiodę uprzywilejowane życie. Pogłaskałam lekko mojego księcia po gładkiej, opalanej piersi i spróbowałam swoich sił w sztuce dyplomatycznej:

- Jesteś taki słodki, Victorze, bo potrafisz opowiadać bardzo obrazowo. Ale także ten dom stoi w Lagos, w Afryce. I tu, w Ikoyi, będziemy mieć zimą równie mało śniegu, co u mnie, w Ikei.

-Wszystkie problemy da się rozwiązać - oświadczył mój książę. A kiedy wziął mnie w objęcia, wierzyłam nawet, że zdolny jest sprawić, aby dla mnie i dla moich rozpieszczonych dzieci spadł w Afryce śnieg.

„Małe” przyjęcie

Wprowadzając się do willi w najlepszej dzielnicy Lagos, Victor - to znaczy: właściwie raczej jego ojciec - udokumentował przynależność do wytwornego towarzystwa. Ojciec postawił przed Victorem ciekawe zadanie: syn miał się zaaklimatyzować w miejscowym towarzystwie. Na zewnątrz nie sprawiło mu to trudności. Wystąpienia na przyjęciach i sztukę lekkiej konwersacji miał opanowane. Opowiadał mi, że nauczono go tego już w internatach.

- Mój ojciec wydaje dziś wieczorem przyjęcie - oświadczył następnego ranka, kiedy służący podał nam śniadanie na werandzie. - Mogę cię prosić, żebyś mi towarzyszyła?

Omam nie zachłysnęłam się sokiem pomarańczowym. Pierwszą rzeczą, jaka przemknęła mi przez głowę, nie była bynajmniej refleksja, że mój książkę wyświadczy mi zaszczyt, przedstawiając mnie swemu ojcu i Bóg wie, komu jeszcze, tylko pytanie:

- A co ja na siebie włożę?
- To cudowna okazja, żeby wybrać się na zakupy, kochanie!
- Och, naprawdę? - wyszeptalam.

To, że nie miałam pojęcia, gdzie znaleźć w Lagos odpowiednią odświętną garderobę na przyjęcie u księcia, to jeszcze nie wszystko. Miałam też zahamowania. Zakochanie i czułe uściski w sypialni to jedno. Ale moje kobiece wymiary miały przejść chrzest bojowy przed nieprzekupnym okiem znawcy mody z najwyższych kręgów - po prostu czekał mnie horror. Moje biodra, mój biust - na pewno nie były modelowe. Czy eleganckie, modne rzeczy szyto też na kobiety o gorszej figurze?

- Wiesz, kochanie - powiedział Victor w drodze na zakupy na Lagos Island - to nie będzie nic przesadnie formalnego. Po prostu małe przyjęcie.

Kazał sobie podać adres znanego krawca, który zaprezentował nam różne materiały. Moje wątpliwości okazały się bezprzedmiotowe. W czasie gdy pracownicy brali ze mnie miarę, Victor dogadzał jednemu ze swoich kosztownych, lecz miłych kaprysów - kupowaniu perfum. Przyszedł po mnie z całą baterią flakonów. Gotowa suknia miała być u niego w domu jeszcze przed wieczorem. Niewyobrażalne!

I późnym popołudniem przyszła suknia, ale nie jedna - Victor kazał uszyć od razu dwie. Jedna z piaskowego szyfonu, druga z wybranego przez niego samego chińskiego jedwabiu w kolorze lagunowej zieleni. W tym czasie przeprowadziliśmy szczegółowe próby zapachowe wielu perfum. Po wspólnej kąpieli w zbytkownie dużej wannie z jacuzzi z dodatkiem autentycznego olejku jaśminowego o lekko odurzającym zapachu byłam dostatecznie odprężona, żeby pojechać na „małe przyjęcie”.

„Małe”? Nie chciałam wiedzieć, co w takim razie było dużym przyjęciem... Ojciec Victora, do którego wszyscy się zwracali „chief William”, zaprosił gości do nowiuteńkiego hotelu obok Bar Beach, typowego ciężkiego kłosa w stylu lat siedemdziesiątych, jakie stoją na całym świecie. Byłam trochę rozczarowana, śnił mi się pewnie pałac. Ale wewnątrz było tak wytwornie, że ledwo śmiałam oddychać. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że Victor zdecydował się włożyć zachodni smoking, gdyż na „małe przyjęcie” panowie zjawili się przeważnie w strojach narodowych; tylko niektórzy biali byli jak Victor w smokingu.

Czarne damy z eleganckiego towarzystwa miały na sobie wytworne kreacje, kosztowne i kunsztownie zawiązane chusty nadawały ich głowom obcy mi przepych. Ja sama zdecydowałam się włożyć jedwabną suknię w kolorze zieleni lagunowej, z odsłoniętymi ramionami, bo Victor uważał, że ten kolor najlepiej pasuje do mojej białej cery i rudoblond włosów. W swojej skromnej, lecz eleganckiej sukni kontrastowałam całkiem ładnie z barwnymi kreacjami czarnych dam. Na zewnątrz było trzydzieści stopni, a ja marzłam. Klimatyzacja bez przerwy pompowała do sali zimne powietrze.

Ojca Victora wyobrażałam sobie naturalnie zupełnie inaczej. Ojciec król okazał się przyjemną niespodzianką - dosyć wysoki i szczupły mężczyzna o siwych skroniach, rzeczywiście wyglądający na arystokratę. Rodzina Victora ze strony ojca miała tradycyjny sentyment do białych kobiet, jego prababka była Portugalką.

Ubrany po afrykańsku senior rodu oprowadzał po sali Victora i mnie z wszelkimi oznakami ojcowskiej dumy. Runda uśmiechów na prawo i lewo, ale niezbyt męcząca. Zaskoczeniem był dla mnie fakt, że szczególnie łatwo nawiązywałam rozmowę z damami towarzyszącymi liczny chiefo. Nie nosiłam nazwiska Victora i przedstawiano mnie jako biznesmenkę z Niemiec. To wzbudzało ciekawość, bo wiele żon chiefo też było biznesmenkami. Mimo to nie mogłam się w pełni skoncentrować - przekłeta klimatyzacja! Nie potrafiłam ukryć gęsiej skórki na swoich nagich ramionach.

- Biedne dziecko, pani przecież marznie! Czy mogę pani pożyczyć swoją narzutkę?

Niemal macierzyńskim gestem jedna z kobiet narzuciła mi na ramię szeroki szal wyszywany drogocennym, złotym haftem. Wspinała robota, jakby stworzona dla mojej sukni. Podziękowałam za ten niespodziewany gest sympatii.

- Jestem Betty - przedstawiła się życzliwa, okrągła kobieta - jedna z ciotek Victora. - Popatrzyła na mnie nieco kpiącym, lecz życzliwym spojrzeniem. - Wy, białe kobiety, zawsze chcecie być takie szczupłe. Nic dziwnego, że tak szybko marzniecie.

- Jak mogę zwrócić pani szal? - zapytałam.

- Och, proszę go odesłać przez kierowcę. Oto moja wizytówka.

Rzuciłam przelotnie okiem na wizytówkę ozdobioną wspinałym herbem. Pod herbem widniało nazwisko, a pod nim tytuł *president*. Miała własną firmę, tyle że nie w Lagos, ale w Benin-City.

- Proszę mnie kiedyś odwiedzić - zaprosiła mnie Betty. - Na pani cześć każę ugotować coś naprawdę afrykańskiego. To nie to samo co te zimne europejskie potrawy.

Była to aluzja do zdaniem prawdziwej Afrykanki niewartych wzmianki tartinek z kawiozem i ostryg, które obłożone lodem, trzymane były w bufecie. Sądząc po tempie, w jakim ten pustoszała, wy-

dawały się smakować większości gości. Chciałam kontynuować rozmowę z Betty, lecz nagle dosięgnął mnie niczym cios batem głos mężczyzny mówiącego po niemiecku.

- Dobry wieczór, pani Wowo.

Nickel! Wielki Boże, co on tutaj robi? Uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby przyłapał mnie na czymś zabronionym.

-Dobrze się pan bawi? - spytałam mimochodem, szukając już wzrokiem Victora.

Nickel chwycił mnie za ramię, poczułam od niego zapach alkoholu.

- Miłe te czarnuchy, nieprawdaż? - syknął mi do ucha. - Robią takie śliczne prezenty. A czasami nawet bachory. Majstruje pani już przy małym księciu?

- Nickel - powiedziałałam zmieszana - jest pan chodzącym kawałkiem łajna, wie pan o tym?

- To było w kiepskim stylu, pani Wowo - zganił mnie ironicznie. - A jak właściwie miewa się małżonek? A może jest już pani rozwiedziona? To byłoby niekorzystne dla pani przy staraniach o wizę pobytową...

Przełknęłam ślinę. Co znowu knuje ten obrzydliwiec? Victor zjawił się we właściwym momencie, demonstracyjnie wziął mnie pod ramię i powiedział bardzo arystokratycznym tonem:

- Mister Nickel, miło widzieć pana znowu. Przyjemnej zabawy.

I odprowadził mnie na inne miejsce.

- Ilono, ty drżysz.

- To minie, Victorze.

- Nie lubiłem tego faceta od dnia, kiedy spotkałem go w kancelarii adwokackiej - rzekł cicho Victor. - Nie tylko dlatego, że robi brudne interesy. On przypomina mi węża, który spokojnie leży na ziemi i nagle potrafi ukąsić. Poza tym nie znoszę, kiedy ktoś nie patrzy mi w oczy. - Rzadko słyszałam, żeby Victor tak otwarcie mówił o osobach trzecich. On jednak dodał jeszcze: - Właściwie nie powinnaś zadawać się z tym Nickelem. Wybacz, wiem, że jest twoim szefem, ale powinnaś się nad czymś zastanowić, moja droga. Jestem teraz wiceprezesem wcale nie takiej małej firmy. Ktoś taki jak ty przydałby się nam w kierownictwie.

Tak, właściwie dlaczego nie? Przecież nie brałam ślubu ze Strengfurtem, byłam wolnym człowiekiem i mogłam złożyć wymówienie. Odejść od Nickela, którego Victor przejrzał na wylot. Nie. Kariery nie robi się przez łóżko, upomniałam siebie w duchu. Miłość i praca to dwie różne pary kaloszy. Szybko pocałowałam Victora w książęcy policzek.

- To miłe z twojej strony, Victorze. Zastanowię się nad tym.

Wyczulony na takie frazesy, nie podjął już tego tematu.

Moją uwagę przyciągnął natarczywy, głośny śmiech, który brzmiał jak beczenie kozy. Przez salę przepychał się w towarzystwie dwóch wysokich kobiet nieduży, przysadzisty mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Ludzie z respektem robili przejście ubranemu w szerokie, białe szaty mężczyźnie, który włożył dla ozdoby kilka sznurów czerwonych koralii. Wzdłuż okrągłych policzków przebiegały z góry na dół po trzy szerokie blizny, tak zwane *tribal marks*. Mówiąc coś z szerokim uśmiechem do swych towarzyszek, wymachiwał czarną laską ze srebrną gałką w przyozdobionej ciężkimi pierścieniami dłoni, aby nadać swoim słowom większy nacisk. Otaczała go osobliwa aura godności. Jednocześnie od samej jego cielesnej postaci, tej, która przeciskała się przez pełne ludzi pomieszczenie, biła zwiędła wręcz brutalność i bezpośredniość, z jaką nigdy dotąd się nie zetknęłam. Język jego ciała mówił: Ja tu jestem szefem.

- Kto to jest? - spytałam szeptem Victora.

Nie zdążył mi jednak odpowiedzieć. Mężczyzna z laską ruszył prosto w naszą stronę.

- Myślałem już, że to *whites-only-party**. Ale jak widzę, przynajmniej brat William nie zapomniał całkiem swoich korzeni - przemówił nieoczekiwanie wysokim głosem, który zabrzmiał dziwnie piskliwie.

Przy tych słowach podniósł swoją czarną laskę, uchwycił ją w połówce wysokości i otworzył ramiona. Ojciec Victora uważał, że sytuacja jest tak ważna, iż pośpieszył do nas w rozwianej szacie. Kiedy dwaj mężczyźni wymieniali przez chwilę uściski, mnie rzuciła się w oczy srebrna gałka laski, w której wielokrotnie załamywało się

Whites-only-party (ang.) - przyjęcie tylko dla białych.

światło. Ową gałką była kocia czaszka, w której błyszcząły dwa zielone kamienie szlachetne. Fascynująca ozdoba, lecz zarazem dziwnie odpychająca. Chief William odwrócił się elegancko i przyprowadził człowieka z laską do nas.

- Sunny, wydałem dzisiaj to przyjęcie, żeby mój syn Victor poznał kilku naszych przyjaciół. Pozwól, że przedstawię ci panią Wowo. Victor poznał panią Wowo w Londynie i ponownie spotkał ją tutaj. Czysty przypadek.

Nigdy nie zapomnę, jak ten Sunny mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, ściskając dłoń swego bratanka Victora. Następnie przełożył błyskawicznie laskę z kocią czaszką z lewej ręki do prawej i podał mi lewą dłoń. W tym momencie przypomniałam sobie, że mój ojciec ma taki sam zwyczaj podawania ludziom lewej ręki. Znacznie później dowiedziałam się, dlaczego niektórzy Nigeryjczycy w pewnych sytuacjach podają lewą dłoń - lewa ręka jest ponoć nieczysta. Tamtego wieczoru nie znałam owego tajemnego języka ciała. Zdziwiłam się tylko, kiedy Sunny uniósł brew i ściskając moją dłoń, zapytał:

- Wierzy pani w los, pani Wowo?

Przebiegł mi po plecach lodowaty dreszcz. Tego samego sformułowania użył wcześniej Victor, kiedy czekaliśmy na ratunek w parku narodowym Yankari. Sunny zmrużył lekko wyłupiaste oczy, z których zrobiły się wąskie szparki, po czym roześmiał się szeroko.

- O tak, wierzy pani w los. Widzę to w pani oczach. Przeżyła pani coś, co panią zmieniło. Kiedyś musi mi pani opowiedzieć, co to było.

Peszył mnie czyhający wyraz oczu tego mężczyzny. Jego słowa uważałam za pyszałkowaty błąd, którym chciał zrobić wrażenie na swoim bracie lub Victorze. Albo na mnie. Ale to nie miało sensu. Nie miałam nic do czynienia z owym Sunnym. Byłam przyjaciółką jego bratanka.

- Ma pan niezwykłą kocią główkę na gałce laski - zauważyłam uprzejmie. - Naprawdę jest bardzo ładna.

- Wiedziałem, że pani się spodoba - odparł Sunny i znowu odwrócił się do brata. - Nawiasem mówiąc, to lampart, a nie kot.

Kiedy Sunny i William wycofali się do baru, odetchnęłam.

- Wygląda na to, że twój stryj mnie nie lubi - powiedziałam do Yictora.

Ale ten uśmiechnął się tylko wieloznacznie.

- Nie ma to z tobą nic wspólnego, Ilono. Sunny ma problem ze mną. Zarzuca mi, że jestem zbyt zachodni. Ten kraj jest jednak na tyle wystarczająco duży, że możemy sobie schodzić z drogi.

Nigeria jest wprawdzie czterokrotnie większa od Niemiec, ale tutaj jest tak samo jak tam: Dla niektórych ludzi świat nie może być wystarczająco duży, żeby schodzić sobie z drogi. Dzisiaj wiem o tym.

Kiedy wróciłam z tego podniecającego weekendu, zdyszany Ken zameldował:

- Ma'am, w domu była policja. Aresztowali białego.

- To miłe ze strony policji. A co takiego zrobił biały?

Ken odchrząknął.

- Orgię, ma'am.

- Słucham?

- Tak, ma'am. Biały zaprosił mnóstwo przyjaciół, którzy pracują na nowej budowie. A potem przywieźli dziewczęta. No, wie pani... Nastawili głośno muzykę, bardzo głośno. W pewnym momencie jedna z dziewczyn zaczęła krzyczeć. Okropnie głośno krzyczeć. A potem uciekła. Nago, ma'am. Jeden z białych pobiegł za nią. - Ken wbił wzrok w ziemię, odchrząknął. - On też był nagi, ma'am. A potem to już przyjechała policja. Wezwał ją sąsiad, ten, który ma wiele kobiet.

A więc interweniował Jezus z sąsiedztwa! Kto jak kto, ale on wiedział, jak się traktuje kobiety - ostatecznie miał ich trzydzieści dziewczęć. Od niego żadna nago nie uciekła.

Nagim białym mężczyzną na ulicy był naturalnie sam „Ogier” Scholl, nikt inny. Jeszcze wiele dni później musiałam się tłumaczyć na policji, dlaczego w zajmowanym przeze mnie domu odbywają się orgie seksualne. Napastowana przez Scholla prostytutka oskarżyła go o gwałt. Potem jednak w zamian za dużą sumę wycofała oskarżenie. Cały stres w rezultacie miał pozytywną stronę także dla mnie: Dieter Scholl został wydalony z kraju.

Po tej sprawie postanowiłam zabezpieczyć się przed intrygami Nickela. Wskutek nalegań Victora pojechaliśmy do jego adwokata, który zaprotokołował i przechowywał w swoim sejfie moje zeznania na

temat fikcyjnych interesów Nickela i podstępnej pułapki po przyjęciu. Kopię wysłał do adwokata mojego ojca w Monachium.

- To twoje ubezpieczenie na życie - oświadczył Victor. Bardzo delikatnie przyciągnął mnie do siebie i pocałował. - Nie chcę, żeby ci się coś stało.

Pod jego spojrzeniem czułam na przemian fale gorąca i zimne dreszcze chodzące mi po plecach. Do tej pory nie powiedział mi: „Kocham cię”. W każdym razie nie słowami.

To wyróżniało związek z Victorem - wyznaczała go bliskość i dystans. Wiele nas łączyło, ale co najmniej tyle samo dzieliło. Nie chodziło o moje nadal istniejące małżeństwo, prawdopodobnie także nie o moje dzieci, daleko stąd. Poza tym sam Victor był ofiarą rozwodu. Chodziło raczej o jego wrodzoną lub nabytą w trakcie wychowania formalną grzeczność, o której nigdy nie potrafił zapomnieć. Po prostu był księciem po Oksfordzie, który chodzi wyłącznie w garniturach na miarę. Nigdy nie widziałam go w T-shircie i szortach. Nawet na plaży nosił długie, białe spodnie i białą koszulę. I tak samo chyba odczuwał. Wprawdzie był pełen czułości dla mnie, ale zawsze pamiętający o formach towarzyskich. Ale mnie to nie przeszkadzało. Liczyła się chwila, którą należało się cieszyć. Kiedy w rozmarzeniu myślałam o przyszłości, naszała mnie także refleksja, jak długo zdołam zatrzymać swojego księcia. To szczęście wydawało mi się zbyt wielkie. Zbyt wielkie jak na śmiałe plany...

Victor przejechał dwoma palcami po bransolecie ze słoniowego włosia na moim przegubie. Nie zdjęłam jej, odkąd kupiłam ją od handlarza *juju* na targu w Lagos.

- Dlaczego ją nosisz?

- Bo przepowiedziano mi, że przyniesie mi szczęście.

- I co?

Poszukałam odpowiedzi w oczach Victora.

Noc na pustyni

Moje ubezpieczenie na życie było naturalnie bez wartości, jeśli Nickel nic o nim nie wiedział. Miałam pójść do niego i powiedzieć mu to prosto w oczy? Nie! Zaprosiłam na kolację Bernda i jego nową sympatię, strzelistą czarną adwokatkę. I oczywiście Victora. Już kilka dni wcześniej poinformowałam Rona, że tego wieczoru musi się wspiąć na wyżyny sztuki kulinarnej. Nie zdradziłam mu jednak, kogo się spodziewam. Niech Nickel umiera z ciekawości!

Podczas kolacji Victor i ja skierowaliśmy rozmowę na moje bardzo specjalne ubezpieczenie na życie: jeśli coś mi się przytrafi, adwokat przedłoży mój protokół policji oraz Strengfurt AG. Obeznaną z prawem przyjaciółka Bernda pogratulowała mi, choć wyraziła zarazem ubolewanie, że nie zwróciłam się do niej jako adwokatki. W czasie tej rozmowy Ron podawał osobiście naprawdę wyborne jedzenie. Widziałam, jak wręcz chłonie chciwie każde słowo naszej konwersacji. Tym razem będzie miał mnóstwo do opowiadania. Z drugiej strony było też dla mnie jasne, że Nickel musi uznać moje „ubezpieczenie na życie” za wypowiedzenie wojny. Ciekawa byłam, jak na to zareaguje.

Jego otwarcie było słabe. Szachista Nickel wezwał do siebie i wypytał Femię. W drodze do domu zdenerwowany Femi wyznał mi szczerze:

- Sądzę, że zamierza powiedzieć paru' mężowi, że jest pani tutaj, w Lagos.

- Powiedział pan Nickelowi, gdzie znajdzie Johna Wowo?

Femi, poczuwając się do winy, wbił wzrok w ziemię.

-Już dobrze, Femi. Kiedy biali rozgrywają między sobą jakieś gierki, trzeba im na to pozwolić.

- Mister Nickel powiedział, że w przeciwnym razie mnie wyrzuci.

- Wiem, Femi. Dziękuję, że mi pan o tym powiedział.

- Przykro mi, ma'am.

- Proszę się nie martwić, Femi. Mam już pewien pomysł.

Mimo niemieckiej pomocy rozwojowej dostarczonej przez mojego ojca *car repair* Mary jakoś się nie rozwinął. Tu w każdym razie pieniądze z handlu samochodami nie zostały zainwestowane. Poleciłam Femiemu, żeby wjechał na podwórze, na którym stało parę aut nadających się właściwie na złom. W hali montażowej cztery postacie krzątały się przy samochodzie dostawczym. Kiedy wysiadłam, z jakiegoś kąta wyskoczyło dwóch małych chłopców.

- *Oibo, oibo!* - zabrzmiało w moich uszach.

Zaciekawieni tymi okrzykami czterej robotnicy opuścili równocześnie narzędzia i gapili się na mnie.

- Szukam pana Wowo! - zawołałam.

Dwaj chłopcy popędzili do nędznego w dalszym ciągu baraku. Wyszedł z niego mężczyzna w wyświechtanym kombinezonie, przy którym brakowało kilku guzików. Wydawał się gąbczasty, nalany, cera poszarzała, włosy bez połysku i rozczochrane. Ledwie rozpoznałam Johna. W niespełna dziesięć miesięcy, odkąd widziałam go po raz ostatni, w jego wyglądzie zaszła przerażająca zmiana.

John przyjrzał mi się bardzo uważnie od eleganckiej fryzury na głowie po buty na wysokich obcasach.

- Wyglądasz bombowo.

- Dziękuję - odpowiedziałam. - Chciałam zobaczyć, jak ci się wiedzie.

- Jest okay. - Widziałam, że to kłamstwo. - Dlaczego jesteś w Lagos? - Chyba rzeczywiście o niczym nie wiedział. - Gdzie są dzieci?

W tym momencie coś sobie uświadomiłam. W Wigilię widziałam, jak Bobby chował się za plecy mojej mamy, kiedy czarne dzieci chciały się z nim bawić. Widziałam niezrozumienie w jego oczach, bo Tessy mówiła w języku, którego nie rozumiał. Słyszałam jego krzyki w nocy, kiedy śniły mu się koszmary. A teraz widziałam przed sobą Johna. Stał taki spisały, zbiedniały. Taki szary. Czy popełniłam błąd, nie przywożąc

Bobby'ego i Janet do ich ojca? Nie dopuściłam do powstania pomostu między dwoma światami, które dzieci nosiły w sobie? A może ustrzegłam je od szoku? Szoku, jaki sama przeżywałam w tej chwili?

Jak bardzo oddaliłam się jednak od Johna i jego życia! Jadałam z Victorem w klubie graczy w polo. Latałam po kraju jego prywatnym samolotem. Po której stronie było moje miejsce? Nie, krzyczał mój wewnętrzny głos, nie należysz do tego mężczyzny. Odkąd odeszłam od Johna, odnalazłam coś, czego mi boleśnie brakowało, gdy ostatnim razem opuściłam Lagos - wewnętrzną równowagę.

- Mary już urodziła? - zapytałam.

- Mój syn jest razem z nią w domu. - Utkwił wzrok we mnie. - A gdzie ty żyjesz?

Stanowczym głosem wyjaśniłam mu prawdziwy powód mojej wizyty.

- I ani razu mnie nie odwiedziłaś? - spytał zaskoczony.

- Nie, John, nasze wspólne życie się skończyło. Chcę rozwodu.

- Do tej pory nie naciskałaś na rozwód tylko dlatego, że potrzebujesz wizy pobytowej, prawda? - Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. - Opuść Mary. Jeszcze dzisiaj. Pozwól mi z tobą zamieszkać. Na pewno masz duży dom, za który płaci firma.

Miałam cofnąć czas? I znów żywić Johna? A na dodatek jego kobiety i dzieci, które by ściągnął? Zamiast tego zaproponowałam mu pracę w nowej fabryce.

Na kilka sekund John zmienił się w dumnego mężczyznę, którym był dawniej.

- Ja mam harować w jakiejś fabryce, a ty będziesz sobie siedzieć w eleganckim domu?

Jakże chętnie dodałabym w tym momencie: John, nawiasem mówiąc, jesteś winien mojemu ojcu mnóstwo pieniędzy za sprzedane auta. Dalsza rozmowa nie miała jednak sensu. Odwróciłam się i ruszyłam z powrotem do samochodu Femięgo.

- Powodzenia, John.

Usiadłam z tyłu. Femi ruszył. Właściwie nie chciałam oglądać się za siebie - a jednak to zrobiłam. Oto stał mój mąż, na podwórzu jakiegoś zaniedbanego warsztatu. Podniósł prawą rękę na wysokość piersi, jak-by chciał mi pomachać, ale chyba zabrakło mu siły, żeby to uczynić.

Victor poświęcał bardzo dużo czasu budowaniu swego nowego życia w Afryce. W tym celu chciał mieć wokół siebie jak najwięcej elementów z dawnego brytyjskiego życia. Przede wszystkim swoje siedem koni do gry w polo - w języku fachowym nazywanych polo pony - oraz trzy psy. Co jakiś czas leciał na kilka dni do Londynu, żeby przygotować wszystko do transportu zwierząt wartych kilkadziesiąt tysięcy marek. Chciał, żebym mu towarzyszyła. Tyle że ja nie skończyłam jeszcze ze Strengfurtem. Skrupulatnie przygotowywałam dossier, o które poprosił mnie tymczasem telefonicznie sam Bernhard, szef Strengfurt AG. Pożerała mnie ambicja: Czy zuchwałością było marzyć o zajęciu miejsca Nickela? Uważałam, że mam spore szanse. Wszyscy w Lagos byli po mojej stronie. Wszyscy - z wyjątkiem Nickela i Okoro.

Z codzienną nigeryjską rzeczywistością Victor radził sobie jeszcze gorzej niż ja. Jedna z wycieczek jego klimatyzowanym jaguarem nie powiodła się zupełnie. Zaczęło się znowu od policyjnej blokady. Na skraju drogi kucali ludzie, pilnowani przez wymachujących pejcjami policjantów.

- Podskoki - ryknął policjant.

Ludzie, na których krzyczał, zaczęli podskakiwać jak żaby.

- Co ci ludzie zrobili? - spytał swego kierowcę Victor.

- Prawdopodobnie przechodzili przez drogę, nie zwracając uwagi na ruch pojazdów. Policja chce ich nauczyć, jak się zachowywać, będąc uczestnikiem ruchu.

- Ajak długo to potrwa?

- Dopóki żaby się nie zwałą się z nóg, sir.

- Czy to nie straszne, Ilono? Jak ludzie mogą być tacy okrutni wobec siebie? I żywić do siebie taką pogardę?

Już miał popsuty humor, który nie poprawił mu się także po przyjeździe do Bar Beach na Victoria Island. Siedzieliśmy pod dachem z palmowych liści, trzymając nogi na drobnym piasku, i popijaliśmy smaczne, bezalkoholowe drinki. Mała, może sześćioletnia dziewczynka sprzedawała oskrobane marchewki, które starannie ułożyła na błyszczącej tacy. Kupiliśmy od niej parę sztuk. Dziewczynka rozpromieniła się i podeszła do naszych sąsiadów, Francuzów.

-*Non, va t'en!* - warknął mężczyzna, czego dziewczynka naturalnie nie zrozumiała jako: „Nie, odejdz”.

Uśmiechnęła się w nadziei, że sprzeda za parę groszy swoje marchewki. Francuz schylił się bez słowa i rzucił garść piasku na jej świeżo umyte marchewki. Dziewczynka stała jak wryta, a jej ciemne oczy napełniły się łzami. Cicho popłakując, oddaliła się biegiem. Czystej wody, w której mogłaby opłukać swoje marchewki, nie było na całej plaży.

Victor zawahał się chwilę, po czym wstał. Czyżby zamierzał zażądać od Francuza wyjaśnień? Nie, kupił od handlarza prowadzącego sprzedaż obnośną butelkę wody mineralnej i pobiegł za dziewczynką, żeby jej pomóc w rozwiązaniu problemu.

„Jestem wdzięczny typkowi, który nie wpuścił mnie wtedy na dyskotekę, bo pokazał mi moje granice” - tak powiedział podczas naszej pierwszej rozmowy w klubie graczy w polo. Ale ten zmysł sprawiedliwości wprawiał mnie jednocześnie w zakłopotanie. Victor nie mógł uratować całego świata! A mimo to tego dnia spróbował znowu, gdy zobaczył trupa leżącego na skraju drogi. Coś takiego było w Lagos - przynajmniej wtedy - normalne. Nikt się o to nie troszczył.

- To ofiary wypadków drogowych, nikt ich nie zna - wyjaśnił kierowca Victora.

- Ale to przecież ludzie! Mają jakąś przeszłość, rodzinę! Co to za kraj! - zżymał się Victor.

Kierowca spojrzał nierozumiejącym wzrokiem w lusterko wsteczne. O czym gada ten jęgo elegancki szef?

Wróciliśmy do okazałego domu Victora w Ikoyi, gdzie chief William polecił tymczasem zbudować basen i kort tenisowy. Victor pośpieszył do telefonu i zadzwonił na policję. Po raz pierwszy słyszałam, jak z całą premedytacją deklamuje swoje kompletne długie nazwisko rodowe po to, żeby któryś ze znudzonych policjantów zajął się martwym człowiekiem na drodze.

Victor coraz częściej powierzał mi prace związane z koncernem jego ojca.

- Przecież znasz się już na nigeryjskich przepisach podatkowych. Mam pewne pytanie...

Chodziło o gazetę z Kaduny, która przynosiła straty. Tamtejszy buchalter, mierzony miarą sprytnego Okoro, był zwyczajnym głupcem. Manipulacje łatwo udało się odkryć i Victor go wyrzucił. Ponieważ w swój wolny weekend zajmowałam się trochę księgowością, Victor wynagrodził mi to: poleciliśmy jego samolotem dalej na północ, do Kano, ponadtyścioletniego miasta z dużym meczetem i wieloma ciasnymi uliczkami, domami z gliny i targiem farbiarzy. Wielkim nakładem pracy wytwarza się tutaj z naturalnych składników farby, co jest bardzo śmierdzącym i niezdrowym zajęciem.

A potem Victor wyjawiał mi prawdziwą niespodziankę - wyjazd na wielbłądach w głąb pustyni. Nie byliśmy jedynymi turystami, którzy cieszyli się na tę przygodę. Chciała ją również przeżyć para młodych Francuzów i dwaj Włosi. Kołysanie na grzbiecie zwierzęcia podczas jazdy przez łyse piaszczyste góry, które słońce w zależności od położenia zanurzało w cudownych barwach. W oazie przygotowano dla nas namioty, w których mogliśmy przenocować. Choć znajdowaliśmy się z dala od wszelkiej cywilizacji, nasi gospodarze o zasłoniętych twarzach czekali na nas z lukullusową uczcią. Noc była wprawdzie zgodnie z oczekiwaniami chłodna, ale siedzieliśmy przed namiotem przytuleni do siebie i owinięci w koce, patrzyliśmy w gwiazdy, które tutaj wydawały się o wiele bliższe niż u nas. Księżyc kapał pustynne pagórki w łagodnym blasku. Rozległa pustka wokoło zdawała się emanować niewiarygodną siłą.

- To wygląda tak, jakby człowiek patrzył w oko wieczności - rzekł w zamyśleniu Victor. - Wydaje się, że nic się nie zmienia, czas jakby stanął w miejscu.

Czułam ciepło jego ciała, patrzyłam na klasyczny profil, odcinający się na jasnym tle. Tuż obok mnie błyszczały jego ciemne oczy. A mimo to był duchem gdzieś bardzo daleko.

- Gdzie jesteś? - zapytałam.

- Tu, przy tobie - odpowiedział i spojrzał na mnie. Potem pochylił się ku mnie, pocałował mnie i znów popatrzył w dal, jakby chciał ją wchłonąć. - Właśnie pomyślałem, że widzimy tutaj tylko piasek i żadnego życia. A jednak ta ziemia kiedyś, przed milionami lat, miała siłę, by odżywiać całe lasy. Fruwały tutaj ptaki, węże wylegiwały

się na drzewach, jakiś drapieżny kot przemykał między wystającymi korzeniami. Brakuje tylko deszczu. Wtedy ta uśpiona siła obudziłaby się pewnie na nowo.

- Jak dużo ty widzisz na pustyni! - Zaśmiałam się. - Ja widzę tylko piasek. Fascynującą dal z pewnością też. Jednak przede wszystkim piasek.

Popatrzył mi prosto w oczy.

- Ja widzę to, co było i może być znowu. Ty widzisz to, co jest. - Zrobił przerwę, po czym ciągnął dalej: - Wiesz, że spodobałaś się mojemu ojcu? Uważa, że stąpasz twardo po ziemi.

- A co ty myślisz?

- Ja myślę, że byłoby pięknie, gdybyś była rozwiedziona.

- I co wtedy? - spytałam, wstrzymując oddech.

- Chcesz wyjść za mnie?

Miałam dwadzieścia dziewięć lat, siedziałam pośrodku pustyni, a książę prosił mnie o rękę. Nie byłam w stanie mu odpowiedzieć: w gardle siedziała mi gruba klucha, która nie pozwalała mówić. Zaczęłam całować Victora i robiłam to tak długo, aż zauważył, że łyzy ciekną mi po twarzy.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał, scałowując moje łyzy.

- Nie wiem. Nie mogę się powstrzymać.

Miałam wrażenie, że jestem okropnie głupia. Przecież nie płacze się z powodu propozycji małżeństwa... Chyba że się nie wie, co odpowiedzieć. A ja naprawdę nie wiedziałam. Znałam tak niewiele faktów z życia Victora. A z tych wycinków, które dotąd poznałam, wyłaniał się obraz człowieka bardzo rozpieszczonego. Chciał mieszkać w Lagos - dostawał największy dom. Chciał konie za kilkadziesiąt tysięcy marek - dostawał je. Teraz chciał mnie. Już raz wyszłam za mężczyznę z zupełnie innego kręgu kulturowego. I się sparzyłam.

- Kocham cię - powiedział to bardzo cicho, prosto w moje ucho. - Nie musisz mi teraz odpowiadać. Ale jeśli znasz odpowiedź, to...

- Znam odpowiedź, Victorze - przerwałam mu - ale chcę być pewna, że jest właściwa.

Włamanie

W hotelu w Kano czekała na nas wiadomość od ojca Victora.

- To na pewno coś pilnego - oświadczył Victor i poszedł zadzwonić do ojca. - Muszę natychmiast lecieć do Warri - powiedział, kiedy wrócił do pokoju.

William wzywał swego następcę tronu do pracy, do naftowych urzędzeń wydobywczych w delcie Nigru. Tysiąckilometrowy przelot z jednego końca kraju na drugi. Co za kontrasty - z nagiej pustyni do zielonej tropikalnej dżungli. Było to moje pierwsze spotkanie ze źródłem niewyobrażalnego bogactwa Victora - i z ciemną stroną tegoż. Rodziny pracowników żyły w okropnej biedzie, brudne wioski bez żadnej nadziei. Ludzie wywiercali otwory w rurociągach, żeby za darmo zaopatrywać się w cenną ropę. Ale coś przy tym się nie udało, doszło do eksplozji, w której zginęło dziesięć osób.

Taksówka zawiozła nas do smutnej wioski z niekończącymi się osiedlami domów pokrytych blachą falistą pośród nieprzeniknionej zieleni lasu tropikalnego. Policyjne blokady utrudniały nam dojazd na miejsce wypadku. Podjechaliśmy do podupadłego białego budynku, miejscowego posterunku policji, przed którym stało odstawione na wysoki połysk bmw z chromowanymi klamkami i zderzakami, pilnowane przez dwóch ochroniarzy.

- O, jest stryj Sunny - rzekł Victor.

To człowiek z laską zakończoną gałką z czaszki lamparta!

Wprawdzie rząd przekazał wydobycie ropy zagranicznym koncernom, jednak gdy pojawiały się problemy, partnerami narodu w rozmowach

wach i jego reprezentantami byli chiefowie, do których należał kraj. Wypadek unaoczniał dramatyczną sytuację w służbie zdrowia: brakowało lekarzy i szpitali. Przy lepszej infrastrukturze pewnie udałooby się uratować niejedno życie. W rozmowie z Sunny'ym Victor naturalnie szybko rozpoznał tę bolączkę. Sunny pochylił do przodu masywne ciało, wspierając je na czarnej lasce z główką lamparta, która błysnęła ku nam zielonymi oczami. Mimo że panowała przygniatająca duchota, miał na lewej dłoni jasną, skórzaną rękawiczkę. Mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna ubrany był znowu na biało, lecz jego głowę zdobiła tym razem wysoka, okrągła czapka z futra lamparta.

Kiedy policjanci i niektórzy przedstawiciele mieszkańców wioski przedstawiali Victorowi sytuację, ja nie mogłam oderwać wzroku od Sunny'ego. Sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego, lecz jego lekko wylupiające oczy były przez cały czas w ruchu. I choć nie powiedział ani słowa, to on wydawał się tą osobą, której obecni przedstawiają swoje kłopoty. Nawet Victor, gdy mówił, zwracał się ciągle do milczącego stryja.

Żeby uspokoić wzburzonych mieszkańców wioski, Victor zaproponował zbudowanie szpitala. Natychmiast po powrocie do Lagos obiecał zamówić w Londynie jego wyposażenie. Dopóki nie będzie gotowy prawdziwy szpital, miały być ustawione namioty. Ludzie z wioski byli zachwyceni. O ile zrozumiałam, ktoś zaproponował nawet lokalizację tymczasowej kliniki. Wyglądało na to, że wszyscy są zadowoleni już tą minimalną propozycją, a tym samym miejscowa nędza stanie się znośniejsza.

Ludzie natychmiast umilkli, kiedy podniósł się Sunny.

- Sądzę, że wszystko zostało powiedziane - rzekł w pidżynie i z godnością pomaszerował do wyjścia ze skromnego posterunku.

Zinterpretowałam to tak, że Sunny przyjął propozycję Victora. Zawahaliśmy się kilka sekund, po czym ruszyliśmy za nim w kierunku bmw. Otworzyły się drzwiczki wozu. W tym momencie zrozumiałam, dlaczego Sunny nosi rękawiczkę. Jeden z ochroniarzy podał mu ptaka mniej więcej wielkości wrony, który miał na głowie kapturek i w momencie przekazywania krótko zamachał skrzydłami - to był sokół. Jakby to było zupełnie oczywiste, usiadł na ręką-

wicy i krótkimi, szarpanymi ruchami pokręcił kilka razy głową, zanim zastygł w bezruchu niczym posąg. Z powodu migotliwego blasku słońca na zakurzonym placu Sunny nosił pod czapką ze skór lamparcich szerokie okulary przeciwsłoneczne. Z laską niczym królewskim berłem w jednej ręce i niewidzącym z powodu kapturka sokołem na drugiej mały okrągły mężczyzna emanował zastraszająco wyraźnym autorytetem, który nakazywał nam zachować dystans.

- Mówisz sercem, Victorze - powiedział nosowym głosem Sunny. Ledwo go rozumiałam. - A zadania, które przewidział dla ciebie twój ojciec, nie powinieneś wykonywać sercem.

Pomimo tuszy i wszystkich atrybutów swego autorytetu Sunny wślizgnął się elegancko do samochodu, który ruszył pędem przez plac, zostawiając za sobą długą smugę kurzu. Popatrzyłam na Victora, który stał osłupiały i się nie ruszał. Twarz miał jak z kamienia.

- Co on miał na myśli? - zapytałam, biorąc ostrożnie w dłoń zimną jak lód rękę mojego księcia.

- Nie będzie żadnego szpitala. To miał na myśli - odparł Victor.

Żadnej rozmowy, żadnej wymiany poglądów. Obwarowany zastrzeżeniami dekret, poza tym tylko milczenie.

- Ale on ponosi przecież odpowiedzialność za tych ludzi, wszyscy byli zresztą zachwyceni - powiedziałam, nie mogąc tego pojąć.

Victor wszedł w milczeniu do czekającej taksówki, która zawiozła nas z powrotem do Wani. Na lot do Lagos było już za późno. Spędziliśmy noc w jakimś nowoczesnym hotelu, w którym nie działała klimatyzacja i dokuczały komary. Pokłuci i dosyć rozczarowani poleciliśmy następnego ranka do Lagos.

Victor miał tylko odgrywać rolę następcy tronu, a Sunny posiadał autorytet i poważanie. Victor nie mógł podważać jednego i drugiego, jeśli nie chciał, żeby zarzucano mu brak respektu. Szacunek dla starszych to podstawa funkcjonowania tego społeczeństwa. Sunny wykorzystywał przysługującą mu z racji wieku wysoką pozycję, a dzięki temu w jego rękach spoczywała władza zmiany stanu rzeczy. Wiedział, jak właściwie używać i nie oddawać tej władzy. Młodszy nie mógł jej nawet uszczknąć.

Oto poczułam przedsmak rzekomo słodkiego życia nigeryjskiego księcia, który w zasadzie, jeśli sam pragnął mieć jakiś wpływ na bieg wydarzeń, mógł zrobić tylko jedno: czekać, aż przyjdzie jego czas. Ale Victor nie był typem człowieka, który biernie czeka. Wiedział, jak i co należy zmienić, i dlatego brakowało mu cierpliwości. Ten wewnętrzny konflikt rozdzierał mu serce. Nawet jeśli ukrywał go pod maską chłodu i opanowania.

Na poniedziałek w następnym tygodniu Victor zabukował lot do Argentyny. Razem ze swym jedynym nigeryjskim przyjacielem, jakiego poznałam, zamierzał kupić tam nieprzyzwoicie drogie konie do gry w polo. Dzięki tego rodzaju zabiegom klub z Lagos miał zyskać image *winning team**. Uważałam, że to dziwne - wobec nędzy, w jakiej żyły masy. Dorastająca elita, do której należał Victor, zapatrywała się na to inaczej: dzięki osiągnięciom sportowym swojej drużyny sami zaskarbiali sobie poważanie i tym samym mogli wspiąć się wysoko w utrwalonej strukturze społecznej. Razem z Femim odwiozłam Victora na lotnisko Murtala Mohammed. Czułam się niezbyt dobrze. Mimo upału było mi zimno.

- Za bardzo cię absorbuję. Odpocznij - rzekł Victor na pożegnanie.
- Dam sobie radę. Uważaj na siebie.
- Pod koniec tygodnia jestem z powrotem - obiecał.

Mylił się.

Cztery dni później dostałam wysokiej gorączki, czułam, że opa-
dłam z sił, i poszłam wcześniej spać. Podejrzywałam, że to przeziębienie. Następnego dnia zaczęła mnie boleć głowa i wymiotowałam. W nocy dostałam dreszczy. Wysłałam Femiego, żeby poinformował Abiolę. Obaj wrócili razem z kuzynem Abioli. Lekarz nie potrzebował dużo czasu, żeby stwierdzić, co mi jest - malaria.

- Zażywa pani profilaktycznie jakiś środek przeciwko malarii?
- Tak. Paludrin.

* *Winning team* (ang.) - wygrywający zespół, drużyna zwycięzców.

- To za słabe! Komar Anopheles jest odporny na ten środek. Absolutnie nie wolno pani wstawać z łóżka - napomniał mnie doktor i dał mi resochin.

Nie chciałam jednak dać się umieścić w szpitalu, w którym umarła Yemi. Znałam swoją umowę. Mogło się zdarzyć, że mój pracodawca w wypadku tak niebezpiecznej dla życia choroby jak malaria odeśle mnie czym prędzej z powrotem do Niemiec. Zebrałam resztki energii, żeby zorganizować najważniejsze rzeczy, zanim Nickel wykorzysta okazję, by się mnie pozbyć.

- Abiola - poprosiłam - możesz wziąć dogi do siebie? Na pewno zostanę skierowana na kilka tygodni do Niemiec. Jeśli mnie nie będzie, to...

- Oczywiście, Ilono, nie ma sprawy. Od razu wezmę je ze sobą. A co z kotami? Sądzę, że moje dziewczynki by się ucieszyły.

Chciałam działać szybciej niż Nickel i poprosiłam jego sekretarkę, żeby zorganizowała mi lot powrotny do Niemiec. Kiedy później zadzwonił telefon i Ken poszedł odebrać, myślałam, że to ona i przekazała mi termin lotu.

Po chwili Ken zapukał do drzwi mojego pokoju.

- Ma'am, to był telefon z Londynu.

- Z Londynu?

Mój Boże, to mogło mieć coś wspólnego tylko z Victorem. Ale on polecał przecież do Argentyny!

- Ma'am, dzwoniło w związku z księciem Victorem. Ma zimnicę tropikalną. Chyba czuje się bardzo źle. Przyjaciółka kazała go przetransportować do szpitala w Londynie. Powiedziałem mu, że pani też jest chora. Dobrze zrobiłem, ma'am?

- Dziękuję, Ken, to na pewno było słuszne.

Kiedy pociłam się w nocy i jednocześnie miałam dreszcze, dręczyły mnie koszmary senne. Jakaś ciemna postać buszowała po domu i coś włókła. Ktoś wołał... Wystraszona podniosłam się na łóżku.

W drzwiach pokoju stał Ken. Miał rozciętą głowę, z rany płynęła krew. Był zupełnie wytracony z równowagi.

- Ma'am, sądzą, że muszę wezwać policję.

- Co się stało?

Z wysiłkiem wygrzebałam się z łóżka.

- Proszę, ma'am, niech pani nie wstaje.

- Ken, niechże pan gada!

- Usłyszałem jakiś odgłos i przybiegłem z *boy's quarters* do głównego budynku. Zanim się zorientowałem, co się dzieje, dostałem cios w głowę. Nic więcej nie pamiętam. Kiedy się ocknąłem, cały dom był wywrócony do góry nogami.

Mimo szalonego bólu głowy nie miałam wątpliwości, czego będzie brakować. Dowlokłam się do salonu. Naturalnie. Szuflada biurka była wyłamana, dossier na temat machinacji Nickela zniknęło. A było tylko w jednym egzemplarzu. Nickel będzie miał do spalenia dużo papieru.

-Przepraszam, ma'am, zupełnie o tym zapomniałem - dodał Ken. - Kiedy pani spała, był telefon z biura pana Nickela. Wszystko jest zorganizowane: jutro rano poleci pani do Hamburga. Tam odbiorą panią z lotniska. Najpierw musi się pani udać do instytutu chorób tropikalnych.

Wezbrała we mnie wściekłość: to wszystko było zaplanowane z zimną krwią! Leżałam w łóżku ciężko chora, dogów nie było, nastąpiła noc, następnego ranka miałam odlecieć. Idealne wycucie czasu, Nickel. Gratulacje.

- Nie, Ken - odpowiedziałam zrezygnowana. - Niech pan nie wzywa policji. To i tak nic już nie da.

Przy pożegnaniu na lotnisku Murtala Mohammed miałam wrażenie, że Femi i Abiola są bliscy płaczu. Musieli mnie praktycznie przenieść do fotela w samolocie - bo nie miałam siły chodzić. Dobrze przynajmniej, że malaria nie jest zaraźliwa.

-Naprawdę pani wróci, ma'am? - spytał Femi.

- Przede wszystkim wyzdrowiej, Ilono - rzekł Abiola.

- Kiedy Victor się zgłosi, powiedz mu, gdzie jestem - poprosiłam. - Bo nigdzie nie mogę go złapać.

- Już ja go znajdę, tego twojego księcia! - Abiola mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Miałam szczęście w nieszczęściu. W hamburskim instytucie chorób tropikalnych, w którym mnie kurowano przez następne dwa tygodnie, lekarze wyjaśnili mi, że nie zachorowałam na znacznie groźniej-

szą postać malarii - to Victor zmagął się z nią, będąc między życiem a śmiercią. Centrala Strengfurt AG w Kolonii zaordynowała mi na razie urlop rodzinny.

Dzieci miały ferie wielkanocne. Łagodne, przedwiosenne powietrze w Dolnej Bawarii miało dobroczynne działanie. Już w instytucji chorób tropikalnych miałam dużo czasu, by zastanowić się nad tym, co dalej. Po tym, jak Nickel ukradł dossier, stałabym w Lagos na straconej pozycji. Powrót właściwie nie miał sensu - Nickel siedział teraz w siodle mocniej niż kiedykolwiek. Urlop z dziećmi i moimi rodzicami dobiegł końca, a ja nie zdobyłam się na żadną decyzję. W ustronnej okolicy, gdzie mieszkali rodzice, nie mogłam znaleźć pracy odpowiadającej moim kwalifikacjom. Z drugiej strony trzeba było regularnie ponosić ogromne koszty bieżące.

Telefon od Victora wyrwał mnie z letargu. Poprosił mnie, żebym przyjechała do Londynu, więc poleciałam tam na jego wezwanie.

Mieszkał w luksusowym apartamencie w Kensington. Od razu zaczęliśmy snuć plany. Choroba osłabiła ciało Victora, lecz jego duch wydawał się znacznie bardziej bojowy.

- Ilono, powinnaś złożyć wypowiedzenie w Strengfurcie. Nie przejmuj się pieniędzmi. Rozmawiałem z moim ojcem. Ucieszyłby się, gdyby mógł cię pozyskać jako dyrektora handlowego naszego koncernu.

Dzisiaj wiem, że nie byłoby to stanowisko czysto reprezentacyjne, lecz oznaczałoby ciężką pracę.

W swojej euforii, ciesząc się, że może mnie mieć całkiem dla siebie, Victor posunął się nawet jeszcze dalej:

- Weź ze sobą dzieci! Wszyscy możemy mieszkać w moim domu w Ikoyi. Sama widziałas - jest wystarczająco duży. Mamy basen. Twój syn będzie się uczył gry w tenisa, córka może jeździć konno, niemiecka szkoła jest niedaleko.

- Powoli, Victorze, nie tak szybko!

Pocałowałam go delikatnie. Mężczyzna, który się o mnie troszczy, za mnie myśli, planuje. I pamięta w dodatku o moich dzieciach, jak-by były jego własne. Nie byłam do tego przyzwyczajona...

- Nie, Ilono, nie powoli. Nie zauważyłaś, jak szybko może być po życiu? Ukąszenie komara - i wszystko prawie się kończy. - Wziął

mnie w objęcia. Jego piękne oczy błyszcząły, kiedy zapytał: - Pamiętasz, o co cię zapytałem w nocy na pustyni?

Jasne, że pamiętałam! Od tamtej pory miałam dość czasu na zastanowienie. Przytrzymałam Victora w uścisku, jakbym nie chciała go już wypuścić.

- W dalszym ciągu chcesz się ze mną ożenić?

- Czyżbyś miała już na jutro inne plany? - Roześmiał się.

Obcy afrykański świat był daleko. Poznałam wiele aspektów życia w Nigerii. Fascynujące, niewiarygodnie piękne, lecz również takie, które mnie odpychały. Byłam wewnętrznie rozdarta: ledwo wyjechałam z Afryki, już chciałam tam wrócić. Zwłaszcza że byłam zakochana w Victorze. Z drugiej strony w Afryce wiele myślałam o domu, dzieciach, spokoju, porządku. Mężczyźni marzą, kobiety planują. Pewnie dlatego, że to my rodzimy dzieci.

Nie mogłam znowu wyrwać Janet i Bobby'ego z nowego otoczenia w Dolnej Bawarii, gdzie mieszkali od niespełna roku. Niedawno miałam przykład tego, jak by to wyglądało w rzeczywistości. Kiedy Bobby się potłukł - a przewracał się co rusz na swoim rowerze - biegł do babci, nie do mnie. Ona stała się dla niego najważniejszą osobą i punktem odniesienia.

Pierwszą część propozycji Victora zamierzałam natomiast przyjąć - czyli pracować dla niego i jego ojca. Albowiem w ten sposób mogłam żyć z mężczyzną, na którego czekałam przez całe życie. Jak się ułoży cała reszta - przyszłość pokaże. Może później uda mi się nawet przekonać rodziców, żeby przeprowadzili się do mnie razem z dziećmi... Nadal trwałam w wewnętrznym szpagacie, rozdarta między pragnieniami, chęciami a rzeczywistością.

Napisałam długi list do szefa Strengfurt AG, Bernharda, w którym wyjaśniłam powody swego wypowiedzenia. Bernhard osobiście zadzwonił, próbował mnie odwieść od tej decyzji - i w końcu zrezygnował. Miałam wrócić na stanowisko kontrolera tylko na kilka tygodni, żeby wdrożyć do pracy mojego następcę. Poleciałam więc do Nigerii, aby zacząć od nowa po raz trzeci, tym razem jednak nie sama. Cieszyłam się już na życie u boku Yictora.

Na bagnach

Przewieźliśmy mój dobytek osobisty z zimnej złotej klatki w Ikei do feudalnej rezydencji Victora w Ikoyi, gdyż należało szybko oddzielić grubą kreską moje życie związane z pracą w Strengfurcie. Nickel nie przywiązywał żadnej wagi do mojej obecności. Na mojego następcę wyznaczył Okoro. Dla mnie było niepojęte, dlaczego centrala w Kolonii zdecydowała się wpuścić wilka do owczarni. Ale co mnie to jeszcze obchodziło? Wprowadzałam Okoro w nowe obowiązki, pro forma zjawiałam się codziennie w firmie. Równocześnie zaczęłam organizować swoje nowe życie, całkowicie podporządkowane Victorowi. Tylko jedną osobę z okresu zatrudnienia w Strengfurcie chciałam zatrzymać - wiernego Femiego, który w dalszym ciągu miał mnie niezawodnie wozić po tym chaotycznym kraju. W przyszłości czekały nas wielkie podróże, mające na celu urzeczywistnienie ambitnych planów Victora. Pragnął sprowadzić do Nigerii możliwie jak najwięcej Europy. Zaczął od realizacji zwariowanych pomysłów: pierwszym była odlewnia świec.

-Prawdziwy воск! Nie ta śmierdząca stearyna!

Nie wziął pod uwagę klimatu. Świece woskowe nie nadają się do użytku w afrykańskich upałach. Drugim pomysłem była produkcja pieluch jednorazowych. Ale żadna ze znanych firm nie miała odwagi wejść na nigeryjski rynek. W najlepszym bowiem razie tylko Murzyni z wyższych sfer zakładają dzieciom na pupę pampersy. Trzeci pomysł wywodził się z jego hobby, gry w polo. Jednak produkcja piłek do tej gry rozbiła się podobnie jak kolejny pomysł - wytwarzanie pa-

pieru toaletowego - o ten sam problem: gospodarka drzewna nie była prowadzona w sposób dostatecznie komercyjny, papieru wytwarzanego z makulatury nie było w ogóle.

Mimo to sama myśl była słuszna: kraj potrzebował fabryki papieru. Z punktu widzenia Victora choćby po to, żeby zwiększyć nakłady miejscowych gazet. Planowaliśmy sprowadzanie drewna na dużą skalę. Ale potem Victor dowiedział się, że są drzewa, które nadają do ścięcia już za siedem lat. Trzeba je było tylko zasadzić i owe siedem lat odczekać... Taki długofalowy projekt rozsądziłby jednak ramy czasowe Victora.

Odkąd Victor kazał sprowadzić do Lagos swoich siedem szlachetnych koni do gry w polo i trzy dobermany, Abiola był u nas częstym gościem. W tym czasie weterynarz mocno reklamował w firmach ochroniarskich pomysł używania ludzi z psami do celów strażniczych. Z Victora i moją pomocą zaczął importować na dużą skalę dogi, owczarki i inne psy obronne. Ku ogromnej radości mego ojca, który inkasował za pośrednictwo sporą prowizję. Dla pomysłodawcy i silnego finansowo Victora było rzeczą oczywistą, że teraz należy zbudować fabrykę psiej karmy w puszkach.

W tym celu razem z Abiola polecieliśmy na północ. Ale i ta bańka mydlana pękła bardzo szybko: zaraza przetrzebiła stada bydła nomadów. Na łąkach leżały w rzędach martwe zwierzęta z rozdętymi brzuchami. Te pierwsze próby młodego ambitnego przedsiębiorcy, które jego ojciec śledził ze sceptycznym uśmiechem, wystrzyły jednak zarazem spojrzenie Victora na potrzeby kraju. Dzięki temu uświadomiliśmy sobie na przykład, że dochodowym zajęciem może być import nawozów sztucznych. Mimo to po wymianie poglądów z fachowcami Victor trzymał się od tego z daleka. Nawozy sztuczne z jednej strony uzależniłyby kraj od dużych krajów przemysłowych, z drugiej zaś przyczyniłyby się do wyjałowienia ziemi.

Victor skupił się na ropie, na której tradycyjnie robiła interesy jego rodzina. Znów polecieliśmy na ogromne pola naftowe w delcie Nigru. Pierwsza wycieczka do Wani zmieniła nasz punkt widzenia: martwa ziemia, zatruta przez źle zabezpieczone rurociągi, wymarłe rzeki bez ryb, opuszczone wioski, których dawni mieszkańcy mieszkali

w slumsach w pobliżu rafinerii. Nie mogliśmy zamykać oczu na te sprawy wobec ożywionej już w Europie debaty ekologicznej.

Stryj Victora, Sunny, wpychał palec w otwartą ranę w życiu bratanka:

- Czego ty chcesz, Victorze? Czy nie żyje ci się dobrze? Jak sądzisz, skąd się biorą wszystkie te pieniądze? Z eksploatacji pól naftowych, na które tak się oburzasz!

- Sunny jest skorumpowany, Ilono - zżymał się Victor. - Każę płacić łapówki koncernom naftowym, żeby te nie musiały wypełniać norm ochrony środowiska. A my przyglądamy się, jak postępuje skażenie naszego własnego kraju. Nikt nic nie robi przeciwko temu.

Boom naftowy osiągnął punkt kulminacyjny w 1982 roku - dawny kraj rolniczy żył w odurzeniu petrodolarowym, jakby wygrał na loterii. „Szybko się wzbogacić” - taka była dewiza. Nikt nie pytał o konsekwencje.

Przelatując nad rozległymi, rzadko zaludnionymi połaciami na południu i południowym wschodzie, odkrywaliśmy wielkie składowiska śmieci, częściowo ukryte w dzungli lub na bagnach, a częściowo na terenach odkrytych. Skażone odpady przywoziły tutaj statki z Europy. Zamiast je w poczuciu odpowiedzialności zniszczyć, pozwalano, by gniły pod wolnym niebem i skażały ziemię na dziesiątki lat. Victor postanowił to wszystko zmienić. Wreszcie wziął na celownik swoje zadanie. Coś, co wymagało jego pełnego zaangażowania.

- Narobisz sobie wrogów, Victorze - ostrzegałam. - Przyjeżdżasz do tego, właściwie obcego ci kraju i chcesz robić porządki według europejskich standardów. Nasze metody są tutaj nieskuteczne. Nawet w niemieckich firmach. Przekonałam się przecież o tym w Strengfurcie.

- Moje słowo ma wagę, Ilono. Potrafię obchodzić się z takimi ludźmi jak mój stryj. Nie martw się o mnie.

Nie ubywało mi jednak zmartwień, kiedy słyszałam z jego ust takie teksty.

Mimo to stałam po jego stronie, kiedy założył firmę, która miała opiekować się projektami w dziedzinie ochrony środowiska. Na początku lat osiemdziesiątych plany Victora zrazu spotykały się tylko z odrzuceniem. W rządzie nigeryjskim nie chciano o nich słyszeć. On jednak się nie poddał, jeździł na południe kraju, latał do

Europy, ponieważ wiedział, że rezydujące tam firmy naftowe reagują na ten temat z większą wrażliwością. I rzeczywiście: przyciągnął do kraju pierwsze zlecenia - choć niepokrywające jeszcze poniesionych kosztów.

Przez poznanego w klubie gry w polo przyjaciela, który pracował dla rządu, nowa firma dostała zlecenie w południowo-wschodniej części kraju, w pobliżu granicy z Kamerunem. Na bagnach mangrowe odkryto jakieś beczki, w których najprawdopodobniej znajdowała się trucizna. Kiedy przylecieliśmy do Calabar, legendarnego miasta znanego dawniej z handlu niewolnikami, nie mieliśmy wyobrażenia, jak trudna miała się okazać ta podróż. Dla naszego towarzystwa i ochrony Victor wziął silnego tubylca o imieniu Steve. Po czterogodzinnej przeprawie promem z Calabar przez deltę Cross River dotarliśmy do Eket, gdzie powitał nas Mikę. Mikę był właścicielem małej firmy, która czasami dokonywała napraw na zlecenie dużych rafinerii. Miał nadzieję, że przez Victora dostanie się na prawdopodobnie dochodowy rynek rekultywacji gruntów.

Mikę i jego sympatyczna, wesoła żona ugościli nas w swoim ślicznym, małym domu, a następnego dnia, obładowani górami prowiantu i namiotami, wyruszyliśmy czterema czółnami w zielony gąszcz mangrowe i dżungli. Dwaj nasi przewoźnicy, Mba i Ukwu, popychali wydłubane z jednego pnia łodzie, zapuszczając się coraz dalej w głąb bagien. Gęstą zieleń dżungli przerywały co jakiś czas małe, otwarte tereny, przypominające parki. Mieszkańcy stawiali rośliny w glinianych donicach nad samą wodą, jakby nie interesowała ich pierwotna siła dżungli. Wskutek tego powstało w nas błędne przekonanie, że cywilizacja wcale nie jest tak daleko. Misjonarze zbudowali kościoły ze spiczastymi wieżami nawet tutaj. A mimo to pierwotne wierzenia ludzi nad rzeką były bardzo żywe.

Nagle zaczęło padać. Dosłownie lało jak z cebra! W ciągu kilku sekund byliśmy przemoczeni do nitki. Wypłynęliśmy ze strefy gęstego deszczu, który ograniczał widoczność, i przycumowaliśmy na najbliższej przystani, gdzie było zupełnie sucho. Mba oświadczył, że w pobliżu mieszka *babalawo*, który zna się na wywoływaniu deszczu.

Kilka godzin później wiosłowanie zaczęło nagle sprawiać Mbie trudności. Zostawaliśmy coraz bardziej w tyle. Mba zawołał coś do swojego kolegi. Kiedy wreszcie dopłynęliśmy do niego, Ukwu podał Mbie butelkę dżinu. Jeszcze się zastanawiałam, czy Mbie łatwiej będzie wiosłować po pijanemu, gdy ten opróżnił do wody całą butelkę.

- Ofiara dla bogów - mruknął wioslarz tytułem wyjaśnienia.

I nagle znów poruszał wiosłem z największą lekkością. Najwidoczniej chłepcący dżin bogowie sprawiają ludziom mniej kłopotów. Co miało korzystny wpływ na nasz napiwek dla składających ofiarę.

Pierwszy etap rejsu dobiegł końca w zatoczce wewnątrz laguny. Kilku ludzi zajęło się rozbijaniem namiotów, a inżynier Mikę, ochroniarz Steve, Victor i ja popłynęliśmy dwiema łodziami w głąb jednej z odnóg. Przebyliśmy nieprzyjemną drogę w otoczeniu rojów komarów aż do akwenu, gdzie woda słona mieszała się ze słodką. Ujrzelśmy zrzucone byle jak beczki, przekreślone czerwoną farbą na krzyż trupie czaszki były jednoznaczne. Sądząc po nadrukach, pojemniki pochodziły z Francji. Mikę i Victor zrobili zdjęcia i zabrali próbki wody. Ucieszyłam się, kiedy z lekką bryzą dotarliśmy z powrotem do laguny.

Gdy wygłodniali jedliśmy przy ognisku kolację, Mba i Ukwu opowiadali historie o nietoperzach, które mają ogromne skrzydła, a ich ukąszenie przenosi polio, i o węzach powodujących wrzody. A wszystkie te zwierzątka to nic innego, tylko czarownice. Nie zależy im na zabijaniu człowieka, zamieszkują w jego ciele, żeby napaść się do syta, jak udręczony traci dom i gospodarstwo, żonę i dzieci, w końcu zaś sam schodzi z tego świata.

W czasie gdy Victor i ja przysłuchiwaliśmy się po części z rozba-wieniem, a po części z odrazą, z zarośli wyszła kobieta. Mba poprosił ją, żeby przysiadła się do nas. W milczeniu przyjęła miseczkę ryżu i drugą pełną mięsa z ostrym sosem. Myśleliśmy, że usiądzie, by zjeść, tymczasem kobieta odwróciła miseczki do góry dnem, a potem zniknęła bez słowa, tak samo jak się pojawiła. Nie rozumieliśmy, co się stało, więc jedynym naszym komentarzem był śmiech. Steve odwrócił z powrotem miseczki, a wtedy okazało się, że są puste i czyste, jakby ich nigdy nie napełniano.

Z duszą na ramieniu zaszyliśmy się w namiotach z moskitierami. W nocy obudził mnie odgłos drapania w ścianę. Jakiś podłużny cień przemknął na zewnątrz wzdłuż namiotu. Spanikowana obudziłam Victora. Victor zawołał głośno i klasnął w dłonie. Jego wołanie zaalarmowało pozostałych, którzy rzucili się do naszego namiotu i sprawdzili otoczenie, przyświecając sobie silnymi latarkami kieszonkowymi. Ich poszukiwania nie odniosły skutku. Przy naszym namiocie znaleźli jednak wyraźne ślady jakiegoś kota. A potem Steve odkrył powód tej wizyty: w kącie naszego namiotu leżało kilka kawałków mięsa. Mba i Ukwu złajali nas za to, że swoją lekkomyślnością zwabiliśmy lamparty. Jednak zarówno ja, jak Victor byliśmy absolutnie pewni, że nie wzięliśmy do namiotu żadnej żywności.

- To jest okolica, gdzie lampart poluje nocą - powiedział Mba. - Dziewczyna, która nas odwiedziła, była przemienionym w człowieka lampartem. To ona za pomocą czarów przeniosła mięso z miski do namiotu.

Czyżby nasi znający się na horrorach przewoźnicy organizowali wszystkie te czary, żeby napędzić nam strachu? Przez ścianę naszej cienkiej moskitiery wyraźnie widziałam cień dużego drapieżnego kota. Kolejnym dowodem były ślady zadrapań na namiocie. Niemniej jednak później mówiono mi, że są ludzie, którzy z kocia zwinnością niczym lampart potrafią się poruszać tuż przy ziemi.

Po bezsennej nocy Mba i Ukwu zawieźli nas do *babalawo*, tego, który podobno sprowadzał także opady deszczu. Miał on zapytać wyrocznię, a w razie wątpliwości udobruchać bogów. Wprawdzie Victor powiedział mi, że uważa wypytywanie wyroczni za ewidentne szarlatanstwo, ale zdawał sobie sprawę, że pozostali członkowie naszej grupy patrzą na to zupełnie inaczej. Po ochoczym przyjęciu pieniędzy od Victora *babalawo* zwrócił się do wyroczni. I znów przyglądałam się zafascynowana, jak kapłan z dżungli żongluje orzechami kokosowymi.

Wybraliśmy sobie potężnego przeciwnika, oznajmił *babalawo* po długiej chwili, gdy według nas minęła wieczność. Tego przeciwnika należy udobruchać w trakcie specjalnej ceremonii. *Babalawo* uczynił to, używając do tego celu drewnianego ludzika z potężnym, zwieszonym fallusem: najpierw polał zimną wodą z rzeki jego ciemne, zwietrzałe z wyglądu ciało, a następnie natarł je olejem palmowym.

Podczas całej ceremonii widać było po Victorze wyraźne zniecierpliwienie. Siedział niespokojnie, nie mógł znaleźć stosownej pozycji, by ułożyć swoje długie nogi. Co rusz bezceremonialnie spoglądał na drogi szwajcarski zegarek. Wiedziałam, że wieczorem chce być z powrotem w Lagos. Na koniec pomocnik *babalawo* przyciągnął kozę, która miała być złożona w ofierze. W tym momencie Victor stwierdził pewnie, że przebrała się miarka. Nigdy dotąd nie widziałam go w takim stanie. Wstał gwałtownie, podał mi rękę i pociągnął mnie w górę.

- Mister - syknął do *babalawo* - tam w zatoce leży jakaś trucizna i zatruwa ryby. Ludzie będą później jeść te ryby i zachorują albo umrą. Może by pan choć raz użył swoich czarów przeciwko temu?

Na zewnątrz *babalawo* nie okazał nawet śladu irytacji. Dał tylko klapsa kozie i ją przepędził. Następnie przyjrzał się bacznie Victorowi i rzekł całkiem spokojnie:

-Jeśli lampart nie zabije swojej ofiary za pierwszym razem, nie znaczy to, że nią wzgardził.

Nasi towarzysze złożyli mu jeszcze grzeczny ukłon, my zaś wróciliśmy prosto do czółen. Kiedy wsiadaliśmy, usłyszałam, jak Mba mówi do Mike'a:

- Zapalił czarną świecę.

Mike mlasnął tylko z dezaprobatą językiem. Jednak już po południu wystawił Victorowi rachunek za niecierpliwość. Powiedział, że udział w wydobywaniu beczek wydaje mu się zbyt ryzykowny. Moim zdaniem wystąpienie Victora niepotrzebnie było takie napastliwe. Gdybyśmy przez godzinę uczestniczyli w ofierze z kozy, nie zburzyłoby to znacząco naszego planu. Zwłaszcza że potem i tak musieliśmy czekać półtorej godziny na prom do Calabar. O czarnej świecy dowiedziałam się tyle, że zapalano ją po to, by obłóżyć kogoś kłębem.

Dopiero po wielu tygodniach firmie Victora udało się znaleźć specjalistyczne przedsiębiorstwo, które odważyło się wyruszyć na bagna odpowiednim statkiem. Kiedy ładunek trucizny przybył w końcu do portu, w którym poprzednio trzymano zardzewiałe auta Johna, zaskoczenie było wielkie. Pewien robotnik portowy opowiedział jednemu

z ludzi Victora, że w tym samym porcie dokonano wcześniej przeładunku beczek - na statek należący do towarzystwa żeglugowego stryja Sunny'ego. Oto podstępne gierki stryja lubiącego lamparty.

Sunny igrał ze śmiercią: w beczkach było błoto skażone dioksynami. Stryj okazał wielkie ubolewanie z powodu niedbalstwa swoich pracowników. Tak w każdym razie napisano w gazecie. W kręgu rodzinnym sprawa rozegrała się inaczej. Chief William odwiedził Victora i odbył z nim długą rozmowę w cztery oczy. Po tej rozmowie Victor był bardzo milczący, ale widać było wyraźnie, że dostał burę od szefa klanu. Po odkryciu beczek Victor powinien był zawiadomić rodzinę, a nie rząd.

- A skąd miałem wiedzieć, że to gówno pochodzi od Sunny'ego? - spytał Victor, tłumiąc złość.

Domyślał się wprawdzie, że interesy Sunny'ego nie są czyste, ale czym innym było dowiedzenie tego stryjowi na oczach wszystkich. Pierwszy duży sukces Victora stał się zarazem jego pierwszą porażką.

Zbliżało się Boże Narodzenie 1982 roku. Chciałam się wybrać do moich dzieci do Niemiec, a Victor do Londynu, gdzie mieliśmy potem wspólnie spędzić sylwestra. Femi odwoził nas na lotnisko. Podał nam do tyłu jakąś gazetę.

- Czytała już pani, ma'am?

Grubymi literami na stronie tytułowej widniało: „Niemiecki biznesmen zastrzelony w swoim biurze”. Zobaczyłam czarno-białe zdjęcie mężczyzny leżącego na podłodze w kałuży własnej krwi. Spiesznie przebiegłam oczami tekst. Klaus Nickel osiągnął od tyłu kule, kiedy stał przed swoim sejfem. Zabójca musiał znać Nickela i pewnie poprosił go o przyniesienie czegoś z dobrze strzeżonego sejfu, w którym były przechowywane dokumenty firmy i większe sumy pieniędzy. „Ludzi pokroju Nickela doprowadzają do zguby ich własne machlojki” - powiedział kiedyś do mnie Bernd.

* Dioksyny - nadzwyczaj trwałe, bardzo trujące związki **chloru**, powstające **głównie** w procesie spalania.

Podawałam gazetę Victorowi, który przeczytał tekst dokładniej.

- Nie doczytałaś do końca, Ilono. Napisali tutaj, że zamordowany został także główny księgowy Nickela. Niejaki Lion Okoro. Dwa dni wcześniej zaszyty na ulicy. - Przerwał. - Co za kraj!

Nie ulegało wątpliwości: obaj zmarli nie dawali mi spokoju. Gdybym miała u boku mniej czujnego anioła stróża, pewnie nie przeżyłabym drogi powrotnej z przyjęcia u Okoro. Ale śmierć tych dwóch była niepotrzebna: o wiele więcej osiągnięto by, gdyby doszło do procesu. Ale to nie leżało pewnie w niczyim interesie. W swoich rozważaniach nie wyłączałam też oczywiście Strengfurtu. Nickel nie pozostawił potomstwa, ale Okoro miał troje małych dzieci. Czy to ich wina, że ich ojciec był człowiekiem pozbawionym skrupułów?

W Nowy Rok miałam rzadką przyjemność poznania damy z brytyjskiej arystokracji - matki Victora. Na pewno miała więcej niż pięćdziesiąt pięć lat, ale na jej skórze nie było nawet jednej zmarszczki. Jakby była wyprasowana, jak wszystko w jej domu. Domu? To był ozdobiony wieżyczkami pałac z własnym parkiem u bram Londynu. Wszystko wyglądało tak, jakby Victor był jedynym człowiekiem o ciemnym kolorze skóry, który mógł kiedykolwiek skorzystać z głównego wejścia.

- Jak długo nie widziałaś matki, Victorze? - spytałam go wcześniej. Zastanowił się chwilę.

- Cztery lata? Nie, pięć.

Na powitanie podała synowi rękę - do ucałowania. Żadnego uścisku. I tak też przebiegała konwersacja, w której godne uwagi było właściwie tylko jedno, a mianowicie następujący komentarz:

- Victorze, nie powinieneś zostawać w Afryce. To nie twój kraj.

Victor nie zaprotestował, tylko w milczeniu przyjął jej słowa do wiadomości.

Atak sokoła

Kilka dni po sylwestrze znaleźliśmy się z powrotem w Lagos.

W końcu miał przypłynąć z Argentyny nowy koń Victora. O ogierze, który kosztował 100000 marek, Victor opowiadał z zachwytem już wiele dni wcześniej. Z dumą oprowadzał mnie po klimatyzowanej stajni, w której nieprzyzwoicie drogie konie miały lepiej niż pracownicy mieszkający w *boy's quarters*. Nowy nabytek był muskularnym, czarnym ogierem, niezbyt wysokim. Jak większość koni do gry w polo miał około półtora metra w kłębie. Nazywał się Abraxas.

Nie odważyłam się dosiąść tego wierzchowca z hodowli uszlachetniającej, który sprawiał wrażenie konia pełnej krwi o zbyt krótkich nogach. Abraxas był bardzo żywym zwierzęciem. Naładowanie energią podkreślał fakt, że miał zgoloną grzywę - środek ostrożności, żeby bambusowy kij gracza się w nią nie zaplątał. Jediną osobą, która mogła zajmować się Abraxasem, był brytyjski stajenny o imieniu Pete. Jego zdaniem, jak na konia do gry w polo, Abraxas był właściwie trochę zbyt nerwowy. Pete spał tuż obok stajni. Dla bezpieczeństwa Victor dał mu dobermana.

Po raz pierwszy od dawna szczęśliwi i odprężeni wróciliśmy do położonej niedaleko willi Victora. Każdy w ekipie Victora był przekonany o tym, że największy udział w zwycięskim meczu z silną drużyną z północy miał nowy ogier. Następnego ranka Victor wstał bardzo wcześnie, bo miał do załatwienia kilka spraw poza miastem.

- Wyśpij się, kochanie - powiedział, zegnając się ze mną.
- Okay - mruknęłam i odwróciłam się na drugi bok, gdy usłyszałam z jego ust zdyszany okrzyk:

-Jezu Chryste!

- Co się stało?

-Zostań w łóżku! - Głos Victora przybrał nienaturalne piskliwe brzmienie. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby mówił w ten sposób.

Nie zostałam w łóżku i zobaczyłam, co się stało: przed drzwiami sypialni leżał jeden z dobermanów Victora. Silnemu, bądź co bądź, zwierzęciu poderżnięto gardło. I to tu, w domu, przed drzwiami naszej sypialni! Tutaj pies się wykrwawił. Wszystkie moje nigeryjskie koszmary senne ożyły znowu. To było ostrzeżenie!

Kiedy niewiele później zastałam Victora ubranego jak zwykle bez zarzutu w jego gabinecie, próbował nie dać poznać po sobie, że się boi.

- Zadzwońeś na policję?

-Ilono, kochanie, oboje znamy ten kraj wystarczająco dobrze, prawda?

- Co zamierzasz zrobić?

- Nic. To samo co dotąd. Nie dam się zastraszyć.

- Kto za tym stoi? Wiesz?

Nie odpowiedział na to pytanie. W rachubę wchodziło już wiele osób, którym Victor nadepnął na odcisk. Beczki z Calabar to nie był odsobniony przypadek.

Po śmierci psa Victor kazał wyposażyć strażników w ostrą amunicję. Tymczasem Abiola odwiózł nam dobrze wychowane dogi Baatzi i Dolly. Były duże jak cielęta, przez co ich imiona wydawały się śmieszne.

Kilka dni później Femi odwoził nas późnym wieczorem do domu po kolacji w towarzystwie partnerów handlowych. Wśród egipskich ciemności reflektory jaguara wyłowiły tuż obok bramy wjazdowej jakiś tłumok, który wyglądał jak duży worek.

- Femi, niech pan powie strażnikom, żeby to rano usunęli.

- Tak, sir.

Femi przejechał obok. Coś mi mówiło, że ten „worek” jest podejrzany.

- Femi, niech pan się zatrzyma. - Opuściłam szybę. To nie był worek. Przy bramie leżał, nieruchomo, jakiś człowiek. - Niech mi pan poda swoją latarkę.

-Nie, ma'am, lepiej sam zobaczę.

Wysiedliśmy więc wszyscy troje. Leżący na ziemi mężczyzna nie żył. Kiedy Femi odwrócił go na plecy, poznaliśmy go. To był Pete, rudy stajenny Victora, specjalnie ściągnięty z Londynu. Zamordowany ciosem noża w pierś.

- Co Pete komu zawinił? Co? Przecież on zajmował się tylko moim koniem! To był miły, sympatyczny chłopak.

Victor wrócił do samochodu, opadł na skórzane siedzenie.

- Kto? Victorze, powiedz mi! Kto, jak sądzisz, to zrobił? - błagałam o wyjaśnienie.

- Porozmawiam z ojcem.

To była wymijająca odpowiedź. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałam - tej solidarności rodzinnej. Sądziłam, że należę już do rodziny, bo żyję u boku Victora. Co za błąd! Naprawdę ważnych spraw nie omawiano w mojej obecności.

Dwa dni później przeczytałam w gazecie, że pochodzący z Walii stajenny Pete Wyman padł ofiarą morderstwa połączonego z rozbojem. Ani słowa o tym, że Pete pracował dla Victora.

Choć ojciec Victora zachowywał się zgodnie z normami zachodnimi, to jednak pozostał mocno zakorzeniony w swej kulturze murzyńskiej. Poprosił syna, aby pojechał w pobliże Benin City, dobre 300 kilometrów na wschód od Lagos. Tam, w dżungli, Victor miał zapytać o radę rodzinnego szamana.

- To wszystko bzdury, prawda, Ilono? - śmiał się Victor. - A mimo to pojedziemy tam.

Szaman miał na drzwiach tabliczkę, która wskazywała na rodzaj działalności: *herbalist* - zielarz. I chciał zostać z Victorem sam na sam...

- Zaraz wracam, kochanie.

Upłynęły trzy godziny, które spędziłam na podwórzu, drzemiąc w cieniu wielkiego baobabu. W końcu mój książę wyszedł z glinianej chaty. Był wytracony z równowagi, ale nie chciał dać poznać tego po sobie.

- Było bardzo interesująco - powiedział.

Jego oksfordzka angielszczyzna wydawała się tutaj nie na miejscu tak samo jak jego szary, dwurzędowy, zakurzony garnitur od Armaniego. Zamknięty w sobie niczym jedna z tak lubianych przez niego

ostrzeg, siedział w ranę roverze, który sam prowadził. To dlatego, żeby Femi nie dowiedział się, iż on, księżę z Anglii, szuka rady u „zielarza”. Mniejsza o to, że niechętnie.

- Powiedział ci coś, czego się boisz. Prawda, Victorze?

Ta prognoza nie mogła być błędna - po wszystkim, co się stało.

- Nie sądzę, Ilono. Chodzi o wudu! - powiedział lekceważąco. - *Herbalist* powiada, że stosuje się przeciwko mnie czarną magię. Śmieszne! Czy podrzynanie gardła psu to czarna magia? Albo zabicie niewinnego chłopaka?

Dżungla. Po obu stronach drogi. Bez końca. Nieprzenikniony, zielony gąszcz.

Victor zignorował ostrzeżenie szamana. Od pewnego czasu leżała przed drzwiami słomianka. Zakrywała ciemnobrązową plamę, jaka pozostała na parkiecie po krwi zabitego psa. Niczym przestroga, o której Victor pragnął zapomnieć. Pewnego ranka okazało się, że ta słomianka jest wilgotna. Victor delikatnie dotknął jej bosą stopą. Zbadał przyczynę i odkrył dwa małe naczynia z jakąś jasną cieczą, połączone cienkim sznurkiem. Sznurek przebiegał przez matę i ją zwilżał.

- Niech pan tego nie dotyka, sir - powiedział służący, trzęsąc się ze strachu.

- Dlaczego? Co to jest?

- To trucizna, sir!

- Bzdury!

Victor wylał płyn do klozetu, a matę wyrzucił do śmieci. Pomimo to długo mył ręce i nogi.

Po południu pojechaliśmy na plażę i odbyliśmy długi spacer. Trzymałam za rękę mego księcia. Podczas naszego safari Victor spytał mnie, czy wierzę w przeznaczenie. W minionych dniach wydarzyło się zbyt wiele, żebym mogła jeszcze wierzyć w przypadek.

- Victorze, wtedy, kiedy Nickel nastawał na moje życie, chciałeś, żebym zrezygnowała z pracy w Strengfurcie. Bo dla niej nie warto narażać się na niebezpieczeństwo. Teraz ja proszę cię o to samo. Wyjedźmy do Londynu albo do Niemiec. Gdzieś, gdzie będziemy bezpieczni.

W milczeniu patrzył na morze. W końcu pokręcił wolno głową.

- W Nowy Rok moja matka powiedziała, że Afryka to nie mój kraj. Powiedziała to, bo nie zna mojego kraju. Nigdy nie uważała, że warto zadać sobie trud i pojechać do kraju mężczyzny, którego poślubiła. Pewnie było dla niej... za daleko. Przecież najchętniej zapomniałaby także o mnie. Kocham Anglię, ponieważ jest to wolny, demokratyczny kraj. I kocham Nigerię. Ale nie z motywów narodowych. Na tym polega różnica. To kraj mojego ojca. A on wierzy we mnie. Nie zawiodę go. No dobrze, będę ostrożniejszy. Ale uciekać? Nie, Ilono.

- Obiecujesz mi, że będziesz ostrożniej szy?

Wziął mnie w objęcia. Spienione fale wdzierały się na plażę. Jak nie mogłam powstrzymać tych fal, tak nie mogłam też zatrzymać tego, co miało przyjść. Miałam wprawdzie obietnicę Victora, lecz oboje nie wiedzieliśmy, przed czym mamy się bronić. Albo przed kim. Powinniśmy byli wyjechać z Nigerii. Ale Victor nie chciał. Taki był jego los...

Zbliżał się mecz rewanżowy z drużyną polo z północy. Miał się odbyć w Katsinie, przy granicy z Nigrem. Victor i jego zespół wyjechali razem z końmi już przed kilkoma dniami, ja miałam dolecieć później. Nigdy nie zapomnę tamtej nocy przed odlotem. Spałam niespokojnie, miałam jakieś pogmatwane sny o prehistorycznym ptaku, który trzymał w szponach Victora i unosił go, mocno uderzając potężnymi skrzydłami. Krzycząc, biegłam za bestią. Ptak wzbijał się coraz wyżej i w końcu zniknął mi z oczu. Wyczerpana zrezygnowałam z pościgu i upadłam w kurz. Usłyszałam, jak ktoś się śmieje. Był to głos mężczyzny. Rozejrzałam się dokoła, ale słońce mnie oślepiło. To był jeździec siedzący na koniu w pewnej odległości ode mnie. Wyciągnął przed siebie rękę. Czyżby do mnie machał? A może wyciągnął rękę po to, żeby pomóc mi się podnieść? Wydawał się jednak o wiele za daleko, by był w stanie mi pomóc.

Ojciec Victora, William, zabrał mnie do Katsiny swoim prywatnym samolotem. Sam usiadł z przodu obok pilota, ja z tyłu.

William odwrócił się do mnie.

- Proszę odpowiedzieć szczerze, Ilono: lubi pani polo?

Uśmiechnęłam się. Stary naczelnik plemienia, patrząc na mnie filuternie, wydawał się domyślać odpowiedzi.

- No cóż, chiefe Williamie, bardzo cenię pańskiego syna. I lubię konie.

Roześmiał się głośno, odchylając do tyłu głowę.

- Dyplomatyczna odpowiedź. Ale nie szczerą. Sądzę, że w rzeczywistości odczuwa pani to co ja. A mnie żal jest koni.

-Wiele się od nich wymaga - zgodziłam się z nim. - Najpierw szybki galop, a potem raptowne osadzanie w miejscu i nawrót. To kosztuje konie mnóstwo sił.

- Od jeźdźców też się wymaga żelaznej kondycji. Poza tym nie jest to sport zbyt bezpieczny. Victor ma już za sobą kilka poważnych upadków. Czasem chciałbym, żeby wybrał sobie mniej ryzykowne hobby. Przede wszystkim tu u nas, w Afryce, ziemia bywa często twarda. W Anglii, gdzie Victor nauczył się tego sportu, trawniki są miękkie, więc i upadek nie jest wcale taki niebezpieczny.

- Boi się pan o niego?

William popatrzył przed siebie. Ponieważ siedziałam tuż za nim, nie mogłam widzieć jego twarzy, gdy odpowiedział:

- Jest moim jedynym dzieckiem, Ilono. Niewiele troszczyłem się o niego. Opowiadał pani kiedyś o tym? Tak, na pewno opowiadał. Teraz jestem starym człowiekiem i już na to za późno. Chciałbym, żeby został moim następcą. I Victor bardzo się stara mnie nie zawieść. Ale czasami... - William zrobił przerwę, pewnie zastanawiał się, czy nie zdradza zbyt wiele. - Czasami mam wątpliwości, czy słusznie wyrwałem go z jego życia w Anglii. Ja tego nie wiem. Jak pani sądzi: czy Nigeria jest dla niego właściwym krajem?

Moja odpowiedź padła o wiele za szybko.

- Ależ tak, chiefe Williamie, Victor kocha Nigerię. Sam mi to powiedział.

- Bo to jest kraj jego ojca, Ilono. Nie dlatego, że to jest jego kraj. Ważna różnica. Ale to piękny kraj... - Popatrzył w dół na gęstą zielenią dżungli, przez którą torowały sobie drogę ciemne, życiodajne arterie rzek. -I trudny. Przede wszystkim dla tego, kto go nie zna - dodał po przerwie.

W pierwszych miesiącach William zwracał dużą uwagę na zachowywanie wobec mnie dystansu. Nie potrafił ocenić, jak mocny stanie się związek łączący Victora i mnie. Jednak stopniowo nasze rozmowy traciły formalny charakter. Doceniał moją pracę dyrektora handlowego, która miała na celu optymalizację przedsięwzięć. Wycofywanie się z udziałów w firmach, które nie przynosiły zysków, a za to inwestowanie w gałęzie mogące zaowocować w przyszłości. Ale nigdy wcześniej nie rozmawiałam z Williamem na tematy zupełnie osobiste, jak teraz w ciasnym samolocie. Może dlatego, że los zbliżył nas do siebie w tych godzinach jak nigdy dotąd.

Pilot leciał na bardzo małej wysokości, mniej więcej tysiąc metrów nad ziemią. Przeważnie podążając za biegami rzek lub dużymi asfaltowymi drogami, które leżały w szerokim korycie z czerwono-brunatnej ziemi. Rozpaczliwie zastanawiałam się, jak zagadnąć Williama, bądź co bądź, naczelnika plemienia, o dziwne rzeczy, jakie działy się w otoczeniu Victora: zabicie dobermana, zamordowanie stajennego Pete'a, dziwną konstrukcję do nawilżania słomianki przed drzwiami naszej sypialni. William na pewno o tym wiedział. No bo z jakiego innego powodu wysyłałby syna do „zielarza”?

Nie wykorzystałam tej okazji. William ponownie odwrócił się do mnie i popatrzył z powagą.

- Victor chce się z panią ożenić, Ilono. Chętnie usłyszałbym od pani, czy pani też tego chce. Ale proszę, żeby to nie była dyplomatyczna odpowiedź. Mimo że potrafi to pani dobrze robić.

Tego się nie spodziewałam! Gdyby samolot wpadł w dziurę powietrzną, serce nie przestałoby mi pewnie bić na tak długo jak po tym pytaniu. Kochałam Victora w inny sposób niż przedtem Johna. Nauczyłam się już, że miłość oznacza odpowiedzialność i nie należy się nią bawić. Związek z Victorem był romantyczny i egzotyczny, lecz równocześnie od początku było w nim coś takiego jak powaga, głębokie wewnętrzne zrozumienie. Nie mogłam więc udzielić lekkomyślnej odpowiedzi.

- Chiefie Williamie, nie jestem jeszcze rozwiedziona - wyjąkałam. - Mężczyzna, który jest moim mężem, broni się przed rozwodem. Na pewno jednak uzyskam ten rozwód. Ale mam dwoje dzieci, które mieszkają w Niemczech.

William zniecierpliwiał się trochę.

- Ilono, przecież jestem tego świadom. Chciałbym wiedzieć, czy wyjdzie pani za Victora!

- Nigdy dotąd nie spotkałam takiego mężczyzny jak pański syn, sir. - Odetchnęłam głęboko, a potem powiedziałam to i wreszcie przyznałam się do tego przed sobą. - Tak, kocham go. Gdy tylko uzyskam rozwód, wyjdę za niego.

- To dobrze. Niech Bóg błogosławi pani ścieżki, moja córko.

Wyjrzał przez okno na rozległy kraj pod nami. Po chwili odwrócił się do mnie z uśmiechem:

- Proszę, niech pani już nie mówi do mnie „sir” i „chief. Proszę nazywać mnie Williamem. Poza tym nie była pani jeszcze w moim pałacu. Powinna to pani nadrobić jak najprędzej.

Od Williama dowiedziałam się, że Katsina była dawniej stolicą uprawianej przez elitę kraju gry w polo. Tymczasem lepszą opinią cieszyło się Sokoto, położone dalej na zachód. Katsina, stare miasto islamskie z meczetami, z wieloma, przeważnie zbudowanymi z gliny domami, otoczonymi przez miejskie mury, zrobiło na mnie wrażenie baśniowe, jako coś bardzo odległego od wszystkiego, co zachodnie. Już z samolotu można było dostrzec liczne wielbłądy, z którymi wędrowały szczelnie okryte postacie. Tylko położona poza miastem nowa stalownia robiła duże wrażenie, unaoczniając, że industrializacja dotarła już również tutaj.

Kiedy chief William rozmawiał z innymi, udającymi ważnych mężczyznami, odszukałam mojego księcia przy koniach do gry w polo, którym wiązano jeszcze ogony.

- Abraxas jest okropnie nerwowy. Zastanawiamy się, czy w ogóle go wystawić - powiedział Victor.

- Może transport mu nie posłużył.

- Myślę, że brakuje mu Pete'a. Mam co prawda nowego stajenngo, ale on nawet w części nie radzi sobie tak dobrze z Abraxasem.

Obserwowałam turniej, usiłując wzbudzić w sobie zainteresowanie. Nie potrafiłabym wyjaśnić, czy są zdobywane punkty i dlaczego. Przez wzbijany przez jeźdźców kurz czasami ledwo mogłam dostrzec,

kto uderzył drewnianą piłkę i w jakim kierunku. Moja uwaga skupiała się wyłącznie na Victorze, co rusz próbowałam go wyłowić wzrokiem wśród jeźdźców na boisku o długości ćwierć kilometra. Przede wszystkim gdy w drugiej części, zwanej *chukka*, Victor wystawił Abraxasa. Przed meczem zwierzę było nerwowe, teraz zaś wydawało się bez problemów wykonywać polecenia Victora.

Stałam pod parasolem obok wysokiej kobiety w typie „mammy” i jej wątłego męża, który z fachowym zainteresowaniem śledził przebieg gry przez lornetkę, w przeciwieństwie do gadającej bez przerwy żony. Znowu próbowałam wypatrzeć na boisku Victora, który był jednym z ośmiu konnych graczy. Zbita gromada rozsypała się, jedna grupka pogoniła za piłką. Tam, to był on! Abraxas cwałował przodem, odrywając się od innych. Victor stał na czubkach palców w strzemionach, ciało przechylił do przodu, trzymając w prawej ręce specjalny młotek.

W tym momencie zauważyłam ptaka, który mógł być wielkości wrony: szybko poruszając skrzydłami, przemknął tuż nad boiskiem. Wydawało się, że ściga Victora i jego konia. Czyżby jeźdźcy spłoszyli jakąś mysz, którą chciał zabić ten ptak? - przemknęło mi przez głowę.

Wtedy Victor wychylił się daleko z siodła i wziął młotkiem szeroki zamach. Kątem oka zobaczyłam, że kobieta obok mnie gestem przerażenia zakrywa usta i głośno wciąga powietrze. Ułamek sekundy po tym, jak Victor odbił małą piłkę z drewna wierzbowego, ptak doleciał do Abraxasa, który zamierzał właśnie zatrzymać się i zawrócić. Ptak rzucił się ku głowie konia i usiadł na niej na jedno mgnienie oka. Abraxas stanął dęba i potrząsnął łbem, chcąc zrzucić bijącego skrzydłami napastnika.

Victor nie miał nawet cienia szansy. Głową w przód runął na piasek.

Rzędy widzów obiegł krzyk, co tylko pogorszyło sytuację. Abraxas, który był kłębkim nerwów, obrócił się dookoła własnej osi, jakby tańczył na tylnych nogach, i nadepnął na Victora.

Szybko machając skrzydłami, ptak zawrócił i odleciał, zresztą tuż nad moją głową. Widziałam wyraźnie, że odlatujący napastnik to szczupły ptak z jasnymi cętkami na piersi. Abraxas oddalał się błyskawicznie, jakby kąsały go tysiące szerszeni, a tymczasem pozostali

jeźdźcy już dawno zwrócili konie w kierunku, w którym poleciała piłka po uderzeniu Victora. Kiedy kurz opadł, na ziemi pozostał tylko Victor.

Stało się. Ptak z mojego snu. To on przyleciał.

Potrzebowałam kilku sekund, żeby ochłonać z przerażenia, zanim z wieloma innymi ludźmi wbiegłam na boisko. Dwaj sanitariusze mało delikatnie położyli Victora na noszach i ruszyli biegiem. Z trudem utorowałam sobie drogę przez tłum, żeby podążyć za nimi. Usłyszałam, jak jakiś człowiek mówi:

- To niewiarygodne, nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego.

- Sokół, który atakuje konia... - wtórował mu zdumiony ktoś drugi.

William natychmiast kazał przewieźć syna swoim samolotem do Lagos. Victor miał szczęście: Abraxas nie trafił go w głowę. Mimo to wskazana była ostrożność, bo mimo kasku nie dało się wykluczyć wstrząsu mózgu. Victor miał złamaną kość podudzia - spanikowany koń w dzikim tańcu nastąpił mu na nogę.

- Co z Abraxasem? - spytał w samolocie Victor.

Wcześniej nikt nie chciał mu nic powiedzieć o losie szlachetnego zwierzęcia.

- Dostał zastrzyk uspokajający - odparł William.

- Dlaczego mu odbiło? - zapytał znowu Victor, który w ogóle nie zauważył ataku ptaka.

- Zaatakował go jakiś ptak drapieżny - wtrąciłam. -1 koń się spłoszył.

-Jezu Chryste! Skąd wziął się tam ptak drapieżny?

- To był sokół.

Nic więcej William nie powiedział i także Victor teraz zamilkł.

Czyżby sokoły miały jakieś tajemnicze znaczenie? Dlaczego ten widz był taki zdziwiony, gdy powiedział: „Sokół, który atakuje konia...”?

- Co to znaczy, gdy sokół atakuje konia, Williamie? - zapytałam.

Ale chief, zamiast mi odpowiedzieć, nadal patrzył nieruchomo przez okno. Z jego ust nie padło już nawet słowo.

-Wiesz, kochanie, powinienem być posłuchać tego człowieka... - mruknął po chwili Victor.

-Masz na myśli... tego „zielarza”?

Skinął głową.

- Ostrzegł mnie. Miałem się trzymać z daleka od turnieju...

Zbyt wiele myśli i uczuć zważyło się na mnie, najpierw musiałam je jakoś przetrwać. Wprawdzie widziałam już przed paroma miesiącami kogoś z rodziny Victora obnoszącego się z sokołem, ale w tym momencie nie kojarzyłam Sunny'ego z tym, co się stało.

Abraxas nie mógł już występować w turniejach polo. Lewego oka nie dało się uratować. Victor pozostał w szpitalu na obserwacji tylko kilka dni; wstrząs mózgu był lekki, na nogę założono mu gips.

Kobieca solidarność

Minęło kilka dni. Victor nie wychodził z domu. Wprawdzie dobrze radził sobie o kulach, lecz sprawiał wrażenie odmienionego. Ale nie w stosunku do mnie, gdyż w dalszym ciągu z wielką tkliwością mnie rozpieszczał. Godzinami przesiadywał w bibliotece i czytał. Książki o Nigerii, różnych wierzeniach poszczególnych plemion, ich podobieństwach i konfliktach. Pewnego dnia, kiedy wróciłam z biura, zakomunikował mi decyzję, która wiele go kosztowała. Natychmiast domyśliłam się, że stoi za tym William, gdy mi obwieścił:

- Ilono, przyjmujemy zaproszenie mojego ojca i jedziemy do naszej wioski.

Właściwie to nic wielkiego, pomyślałam, nie przeczuwając, że ta podróż zamieni się w wyprawę do korzeni afrykańskiej tożsamości. Nie wystarczy bowiem wiedza teoretyczna wyniesiona z książek, żeby zrozumieć ten kraj. A przede wszystkim, żeby uczynić ze mnie kobietę, która ma - i chce - w przyszłości żyć z człowiekiem będącym nadzieją plemienia.

Klimatyzowanym ranżem roverem ze skórzanymi siedzeniami zawiozłam Victora do wioski w głębi dżungli. Tam, gdzie William w budynku sądu wymierzał sprawiedliwość - w takich sprawach jak przypadek młodego męża, który przytąpał swoją najmilszą w łóżku z innym mężczyzną. Młody małżonek był przekonany, że przytąpał żonę *in flagranti* tylko dlatego, że pod materacem małżeńskiego łóżka umieścił *juju*. Ono zaś przeszkodziło kochankom opuścić łóże rozpu-

sty odpowiednio wcześniej przed jego powrotem. Teściowie musieli zabrać córkę z powrotem i oddać lwią część posagu.

William bardzo rzadko mieszkał w swoim pałacu. Przed stu laty, kiedy go wznoszono, ówcześni architekci zrezygnowali z przepychu, jaki wyróżnia europejskie pałace. Z surowych cegieł zbudowali wysokie pomieszczenia o zaokrąglonym suficie, który podtrzymywały ozdobnie wygięte i pomalowane drewniane belki. Skromne sale nie były przeładowane meblami. Taka architektura przypuszczalnie miała robić na widzu wrażenie swoją wielkością. William posiadał kolekcję sztuki tradycyjnej. Wspierał też jednak młodych rzeźbiarzy, kupując od nich utrzymane w żywych kolorach prace; dla mnie były to przykłady sztuki naiwnej. Oprócz sal z długimi stołami i ciemnymi krzesłami, gdzie odbywały się zebrania, było też kilka pokoi, w których stały ołtarze, i te pomieszczenia służyły do celów rytualnych.

Do jednego z takich ołtarzy podszedł teraz William. Pośród świec, muszli i świeżych kwiatów stała głowa kobiety, wyrzeźbiona z ciemnego drewna hebanowego o delikatnym rysunku słoju. Piękną kobietą o regularnych rysach była prababka Victora. Tę niezrównanie cudowną rzeźbę William podarował synowi.

William wyjaśnił, że popiersie było przeznaczone dla Victora i jego przyszłej żony oraz dzieci. Po powrocie do Lagos Victor miał postawić tę tradycyjną rzeźbę na domowym ołtarzyku. Patrząc na tę głowę - tak uważał William - będzie mógł przypominać sobie swoich przodków i w ten sposób czerpać siłę na własną drogę życia.

- Pamiętaj, Victorze, że stoimy na barkach naszych przodków - napomniał syna William.

W następnych dniach mieliśmy się dowiedzieć, co to faktycznie znaczy dla ukształtowanego przez Europę Victora.

W pałacu mieszkało wiele kobiet, wśród nich także matka Williama, pierwsza żona jego ojca, oraz trzy współżony, które rozumiały się bardzo dobrze. William jako naczelnik klanu miał decydujący głos przede wszystkim poza pałacem, w pałacu natomiast nieograniczonym autorytetem cieszyła się jego matka, która rozstrzygała o losach mieszkańców. Ojciec Victora po rozwodzie z angielską żoną nie ożenił się bowiem po raz drugi. O powodach się nie mówiło, ale z jednej

z typowych ogródkowych wypowiedzi Victora wywnioskowałam, że tuż po przyjsciu na świat syna jego ojciec poddał się operacji raka jądra. Tym większą uwagę poświęcał więc synowi - i naturalnie kobiecie, na którą padł wybór Victora.

Stosownie do tego duża była ciekawość, z jaką mnie przyjmowano. Tutaj nagle przestało się liczyć, że dobrze mi idzie kierowanie firmami Victora i Williama i że doradzam Victorowi w interesach. Nie liczyła się tutaj samodzielność, na którą pracowałam przez całe życie. Byłam jedną z wielu kobiet. Na przykład posiłków nie mogłam spożywać razem z mężczyznami. Miałam jadać z innymi kobietami albo sama. Podczas całego naszego pobytu w pałacu tylko raz wolno mi było zjeść posiłek z Williamem i Victorem. Moja sypialnia znajdowała się w domu kobiet; wspólnie mogliśmy spędzać czas tylko w pomieszczeniach Victora.

Wkrótce po naszym przyjeździe odbyło się wielkie spotkanie męskiego towarzystwa, które Victor potem mi zrelacjonował. Sunny wyraził się wtedy, że nie zaakceptuje Victora jako przyszłego króla, ponieważ Victor jest zbyt zachodni i nie rozumie niczego z tradycji swego ludu. Na dowód tego Sunny wymienił akurat mnie. Jako biała nie mogę przecież zostać pierwszą żoną Victora. Małżeństwo ze mną będzie możliwe tylko wtedy, gdy Victor poślubi najpierw w ramach tradycji piętnastoletnią księżniczkę z własnego plemienia, która przeszła właśnie uroczystą inicjację.

Zgodnie z dawną tradycją ta dziewczyna, która po wstąpieniu Victora na tron zajęłaby miejsce matki Williama, miałaby rządzić w pałacu jako pierwsza żona Victora, sprawująca zwierzchnictwo nad innymi współżonami. Jeślibym więc chciała zostać żoną Victora, musiałabym się jej podporządkować i przyjmować za rzecz oczywistą, gdyby Victor zenił się z innymi kobietami. Znowu szyderczo szczyrzyła do mnie zęby poligamia, ów upiór, który zrujnował małżeństwo moje i Johna.

Ale tym razem nie uciekałam; zaufałam Victorowi, bo znałam jego punkt widzenia. Oboje musieliśmy przyjąć do wiadomości, że w wyższych sferach społecznych miłość nie jest prywatną sprawą dwojga ludzi. Tym samym było już w zasadzie jasne, że moje małżeństwo

z Victorem niemożliwe jest w takiej postaci, jak sobie to wyobrażaliśmy, a mianowicie jako małżeństwo monogamiczne jak w Europie. Victor musiał spełnić warunki Sunny'ego albo zrzec się tronu. Jego miłość do mnie była więc dźwignią, którą Sunny zamierzał przyłożyć we właściwym miejscu, aby popchnąć Victora do rezygnacji!

To jednak oznaczałoby zarazem porażkę Williama w grze o władzę. Jako chief klanu postawił weto i zaproponował kompromis, który po długiej dyskusji zaakceptowali wszyscy biorący udział w spotkaniu mężczyźni. W czasie gdy Victor jako członek plemienia dostąpił tradycyjnego wtajemniczenia przez inicjację, w trakcie której zapozna się ze zwyczajami i obrzędami swojego ludu, żeby w ogóle można go było zaakceptować jako następcę jego ojca, ja miałam zostać wprowadzona przez kobiety w ich tajemnice. Czekał mnie dwutygodniowy okres inicjacyjny! Był to podstawowy warunek mojego wspólnego życia z Victorem. Chyba że Victor zrezygnuje ze mnie albo z tronu.

Victor popatrzył na mnie z czułością.

- Oni nazywają to *fathouse*, kochanie. Jak sądzisz, dasz radę - dwa tygodnie w dżungli?

- *Fathousel* - Roześmiałam się. - Brzmi niezbyt apetycznie.

-Według mojej babki kobiety z rozkoszą wspominają ten okres spędzany w *fathouse*. Potem otrzymamy błogosławieństwo od wszystkich, którzy byli przeciwko nam. Wkrótce, kochanie, będziemy znowu razem.

Nestorzy plemienia zabrali Victora na inicjację. W tym samym czasie w moim pokoju pojawiła się bardzo stara, bezzębna kobieta, której towarzyszyła szesnastoletnia dziewczyna o imieniu Ifeoma. Ponieważ stara znała tylko język własnego plemienia, Ifeoma tłumaczyła na angielski. Pierwsze pytanie dotyczyło mojej miesiączki. Ifeoma powiedziała, że inicjacja nie może wypaść podczas menstruacji.

Ifeoma starannie przygotowała mnie do inicjacji. Zaplotła mi warokczyki. Potem cała kunsztowna konstrukcja zniknęła pod *gele* ze sztywnego materiału, który błyszczał jak srebro. Dostałam srebrną bluzkę z adamaszku i zawijaną wokół ciała spódnicę z tej samej tkaniny. Ifeoma podprowadziła mnie do gęstego żywopłotu z ciernistych

krzewów i wysokiej trawy. Zatrzymałyśmy się przed wąskim otworem w żywopłocie, w niemal romantycznej i baśniowej scenerii.

Za żywopłotem czekała na mnie strażniczka z obnażonym biustem, która miała na sobie jedynie biały wrapper. Wręczyłam jej specjalnie dobrany bukiet kwiatów. Pierwsze litery nazw roślin tworzyły hasło plemiennej społeczności kobiet. Znajdowałam się na skraju lasu, przez który prowadziło wiele drózek, podobnie jak w labiryncie. Gęsta zieleń bujnej roślinności: lian, paproci, palm i bananowców, sprawiała, że przy samej ziemi było wilgotno i duszno, jednak szybko przyzwyczaiałam się do tego klimatu. W dżungli ciągle pojawiały się wzbudzające strach drewniane maski - przedstawiały ludzi, smoki, krokodyle, a nawet istoty, które przypominały jednorożce.

Ifeoma napomniała mnie, żebym nie dotykała żadnych roślin, których nie znam, i nie schodziła z dróżki, bo są ukryte potrzaski. Podobno występuje też wiele trujących roślin. Kobiety maksymalnie utrudniają dostęp osobom niewtajemniczonym, a tym bardziej wrogom. Nasz cel znajdował się pod szerokim parasolem świętego drzewa iroko. Stał tam bardzo duży dom z gliny, prawdziwa rezydencja w środku dżungli z biegnącym na zewnątrz arkadowym krużgankiem i mocno wystającym dachem. Podprowadzono mnie pod ten budynek ze śpiewem i rytmicznym klaskaniem. Ifeoma przetłumaczyła słowa starej, siwej kobiety. Miałam uklęknąć przed naczelniczką wioski. Naczelniczka przemówiła do mnie życzliwie w pidżynie i szerokim gestem poprosiła, bym wstała i weszła do domu.

- Witamy w naszej wspólnotce kobiet, Ilono.

Moje oczy bardzo wolno przyzwyczały się do ciemności. Zaskoczyła mnie przestronność domu. Na pewno mierzył dziesięć na dwadzieścia metrów, okna były zasłonięte kocami i płåtami materiału. Na niskich drewnianych ławkach wzdłuż ścian siedziały kobiety. Podobnie jak one, musiałam się rozebrać i pozostać w samym wrapperze. W dziwnej, jakby pierwotnej atmosferze wstyd wydawał się zbędny. Naczelniczka usiadła na zydlu. Elegancko rzeźbiony trójnogi zydel, na którym chwiejąc się niepewnie, próbowałam

utrzymać równowagę, został poświęcony przez kilkakrotne oplucie śliną. Ifeoma przykucnęła obok na glinianym klepisku i wszystko mi tłumaczyła.

Zauważyłam już duży przedmiot pośrodku pomieszczenia. Był to wizerunek jakiejś niekształtnej z wyglądu bogini, obwieszanej łańcuchami, ozdobionej muszlami i kamieniami. Obok tego najważniejszego posągu stały mniejsze rzeźby - kobiety z koskami na głowie, dziećmi na plecach, karmiące niemowlęta ogromnymi piersiami. Miniatura kobiecej codzienności.

Stara kobieta zaczęła monotonicznie coś nucić, mruzczyła jakieś zaklęcia, a w końcu kazała mi pocałować ozdobioną węzami, metalową łaskę, którą dotknęła dużego posągu, a następnie zakreśliła nią w powietrzu młynka. Jej pomocnice przyniosły ofiary, które miały być złożone bogini w moim imieniu: kurę, jajo, gołębia, rybę, ryż, czerwone orzeszki kola, czerwony pieprz i czerwony olej palmowy. W trakcie ceremonii kazano mi powtarzać formułę zaklęcia. Była ona adresowana do boga stwórcy, który stworzył wszystkie istoty. Każdy powinien mu dziękować i oddawać cześć.

Potem mogłam się wycofać do jednej z małych, okrągłych chat stojących wokół domu, gdzie odprawiano rytuały. Do środka chaty wstawiono mi nawet łóżko do spania. Sympatyczny gest pod adresem białej, szybko jednak uzmysłowiłam sobie, dlaczego w tym otoczeniu nie zdają egzaminu łóżka, jakie znamy: materace szybko wilgotnieją i stają się nieprzyjemne w dotyku. Większy sens ma rozłożenie na ziemi zwykłej maty. Tubylcze dziewczęta musiały dawniej mieszkać w tych chatach po pierwszej miesiączce przed obrzezaniem i żeby się szkolić. Jak wyjaśniła mi, chichocząc, Ifeoma, jedna czy druga mieszkała tu nawet siedem lat, dopóki nie nabrała dość ciała i i nie znalazła mężczyzny, który zechciał się z nią ożenić.

Fathouse - a więc chodziło o dosłowne znaczenie tego słowa. Obecnie do osiągnięcia pożądanego ideału urody wystarcza przeważnie rok lub dwa. W tym okresie dziewczętom dobrze się powodzi. W przeciwieństwie do życia, jakie czeka je później, nie muszą absolutnie nic robić. Inne kobiety kąpią je w rzece, nacierają wonnymi olejkami, malują

ją i stroją. Jednocześnie w ramach nauczania dziewczęta pobierają wiedzę w sprawach kobiecych. Oczywiście moja wizyta miała w mniejszym stopniu służyć uzyskaniu określonej tuszy; byłam tutaj, żeby we wspólnocie z innymi kobietami poznać zwyczaje i obrzędy plemienne.

Pierwszy stopień mojej inicjacji polegał na tradycyjnych upomnieniach. Naczelniczka nie ukrywała, że wie o silnej antypatii Sunny'ego do mnie jako białej kobiety. A więc miałam zrozumieć ducha wspólnoty. Na Zachodzie patrzy się na człowieka jako na jednostkę, w dawnej tradycji afrykańskiej tak nie jest.

- Twoje powiązania z innymi kobietami tworzą twoją osobowość - wyjaśniła naczelniczka. - Pożegnaj się ze swoim egoizmem, który służy jedynie sobie. Musisz stać się częścią wspólnoty. Bogata kobieta to kobieta, która ma bogate powiązania... A powiązania - to my wszystkie między sobą. Wspólnie stanowimy jedną duszę.

Naturalnie solidarność wzmacniała pozycję kobiet wobec mężczyzn, którzy spotykają się w swoich stowarzyszeniach. Nie powinienam zatem trzymać się z daleka od innych kobiet, tylko spędzać z nimi cały czas. Jeśli chcę żyć jako żona Victora u jego boku, muszę wypełniać swoje zadanie razem z innymi, pracować z nimi, świętować, jeść, dzielić się z nimi swoimi pieniędzmi. Ja chciałam poślubić Victora, tymczasem z tego, co słyszałam, można było raczej wyciągnąć wniosek, że chcę poślubić jego plemię.

- Zadanie, jakie dostałaś do spełnienia w życiu, było ustalone już w chwili twoich narodzin - ciągnęła mądra, stara kobieta - ale żeby je wypełniać, musisz się nauczyć je rozpoznawać.

Brzmiało to absolutnie sensownie, jeśli się zważy na to, jak wielu ludzi ucieka we wszelkie możliwe formy odurzenia, bo nie wiedzą, co jest ich zadaniem albo jaki sens ma ich życie.

- Istnieją odpowiednie tradycje - wyjaśniła stara - które wskazują dzieciom drogę. Ludzie w miastach już się tego nie uczą. Wiodą bezsensowne życie, które osłabia ich duszę i pozwala im uciekać w konsumpcję. Tracą naturalne zaplecze i ku siłom duchowym zwracają się tylko wtedy, gdy niebezpieczeństwo zagłada im w oczy.

Sama przekonałam się w Nigerii na własne oczy, że w miastach ogromnym powodzeniem cieszą się wszelkie możliwe sekty. To na-

stępstwo zmiany gospodarki z rolniczej na przemysłową, która niesie ze sobą utratę łączności z rodziną, wspólnotą i wioską. O tych wspomnieniach w domu rytualnych zgromadzeń myślałam później jeszcze nieraz. Wtedy słuchałam tego wszystkiego i włos, że tak powiem, języł mi się na głowie. Dziś wiem, że stara kobieta, która siedziała w ciemności obok swej grubej bogini, powiedziała wiele słów prawdy. Prawie wszędzie na świecie występuje ten problem: zanikają wielkie rodziny i wspólnoty wiejskie, a coraz więcej jest singli i rodzin z jednym dzieckiem.

Następnie naczelniczka oświadczyła, że teraz mam poznać siebie. Wzięła mnie za rękę i dotknęła nią kolejno szesnastu rozłożonych przed nią muszli ślimaków kauri, na które musiałam splunąć, co zrobiłam z pewnym obrzydzeniem. Potem rzuciła muszle, z których ułożenia odczytała, że unikam sytuacji konfliktowych. Od razu mi wyjaśniła: konflikty pojawiają się przeważnie wtedy, gdy sprawy popadają w stagnację, gdy na nasze uczucia zbyt mocno wpływają ego i kontrola. I ja właśnie za bardzo się kontroluję. Konflikty są oznaką hamowania energii duchowej. Konflikt to wyzwanie, prezent, który ma nam pomóc iść do przodu. Dzięki konfliktowi mogę poznać siebie. Ale tylko wtedy, gdy nie jestem wrogo nastawiona do drugiego człowieka. Muszę się z nim sprzymierzyć, żeby wspólnie wzmocnić siły duchowe. Dzięki temu będę mogła spojrzeć na problem z innego punktu widzenia i znaleźć rozwiązanie. W kulturze europejskiej nosi się maski, bo człowiek boi się kompromitacji. I dlatego zresztą nie prosi nikogo o pomoc.

Niestety, nie miałam przy sobie nic do pisania, żeby to wszystko utrwalić, ale mądra kobieta powiedziała, że kiedy czas dojrzeje, dokładnie sobie wszystko przypomnę. I wówczas mam to przekazać innym. Albowiem wiedza, którą człowiek zachowuje tylko dla siebie, nie daje szczęścia.

Inicjacji, która - jak już się przekonałam - służyła pogłębieniu uczucia wspólnoty, towarzyszyło wiele uroczystości. Jeszcze długo po północy tańczyło się do muzyki wybijanej na bębnach, śpiewało, jadło, a nawet popijało alkohol w niemałych ilościach. Jako abstynentka z przekonania, popijałam jedynie wodę, która miała brązowa-

wy kolor i jak zwykle potwierdzała w smaku dużą zawartość żelaza. Alkohol rozwiązywał języki i kobiety opowiadały sobie niekończące się historie. Wiele tych opowieści traktowało o mężczyznach i sprawach seksualnych. Szczególną uwagę poświęcano męskim kłopotom z potencją, dla których proponowano zadziwiające rozwiązania. Ifeoma, tłumacząc, nieraz krztusiła się ze śmiechu.

Coraz bardziej uświadamiałam sobie, że inicjacja *wfathouse* to po prostu szkoła żon dla będących dziewicami dziewcząt. Co najmniej równie ważne, jak rady seksualne doświadczonych kobiet, było uczenie właściwego prowadzenia domu, od zakupów przez czystość aż po możliwości oszczędzania. Albo wyjaśnianie kwestii odżywiania, uprawy ziemi i - co bardzo istotne - właściwego traktowania krewnych i przyjaciół męża. Inne ważne tematy to: szczęście i zadowolenie w związku z partnerem, urodzenie dziecka, wychowanie, choroba i śmierć. W moim przypadku naczelniczka szczególną uwagę zwracała na to, żeby aspekt praktyczny szedł zawsze w parze z nauką duchową. Przy uprawie roli na przykład celem nauczania jest wykształcenie postawy, którą moglibyśmy nazwać pokorą lub respektem wobec przyrody.

Dzień tak zwanego rytuału ziemi zaczął się bardzo wcześnie, bo o świcie. Siedziałyśmy na macie rozłożonej przed chatą i jadłyśmy z jednej miski gotowane bulwy ignamu, które maczało się w ostrym sosie. Do picia była rdzawobrunatna woda, którą Ifeoma przyniosła ze studni pośrodku wioski. Tego dnia musiałam włożyć brązowo-pomarańczowy wrapper z batiku i ciemnobrązową chustę na głowę oraz żółtą jak słońce bluzkę bez guzików. Czekał mnie długi marsz, a potem praca w polu. U celu trzeba było skopać twardą ziemię, sądziłam, że nie podołam tej pracy wyciskającej siódme poty. Jednak delikatnie zbudowana Ifeoma o dużych oczach i lalkowatej twarzy kopała obok mnie z takim zapałem, że - chcąc nie chcąc - nie mogłam odpuścić. W ten sposób osiąga się przeżywanie wspólnoty!

Potem musiałam wykopywać korzenie ignamu, grube bulwy, które rosły głęboko w twardej, czerwonej, ilastej glebie i trudno było się do nich dostać. Sztuka polegała naturalnie na tym, żeby wyciągnąć z ziemi całą bulwę. Nie trzeba było długo czekać, od razu

ułamala mi się górna połowa bulwy, przez co jeszcze trudniej było dostać się do pozostałej części. W końcu jednak się nauczyłam - cierpliwością.

Potem trzeba było przygotować *garri*, potrawę uzyskiwaną z bulw manioku według żmudnej, rozłożonej na wiele dni receptury. W tym celu obiera się bulwę, moczy przez kilka godzin w wodzie, a następnie uciera na tarce. Powstała masa trafia do bawełnianego worka z przyczepionymi ciężarkami, żeby wycisnąć całą ciecz. Worek stoi w słońcu przez trzy dni, czwartego dnia wysypuje się jego zawartość i suszy na słońcu przez kilka godzin, a następnie praży z odrobiną oleju palmowego. Dopiero wtedy można proszek zmieszać z gotującą wodą i jeść w postaci papki. Przyznaję, że u nas są prostsze metody przygotowywania jedzenia. Ale ktoś, kto uczestniczył w tej torturze wytwarzania żywności, je potem całkiem inaczej...

Sens medytacji pod drzewem iroko zrozumiałam dopiero po kilku godzinach: miałam tylko patrzeć na drzewo. Pot lał się ze mnie litrami, wpływał mi do oczu, więc go ocierałam, lecz to tylko pogorszyło sprawę. Żmudnie próbowałam wybrać jakąś znośną pozycję siedzącą, znaleźć oparcie dla coraz cięższych rąk i cierpiących nóg, aż w końcu wylądowałam w swego rodzaju pozycji jogi. W pewnym momencie zapomniałam o fizycznej udreće. I faktycznie zaczęłam widzieć to drzewo. Pory w jego korze, znamiona, kolory, małe zwierzątka, które w nim żyją, ledwo zauważalne granie wiatru wśród liści. Tak, słyszałam drzewo, ciche skrzypienie kory i ptaki mieszkające w jego koronie.

Na końcu medytacji oparłam się o szorstką korę mego drzewa, objęłam je i poczułam fizycznie. Kolację zjadłam, siedząc wśród korzeni drzewa - połowę zostawiłam dla niego. Miscożkę opróżniły ptaki. A w nocy naprawdę mi się śniło, że jestem drzewem! Nadzwyczaj plastyczny sen, w którym byłam wierzba o gałęziach zwisających do samej wody. Nazajutrz rano stara kobieta wyjaśniła mój sen w ten sposób, że pewnie tęsknię za spokojem, który rozsiewa drzewo. Powiedziała, że w jej wierze drzewo to ma symboliczne znaczenie jako łącznik między niebem a ziemią. Po długim okresie suszy jego nagie gałęzie błagają niebo o wodę.

Poznałam rytuał ognia: medytacja przy ognisku należy do niego tak samo jak bieganie po rozżarzonych węglach, kiedy człowiek tańcem wprawi się w trans. Rytuał poświęcony wiatrowi uczył pokonywać własny strach przez wspinanie się na palmę kokosową, a przy okazji wyrabiał zręczność. Niewiarygodnej koncentracji wymagało śledzenie w nocy szybkiego lotu nietoperzy, żeby można było powiedzieć, dokąd lecą. Do rytuału wody należało męczące pranie nad rzeką, właściwe ułożenie ciała podczas noszenia naczyń z wodą na głowie, czerpanie wody z głębokiej studni, a także robienie grzebieni i łańcuchów z muszli. Przy okazji poznałam różne rytuały służące urodzie, począwszy od wytwarzania pudrów, mydeł i olejków aż po prawidłowe stosowanie esencji i farb. Najważniejsze było przy tym ozdabianie własnego ciała, żeby nauczyć się je cenić.

Jedną z najważniejszych lekcji było określenie mojego bóstwa opiekuńczego. Dowiedziałam się, że moją patronką jest akurat bogini morza *Mammy water*, dlatego powinnam jej służyć i składać ofiary.

- Niemożliwe, żeby moją boginią była bogini wody! - zawołałam. - Ja boję się wody!

Opowiedziałam starej kobiecie o swym traumatycznym przeżyciu, kiedy miałam sześć lat. Ojciec wziął mnie wtedy na basen. „No, skacz, Ilono!” - zachęcał mnie. Ale nie skoczyłam. Bałam się. Nagle mocny kuksaniec w krzyże, jakiś chłopiec mnie popchnął, plasnęłam do wody, straciłam orientację, nie wypłynęłam o własnych siłach na powierzchnię. Ktoś mnie wyciągnął. Nigdy więcej nie odważyłam się wejść do wody. Kiedy moje dzieci chodziły na pływalnię, czekałam z ręcznikiem na skraju basenu. Głęboka woda - moja trauma.

Stara kobieta pokręciła ze zrozumieniem głową.

- I po tym widzisz - powiedziała - że straciłeś swoje korzenie. Naucz się nie bać wody, a odkryjesz, kim naprawdę jesteś. Strach staje na twojej drodze do samej siebie.

Minęło jeszcze dużo czasu, zanim zrozumiałam, co miała na myśli.

Mój pobyt w *fathouse* dobiegł bowiem końca. Stara kobieta udzieliła mi jeszcze paru pouczeń na drogę, które mój rozum wprawdzie słyszał, lecz później nie potrafiłam zrobić z nich użytku.

- Woda to życie - rzekła.

Miała przy tym na myśli mistyczne znaczenie wody: *Mammy water*, nazywaną również Jemonją, jako matkę wszelkich wód, symbolizującą płodność, a tym samym istotę kobiecości. Następnie wyjaśniła mi, co może dla mnie oznaczać *Mammy water*. Boska pramatka rzeczywiście symbolizuje coś, co ma dla mnie wielkie znaczenie: miłość do dzieci, życie domowe, troskliwość, ukryty temperament, przebaczenie, czasem melancholię, umiejętność zarabiania pieniędzy, lecz równocześnie także to, że wyżej się ceni udane życie uczuciowe niż materialny dobrobyt.

W Afryce uznanie bogini za swoją patronkę oznacza służenie jej i składanie ofiar. W ofierze można składać wszystko, co da się zjeść, w wypadku *Mammy water* na przykład owcę, kure, gołębia, gotowaną rybę lub słodycze, ciasto, melony, soki owocowe.

Wieczorem kobiety odprowadziły mnie po raz ostatni do rzeki na wspólną, swobodną kąpiel. Było to ceremonia oczyszczenia, po której miałam wrócić do swego życia codziennego jako kobieta wolna od słabości. Kiedy kobiety myły mnie w wodzie, przypomniałam sobie, pod jakim znakiem zodiaku się urodziłam - Ryby. Może to jedna z nauk, jakie wyciągnęłam z okresu spędzonego w Afryce. Choćbyśmy wyjechali najdalej, cokolwiek nas spotyka, po bliższym przyjrzeniu się stwierdzamy, że wszystko tworzy sieć powiązań i wzajemnie należy do siebie. Tak samo jak ja, Ryba bojąca się wody, należę do *Mammy water*...

Jakże sceptycznie podchodziłam do tej z początku niedobrowolnej ceremonii inicjacyjnej. I jak rozluźniona byłam teraz po jej zakończeniu! Dowiedziałam się wiele o sobie, o innych kobietach, o wspólnocie, o stosunku do innych i do samej siebie. Dwa tygodnie w dżungli nie tylko bardzo mnie zmieniły wewnętrznie, ale także nauczyły rozumieć ludzi. I jeszcze coś stało się ze mną: od tego momentu nosiłam w sercu miłość do Afryki.

Mimo że słowo *fathouse* sugeruje, że człowiek wraca okrąglutki, ja schudłam. Tylko po części wynikało to z pracy, do której nie nawykłam, i innego jedzenia. Moje ciało w przenośnym sensie oddało to, co mnie obciążało.

Wymalowana, przystrojona i odświętnie ubrana zostałam zwrócona memu tęsknie czekającemu Victorowi, który z zaskoczeniem stwierdził, że stałam się dojrzalsza i bardziej kobieca.

Po zbyt dużej dawce rytualnej wspólnoty Victor i ja, powróciwszy do pałacu, wycofaliśmy się zaraz do naszych pomieszczeń, żeby nacieszyć się sobą, a w tym czasie przygotowywano uroczystość na cześć naszej inicjacji. Blisko przytuleni do siebie, zasłonięci moskitierą, leżeliśmy na skrzypiącym łożku z kolumnkami z ciemnego drewna. Victor wdychał z przyjemnością zapach mojej skóry, delikatnie namaszczonej przez kobiety olejkiem. Kiedy usłyszeliśmy odgłosy dobiegające z dużego podwórza, na zewnątrz było już prawie ciemno. Nie zauważyliśmy, że tymczasem minął cały dzień.

Victor pocałował mnie w brzuch i powiedział:

- Kiedy urodzi nam się dziecko, będzie nosić twoje drugie imię, Maria. Zgadzasz się?

-A jeśli to będzie chłopiec?

- Wtedy ty zadecydujesz - odrzekł czule. -Ale ja wolałbym dziewczynkę.

Część 3

Utracona mitość

*Tam, gdzie jest dużo zła,
musi też być dobro.*
(prysłowie nigeryjskie)

Koniec pewnego snu

Szkoła żon w dżungli przygotowała mnie na nowy początek. Wiedziałam wprawdzie, że życie z Victorem oznacza dla moich zdolności adaptacyjnych znacznie większe wyzwanie niż nieudane małżeństwo z Johnem, ale perspektywa życia z księciem uszczęśliwiała mnie i usuwała w cień wszelkie wątpliwości, jakie bym pewnie miała, gdybym rozważyła rzecz na trzeźwo. John żył z dnia na dzień, Victor natomiast był świadomy swojej odpowiedzialności. Możliwe, że taki też był sens naszej inicjacji.

Mnie to doświadczenie dodało sił - Victorowi zabrakło zaś dużo energii. Już wcześniej opowiadał mi o swoim pobycie w internatach, o wielkich sypialniach, braku prywatności, o posłuszeństwie, którego bezwzględnie żądano. W ciągu tych dwóch tygodni spędzonych z mężczyznami z jego plemienia denerwowało go przede wszystkim to, że nie może być sam. Wiele z tego, co przeżył, określał jako zacofane.

- Teraz potrafię nawet złapać krokodyla. Przynajmniej teoretycznie - oświadczył, mrugając do mnie.

We wspólnocie mężczyzn nie otworzył się tak, jak mnie udało się otworzyć wśród kobiet. Victor był typem mózgowca, rytuałów nie traktował poważnie, bardziej go bawiły. Były jednak częścią życia przywódcy plemienia. Z całą siłą wybuchł tłący się w jego wnętrzu konflikt między wykształceniem w Europie, które wyznaczało jego sposób myślenia, a planami ojca względem niego. Victor czuł, że musi się zdecydować - albo Europa, albo Afryka. Jako syn naczelnika plemienia musiał zająć jednoznaczne stanowisko.

Stał przy oknie i wyglądał na podwórze, gdzie na jego i moją cześć zebrało się już wielu ludzi. Kiedy chciał ode mnie wiedzieć, czy wyobrażam sobie przeniesienie się na stałe do pałacu, gdy on obejmie władzę po ojcu, zrozumiałam, że nie ma siły podjąć decyzji. Pewnie liczył po cichu na moje „nie”, co ułatwiłoby mu opowiedzenie się przeciwko Afryce. Ale Nigerii nie pojmowałam już w kategoriach naiwnego podziwu lub odrzucenia. Ja nosiłam ten kraj w sobie. Nie tylko szkoła żon, ale całe moje życie w Afryce i różne przeżycia tutaj pozwoliły mi odzyskać dawną siłę. Ze spokojnym sumieniem mogłam odpowiedzieć, że na miejscu Victora przyjąłabym to wyzwanie. Ale nie powiedziałam mu tego.

Było to bowiem jedno z tych pytań, na które nie mogłam od razu odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Zbyt wiele czynników odgrywało rolę. Sama się przecież przekonałam w szkole żon, że rytuały trzeba przeżywać, czynnie w nich uczestnicząc, a nie obserwować je od zewnątrz. Według jego własnych słów Victor tak naprawdę nie poddał się inicjacji. I inni mężczyźni na pewno to zauważyli.

Miałam przed oczami nie tylko martwego stajennego i zaszlachtowanego psa, ale także podstępny atak sokoła, słyszałam ostrzeżenia Mili, doradczyni, która widziała, że coś zagraża mojemu szczęściu. Oczywiście nie mogłam przedstawić żadnych dowodów, żadnych faktów. Tylko przecucia! Nie chciałam jednak, aby uczucia podpowiadały mi tak ważne decyzje: nie chodziło tylko o Victora i o mnie, lecz o ludzi z jego plemienia. Dlatego on sam musiał postanowić, co zrobić; ja mogłam mu tylko pomóc.

- Chciałabym się starzeć razem z tobą - powiedziałam, opierając głowę o jego ramię. - Bez względu na to, gdzie będziesz mieszkał na starość. Naprawdę chcesz zostać tutaj na zawsze?

- Na pewno chcę być z tobą... do końca życia - odparł czule i pogłaskał mnie po włosach nadal splecionych w warkoczki. - Ale czy chcę żyć tutaj - to inna kwestia. Musisz wiedzieć, że jeśli zdecyduję się stąd odejść, Sunny zadba o to, żeby rada starszych wymogła na moim ojcu rezygnację z tytułu chiefa. I wówczas najpierw by rządził Sunny, a po nim jego syn Akpoviroro. Już Sunny byłby niegodnym następcą, ale mój kuzyn Akpoviroro - to prawdziwa katastrofa.

- Aż tak źle?

- Owszem. To człowiek, który z autentyczną przyjemnością wykrawał serce z żywego krokodyla. Mówię ci - szkoda gadać.

Victor opowiadał o swoim kuzynie jak o dzikusie! Nie przyszło mu do głowy, że zabicie krokodyla może być aktem rytualnym. U niego było tylko niezrozumienie. Przed oczami stanął mi mój synek Bobby, mieszaniec jak Victor, chowający się w Wigilię za plecami babki na widok czarnej kucharki. To tylko jeden drobny szczegół zewnętrzny, ale znamieny.

- Czego ty tak naprawdę chcesz, Victorze? - zapytałam jeszcze raz. - Nie chcesz dopuścić do tego, żeby Sunny i jego syn zajęli miejsce po twoim ojcu i tobie?

- Nie mogę zawieść ojca - odpowiedział. Brzmiało to niemal przekornie.

- Twój ojciec jest mądrym człowiekiem. Ma przecież oczy i widzi, że bardziej jesteś Europejczykiem. Dlaczego miałbyś chcieć, żebyś prowadził życie, które do ciebie nie pasuje? *Wfathouse* nauczo mnie, że konflikt należy rozwiązywać wspólnie z przeciwnikiem. Macie przecież, Victorze, taką dużą rodzinę. Nie ma w niej kogoś innego, kto wchodziłby w rachubę jako następca twojego ojca i kogo Sunny by zaakceptował?

W pierwszej chwili Victor prychnął pogardliwie, po czym rzucił na mnie swoje miękkie, aksamitne spojrzenie i pocałował mnie.

- Rzeczywiście, pilnie uważałaś na lekcjach w *fathouse* - rzekł z uśmiechem. - Czy to kwestia wrodzonych zdolności dyplomatycznych? - Chwył mnie za warkoczyk i czule przyciągnął do siebie. - Może inny z moich kuzynów: Opele. Z nim można rozsądnie porozmawiać. Opele kocha Afrykę i naszą kulturę. Mieszkał też w USA i studiował tam prawo. Ma własną kancelarię adwokacką w Calabar. Opele jest niezły, widział dużo świata, jest inteligentny i potrafi łagodzić konflikty. Rozumie świat białych i świat Afrykanów.

-Może mógłbyś zaproponować ojcu, żeby wyznaczył Opele na swego następcę?

- Nie wiem, czy to w ogóle możliwe, Ilono. Nie potrafię ci powiedzieć, jak mój ojciec zareaguje na taki pomysł. Wtedy musiałby najpierw przekonać starszą, że to najlepsze wyjście dla całej wspólnoty.

Moja propozycja jakoś nie wzbudziła w nim zapału. Czyżby na koniec uznał, że nie wierzę w niego: nie wierzę, że może być dobrym lub, jak sam się wyraził, sprawiedliwym władcą? Czyżbym go wręcz obraziła?

- Nie masz mi chyba za złe tego, co powiedziałam? - zapytałam łagodnie. - Wiesz, po prostu wydaje mi się, że jeśli zechcesz żyć tutaj, będziesz musiał zrezygnować ze zbyt dużej części samego siebie.

Victor był już myślami zupełnie gdzie indziej. Ale gdy zaczął mówić, wiedziałam, że zamierza wcielić w życie moją propozycję.

-Najpierw musiabym zapytać ojca, czy akceptuje twój pomysł, a potem razem z nim porozmawiać o tym z Opele. Jeśli Opele się zgodzi, radę starszych będzie można wtajemniczyć w nasz plan i to gremium musi zdecydować o dalszych krokach mających na celu dobro wspólnoty...

Na podwórzu było pełno odświętnie ubranych ludzi. Przyszła po mnie Ifeoma, która zaprowadziła mnie do mojej dawnej nauczycielki. Ubrała mnie w śliczny biały, przetykany złotymi nitkami wrapper, do którego dopasowałam bluzkę i chustę na głowę. Victor miał na sobie tradycyjny afrykański strój z przetykanego koronkami, lekkiego, białego materiału. Wydawał się w nim taki wysoki i delikatny, a do tego pełen godności.

Kolację musiałam jeść w towarzystwie kobiet. Siedziałam obok Betty, siostry Williama i Sunny'ego, którą znałam z „małego” przyjęcia Williama w Lagos. Do tej pory nie odesłałam jej szala. Opowiedziała mi, że pożyczyła samochód synowi i szuka kogoś, kto by ją zabrał do Benin City. Ponieważ droga do Lagos prowadzi przez Benin City, mogłam się zrewanżować Betty za pomoc. Zaproponowałam jej, że nazajutrz odwieziemy ją do domu ranę roverem Victora.

Betty poznała mnie z wieloma kobietami, które wypytywały o moje życie. Wszystkie uważały mój pobyt w *fathouse* za fascynujące przeżycie. Nie rozumiały jednak, że monogamia to dla mnie coś oczywistego i mogę być tylko jedyną żoną Victora. Taki mężczyzna jak on potrzebował przecież wielu potomków! Często rozmawiałam z Victorem na temat dzieci. Uważał Janet i Bobby'ego za swoje dzieci, chciał mieć jeszcze tylko małą Marię i później może małego Victora. Zda-

niem kobiet dwoje dzieci to za mało jak na naczelnika plemienia. Sunny, jak się dowiedziałam, miał cztery żony, a oprócz tego kochanki. Damy przy moim stole chichotały, że jest ich tyle, iż Sunny nie ma czasu regularnie odwiedzać swoich czterech żon w odpowiednich odstępach czasu. A mimo to są dumne z tego, że rodzą mu dzieci. Pośrednio krytykowały w ten sposób Williama za jego bezżeństwo i bezdzietność po rozwodzie w Europie. William uważany był jednak za sprawiedliwego i godnego szacunku przywódcę plemienia; żadna kobieta nie ośmieliłaby się krytykować go otwarcie.

Podczas uroczystości dyskretnie obserwowałam Sunny'ego, który wprawdzie wciąż przyłączał się do grupek mężczyzn, lecz równocześnie przystawiał się też do młodych dziewcząt. Niczym paw obnoszący się ze swoją władzą.

Victora nie było u mego boku przez całe przyjęcie. Dopiero pod wieczór podszedł do mnie, żeby bez świadków zamienić kilka słów.

- Ojciec gotów jest porozmawiać z kuzynem Opele. Zaraz jutro polecimy więc do niego do Calabar. Rodzina nie może jednak na razie nic wiedzieć o naszej wizycie. Musimy postępować dyplomatycznie.

Do Calabar mieli polecieć tylko Victor i jego ojciec, który sam chciał prowadzić samolot. Znałam tę okolicę, gdyż na tamtejszych bagnach szukaliśmy beczek, które okazały się groźnymi odpadami ukrytymi przez Sunny'ego.

Poinformowałam Betty, że tylko ja pojedę z nią do Benin City, ponieważ William i Victor lecą do Lagos. Wiadomość ta błyskawicznie obiegła nasz stolik. Żadna z kobiet nie miała odwagi jechać tą mocno uczęszczaną trasą bez mężczyzny lub kierowcy.

Następnego ranka ja i Betty odwiozłyśmy Williama i Victora na lotnisko w Wani, gdzie stał zatankowany i gotowy do lotu samolot Williama.

- Jutro wieczór będę u ciebie w Lagos, Ilono. Nie martw się - powiedział Victor na pożegnanie i złożył na moich ustach długi pocałunek.

- Gdybyście stwierdzili, że Opele nie jest zainteresowany sukcesją po Williamie, to dla nas dwojga znajdzie się inna wspólna droga, prawda, skarbie? - szepnęłam Yictorowi na ucho.

Na to Victor powiedział kilka zdań, których nie zapomnę do końca życia:

- Jesteś silną kobietą, Ilono. Tylko ja jestem teraz zbyt słaby. Muszę odzyskać swoją dawną siłę. Dlatego pokażę stryjowi, że nie dam mu się zastraszyć. Muszą się wreszcie skończyć wszystkie te dziwne rzeczy, jakie działy się ostatnimi czasy. Nasze wspólne życie będzie cudowne. Obiecuję ci to.

Również William uściskał mnie na pożegnanie, a potem obaj ruszyli do swojej małej maszyny, czekającej w słonecznej spiekocie.

Victor odwrócił się jeszcze raz i zawołał:

- Monachium czy Londyn?! Co by ci się bardziej podobało?!

- Tam, gdzie ty zechcesz. Dopóki będziesz przy mnie! - odkrzyknęłam.

- Zawsze i wszędzie! - zawołał i machając, uśmiechnął się do mnie.

Niemal swawolnie mimo zagipsowanej nogi pokuśtykał do samolotu, jakby spadło z jego barków ciężkie brzemie. Długo stałam na pasie stratowym i machałam oddalającej się maszynie, dopóki nie zamieniła się w mały punkt na horyzoncie.

- Miłość to coś cudownego - skomentowała pulchna Betty i westchnęła ciężko.

Jazdę do Beninu wykorzystałam na to, aby porozmawiać z Betty, młodszą siostrą Williama, o troskach Victora. Opowiedziałam jej o dziwnych zamachach na Victora, zrealizowałam wizytę u „zielarza”.

- To mądry człowiek, którego przepowiednie się sprawdzają - odparła Betty w swoim pidżynie, w którym słowa miewają całkiem proste znaczenie. - Ale rada mędrca pomaga tylko temu, kto jest wystarczająco mądry, żeby jej posłuchać. Kochasz Victora, lecz ten chłopak tak naprawdę nie zna kultury naszego kraju. - Całkiem otwarcie mówiła o tym, że nie za bardzo dogaduje się z Sunnym w przeciwieństwie do Williama. - Nie można ciągle schodzić z drogi Sunny'emu. Ale naturalnie znalazłby się sposób położenia kresu jego machinacjom.

Zaintrygowało mnie to, więc zapytałam, co ma na myśli.

- Wszystko jest ze sobą powiązane, moje dziecko. Sunny podporządkowuje sobie ciemne moce. Ale każda ciemna siła ma naprzeciw siebie siłę, która działa w odwrotnym kierunku. Gdyby Victor opo-

wiedział mi o swoim problemie, poradziłabym mu, żeby zapytał o radę naszych bogów. Oni wskazały mu drogę.

Nie zgodziła się jednak zaproponować kogoś innego na następcę Williama, udzielając typowej dla afrykańskich kobiet odpowiedzi:

- To sprawa mężczyzn. Jeszcze się tego nauczysz, Ilono. My, kobiety, mamy inne zadania, niż przejmować się kwestiami władzy.

- Ale mnie to też dotyczy, Betty. Życie Victora to moje życie! - za protestowałam.

- Victor będzie ci mówił, jak ma przebiegać twoje życie - odparła.

Postanowiłam, że lepiej będzie porozmawiać z nią o mojej inicjacji. Wiedziałam, że bogini płodności *Mammy water* jest także osobistą boginią Betty. I że Betty regularnie jeździ do wioski w dżungli, gdzie odwiedza kapłankę kultu tej bogini. Wzmacnia ją bowiem siła kobiet.

- Jeśli nie wiesz, co począć, moje dziecko - oświadczyła, gdy wysadziłam ją przed jej domem - to przyjdź do mnie. Dla ciebie zawsze będą drzwi otwarte.

Pod wieczór dotarłam wreszcie do naszego domu w Ikoyi. Długo szukałam odpowiedniego miejsca na piękne kobiece popiersie, przedstawiające prababkę Victora. Zdecydowałam się urządzić ołtarzyk na starej komodzie w kącie naszej sypialni. Przystroiłam go kwiatami, zwirem, muszelkami, postawiłam czarkę z wodą i położyłam świeże owoce, tak jak nauczyłam się tego u kobiet w lesie.

Victor obiecał mi, że wróci następnego dnia. Miotalam się jednak po domu, gnana dziwnym niepokojem. Następnego dnia zadzwoniłam znowu na lotnisko w Calabar, ale samolot Williama nie wylądował. W Afryce nie ma zwyczaju, żeby kobiety wydzwaniały za swoimi mężczyznami. Niemniej ja to zrobiłam. Nikt nie udzielił mi informacji. Kiedy już się ściemniało, a maszyna Williama w dalszym ciągu nie wylądowała zgodnie z planem w Lagos, odszukałam wreszcie numer telefonu adwokata Opele w Calabar. Kancelaria była już oczywiście zamknięta. Tymczasem nastała noc. Moje zdenerwowanie rosło. Simon cierpiał razem ze swoją białą szefową, która miotala się jak tygrys w klatce. Kiedy dodzwoniłam się do biura kontroli lotów na prywatnym lotnisku w Lagos i podałam nazwisko, powiedzieli mi tylko:

-*No, madam.*

Było już grubo po dziesiątej, kiedy rozległ się ostry dźwięk dzwonka telefonu. Znalazłam się przy aparacie, zanim zdążył podnieść słuchawkę ktoś ze służby. Kontrola lotów w Lagos. Moje telefony tak ich zirytowały, że wszczęli poszukiwania.

- Samolot jest uznawany za zaginiony, ma'am - oświadczył mężczyzna dobrą angielszczyzną.

- Od kiedy? - zapytałam, wstrzymując oddech.

- Od wczorajszego wieczora. Lotnisko w Port Harcourt rozmawiało z pilotem około południa. Kiedy wieczorem maszyny wciąż jeszcze nie było w Calabar, zgłoszono jej zaginięcie.

- To było dwadzieścia cztery godziny temu - powiedziałam. - I od tej pory nie ma żadnego znaku?

- Przykro mi, ma'am.

Opadłam na jedną ze skórzanych sof, które Victor tak lubił. W środku czułam zupełną pustkę, jakbym była wypalona. Od dwudziestu czterech godzin Victor był zaginiony! Może samolot leciał na niezbyt dużej wysokości. Może Williamowi udało się wylądować awaryjnie na jednej z wielu odnóg Nigru. Pamiętałam jednak te bagna i widziałam na własne oczy akweny wody słodkiej pomieszanej ze słoną, robactwo i krokodyle, czułam wręcz na skórze upał prawie nie do wytrzymania. Czy William i Victor mogli tam przeżyć? Prawie oszalała ze strachu, błąkałam się po domu. Nikt z naszych ludzi nie spał tej nocy. Podczas gdy jedni się modlili, żeby Victor i William ostali się przy życiu, i głośno zawodzili żałosne pieśni, inni okazywali wyjątkową aktywność. Straszna wiadomość rozeszła się w środku nocy lotem błyskawicy. Femi pojechał nawet do Abiola i przywiózł go o trzeciej nad ranem.

- Zorganizujemy oddziały poszukiwawcze - rzekł Abiola - które na małych statkach przeczeszą bagna. Odnajdziemy ich. Mała maszyna absolutnie ma szansę ocaleć, jeśli spadnie na mangrowe.

Abiola chciał dobrze. Tak długo mieszkał w Niemczech, że zachodni pragmatyzm wszedł mu w krew.

- Dziękuję, Abiola. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Oparłam głowę o jego ramię i się rozbeczałam. Szok, jaki wywołał we mnie telefon z Lagos, ustąpił miejsca łzom. Łzom, które jednak

nie pomagały. Przeważenie ścisnęło mnie za gardło. Victor i ja tak walczyliśmy o swoje szczęście, żeby pogodzić je z wymaganiami, jakie stawiał mu klan! Znaleźliśmy rozwiązanie - a teraz za jednym zamachem miało być po wszystkim!?

„Nasze wspólne życie będzie cudowne. Obiecuję ci to”. Ciągle mam w uszach te słowa Victora.

Przed moimi oczyma przemknęły jak film najpiękniejsze chwile naszej krótkiej miłości. Abiola mnie pocieszał, chciałam wierzyć jego słowom. Ale nagle znowu miałam przed oczyma Victora, jak z nogą w gipsie kuśtyka do małej maszyny Williama.

Podniosłam głowę i oczami oślepiłymi od łez popatrzyłam na Abiolę.
- Victor nie może pływać, ma przecież nogę w gipsie!

Maska lamparta

Jest takie powiedzenie, że człowiek ma nadzieję, dopóki żyje. I nadzieja jest tą siłą, która mnie napędza. Dlatego nie chciałam uznać Victora za straconego i nazajutrz z samego rana wyruszyłam z Abiolą na poszukiwania. Femi upierał się, że będzie prowadził, bo byłam okropnie zdenerwowana. W bagażniku klimatyzowanego rangę rovera dwa dobermany Victora czekały na największą akcję w życiu - poszukiwanie swojego pana. Najpierw jednak musieliśmy ustalić, gdzie mniej więcej wodowała maszyna, żeby psy mogły podjąć trop Victora...

Podczas tej podróży, która trwała cały dzień, po raz pierwszy nie zwracałam uwagi na piękno krajobrazu. Zamierzałam udać się na policję w Port Harcourt, dużym mieście z własnym lotniskiem pomiędzy Warri a Calabar, lecz Femi zawiózł nas do jednej z owych bezimiennych miejscowości w dżungli. Zatrzymaliśmy się przed kompleksem budynków z gliny otoczonych murem wysokości mężczyzny. Sądziłam, że Femi zawiezie nas na posterunek policji, tym bardziej byłam więc zdziwiona, kiedy powitał nas stryj Victora, Sunny. Nie widziałam jego oczu, gdyż miał na nosie duże okulary przeciwsłoneczne w złotej oprawie.

- Witam w swoim *compound* - powiedział piskliwym głosem.

Poczułam, jak wzbiera we mnie bezsilna wściekłość. Po co Femi przywiózł nas do Sunny'ego? Co ja tutaj robię!

Z początku Sunny odgrywał rolę dobrego przyjaciela, ułożył czoło w pionowe zmarszczki i ucisnął mi rękę.

- Ilono, wiem, to ciężki cios dla pani. Niech Bóg będzie dla nas łaskawy i pomoże nam odnaleźć obu całych i zdrowych. Victor znalazł w pani naprawdę silną kobietę. Niech panią Bóg błogosławi.

Co za obłudnik! A kto, jak nie on intrygował przeciwko mnie! Stłumiłam swoje uczucia i naprawdę mocno wzięłam się w garść.

- Dziękuję za wyrazy współczucia, chieffie Sunny - odparłam. - To znaczy, że nie odnaleziono jeszcze samolotu?

Zamiast odpowiedzi pojawił się chudziutki policjant w odprasowanym mundurze - na jego widok zadałam sobie pytanie, czy przypadkiem nie wyszedł właśnie z łódówki. W każdym razie na pewno nie szukał Williama i Victora w wilgotnym i gorącym, skażonym przez moskity piekle dżungli. Twierdził jednak, że jego koledzy nieprzerwanie prowadzą akcję poszukiwawczą.

- A z ilu policjantów składa się ta ekipa, sir? - zapytałam.

- Dwóch, proszę pani.

- D...dwóch?

Nie wierzyłam własnym uszom. Dwóch na taki gigantyczny teren!

- Dwóch oddziałów - wtrącił szybko Sunny.

- Właśnie tak, chieffie Sunny. Chciałem powiedzieć, że z dwóch oddziałów.

- Sir - zwróciłam się do policjanta. - Czy nie należałoby zorganizować więcej ekip poszukiwawczych, które sprawdziłyby łodziami odnogi rzeki i...

- To policyjna robota, ma'am - przerwał mi policjant i spojrzał na mnie surowo.

- Tylko nie w tym tonie, dajże pani spokój. - Sunny wyszczerzył zęby. - Powinniśmy zrobić wszystko, żeby odnaleźć Williama i Victora.

- Śmigłowce, samoloty poszukiwawcze! Nie macie czegoś takiego?

- Niech pani sobie nie robi wielkich nadziei, ma'am. Jeśli jakiś człowiek nie chce być odnaleziony na tym terenie, to nie da się go odnaleźć - odparł policjant.

Przełknęłam ślinę. Co on chciał przez to powiedzieć? Nie chce być odnaleziony? Sunny uniósł swą czarną łaskę i bezradnym gestem rozłożył ręce.

- Ilono, może pani potrafi to wyjaśnić temu policjantowi. Bo ja nie umiem. Kiedy William i Victor wylatywali z Warri, mówili, że wybierają się do Lagos. Parę godzin później zameldowali się w Port Harcourt. - Uśmiechnął się. - To inny kierunek. Wschód, a nie zachód. Czy nie uważa pani, że to dziwne? Chyba że Victor chciał sprawdzić, czy gdzieś na bagnach uda się jeszcze znaleźć trochę błota.

Jak ten człowiek mógł mówić w ten sposób o Victorze, o którego życie drżałam! To nie była drwina. To była nienawiść!

Sunny mlasnął językiem, pokiwał na boki ciężką głową.

- Oboje wiemy, że ostatnimi czasy sprawy Victora nie układały się dobrze. Nasi partnerzy w interesach z Anglii i Holandii też już się zastanawiali, po czyjej on właściwie jest stronie. Nie powinien był wszędzie biegać i opowiadać, że rujną nasz kraj.

A więc tak się przedstawiały sprawy. Sunny po prostu odwrócił kota ogonem. Według niego Victor i jego ojciec nie rozbili się, tylko dali drapakę. Aż gotowałam się z wściekłości, wiedziałam jednak, że nie pora teraz na kłótnię z człowiekiem pokroju Sunny'ego, w którego imieniu paplał jak marionetka świeżo odprasowany policjant. W żadnym wypadku nie zamierzałam przyjąć propozycji Sunny'ego, żeby przemocować w jego domu. Zdałam się więc na Abiolę i Femiego, którzy zawieźli mnie do nieprzyzwoicie drogiego, a mimo to zwykłego hotelu.

W samochodzie wreszcie wybuchnęłam, zwątpienie przerodziło się w gniew, który Femi poczuł na własnej skórze. Oстрыm tonem zażądałam od niego wyjaśnień, dlaczego przywiózł mnie do Sunny'ego.

- Musiałem to zrobić, ma'am. Przykro mi. Chief Sunny to potężny człowiek, poprosił mnie, żebym przywiózł panią do niego. - Femi opowiedział mi, jak Sunny „prosił”. - Przysłał do mnie jednego ze swoich ludzi, proszę pani. I ten powiedział mi, że jeśli nie zrobię tego, co mówi chief Sunny, to Ogun się na mnie rozgniewa. Tak jak rozgniewał się na chiefa Victora.

Nastawiłam uszu. Ogun, jeszcze go nie znałam. Zamiast Femiego odpowiedział mi Abiola, który rozmawiał ze mną po niemiecku.

- To potężny *orisza*. Na południu Nigerii prawie wszystkie plemiona są przekonane o wpływie Oguna.

I znowu ta wiara Afrykanów w ich bóstwa!

- Jakie zadania ma Ogun? - zapytałam po angielsku, żeby również Femi miał możliwość odpowiedzi.

- Jego mroczna strona - odpowiedział po niemiecku Abiola - polega na tym, że Ogun powoduje wypadki. Femiemu poinformowano, że samolot z Victorem na pokładzie rozbił się, bo zadziałyły złe siły. I teraz twój kierowca się boi.

- Ależ, Abiolo, to tylko podły trik. Nic więcej! Ktoś przychodzi, wypowiada imię jakiegoś *orisy* i wszyscy zaraz drżą przed nim. Przecież Femi od dziesięciu lat pracuje dla białych! I zna obie strony!

- Możliwe, Ilono. Ale kto powie Femiemu, że Ogun naprawdę nie maczał w tym palców? Może ty?

Przypomniały mi się słowa, jakie rozgniewany Victor wyrzucił z siebie po wyjściu z chaty „zielarza”: „*Herbalist* powiada, że stosuje się przeciwko mnie czarną magię. To śmieszne!”.

Nie, to wcale nie było śmiesznie. Człowiek przysłany przez Sunny'ego właściwie bez owijania w bawełnę zagroził mi użyciem czarnej magii, bez względu na to, czy wierzę w jej istnienie, czy nie. I w rezultacie zamiast na posterunku policji, znalazłam się w domu Sunny'ego. Na tym prawdopodobnie polega prawdziwa siła czarnej magii: na tym, że wierzy się w nią...

Także następnego dnia nikt nie wszczął poszukiwań z powietrza. Odprasowany policjant naturalnie nie powiedział mi tego w oczy. Wystarczyło, że milczał.

Sunny ponownie poprosił mnie do swego skromnego na zewnątrz pałacu, który w środku przypominał muzeum afrykańskiej sztuki ludowej. Pomieszczenia były wprost zapchane starymi rzeźbami, szczupłymi figurkami z drewna i maskami o wykrzywionych niekiedy jak maskary twarzach, najwidoczniej przeznaczonymi do tego, by napędzić strachu oglądającym. Sunny ostrożnie zdjął z metalowego stojaka maskę z brązu, która w jego dużych, grubo ciosanych dłoniach wydawała się wyjątkowo krucha. Mimo to emanowało z niej jakieś zagrożenie. Sunny pogłaskał maskę niemal z czułością.

- Duch lamparta - rzekł z namaszczeniem. - Ta maska służyła kiedyś *obie* do ostraszania złych duchów.

Potrafiłam to dobrze zrozumieć! Sunny zasłonił na chwilę twarz, po czym zaraz odsunął maskę z powrotem. Uśmiechnął się do mnie, szczerząc silne zęby.

- Lampart jest zwierzęciem czczonym przez myśliwych. Poluje w nocy. Wiele można się od niego nauczyć. Lampart ciągle zmienia technikę łowów. A potem uderza - wtedy, kiedy ofiara nie liczy się już z atakiem.

Jego duże usta rozciągnięte w uśmiechu też wydawały się maską, zwłaszcza że oczy Sunny'ego pozostały ukryte za ciemnymi okularami.

Ostrożnie postawił maskę na poprzednie miejsce i trochę nauczycielskim tonem ciągnął dalej:

- A tak a propos, czy wie pani, że takie odlewy wytwarzano w tej okolicy już ponad tysiąc lat temu? Z cyny, ołowiu i miedzi. Za ten okaz każde muzeum na świecie dałoby mi dzisiaj mały majątek. Ale to oczywiście nie jest na sprzedaż. - Zdjął okulary. - Wy biali myślicie, że Afryka ma prymitywną kulturę. Bo wierzymy w tylu różnych bogów. Bo składamy w ofierze kury i kozy. Czyż nie tak, Ilono?

- Ludzie odrzucają to, czego nie rozumieją. To przecież normalne, chieffie Sunny - zaoponowałam odważnie, choć w duchu musiałam mu przyznać rację. Oczywiście również ja uważałam jego cenną maskę za straszdyło i dlatego z całą pewnością nie postawiłabym jej u siebie w domu.

- Ma pani rację. Jeśli wy biali tak na to patrzycie - odparł. - Tak naprawdę irytują mnie Afrykanie, którzy wypierają się własnej kultury. Mieszkają sami w zachodnich domach, które otaczają wysokim płotem i każą ich pilnować. Noszą garnitury z Londynu, buty z Mediolanu i zapominają o swoich braciach i siostrach.

Nie miałam wątpliwości, że mówi o Williamie i Victorze.

- A potem opowiadają nam, którzy żyjemy zgodnie z tradycją swoich przodków, że wszystko robimy źle! - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Co dało Victorowi zachodnie wychowanie? Co wskórali strażnicy, którzy mieli go chronić, albo psy? Nic mu nie pomogło! Duchów nie można poszczuć psami! Trzeba je szanować i udobruchać.

- Żyje pan z duchami przodków?

- Jest w tym coś złego, biała kobieto? Uważa pani, że powinienem być jak mój brat? - spytał nieprzystępnie.

- Nie - odpowiedziałam szybko. - Ale Victor należy do innego pokolenia.

- W jego pokoleniu także jest wielu mężczyzn, którzy żyją w zgodzie z tradycją - obwieścił.

Na koniec, kiedy oprowadził mnie po swoim prywatnym muzeum, stanęliśmy przed naturalnej wielkości posągiem przedstawiającym Sunny'ego. Prymitywna, kolorowa rzeźba przysadzistego chiefa, który patrzył na obserwatora nieruchomym wzrokiem.

- Tak pracują współcześni artyści. Ich materiałem jest cement. Bardzo trwały. - Uśmiechnął się, głaszcząc posąg.

Kiedy usiedliśmy do kolacji, powiedział:

- Poprosiłem panią o tę wizytę nie po to, żeby pokazać pani swoje skarby sztuki. Nie chodzi o przeszłość, tylko o teraźniejszość - mówiąc to, Sunny wpychał do ust rękami papkę *garri*, którą maczał w czerwonym sosie, i kawałki kurczaka. - Mój brat William mówił o pani pracy z uznaniem i nie szczędził pochwał. Chciałbym, żeby pozostała pani dyrektorem handlowym. A żeby dodać pani bodźca, podwajam pani pensję. Zgadza się pani?

Zaniemówiłam. Czy się zgadzam? Jakby o to chodziło! Żyłam nadzieją, że uda się odnaleźć Victora. A ten prostak kreował się już na następcę Williama i Victora. Nie interesowały go moje uczucia, mój smutek. Skonsternowana wpatrywałam się w talerz. Nigdy dotąd nie spotkałam człowieka, który potraktowałby mnie aż tak protekcyjnie. Podwojenie mojej pensji! Co mnie to obchodziło teraz, kiedy zabrakło przy mnie mężczyzny, który znaczył dla mnie tyle co życie, kiedy zabrakło mojej miłości. A Sunny chciał mnie kupić. Jak wszystkich innych, których sobie podporządkował. Strach i pieniądze - to był świat Sunny'ego.

- No to jak: chce pani czy nie? To przecież bardzo proste pytanie. Tak czy nie? - Maczał *garri* w czerwonej, śluzowatej polewce, której na wszelki wypadek nie ruszałam. Było mnóstwo pytań, na które należało znaleźć odpowiedź. A Sunny zredukował wszystkie do „tak” lub „nie”! Nie natrafiono przecież jeszcze nawet na ślad zaginionych. A tymczasem Sunny zamierzał mnie już traktować jak swoją podwładną.

Ponad zastawionym stołem mierzył mnie spojrzeniem niezgłębionych, nieco skośnych, czarnych oczu. Co miałam odpowiedzieć? Że nie? Wtedy natychmiast wypadłabym z gry. Sunny miałby powód, żeby wyrzucić mnie z domu w Ikoyi. Krótko mówiąc: wtedy nie dowiedziałabym się już niczego o Victorze. A w tym momencie uważałam jeszcze za możliwe, że gdzieś się w końcu pojawi. Może przebiję się do jednej z małych wiosek nad rzeką, myślałam. Czepiałam się nadziei tym mocniej, im zuchwałiej zachowywał się Sunny.

Mogła więc być tylko jedna odpowiedź, jeśli nadal chciałam śledzić rozwój wydarzeń. Bez osłonek, a zarazem tak, jakby to było dlań wielkie obciążenie, Sunny oznajmił, że jest spadkobiercą Williama i Victora. Tyle że do tej pory Victora i Williama nie znaleziono. I do tego czasu lampart nie mógł zabrać swojej ofiary.

- No, i co pani sądzi o mojej propozycji? Będzie pani nadal mieszkać w domu Victora. Wszystko pozostanie po staremu. A przy okazji wyjaśni mi pani, co właściwie pani robi.

Nie było niczego poza tą rozmową: żadnej umowy na piśmie, żadnego przyklepania. Po prostu skinęłam głową i tym samym związałam się z Sunnym. Sunny szybko zorientował się, że ostatnie projekty jego bratanka były jednoznacznie zorientowane na przyszłość, później polecił mi popychać naprzód budowę fabryk papieru toaletowego i gazetowego. Ogromne sumy przeznaczone na inwestycje, które Victora przerażały, wydawały się nie stanowić problemu dla Sunny'ego. Moje umowy, wypracowane w trakcie żmudnych pertraktacji z adwokatami, przekazywał bez czytania swoim adwokatom, a potem umieszczał pod nimi swój nieczytelny podpis. Wraz ze zniknięciem Victora projekt ekologiczny został naturalnie załatwiony raz na zawsze. Lampart odzyskał absolutną władzę w swoim rewirze.

Lampart nigdy nie zmienia cętek

W Port Harcourt po długich poszukiwaniach znaleźliśmy z Abiolą mały samolot czarterowy, którym mieliśmy penetrować bagna. Po kilku godzinach zrozumiałam wreszcie, że to nie ma sensu: szukaliśmy igły w stogu siana. Żeby skutecznie czegoś szukać na tych bezkresnych połaciach zielonego lasu tropikalnego i splecionych, brązowych odnóg rzecznych, potrzeba by było kilkadziesiąt samolotów. Bez wsparcia policji nie dało się jednak nic zrobić. A policja powiedziała mi mniej lub bardziej wyraźnie, że nie jestem właściwą osobą, która może nakazać wszczęcie poszukiwań Victora. Nie byłam nawet jego żoną! Sunny zaś podchodził do sprawy po afrykańsku - czyli czekał. Czas działał na jego korzyść, a przeciwko mojemu księciu. Zawiedziona i rozgoryczona wróciłam do Lagos.

Pierwszej nocy po powrocie przyśniła mi się Mila, moja doradczyni. Młasnęła językiem. „Czy wyglądam na czarownicę?”.

Następnego ranka pojechałam do domu Mili w Suru Lere. Mila i jej „siostry” powitały mnie, jakby się mnie spodziewały. Co dziwne, jazda do Ikoyi bardzo mnie wymęczyła, pociłam się jak nigdy dotąd. Mila przepowiedziała mi poznanie Victora - i nasze nieszczęście. Czy teraz będzie mogła mi pomóc?

Rzuciła muszle ślimaka kauri i znów młasnęła językiem.

- Rzecz nie wygląda dobrze - mruknęła. Mimo to chciała mi pomóc w odnalezieniu Victora. Zażądała bardzo dużo pieniędzy i obiecała, że za dwa dni zjawi się u mnie w domu.

I rzeczywiście, przyszła do mnie w towarzystwie dwóch mężczyzn, starszego i młodszego, obwieszonych amuletami i z wymalowanymi na ciele symbolami. Obaj mówili tylko językiem joruba. Starszy ani razu nie spojrzął mi w oczy, ale jego wzrok dziwnie mnie przenikał. Mila nie wyjaśniła mi w ogóle, co robią. Zażądali, żeby zwinąć drogi perski dywan, i pośrodku dużego salonu rozłożyli na podłodze trzcinowe maty. Następnie zbudowali prowizoryczne palenisko i w zakopconym garnku palili jakieś zioła.

Musiałam usiąść na podłodze obok nich i Mili. Od ognia rozchodził się cierpki zapach, który przypominał trochę woń kadzidła. Potem starszy zaczął mówić, a młodszy milczał. Starszy zadawał nieistotne grzecznościowe pytania o moje samopoczucie tudzież o pomyślność moich przodków i krewnych, po czym powiedział, że w mojej sypialni stoi głowa kobieca, która wiele dla mnie znaczy. I kazał mi ją przynieść. Zniosłam więc na dół ciężką, drewnianą prababkę Victora i trzymałam ją przed sobą, bo nie wiedziałam, gdzie rzeźbę postawić.

Mila przekrzywiła nieco głowę i przetłumaczyła mi z języka joruba słowa starszego z mężczyzn:

- Ta kobieta to przodek dziecka, które nosisz pod sercem.

Omal nie upuściłam na ziemię kilkukilowej głowy z drewna hebanowego. Tamto popołudnie po inicjacji, spędzone z Victorem w skrzypiącym łóżku! Jego pocałunek w brzuch! I jego życzenie, żeby córka miała na imię Maria! Wtedy ostatni raz spaliśmy ze sobą. Ale to niemożliwe, nie mogłam być w ciąży, bo założyłam spiralę! Czyżby życie mimo to znalazło sobie drogę? Z prababką na brzuchu ledwo trzymałam się na nogach, miałam wrażenie, że wszystko kręci się dookoła.

Mila pomogła mi usiąść. Domyśliła się, co się ze mną dzieje. Po pierwsze postawiła obok małego paleniska.

Z wysiłkiem próbowałam skoncentrować się na tym, co dzieje się w salonie. Starszy z mężczyzn zamknął oczy i pograżył się w kontemplacji. Zapytałam Milę, co zamierzają on i jego młodszy przyjaciel.

- Owo jest poszukiwaczem, Ilono. On odnajdzie twojego mężczyznę.

Przygotowałam się na tę wizytę, więc rozłożyłam przed nim mapę Nigerii. Mila natychmiast złożyła papier.

- Owo nie umie czytać - nauczyła mnie.

Zaciekawieni służący przyciskali nosy do szyb. Tymczasem Owo ułożył przed sobą siedem rzędów małych kamyków, które posypał liśćmi i ziołami. Przemysł oczy jakimś ciemnym płynem z przyniesionej buteleczki i zaczął żuć liście. Dygotanie ogarnęło najpierw jego stopy, potem ręce, a w końcu całe ciało wiło się w konwulsyjnych drgawkach.

Kiedy ten „atak” minął, sięgnął po omacku po pęk związanych sznurkiem patyczków, które przyłożył do oka jak lunetę, a następnie rzucił na kamyki i liście. Pociągnął łyk z innej buteleczki, po czym spryskał całość, robiąc prysznic z ust, i zniżył głowę niemal do samej ziemi, żeby dokładnie wszystkiemu się przyjrzeć. Miał nieobecny i odprężony wyraz twarzy, może także lekko zdziwiony. Podniósł z ziemi i podał mi dwa kamyki. Mila kazała mi je wziąć do prawej dłoni i skoncentrować się na Victorze, a potem je zwrócić. Owo wpatrywał się w kamyki, ale mnie omijał wzrokiem. Zaczął coś nucić monotonnym głosem, otworzył oczy i przeszył mnie spojrzeniem.

Dopiero wtedy przemówił Deinde, młodszy z mężczyzn, a Mila przetłumaczyła:

- Twój mężczyzna i jego ojciec nie żyją. Zabiła ich zła moc, którą skierował przeciwko nim ich wróg.

Nie żyją! Jak definitywnie zabrzmiały te słowa. Gdyby powiedział mi to odprasowany policjant albo ktoś inny, może bym krzyczała lub rozpłakała się. Scena była jednak tak absurdalna, że tylko otworzyłam usta i patrzyłam głupio przed siebie. Wątpiąc, jeszcze z niedowierzaniem, ale walcząc już z pierwszymi oznakami paniki, która mnie ogarniała.

- Odnajdziesz obu tam, gdzie odwiedziliście mądrego męża, ale nie mieliście cierpliwości, aby słuchać jego słów. Na bagnach, dwie godziny drogi pieszo od tamtego miejsca w kierunku zachodnim, leży jego samolot. Z wody wystaje tylko ogon, pośpiesz się więc, jeśli chcesz go odnaleźć.

Skąd ten Owo mógł wiedzieć o spotkaniu z zaklinaczem deszczu? Miałam mętlik w głowie: Czy to nie było pierwsze potwierdzenie jego przepowiedni? Sama kazałabym szukać samolotu znacznie dalej na zachód, bliżej Port Harcourt.

Miałam wrażenie, że przyglądam się jakiemuś dziwnemu przedstawieniu, kiedy Owo zwinął się na macie w kłębek, jakby spał. Zamknawszy oczy, wzdychał, nucił, szeptał coś i poruszał nieznacznie rękami. Po kilku minutach wstał, wrzucił patyczki do garnka i spalił na podwórzu, obserwowany z respektem przez naszych służących. Mila wyjaśniła mi, że poszukiwacz nie może się nauczyć swoich umiejętności. Są wrodzone.

Choć byłam zafascynowana talentami Owo, nie miałam siły zająć się nimi bliżej. Poszukiwacz przyniósł mi jedną przepiękną i jedną przygnębiającą wiadomość. Patrzyłam na głowę prababki Victora i miałam w uszach wypowiedziane przez Williama zdanie, że stoimy na barkach swoich przodków. Czy na tym polegała cała prosta, a zarazem straszliwa prawda? Jeśli noszę już pod sercem dziecko Victora, to łańcuch życia nie został jednak przerwany! Jeśli Sunny rzeczywiście wezwał moce ciemności przeciwko swemu bratankowi, to i tak nie mógł przeszkodzić temu, żeby część Victora żyła - we mnie - dalej.

Mila usiadła obok mnie i otoczyła mnie ramieniem.

- Siostró - powiedziała - *orisz* są silniejsze od nas, ludzi. Ale musisz im trochę pomóc w pracy.

A niby jak mam pomóc tym nadal dość obcym mi bogom? Według niej najpierw muszę ochronić Victora przed władzą Sunny'ego. A potem siebie - i nasze dziecko. Choć na dnie mego serca nie zgasła jeszcze nadzieja, że Victor żyje, Mila nie miała już żadnych złudzeń po „poszukiwaniach” Owo. Zaakceptowała jego wizję jako rzeczywistość i wyjaśniła mi, że mistrz czarnej magii może dążyć do „schwywania” duszy zmarłego, która w tak krótkim czasie nie wróciła jeszcze do nieba, i zechce posiąść ją na zawsze.

„Pomaganie *oriszom*” oznaczało ukrycie wszystkich osobistych rzeczy Victora w bezpiecznym miejscu. Przede wszystkim musiały natychmiast zniknąć rozsiane po całym domu fotografie, szczotki, których używał, jego ubrania, po prostu wszystko! Byłam zszokowana. Oznaczało to - i musiałam to sobie jasno powiedzieć - że Victor nie żyje! Śmiałam się histerycznie i równocześnie płakałam, zabierałam fotografie w ramkach ze stołów i komód i odstawiałam je z powrotem. Pozbawiona orientacji, miotalam się między nadzieją opartą na moim

zachodnim pragmatyzmie, który podpowiadał mi, że ktoś nie żyje dopiero wtedy, gdy się ma w ręku dowód na to, a afrykańską wiarą opartą na tajemniczych siłach. Zupełnie się zaplątałam w sidłach rozpiętych między dwoma światami. Komu miałam zaufać? Sobie, swoim uczuciom, nadziejom i poglądom? Czy mistycyzmowi Mili?

Widząc moje rozdarcie, Mili mlasnęła językiem.

- Sostro - powiedziała. - To jest Afryka, a nie twoja wypucowana Europa. - Przed wyjściem rozejrzała się po mieszkaniu. Pokazała mi okulary przeciwsłoneczne z lustrzanymi szkłami, leżące na jakiejś komodzie. - Do kogo one należą? - zapytała.

Szkaradztwo z twardego zielonego plastiku. Najwidoczniej Sunny zapomniał ich tutaj. Miał hopla na punkcie okularów przeciwsłonecznych, ciągle nosił inne. Powiedziałam o tym Mili, która prędko ukryła okulary w fałdach swojej szaty.

- Dobrze się zabezpieczyć - wyjaśniła drwiąco.

Kiedy wszyscy troje wyszli, zaczęłam zbierać zdjęcia Victora porzastawiane w całym domu. Jak robot biegałam z pokoju do pokoju i wyjmowałam je z ramek. Wydawało się, jakbym przyglądała się przy tym własnym rękami wykonującym pracę, do której sama nie jestem zdolna. Zdjęcia opowiadały dzieje naszej miłości utrwalone w postaci chwil wspólnego szczęścia. Victor w białym garniturze w wąskim czółnie, kiedy pływaliśmy po bagnach; Victor z nerwowym Abraxasem; Victor jako błyszczące ciało obce na jednym z głośnym targowisk; Victor pogrążony w zadumie rankiem na pustyni...

Miałam w uszach stanowczy głos Mili: „Musisz je spalić”.

„Nie mogę!”.

„Jeśli poszukiwacz się pomylił, zrobisz swojemu Victorowi nowe zdjęcia, sostro!”

Zegarki i biżuterię Victoria, karty kredytowe, wszelkie legitymacje i paszport schowałam w sejfie w bibliotece, gdzie wpadł mi w ręce mój własny paszport. Zastanowiłam się chwilę, czy nie lepiej nosić go przy sobie - i odłożyłam z powrotem. Czarna magia nie potrafi łącać kodów cyfrowych, pomyślałam. Z łazienek i naszej sypialni zabrałam szczotki, przybory do mycia i golenia, pozabierałam jego drogą angielską bieliznę. Resztę ubrań od razu dałam Mili.

„Ma dość pieniędzy, siostró, żeby kupić sobie wszystko nowe - powiedział głos Mili w mojej głowie. - Dziś w nocy weźmiesz popierśnię z ołtarza, kiedy wszyscy zasną, pójdziesz do ogrodu, pomodlisz się do swojej patronki bogini Jemonji i poprosisz ją o pomoc w miłości, a wszystko spalisz”.

Kiedy o pierwszej w nocy siedziałam w ogrodzie obok rzeźby przedstawiającej babkę Victora i patrzyłam w ogień, a rzeczy, które przypominały mi codziennie Victora, padały ofiarą płomieni, słyszałam, jak w jednym z pobliskich stawów obrzydliwie i głośno kumkają wielkie żaby, w trawie zaś ćwierkają cykady. W świetle ogniska połyskiwało ciepłym blaskiem ciemne, mazerowane drewno przedstawiające głowę starej kobiety z potężnym lokiem. Wspominałam tamten szczęśliwy moment, kiedy William podarował nam tę głowę na znak zaufania. Nagle uświadomiłam sobie, że robię to, co trzeba. Choć z trudem przychodziło mi pożegnanie z materialnymi wspomnieniami.

W świetle ogniska wykopałam w ogrodzie jamę, a następnie, zgodnie z radą Mili, ukryłam w niej niespalone pozostałości. Resztę nocy spędziłam na werandzie w fotelu na biegunach za siatką chroniącą przed muchami i nasłuchiwałam odgłosów w ciemności. W pewnym momencie zaczęłam rozmawiać ze swoim brzuchem. Była to zrazu niema, a później cicha rozmowa z nowym życiem, budzącym we mnie nadzieję, że zawsze będzie mi przypominać mężczyznę, o którego duszę się obawiałam, ponieważ czułam, że jego ciało nie może powrócić.

Moje uczucia w tamtym momencie zdominowała mistyka Afryki, natomiast moje myślenie odbywało się według wyćwiczonych od dzieciństwa schematów. Chciałam wiedzieć, czy spirytualne poszukiwania Owo odniosły właściwy skutek. Wyjaśniłam więc Abioli, jak dotrzeć do *babalawo*, który wywołuje deszcz, i zaproponowałam mu, żeby wziął ze sobą Mike'a, człowieka z Eketu. Ja sama uznałam za najważniejsze udanie się natychmiast do ginekologa. Co prawda okres istotnie powinienem mi się zacząć już przed kilkoma dniami, lecz nie dziwiło mnie to w tym klimacie i wobec nerwówki, jaką prze-

żywałam w minionych tygodniach. Pojechałam do domu porodowego założonego przez moją zmarłą przyjaciółkę Yemi, jedyne znane mi miejsca w Lagos, w którym pracowali godni zaufania lekarze chorób kobiecych. Owo miał rację: byłam w ciąży. Mimo spirali! Siedziałam w kącie domu porodowego i ryczałam, ale bardziej ze szczęścia niż z rozpacz. Straciłam wprawdzie swojego księcia, lecz urodzę jego dziecko. Jego Marię, której tak bardzo pragnął. Albo małego Victora... W Afryce wiara w reinkarnację jest czymś zupełnie normalnym. Do tej pory Victor nie miał dziecka, w którym - według wierzeń Afrykanów - mogłaby żyć dalej jego dusza. Teraz będzie miał. I będzie żył dalej!

Mimo dużego ruchu jakoś mi się udało dotrzeć rangę roverem do Ikoyi. Najchętniej ukryłabym się przed światem, żeby jasno uświadomić sobie swoje przeciwstawne uczucia, miotanie się między smutkiem a nadzieją. Ale gdy zajechałam na podwórze, zauważyłam stojące obok pikapa bmw, jedno z ulubionych aut Sunny'ego.

Sunny czekał na mnie w salonie. Nie był sam, wziął ze sobą młodzieńką, okrągłą Murzynkę, która bardzo słabo mówiła po angielsku. Szczęśliwa wybranka, która mogła się cieszyć jego względami jako kolejna żona, nosiła piękne imię Felicitas i miała mieszkać w domu Victora. Razem ze mną. Bo przecież:

- Dom jest o wiele za duży tylko dla pani, Ilono. Ja będę korzystać z górnej kondygnacji.

Z rozkazu Sunny'ego wniesiono na górę niezliczone skrzynie. On sam pojawił się do tej pory w Ikoyi tylko raz. Ale teraz ten dom urządzony w stylu zachodnim podobał mu się coraz bardziej - co należało prawdopodobnie tłumaczyć tym, że spędzał tu miłe chwile z Felicitas. Dom był akustyczny i kiedy oboje zabawiali się w sypialni, Felicitas kwiczała jak prosiaczek.

Potwierdziła się również druga wizja poszukiwacza: następnego dnia Abiola przygnębionym głosem poinformował mnie, że Victor i jego ojciec nie żyją. Nowa firma Victora, zajmując się rekultywacją gruntów, wykonała ostatnią czynność przed likwidacją: zarządziła

wydobycie złok. Poza tym zleciłam firmie Williama, żeby kazała zbadać samolot po tej akcji - ze względów bezpieczeństwa.

Ponieważ śmierć Victora stała się faktem potwierdzonym urzędowo, już nic nie trzymało mnie w Lagos. Pomyślałam o ostrzeżeniu Mili i postanowiłam natychmiast wyjechać. Naturalnie po kryjomu, żeby Sunny mi nie przeszkodził. Dostałam jednak miejsce w samolocie, który odlatywał dopiero za bity tydzień.

Miał to być dla mnie bardzo długi tydzień.

Zaczął się od tego, że Sunny zażądał, bym pozbyła się natychmiast obu dobermanów. Swój strach przed psami ubrał w szatę pogroźki, że w przeciwnym razie każe je zastrzelić. Abiola oddał je w ręce białego małżeństwa, u którego było im dobrze. Wiernemu Femiemu załatwiłam pracę u nowego dyrektora handlowego Strengfurt AG.

Ostatnie wieczory w obcym już dla mnie domu spędzałam przeważnie w towarzystwie Abioli. Oba moje dogi stały się mu zbyt bliskie, więc oddał je w ręce pewnego sympatycznego angielskiego małżeństwa na Victoria Island. Stała towarzyszyła mu teraz śliczna labradorka Cilly. Ilekroć Cilly była z wizytą w domu Victora, który należał teraz do Sunny'ego, zachowywała się bardzo niespokojnie.

Pewnego razu popędziła na piętro, obwąchała klatkę schodową, zaczęła szczekać i skoczyła na jedne z zamkniętych drzwi. Za nimi znajdowało się pomieszczenie, z którego Victor nigdy nie korzystał. „Byłby z niego piękny pokój dziecinny - dobiegł mnie jego głos z przeszłości. - A w razie deszczu nasze dzieci mogłyby się bawić na zadaszonym balkonie”.

Praktycznie nic nie wiedziałam o życiu Sunny'ego. Dlatego nie wyobrażałam sobie, na co Cilly tak szesze. Nie dawała się uspokoić, z trudem sprowadziłam ją na dół. Następnego ranka czterech mężczyzn przytaszczyło kolejne skrzynie do tego pokoju. Kiedy Abiola następnym razem zjawił się z Cilly, natychmiast spuściliśmy ze smyczy niespokojną sukę. Z nosem przy ziemi znów pobiegła prosto na piętro i zaczęła szczekać przed zamkniętymi drzwiami, za którymi znajdowały się skrzynie. Cilly przysłał Abioli mój ojciec z Niemiec.

Zadzwoiłam więc do niego i dowiedziałam się, że Cilly jest jednym z trzech psów, które pracowały wcześniej z celnikami.

- O ile mi wiadomo - opowiadał ojciec - używano ich w pociągach do szukania ukrytych narkotyków.

Tak bardzo dbający o tradycję Sunny znalazł więc nadzwyczaj współczesne źródło dochodów: narkotyki! Abiola skomentował moje oburzenie, cytując nigeryjskie przysłowie:

-*A leopard never changes his spots* (lampart nigdy nie zmienia cętek).

Wybór broni

Żeby zamaskować swoje plany wyjazdowe, zjawiłam się jak zwykle w biurze i korzystając z okazji, usunęłam wszystkie osobiste dokumenty Victora. Sunny wybrał bowiem swego najstarszego syna i kazał mu się wdrożyć w prowadzenie firmy. Akpoviroro był człowiekiem dwudziestoparoletnim, który praktycznie nie miał pojęcia o ekonomice przedsiębiorstwa, ale dobrze się czuł za moim biurkiem, jakby to było miejsce zabaw dla bogatych młodzieńców. Był tak samo niski i przysadzisty jak jego ojciec, lecz nie dorastał mu do pięt, jeśli chodzi o podstępny charakter i przebiegłość.

Trzy dni przed moim wyjazdem Sunny zażądał, żebym pojechała z nim i Akpoviroro do banku. W pierwszej chwili odmówiłam, ponieważ znałam styl jazdy Sunny'ego, który budził postrach, siedząc za kierownicą. W końcu wyjaśnił mi powód: chciał, żebym zrezygnowała z pełnomocnictwa do konta i przeniosła je na niego i Akpoviroro. Modląc się, byśmy dojechali szczęśliwie na miejsce, niechętnie wsiadłam do auta.

Sunny wykorzystał nowe pełnomocnictwo, żeby od razu pobrać z konta w przeliczeniu milion marek. Tę górę pieniędzy kazał zapakować do czarnej walizki firmy Samsonite. Z walizką w jednej ręce, z czarną laską ozdobioną głową lamparta w drugiej, mając za plecami jak cień Akpoviroro uzbrojonego w karabin - Sunny pośpieszył z powrotem do rangę rovera i usiadł za kierownicą. Mnie poproszono, żebym usiadła z tyłu. Akpoviroro zajął miejsce obok kierowcy, trzymając w rękach widoczny dla wszystkich karabin, a z przodu między kolanami walizkę z pieniędzmi.

Sunny kręcił kierownicą, jakby za dużo naoglądał się amerykańskich kryminalów. Czerwone światła były dla niego zielone, a ciągłym trąbieniem rozpędzał przechodniów na boki. Jakiś beżpański pies, który na swych krótkich nogach nie zdążył w porę uciec z jezdniami, został brutalnie przejechany.

- Martwe psy przynoszą szczęście - zauważył, szczerząc zęby, Sunny.

A jego syn na siedzeniu obok cieszył się razem z szalejącym ojcem. Śmiejąc się, kierował broń na przechodniów, którzy odskakiwali wystraszeni. W Niemczech policyjny patrol zatrzymałby nas już po drugim skrzyżowaniu i zawiózł prosto do więzienia. Tutaj zaś z każdym mijanym skrzyżowaniem zapadałam się coraz niżej na tylnym siedzeniu i walczyłam ze wzbierającymi nudnościami. Kiedy dotarliśmy wreszcie do domu Victora w Ikoyi, zdołałam tylko otworzyć drzwi rangę rovera i w następnej chwili zwymiotowałam.

- Ilono, jesteś w ciąży? - usłyszałam kwiczący głos Felicitas.

Serce we mnie zamarło. Tego mi tylko brakowało, żeby Sunny dowiedział się o mojej ciąży. Ciężko dysząc, przechylona do przodu przytrzymałam się rangę rovera i popatrzyłam w górę na Sunny'ego, który obnażył swoje uzębienie godne drapieżnika i uśmiechał się do mnie. Wstrząsnął mną ponowny atak nudności.

- To bardzo ciekawe. Dziecko Victora. O, nie, to naprawdę niespodzianka. Mądra z pani kobieta, Ilono, naprawdę mądra.

Wyczerpana powlokłam się do domu i ległam na miękkiej sofie. Kiedy doszłam trochę do siebie i odzyskałam oddech, wysapałam z trudem:

- Sunny, to przez pańską jazdę. Naprawdę można się wyrzygać.

- Nigdy nie traci pani humoru, Ilono. - Z uśmiechem pokręcił głową. - Szkoda, że była pani kobietą Victora. Naprawdę szkoda.

Nie zdążyłam wystarczająco zastanowić się nad tym zdaniem, gdyż zaraz wydała mnie Felicitas:

- *Darling*, Ilona wymiotowała też wczoraj rano!

Głupia krowa! A tak uważałam! Ale w tym akustycznym, drewnianym domu naprawdę wszystko słyhać.

- Bzdura - odpowiedziałam i przyniosłam sobie szklanek wody. - Zatrulałam się czymś.

- Z pewnością - zachichotał Sunny, położył rękę na okrągłych biodrach Felicitas i ruszył z nią na górę.

„Mądra z pani kobieta”, powiedział. Natychmiast bowiem pojął znaczenie mojej ciąży - że dziecko, które urodzę, będzie dziedziczyć po Victorze. Wtedy nie myślałam jednak o tym nawet przez moment, chciałam bowiem tego dziecka dla niego samego i ze względu na naszą miłość. Dla Sunny'ego takie uczucia nie były godne nawet jednej myśli. Rozdygotana poszłam po prostu do łóżka. Czas pracował przeciwko mnie - jeszcze dwa dni, zanim będę mogła wsiąść do samolotu. Dwa dni, podczas których postanowiłam być ostrożna. Był jednak pewien haczyk: nie wiedziałam, przed czym mam się chronić.

W przeddzień planowanego odlotu odbył się urządzony przeze mnie anglikański pogrzeb Victora i Williama. Sunny nie odmówił sobie siedzenia w pierwszym rzędzie. Po ostatnim przyjęciu dla pracowników, z których część pewnie pożegnała Victora ze smutkiem, pojechałam do domu i kazałam Simonowi, żeby zaserwował mi curry z koziny. Zasmucona i samotna jadłam na dole, a tymczasem Sunny i Felicitas na górze bawili się w świnkę. Jedzenie było przyprawione ostrzej niż zazwyczaj, a może tak mi się tylko wydawało; w okresie ciąży zmienia się przecież także odczuwanie zapachów i smaków. Popiłam danie dużą ilością wody. Z powodu ostrego smaku curry dopiero później zauważyłam, że w ustach pozostał mi lekko gorzki posmak. Zwróciłam na to uwagę Simonowi, ale ten nie rozumiał, o co mi chodzi.

- Ugotowałam jak zawsze, proszę pani. Czy mam podać coś innego?

Wcześniej wycofałam się do sypialni, aby spędzić swoją ostatnią noc w łóżku Victora. W ciągu następnych godzin wymiotowałam wielokrotnie, lecz tłumaczyłam to ciążą. Wczesnym rankiem dostałam mocnego krwotoku, moje ciało płonęło. Przypomniałam sobie ciążę Yemi i jej straszliwe umieranie w klinice. Ogarnęła mnie panika. Prawie mi się udało, za parę godzin miałam lot powrotny do Niemiec! Skręcając się z bólu, zawlokłam się do łazienki, napuściłam do wanienki letniej wody ze zbiorników na dachu i zadzwoniłam do Abioli, mego ostatniego zaufanego przyjaciela.

I w tej letniej wodzie poroniłam jeszcze przed jego przybyciem. Abiola przyjechał razem z kuzynem, który natychmiast zabrał mnie do swojej prywatnej kliniki. Później Abiola opowiedział mi, że moje nieszczęście postawiło na nogi cały dom, zjawił się nawet Sunny, żeby do mnie zajrzeć. Już tego nie pamiętam; jedyne, co pamiętam, to niewypowiedziane wielkie zwątpienie, które spadło na mnie niczym ciężki, ciemny koc i bałam się, że się uduszę.

W prywatnej klinice kuzyna Abioli mój stan się ustabilizował, ale własne ciało zobojętniało mi zupełnie. Leżałam bez ruchu przez całe dni, jakbym to ja umarła, a moje myśli krążyły ciągle wokół jednego: Zawiodłam, bo nie uważałam dostatecznie na dziecko Victora. Tego zaniedbania nie dało się już naprawić.

Śmierć naszego dziecka dotknęła mnie chyba jeszcze boleśniej niż śmierć Victora. Tak walczyłam o duszę Victoria, a potem przez poronienie pozbawiłam ją możliwości powrotu na ziemię. W tych ponurych dniach obwinałam się o to, że ostatecznie zabiłam Victora, ponieważ uniemożliwiłam mu reinkarnację.

W depresji posunęłam się nawet do tego, że zakwestionowałam całą swoją egzystencję, wszystko, co robiłam w życiu. I wyłącznie sobie przypisywałam winę za to, że oddaliłam się od swoich dwojga dzieci. Czułam się jak w piekle i wydawało mi się, że nigdy nie zdolałam się z niego wydostać. Przeszła mi wszelka ochota do zmiany tej sytuacji przez lot powrotny do kraju. Gdyby lekarze w tej klinice zapomnieli o mnie, jak zapomnieli o Yemi niespełna dwa lata temu - najmniej interesowałoby to mnie samą.

Abiola często odwiedzał mnie w tym okropnym okresie, siedział godzinami przy moim łóżku. Nie słyszałam jednak tego, co mówił pełen współczucia, nie dostrzegałam prób podniesienia mnie na duchu. W poprzednich tygodniach opowiadałam mu dużo o Mili. I pewnego popołudnia Milla stanęła przy moim łóżku, okrąglą i macierzyńską, spowita w setki różnych zapachów, owinięta w kolorowe materiały, obwieszona biżuterią i amuletami. W mój szary smutek wdarł się duży, kolorowy rajski ptak, aby wziąć mnie na swoje skrzydła i unieść daleko stąd. Z powrotem do życia.

- Wcale nie wyglądasz dobrze, siostró. Co ten lampart z tobą zrobił, he? - Młasnęła językiem i pokiwała głową. - Siostró, myślę, że potrzebujesz pomocy.

Po czym zaczęła mnie ostrożnie wypytywać o wieczór poprzedzający poronienie. Na przykład, co jadłam. W pamięci ujrzałam siebie, jak siedzę przy stole, i usłyszałam, jak skarżę się na niewiarygodnie ostre curry z koziny i gorzką wodę.

- To czerwony pieprz, siostró. Mądre kobiety używają go do wywoływania poronień - stwierdziła Mila z powagą.

Zostawiłam własną słabość zbyt daleko za sobą, żeby zrozumieć jej słowa. Mila przypomniała mi, że była to nierówna walka, którą musiałam przegrać.

- Lampart, siostró, poluje w nocy - powiedziała. - A wtedy ty jesteś ślepa. Nie mogłaś wygrać. Wracaj do domu, zacznij nowe życie i zapomnij o wszystkim.

Chciała mnie pocieszyć, ale ton jej głosu zaapelował do właściwego miejsca w moim mózgu. Miejsca, w którym siedział mój duch walki, mój zmysł sprawiedliwości, że tak powiem, moje wewnętrzne siedlisko oporu. I stamtąd otrzymałam sygnał, że nie ponoszę winy za śmierć dziecka. Czerwony pieprz, mądre kobiety, poronienie... Tymi wyrazami zadrezczał się mój mózg, który właśnie budził się znowu. I nagle zrozumiałam.

- Milo - powiedziałam powoli. - To Sunny zabrał mi dziecko!

Mila młasnęła językiem.

- Nie, siostró, on zrobił coś znacznie gorszego. Przeszkodził duszy twojego mężczyzny żyć dalej w ciele jego dziecka. Tak poluje lampart. Dopada ofiarę wtedy, kiedy ta czuje się już bezpieczna.

Tak jest, miała rację. Czułam się już zbyt bezpieczna, tak blisko lotu powrotnego...

Poprosiłam Milę, żeby udała się wraz ze mną i z Abiolą do domu Victora - a teraz Sunny'ego - bo chciałam zabrać swoje rzeczy. Kiedy weszliśmy do salonu, Felicitas i kilka jej przyjaciółek, rozparte na miękkich meblach, przeniosły się do biblioteki. Mili bardzo się spodobała głowa prababki Victora, a przede wszystkim ołtarzyk, który utworzyłam wokół rzeźby.

- Nie zmarnowałeś czasu, który spędziłeś w moim kraju - stwierdziła z uznaniem.

Pozbieraliśmy moje rzeczy, które znajdowały się wyłącznie w sypialni i łazience. Wtedy ostatniego wieczoru przygotowałam wszystko na tyle, że wystarczyło powrzucić moje rzeczy do walizek. Wyglądało na to, że Sunny niczego nie dotykał. Okragła, szczerząca zęby Felicitas stała w drzwiach biblioteki, pewnie uważała się za zwyciężczynię. Ja wychodziłam jako ta, która przegrała, zażenowana, z opuszczonymi ramionami. Zbyt słaba, żeby spojrzeć w oczy tej kobiecie, która zdradziła, że jestem w ciąży.

Abiola wziął mnie do swojego domu, gdzie gotowała dla mnie jego matka. Doszliśmy do wniosku, że śmierć Victoria i Williama była zupełnie niepotrzebna. Victor chciał przecież zrezygnować z następstwa tronu, ale Sunny nigdy się o tym nie dowiedział. Niemniej jednak na pewno nie umknęło jego uwagi coś innego: że zaproponowałam jego siostrze Betty, iż zabiorę ją samochodem do Benin City. Kobiety szeroko rozprawiły o tym, że sama zamierzam przejechać ten niebezpieczny odcinek - bo William i Victor zaraz z rana po uroczystości wybierają się w podróż samolotem.

Tymczasem dowiedzieliśmy się, że ktoś tak przestawił drążek sterowniczy wysokości w samolocie, że maszyna musiała runąć na ziemię. Zdaniem ekspertów zrobiono to w sposób dość prymitywny. Ale nie spodziewano się też, że kiedykolwiek uda się odnaleźć maszynę wśród bagien.

Dla Abioli i dla mnie nie ulegało wątpliwości, że za przestawienie drążka sterowniczego odpowiadają ludzie Sunny'ego. Dzięki śmierci Williama i Victora Sunny za jednym zamachem pozbył się wszelkich kłopotów. Teraz był chiefem, a na dodatek spadkobiercą. Kiedy dowiedział się o mojej ciąży, wprowadził, że tak powiem, niezbędną poprawkę. Jeśli tak na rzecz popatrzeć, powinienam się cieszyć, że zlikwidował tylko moje dziecko, a nie nas oboje.

- To podłość, że ludziom pokroju Sunny'ego takie sprawy uchodzą płazem - powiedział Abiola.

- Tak - mruknęłam w zamyśleniu. - Masz rację.

Pojechałam jeszcze raz do Mili, żeby przepowiedziała mi przyszłość. Chciałam wiedzieć, czy po tych wszystkich bolesnych ciosach losu mogę być jeszcze kiedyś szczęśliwa.

W rozrzuconych muszlach ślimaków Mila zobaczyła jednak coś innego.

- Na twojej drodze, siostrzo, jest przeszkoda. Duża przeszkoda. Twój przeciwnik chce cię zniszczyć.

- Dlaczego miałby tego chcieć? Straciłam Victora, jego dziecko też nie żyje. Chyba zostałam już wystarczająco ukarana!

- Wyrocznia nie może ci podać przyczyn, siostrzo. Ona widzi to, co się stanie. Ty możesz tylko odpowiednio zmienić swoją drogę, żeby nie nastąpiło to, co widzi wyrocznia.

- A jak mam to zrobić, Milo?

- Twój przeciwnik jest lampartem. Musisz go pobić jego własną bronią. Lampart wybrał sobie na patrona boga Oguna. Od tej strony więc musisz go zaatakować.

Nie rozumiałam ani słowa. Mila naprawdę nie ułatwiała mi sprawy!

Położyła mi przed nogami zielone okulary przeciwsłoneczne Sunny'ego, w których mogłam się przeglądać.

- Nie mówiłam ci, że dobrze jest się zabezpieczyć? - Uśmiechnęła się złośliwie, po czym zadała mi powracające tutaj ciągle, fundamentalne pytanie: - Masz jeszcze pieniądze?

To, co zarobiłam, trafiło skomplikowanymi drogami do Niemiec, bo musiałam spłacać swoje długi. Ale miałam jeszcze woreczek nieoszlifowanych diamentów, które podarował mi Victor. Mila wybrała sobie kilka z nich, wzięła okulary przeciwsłoneczne i powiedziała:

- Bardzo dobrze. Jedziemy do mojej siostry Enitan.

Ta „siostra” mieszkała niedaleko od Mili w tej samej dzielnicy Surra Lere, ta jej część jednak sprawia jeszcze mniej zachęcające wrażenie. Po przejściu nad śmierdzącymi kanałami ściekowymi, co przypominało wyczyny linoskoczków, stanęłyśmy z Milą na podwórzu, po którym biegało parę świń, kóz i kur. Okropnie śmierdziało kałem i moczem, ale był też jeszcze inny, ostry i przenikliwy zapach.

Mila zaprowadziła mnie na podwórze na tyłach budynków, wejście na to podwórze było przystrojone kilkoma *juju*. Wówczas wyja-

śniło się, skąd pochodzi ów przejmujący zapach. Przede mną leżały w słońcu - aby można było je wysuszyć, a potem sprzedać - najróżniejsze części martwych zwierząt: brudnoszare łby krokodyli z wystającymi zębami i zgasłymi już oczami obok odciętych łbów małp, psów, kotów i antylop, a także wypchanych sów, sokołów i orłów. Poza tym mnóstwo czaszek i kosz pełen martwej szarańczy oraz drugi z węzami. W słońcu schły skóry i futra gadów oraz czworonogów. Choć polowanie na lwy i lamparty było już wtedy zabronione, ich futra leżały obok skór ściągniętych z gnu i z żyrafy. Wzdrygając się z obrzydzenia, przemierzałam to absurdalne cmentarzysko spirytystycznej niezgody.

W swoim „supermarkecie” - oprócz *juju* - Enitan oferowała również żywe zwierzęta, na przykład puszczyki, sowy i sępy, które ze strachem odwracały głowę albo spały w maleńkich drewnianych klatkach, jakby już były martwe. Małe woreczki z *juju*, które widziałam po raz pierwszy w domu Mosesa, można było kupować tutaj na setki.

Z racji dużego wyboru to nagromadzenie środków magicznych, do których należały także metalowe drażki i maski, sprawiało dziwnie nierealne wrażenie. Horror występujący w tak zmasowanej postaci nie wydaje się już straszny. Pojawia się reakcja odwrotna: po chwili strach ustępuje miejsca fascynacji, której nie może się oprzeć oglądający, choć w zasadzie odczuwa wstręt. Podeszłam bliżej, początkowo z wahaniem, potem już odważniej i przyjrzałam się czaszce krokodyla, której kości białały w słońcu.

- Widzę, że dokonałaś wyboru, siostrze - powiedziała Mila.

- Co masz na myśli?

- Miałaś wybrać coś z tych wszystkich rzeczy. I uczyniłaś to. Ja zrobię z tego *juju*, które powstrzyma Sunny'ego. Zaufaj mi.

Czyżbym kupiła łeb krokodyla? I przyczyniła się w ten sposób do obrzydliwego handlu tymi zwierzętami?

- Nie musisz tego robić, siostrze - rzekła Mila, zaraz jednak dodała z cichą, acz wyraźnie słyszalną przyganą w głosie: - Ale wtedy nie będę mogła ci pomóc.

- Naprawdę nie ma innego sposobu?

- Musisz pokonać Sunny'ego jego własną bronią. A to tutaj - pokazała wokół - to twoja broń. Chyba chcesz wrócić do swoich dzieci? Czy nie chcesz?

Czułam, jak jej wzrok mnie przeszywa. A więc musiałam wybierać: albo - albo. Drogę afrykańskiej magii, czyli zwalczanie ciemnych sił za pomocą ciemnej siły - albo czekanie, żeby się przekonać, czy przepowiednia Mili sprawdzi się jak zawsze. Tyle że kiedy się to okaże, może już być za późno.

Wzięłam więc od Mili lustrzane okulary Sunny'ego i włożyłam je na nagą czaszkę krokodyla.

- Okay, Milo, zrobimy tak, jak powiedziałaś. Znasz swój kraj i swoich ludzi. Ufam ci, siostrze - dodałam, mrugając do niej znacząco.

Nie wiem, dlaczego wybrałam krokodyla. Może dlatego, że tyle ich widziałam na bagnach. A może dlatego, że czaszka jako naga kość ma w sobie coś abstrakcyjnego, w ogóle nie kojarzy się z rzeczywistością.

Mila wzięła czaszkę z okularami i ruszyła w drogę powrotną.

- Dokonałaś dobrego wyboru - pochwaliła mnie. - Twoją *oriszą* jest Jemonja, a krokodyl to jej zwierzę.

W ten sposób nadała mojej nieświadomej decyzji mistyczne znaczenie.

„Siostra” Mili, Enitan - przypuszczam, że to jej rodzona siostra - miała w domu jeszcze jedną składnicę przedmiotów magicznych, z których musiałam coś wybrać: podłużna rurka z jakimś czerwonym płynem okazała się pojemnikiem czerwonej rtęci, łuska w kolorze mosiądzu była nabojem do karabinu, a trójkątny biały woreczek zawierał czerwony piasek. Wszystko to zmieniło właściciela w zamian za moje diamenty, które grubo ciosana Enitan przyjęła bez mrugnięcia okiem.

Potem odwiozłam Milę do domu.

- I co z tym teraz zrobisz?

- Tobie i tak nie wolno się przyglądać, ale wybrane przez ciebie składniki wskazują mi drogę. Sunny'ego dosięgnie kula z karabinu, która rzuci go na piasek, a jego krew zabarwi ziemię na czerwono.

Wypowiedziała te słowa z wielkim namaszczeniem. Przeżyłam już w Nigerii to i owo - ale w tę przepowiednię nie wierzyłam. Jednak wolałam nie okazywać swojego sceptycyzmu.

Mila położyła wszystko na dużej, spróchniałej desce i kazała mi splunąć na przywiezione przedmioty. Ciagle to spluwanie! Tymczasem poznałam przyczynę: spluwając na coś, tworzyłam osobistą łączność z przedmiotami, które mają powstrzymać - lub zabić? - mojego przeciwnika. Musiałam wziąć do ust łyk dżinu w ofierze za Jemonję i splunąć jeszcze raz. Już sam zapach alkoholu - nienawidziłam go. Z obrzydzeniem pociągnęłam z wahaniem łyk i parskając, wyplułam alkohol na rozłożone przedmioty. Tak jak widziałam to u *babalawo*.

- Świetnie, siostrzo. - Mila uśmiechnęła się do mnie. - Widziałam nienawiść i wstręt na twojej twarzy. Będzie z tego dobre *juju*.

Pojechałam na plażę. Tam, gdzie Victor trzymał mnie za rękę, usiadłam na piasku, a fale obmywały moje stopy. Prawdopodobnie przesiedziałabym tak, zupełnie zanurzona we własnych rozmyślaniach, całą wieczność. Przypomniałam sobie rytuał wody, boginię płodności *Mammy water*, którą Mila nazywała Jemonją i która podobno była również moją patronką. Nagle pomyślałam o Betty, okrągłej siostrze Williama.

- Może powinnaś kiedyś zrobić to, co ja robię regularnie: pojechać do małej wioski w dżungli - powiedziała kiedyś - i odwiedzić kapłankę kultu *Mammy water*. Dzięki bogini *Mammy water* owa kapłanka może ci pomóc w odzyskaniu wewnętrznej równowagi w każdej sytuacji życiowej. Jednocześnie będzie ci dawać siłę konieczną do tego, abyś nadal szła przeznaczoną ci drogą.

Jak ryba w wodzie

oprosiłam Abiolę, żeby na ostatnią podróż po kraju pożyczył mi > do towarzystwa swoją śliczną labradorkę Cilly, czujnego psa, wykorzystywanego dawniej przez celników. Pojechałam do Benin City do Betty, która obiecała mi pomoc. Na szczęście jeszcze ją zastałam: następnego dnia wybierała się bowiem w interesach na północ. Betty rozwiązała także moje kłopoty gotówkowe - za dwa diamenty dała mi więcej nair, niż się spodziewałam.

Na targu pomogła mi wybrać białe materiały na ubrania i szklane paciorki, wino palmowe i dzin, orzeszki kola i owoce. Wszystko to, zgodnie z zaleceniem Betty, miałam zawieźć kapłankom kultu wody jako dary dziękczynne za gościnę. Musiałam tylko je odnaleźć - i przekonać, że ja, biała kobieta, pilnie potrzebuję ich pomocy.

Okazało się to o wiele łatwiejsze, niż przypuszczałam. Niedaleko za miejscowością Iselegu, której nazwę podała mi Betty, po krótkim szukaniu odkryłam dom, a na nim naiwne, kolorowe malowidło ścienne, w swojej prostocie natychmiast zrozumiałe także dla mnie, Europejki. Przedstawiało kobietę z obnażonym biustem i ogonem ryby, jednoznacznie dającą się zidentyfikować jako nimfa. Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, że podczas przejazdów przez małe wioski w delcie Nigru nieraz widywałam takie nimfy na ścianach domów, ale nie zdawałam sobie sprawy z ich znaczenia. A tymczasem sygnalizowały one, że mieszkają tam kapłanki kultu *Mammy water*.

Przez wąską, zwieńczoną łukiem bramę weszłam na wysypane piaskiem podwórze, które miało najwyżej dziesięć na dziesięć metrów

i z trzech stron otoczone było niskimi budynkami. Spośród rozmaitych malowideł ściennych, które poświęcone były niemal wyłącznie wodzie, rybom i węzom, rzucał się w oczy zwłaszcza jeden wizerunek: przedstawienie okrągłej kobiety, która oplotła ramiona ciałem węża.

Zanim zdążyłam przyjrzeć się bliżej temu dziełu, z niskich domów zaczęło wychodzić coraz więcej młodych dziewcząt. Biodra przepasały białą tkaniną, która przypominała mi prześcieradło, a od pasa w górę były obnażone. Powściągając ciekawość, mierzyły mnie wzrokiem, w końcu jedna wbiegła z powrotem do domu.

Wkrótce potem z ciemnego wnętrza wyszła kobieta w spływającej dostojnie z ramion prostej szacie z materiału drukowanego w kolorowe wzory oraz w białym turbanie na głowie. Nie ulegało wątpliwości, że to kobieta z wężem przedstawiana na malowidłach - a więc pewnie nauczycielka tych młodych dziewcząt, które przeżywały u niej to, co ja w wiosce Victora, czyli inicjację.

- Biała kobieto, co cię do mnie sprowadza? Wyglądasz tak, jakbyś potrzebowała pomocy. Wejdz i opowiedz wszystko Mammy Arnie. - Już miała mnie poprosić do środka, gdy jej wzrok padł na Cilly. - Czyżby twój pies też był chory? Jemu nie mogę pomóc.

- Przyjechałam z Lagos i nie chciałam odbywać tej długiej drogi sama. A pies potrafi dobrze strzec.

- Strzec? - roześmiała się. - Przed kim? Najwyżej przed chciwymi rękami policjantów! Na Ogunie nie zrobisz w ten sposób wrażenia.

- Skąd pani wie, że boję się Oguna? - spytałam zaskoczona.

- Och? A czy ja to wiem? - Roześmiała się znowu, a jej życzliwe oczy popatrzyły na mnie odrobinę cieplej. - No, dobrze, twój pies może zostać. Ale tylko pod warunkiem, że będzie spokojnie siedział.

Zabrałam z auta liczne prezenty i podażyłam za Mammy Amą do środka skromnego domu. Nie było w nim poplamionych krwią ołtarzy ani fetyszów. Wszystko wydawało się posprzątane i czyste, nawet domowy ołtarz przystrojony był schludnym obrusem, na którym obok flakonów, szczotek i rozmaitych pojemników stało kilka małych figurek.

Mammy Arna przyjrzała się moim podarkom.

- Dobry wybór. Kto ci doradzał?

Kiedy opowiadałam, przysłuchiwała się uważnie.

- Ten Sunny - albo Lampart, jak go nazywasz - nie wydaje mi się poważnym zagrożeniem w twoim życiu - orzekła w końcu. - Naprawdę gnębi cię coś innego. Nie potrafisz uporać się z tym, co przeżyłaś tu, w Afryce. Spróbuję ci pomóc.

Zabrała ze swojego ołtarzyka dwie może dwudziestocentymetrowe drewniane lalki.

- To lalki zmarłych - wyjaśniła. Jedna figurka miała męskie rysy i penisa, druga rysy kobiece i piersi. Zgasłe oczy pomalowanych na biało lalek zwrócone były w dół. - Wzięłaś ze sobą jakieś rzeczy Victora? - spytała Mammy Ama.

Zastanowiłam się chwilę, co mogłabym jej dać. Niewiele tego miałam przy sobie. Zawsze nosiłam cienki złoty łańcuszek, który podarował mi w Londynie na sylwestra. Instynktownie dotknęłam ręką szyi. Kapłanka bez słowa wzięła ode mnie łańcuszek i owinęła go wokół lalki przedstawiającej mężczyznę. Wskazała bransoletkę z włosia słoniowego na przegubie mojej dłoni, uważaną przeze mnie za szczęśliwy talizman od dwóch i pół roku, kiedy kupiłam ją od handlarza *jaju* na targu w Lagos.

- Co to jest?

- Mój szczęśliwy talizman - wyjaśniłam, lecz w odpowiedzi usłyszałam pogardliwe mlaśnięcie.

- To nie jest szczęśliwy talizman. Daj mi go.

Zawahałam się. Bądź co bądź każdy hołubi swoje przesady.

- On znaczy dla ciebie więcej niż złoty łańcuszek twojego mężczyzny? - spytała, spojrzawszy na mnie ze zdumieniem.

To rzeczywiście dziwne, żeby pasmo włosia z ogona słonia miało być dla mnie nagle cenniejsze niż złoto od mojego księcia. W jakimś sensie przypisywałam jednak tej twardej, cienkiej obręczy zasługę za to, że poszczęściło mi się w Afryce, i dlatego uważałam bransoletę za swój amulet.

- Czyżbyś miała szczęście? - zagadnęła Mammy Ama.

Utrafiła w sedno. Owszem, los obszedł się ze mną łaskawie, bo przecież znalazłam takiego przyjaciela jak Abiola, bo kochał mnie taki mężczyzna jak Victor. Ale szczęście było przy mnie bardzo krótko, żeby potem tym mocniej mnie odepchnąć. Czyż Yemi, żona Abioli

i moja przyjaciółka, nie umarła? Czyż los nie odebrał mi też Victora? I jego ojca? Czy dziecko Victora nie zmarło? Czy i teraz nie żyłam w strachu przed Sunnym?

Powoli zsunęłam z przegubu bransoletkę ze słoniowego włosia i patrzyłam, jak Mammy Ama zręcznymi ruchami robi z niej łańcuch dla lalki przedstawiającej kobietę. Czarne pasemko na jej szyi przypominało stryczek.

- Czy to Victor i ja?

- Może - odparła kapłanka.

Kazała sobie podać przywiezione przeze mnie wino palmowe, wylała odrobinę na ziemię i zaczęła obmywać lalki świeżą wodą, którą wnieśli w wiadrach dwie młode dziewczyny, a tymczasem ona sama mruzczała cicho bez przerwy coś w niezrozumiałym dla mnie języku. Przypuszczam, że „zamawiała” lalki. Postawiła figurki na ołtarzu, skąd mogły się przyglądać dalszym czynnościom.

Następnie kazała mi się rozebrać, a w tym czasie przyniesiono jeszcze więcej wody intensywnie pachnącej ziołami. Dziewczęta polewały mnie nią za pomocą tykw, a Mammy Ama w dalszym ciągu nuciła monotonnym głosem. Dziewczęta zaplotły mi warkoczyki i pomalowały mi ręce i twarz białą farbą. Od ramion w dół zostałam zawinięta w zwykłe białe płótno. Zjawili się mężczyźni z bębnami. Usiedli pod ścianą i zaczęli powoli i rytmicznie uderzać w instrumenty. Pomieszczenie wypełniało się coraz większą liczbą ludzi. Podano mi gorzki orzech ewo, który miałam dokładnie przeżuć i zmieszać ze śliną, a następnie popić wodą i połknąć.

Jedna z młodych kobiet zaczęła tańczyć, rytm stawał się stopniowo coraz szybszy. Mammy Ama popchnęła mnie delikatnie na środek pomieszczenia. Poczułam, jak wybijany na bębnach rytm przyspiesza mój puls. Do pierwszej tancerki i do mnie przyłączały się kolejne kobiety. Mammy Ama z kilkoma starszymi kobietami usiadła przed ołtarzem i przyglądała się nam. Jej twarz promieniała zadowoleniem. Czułam, że moja własna matka przygląda się życzliwie memu - z pewnością dość niezdarnemu - tańcowi. Oczywiście Mammy Amy zdawały się mówić: Dobrze to robisz, Ilono, tylko tak dalej.

Moje ruchy stawały się coraz bardziej ekspresyjne. Wymachując rękami, to skłaniałam głowę do piersi, to rzucałam nią w tył, to drepotałam w miejscu, to znów stawiałam duże kroki. Wydawało się, że chcę mieć dla siebie całe pomieszczenie. Prawie wszystkie inne tancerki usiadły i klaskały do rytmu bębnow.

Oprócz mnie pozostała w końcu tylko jedna dziewczyna, która również miała białe paski wymalowane na nagim ciele i twarzy gliną kaolinową. Rzucała się na ziemię, prychała na mnie, grzebała rękami w miękkim, piaszczystym gruncie. Była gibka jak kot, który mnie obserwował i wydawał się tylko czekać na to, żeby zaatakować. Schyliłam się, zaczęłam sama wygrzebywać piasek z ziemi i rzucać nim w lamparta, który okrążał mnie, parskając. Próbowałam kopnąć cętkowane zwierzę, krzyczałam i plułam. I tańczyłam. Wprawdzie nie straciłam kontroli nad sobą, ale tańczyłam w zupełnie nowy dla mnie sposób. Iona, która płażała na piasku, była niewątpliwie znacznie odmieniona, ale w dalszym ciągu to byłam ja.

W końcu lampart, ciężko dysząc, legł na ziemi i został wyniesiony z pomieszczenia. Bardzo szybki dźwięk bębnow jakby mną miotał, w końcu przestałam rozpoznawać cokolwiek dookoła. Czułam się lekka i swobodna, pozbawiona ciężaru. Szczęśliwa. Obracałam się wokół własnej osi, dopóki nie zakreśliło mi się w głowie. Potknęłam się, zachwiałam, próbowałam z powrotem podchwycić takt, potknęłam się znowu. Wszystko, co działo się dookoła, jakby zmiotł jakiś wiatr, ja natomiast zdawałam się tańczyć w środku wiru jasnego światła. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, nie były w stanie przynieść szalonej szybkości mego ciała. Czułam się wręcz tak, jakbym odrywała się od ziemi, przez chwilę patrzyłam na siebie z góry. I śmiałam się! Co też wyprawia ta biała w dole? Tańczy jak wariatka...

Po jakimś czasie - jasne promienie słoneczne spoczęły właśnie znowu na piasku, którym wysypany był placyk przed domem - doszłam z powrotem do siebie. Drzemałam na paru poduszkach w kącie i nie miałam najmniejszej ochoty wstać. Leżałam więc długo, dopóki nie zgłodniałam. Dwie kobiety, które uważały na mnie, a przy tym wybijały monotony rytm na bębenkach i wydawały niezrozumiałe

dźwięki, posłały po Mammy Amę, jedyną mówiącą pidżynem. Mammy dała mi wody do picia, ale nie dostałam nic do jedzenia. Miałam odpoczywać, lecz nie spać.

Było już pewnie późne popołudnie, kiedy znowu poddano mnie ablucjom, po których ponownie nastąpiły tańce, tyle że tym razem nie wpadłam w trans. Jakby zmęczenie i słabość okazały się silniejsze. Po chwili rytm stał się wolniejszy. Poczułam silną dłoń Mammy Amy, która wyprowadziła mnie ze świątyni na podwórze. Za nami podążali mężczyźni z bębniami. Szłam przez wioskę u boku kapłanki, otoczona przez jej młode uczennice. Nastała noc.

W pewnym momencie stanęliśmy nad brzegiem rzeki. Ciemnej i pięknej. W jasnym świetle księżycy kontury zarośli rysowały się osobliwie wyraźnie. Bębniści wrócili do wioski. Nad rzeką pozostały tylko kobiety. W płaskim naczyniu rozпалиły ogień, do którego wrzuciły zioła i płatki kwiatów. W wilgotnym, nocnym powietrzu rozchodził się łagodny, odurzający zapach. W uniesieniu nie wprawiał mnie już głuchy dźwięk bębnow, tylko szybkie, rytmiczne klaskanie kobiet.

Mammy Arna posypała ziemią lalkę, która miała przedstawiać zmarłego Victora, a następnie dokładnie ją umyła. Bez przerwy z nią przy tym rozmawiała. To samo zrobiła z dżinem, którym lalkę najpierw polała, a potem znowu ją umyła. W końcu weszła do wody i poleciała mi, żebym zbliżyła się do niej. Podała mi lalkę, która w dalszym ciągu była owinięta złotym łańcuszkiem. Pod wpływem alkoholu i piasku biała farba miejscami złuszczyła się i odpadła, lalka wyglądała więc tak, jakby naprawdę się postarzała.

-*Mammy water* pozwoli mu odejść w spokoju - powiedziała kapłanka. - Pożegnaj się, a potem go puść.

Przycisnęłam Victora do piersi, pocałowałam go i puściłam lalkę na wodę. Płytką w tym miejscu, rwąca rzeka uniosła ją w dal. Białe drewno połyskiwało jeszcze przez kilka sekund w świetle księżycy na tle ciemnej wody, podskakując radośnie na drobnych falach. Potem zniknęło.

Kiedy wyszłam z wody, dziewczęta powitały mnie oklaskami i zaprosiły do wspólnego tańca wokół misy z ogniem. Kiedy raczej podskakiwałyśmy swobodnie, niż tańczyły, Mammy Arna zaczęła przygotowywać drugą lalkę. Przylepiła wodą czerwone płatki kwiatków do

lalki, która była poświęcona mnie i nosiła mój „szczęśliwy talizman”. Następnie wzięła do ust łyk wina palmowego i spryskała nim lalkę. Dziewczęta chwyciły mnie za ręce i tańcząc, weszliśmy znowu do wody. Tym razem Mammy Ama sama trzymała moją lalkę i przemawiała do niej z powagą. Po czym bez uprzedzenia spuściła ją na wodę, wysyłając tą samą drogą co wcześniej lalkę poświęconą Victorowi.

Patrzyliśmy za nią przez chwilę. Małe wiry rzeczne bawiły się lalką, obracając ją w kółko. W końcu moje afrykańskie alter ego oddaliło się - i kawałek dalej wpadło między korzenie namorzynów, gdzie zatrzymało się, ale nie utonęło.

- To dobrze - skomentowała Mammy Ama.

Razem z dziewczętami wciągnęła mnie na środek rzeki, gdzie woda była znacznie głębsza. Stałam po szyję w ciemnych odmętach. Bez cienia strachu położyłam się na wodzie, wiosłując rękami. Wydawało mi się niemal, że wykonuję ruchy pływackie. Minęłam swoją lalkę ze zgasłymi oczami, zostawiłam ją za sobą. Mój Boże, ja rzeczywiście płynęłam! Zanurzyłam się, obróciłam dookoła własnej osi. Ja, która nigdy dotąd nie pływałam, bo strach mi zawsze przeszkadzał! Czułam się pewnie jak ryby w wodzie, które są moim znakiem zodiaku.

W pewnym momencie moje stopy natrafiły na przeszkodę, wparłam się w nią. Podniosłam się z wody. Ze zdziwieniem spjrzałam dokoła. Byłam sama, kobiety zostały za zakrętem rzeki. Ociekając wodą, wyszłam na brzeg. Nie mogłam się nadziwić, nie mogłam zrozumieć, że ja w tej rzece pływałam. Ciężko dysząc, usiadłam na brzegu i pograżyłam się w rozmyślaniach, choć nie potrafiłam się zdobyć na żadną jasną myśl. Moja głowa była pusta i lekka. W ciepłym, nocnym powietrzu szybko schło cienkie płótno, w które było owinięte moje ciało. Mogłabym tak siedzieć bez końca i słuchać szmeru wody. Brzmiał tak swojsko i uspokajająco. Jakbym ja sama była jeszcze w rzece. Unosząc się na falach jak piórko, bez żadnego oporu. Bez konieczności korygowania swoich ruchów.

Wstałam, zrzuciłam z siebie wyschnięte tymczasem płótno i ponownie zanurzyłam się w odmętach. Rzucałam się to tu, to tam, przyskałam wodą, cieszyłam się jak małe dziecko! W końcu wróciłam do kobiet. Poszłyśmy do świątyni i wreszcie mogłam się położyć.

Następnego ranka, gdy Mammy Arna wzięła mnie łagodnie w objęcia, poczułam się naprawdę bezpieczna. Zawięzała mi na szyi cienki naszyjnik ze splecionych nitki z nanizaną nań muszelką jako amuletem i wcisnęła do ręki woreczek.

- Posyp tym piaskiem rami okienne i próg pokoju, w którym śpisz. Nic ci się wtedy nie stanie. Nie pozostawaj jednak długo w kraju lamparta, bo znajdzie on w końcu sposób, żeby cię zabić - napomniła mnie.

Podbiegła do mnie, merdając ogonem, śliczna Cilly; ucieszyłam się, widząc psa w dobrej formie.

- Dziewczęta za nic nie chciały jej oddać! - zawołała ze śmiechem Mammy Arna.

- Mammy - powiedziałam - mam jeszcze pytanie: Wiedziałaś, że nie umiem, pływać?

- Czy wiedziałam? - Popatrzyła na mnie szelmowskim wzrokiem. - Wcale nie wyglądało na to, że nie umiesz. Pływałaś przecież jak... jak nimfa!

Roześmiała się gromko.

Od mojego wyjazdu z Lagos minęły cztery dni. Teraz byłam gotowa polecieć do domu i spędzić Boże Narodzenie z rodziną. Odlot miałam za dwa dni.

Mammy Arna poprosiła mnie, żebym nie jechała główną trasą do Lagos z powodu dużej liczby wypadków. Posłuchałam jej rady - i od razu pomyliłam drogę. Zamiast w kierunku zachodnim, pojechałam prosto na mangrowe, zagłębiałam się coraz bardziej w bagna i w końcu zupełnie straciłam orientację. Wtem odkryłam drogę, którą chyba już kiedyś widziałam, i dodałam gazu. Całe otoczenie wydawało mi się znajome - oczywiście, w pobliżu znajdowała się wioska rodzinna Victora i pałac Sunny'ego!

Nie niepokocona przez nikogo minęłam wioskę Sunny'ego i wjechałam na otwarty teren. Na odcinku kilku kilometrów gęsta roślinność widoczna była tylko z daleka. Zatrzymałam się w bezludnej okolicy, bo Cilly zaczęła się wiercić - potrzebowała trochę ruchu. Zamknęłam samochód i ruszyłam z psem przed siebie.

Nie uszłyśmy daleko, kiedy dostrzegłam ptaka, który leciał, szybko poruszając skrzydłami, a w końcu osiadł na ziemi. Cilly zrobiła się niespokojna, chciała do niego podbiec. Ukłękłam obok suki i przytrzymałam ją za obrożę. Tu nie był jej rerwir myśliwski. Po ściernisku, na którym usiadł ptak, galopował jakiś jeździec. Kiedy dotarł do ptaka, zsiadł i schylił się po coś, czego nie mogłam zobaczyć, po czym wyprostował się i z powrotem dosiadł wierzchowca. Ujechał mniej więcej sto metrów, zatrzymał konia, wyciągnął rękę i czekał. Jakby na ten znak ptak wzbił się w górę i usiadł na wyciągniętej ręce mężczyzny. A więc to sokolnik!

Skuliłam się jeszcze bardziej, uspokajałam Cilly i czekałam, aż jeździec zniknie. Gdy stał się niewidoczny, wróciłyśmy biegiem do samochodu. To był mój sen o przedpotopowym ptaku, który porwał Victora! Na koniu siedział mężczyzna, wyciągnął rękę. W mojej ówczesnej interpretacji chciał pomóc mi się podnieść. Teraz wiedziałam, jak było naprawdę: podstawił rękę, żeby sokół mógł na niej wylądować!

Ten sam sokół, który na zakurzonym boisku do gry w polo zaatakował konia Yictora.

Biała carownica

Mila obiecała pojechać ze mną na lotnisko. Załadowaliśmy moje bagaże do przywiezionego z Niemiec, starego mercedesa Abioli. Resory wozu ugięły się pod ciężarem. Przez trzy lata pobytu w Nigerii nabierało mi się mnóstwo rzeczy!

Po raz pierwszy byłam na lotnisku aż tak punktualnie. Cztery godziny przed czasem, lecz przynajmniej mogłam spokojnie oczekiwać kontroli celnej. Przy okienku podałam pracownikowi obsługi naziemnej Lufthansy swój bilet powrotny i odetchnęłam z ulgą. A więc Sunny mnie nie powstrzymał, nie rzucił mi kłód pod nogi, nie nastawał już na moje życie. Przepowiednia Mili się nie sprawdziła. Wymknęłam się lampartowi!

- Mogę zobaczyć pani paszport? - spytał steward.

Zaczęłam szukać w torebce. Sprawdzając wszędzie, gdzie się da, czułam, jak oblewam się potem. W gardle miałam kluczę, ręce mi drżały. Dalsze szukanie nie miało sensu. Paszportu nie było. Ujrzałam siebie, jak chowam do sejfu Victora swój dokument razem z należącymi do niego wartościowymi przedmiotami i starannie przekręcam zamek cyfrowy. Muszę wrócić do tego domu! A co, jeśli będzie tam Sunny? Nie miałam jednak wyboru. Bez paszportu nie mogłam wyjechać.

Abiola już dawno wyładował rzeczy z mercedesa, w hali odlotów piętrzyła się sterta bagaży. Mila objęła komendę:

- Abiola, ty zostaniesz tutaj i dopilnujesz odprawy bagaży. A my, Ilono, jedziemy do domu Yictora.

To była tylko próba, nic więcej. W trzy godziny do Ikoyi i z powrotem, rzecz właściwie nie do wykonania. Normalnie potrzebowałam półtorej godziny, żeby przejechać ten kawałek, jeśli nie było korków po drodze. Zazwyczaj jeżdżę ostrożnie, nigdy nie ryzykuję. Ale tym razem wyjątkowo jechałam tak, jakby od tego zależało moje życie. Zresztą w pewnym sensie rzeczywiście stawką było moje życie! Widoczność była kiepska, burza piaskowa, nadciągał harmatan, groźny wiatr znad pustyni wiejący zwykle na przełomie roku.

-Piasek... - mruknęła Mila. Zerknęłam na nią z ukosa. O co jej chodziło? - Wiatr znad Sahary, który przywiewa piasek. Wybrałaś go, siostrzo, żeby twój przeciwnik utknął w piasku...

Sprawiła wrażenie zupełnie oderwanej od rzeczywistości. Trąbiłam bez przerwy, wyprzedzałam po lewej i po prawej stronie. Ruch na drodze i zła widoczność wymagały ode mnie maksymalnej koncentracji. Tymczasem Mila zaczęła mruzczyć coś pod nosem. Nie rozumiałam ani słowa z jej mruczanda. Zauważyłam jednak, że grzebie w dużej torebce, którą nosi zawsze przy sobie, ukrytą pod wrapperem. W końcu wyciągnęła kawałek szkła i ostro zakończony ząb.

- Napluj na to, siostrzo! - Podsunęła mi pod usta jedno i drugie. Naplułam. Mila związała ze sobą szkło i ząb rzemykiem i dalej coś mruzczała. - On tam będzie, siostrzo. On tam będzie. Musisz być teraz bardzo silna.

Godzina i piętnaście minut. To był rekord. Stary mercedes Abioli wjechał z wyciem silnika na podwórze. Nie, nie było go! Chełpliwe, pękate bmw Sunny'ego nie stało, jak zwykle, na swoim miejscu. Odechnęłam z ulgą. Mila czekała w samochodzie. Wpadłam do domu, odsunęłam na bok zdumionego służącego.

- Jest w domu chief Sunny?

-Nie, ma'am.

Bez przeszkód dotarłam do sejfu w bibliotece. W lewo, w prawo, w prawo... kręciłam tarczą cyfrową niczym w transie, otworzyłam ciężkie drzwiczki, wsadziłam rękę i błyskawicznym ruchem wyciągnęłam leżący z brzegu paszport. Rzut oka na zegarek. Upłynęła minuta. Właśnie zbiegałam po schodach, śpiesząc do samochodu, gdy zajęchało bmw Sunny'ego. I zatrzymało się dokładnie w bramie. Szerokie

i masywne. Żadnej możliwości ucieczki. Sunny wytoczył z wozu swoje kilogramy.

Posłałam Mili błagalne spojrzenie. Dała mi znak, żebym zachowała spokój.

- Ilono, co pani tutaj robi? - wydusił z wściekłością Sunny. - Przyjechała pani po to, żeby mnie okraść, prawda?

Wyciągnęłam z torebki i pokazałam mu paszport.

-To paszport. Potrzebuję go.

- Po co? Wyjeżdża pani? Na przykład za granicę? Jest pani moją pracownicą. Dlaczego pani nie zapytała, czy wolno pani wyjechać za granicę?

Mały, gruby człowiek taki był wściekły, że pot spływał mu po twarzy. Kiedy Sunny krzyczał na mnie, Mila wysiadła z wozu Abioli i podeszła do bmw Sunny'ego, które stało w odległości dwóch, trzech metrów. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Błyskawicznie pochyliła się nad otwartym okienkiem, po czym szybko wycofała się do auta Abioli.

Sunny wepchnął mnie z powrotem do domu.

-Nadużyła pani swojego stanowiska! - krzyknął. - Zamknęła pani projekty, które chciałem kontynuować. Przeksięgowała pani pieniądze na konta, których Akpoviroro nie zna. Nie może pani teraz zniknąć. Zostanie pani tutaj!

Opanowało mnie takie drżenie, że nawet łydki mi się trzęsły, a pot wystąpił ze wszystkich porów ciała. Przeklęta wyrocznia! Okazała się jednak prawdziwa. A przecież byłam już na lotnisku! Własna bezmyślność zaprowadziła mnie do Sunny'ego, któremu prawie się wymknęłam. Usiadłam na ulubionej sofie Victora, przyciskając do brzucha torebkę, jakbym się nią zasłaniała.

-Chiefie Sunny - powiedziałam, siłąc się na maksymalny spokój, żeby ukryć śmiertelny strach. - Akpoviroro nie jest zbyt biegły w księgowości i finansach. Ja nie sprzeniewierzyłam żadnych pieniędzy. To tylko pański syn nie potrafi odczytywać jak należy ksiąg handlowych i wyciągów z kont.

Niestety, Akpoviroro słyszał te ostatnie słowa. Nie wiedziałam nawet, że nieudany syn Sunny'ego w ogóle jest w domu.

-To oszustka! - zawołał piskliwie.

Przez cienką skórę torebki wyczułam woreczek z piaskiem, który dała mi Mammy Ama. Otworzyłam go w torebce i trzymałam w ręku niczym swój ostatni atut. Znalazłam się w pułapce. Rzeczą argumentacją nie mogłam już nic wskórać. Moja sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Co mogłam zrobić? Miałam się dać wykończyć? Umożliwić Sunny'emu definitywne zwycięstwo? Wyprostowałam się i przeszłam do kontrataku. Pot pod pachami ściekał mi strużkami.

- Lubi pan polować z sokołem, nieprawdaż, chieffie Sunny? A sokoła można tak ułożyć, żeby zaatakował konia. Mam rację? - spytałam z całkowitym spokojem.

Nie spodziewał się tego. Zdjął nawet okulary przeciwsłoneczne, żeby mi się przyjrzeć.

- Skąd przyszło pani to do głowy?

- Znam lamparta. Poluje mądrze, ale podstępnie. W nocy podkrada się do swojej ofiary. Ale mnie, chieffie Sunny, nie otacza noc. Mnie nie pan nie robi. Zabił pan Victora i jego ojca. Osiągnął pan wszystko, co pan chciał.

- Skąd pani przyszło do głowy, że zabiłem Victora i Williama? To był wypadek - warknął na mnie.

Zastosowałam pokerową zagrywkę. Czułam, jak serce podchodzi mi do gardła, gdy odpowiedziałam:

- Nie tylko pan wie o siłach Oguna. Niech pan uważa, żeby jego siła nie zwróciła się przeciwko panu.

Zagrałam bardzo ostro. Sunny ruszył przez pokój szybkim, energicznym krokiem. Czym prędzej usypałam z piasku cienką, półkolistą linię na dywanie, tuż przed moimi nogami.

Sunny zbliżał się do mnie stanowczym krokiem.

- Chcesz mi grozić mocą Oguna? Ośmieliłabyś się mnie przekląć!? - krzyknął do mnie.

Był zaledwie trzy kroki ode mnie i wyglądało na to, że lada chwila złapie mnie za gardło. Odsunęłam się w najdalszy kąt sofy.

Wtem Sunny zatrzymał się i spojrzał na podłogę.

- Co to jest? Co to ma znaczyć?

- To ochrona. Moja ochrona - odparłam całkiem spokojnie, drżałam jednak przy tym jak osika.

- Czarownica! - wrzasnął. - Jesteś białą czarownicą!

Rozwścieczony odwrócił się i wypadł z pomieszczenia, aby powrócić po kilku sekundach. Warknął coś do dwóch ochroniarzy, którzy mu towarzyszyli. Ci popatrzyli na piasek i cofnęli się. Sunny znowu na nich ryknął. Umieśnieni strażnicy ostrożnie okrążyli sofę i chwycili mnie od tyłu. Podnieśli mnie jak lalkę. Złapali pod łokcie i powlekli do wyjścia, przez podwórze, otworzyli drzwiczki stojącego nadal w bramie bmw i rzucili mnie na tylne siedzenie. Jeden z ochroniarzy usiadł z przodu, trzymając między nogami karabin, Sunny wskoczył za kierownicę, zawrócił wóz i z wściekłością dodał gazu. Ale w następnej chwili tak mocno nacisnął na hamulec, że wyrznęłam głową w przednie siedzenie.

- Co to jest?!

Sunny otworzył gwałtownie drzwiczki po stronie kierowcy i wyskoczył z wozu, jakby skorpion ukąsił go w tyłek. Zaczął biegać jak obłąkaniec wkoło samochodu.

- To przynosi pecha! Jak to się znalazło w moim wozie? Kto mi to włożył?! - krzyczał jak szalony.

Przez szczelinę między siedzeniami popatrzyłam do przodu. Tuż obok dźwigni sprzęgła leżało małe ja/w, składające się z zęba wybranej przeze mnie czaszki krokodyla i kawałka okularów Sunny'ego, zlepione moją śliną, zawinięte i zamówione przez Milę! A więc to podrzuciła Miła, kiedy podkraśniała się na chwilę do bmw Sunny'ego. Czysty obłąd, ale jak to działa! Obłąd czarnej magii. A jednak był to tylko kawałeczek szkła, zęb, ślina i rzemyk. Ale jeśli ktoś wierzył, było to groźne przekleństwo. A Sunny wierzył. Oczywiście, on sam bowiem walczył tą bronią. I obawiał się, kiedy używał jej przeciwnik.

- To ona! - wrzasnął Sunny. - Biała czarownica to włożyła! - Obszedł od tyłu bmw. - Wychodź, czarownico, tym autem nie pojedziesz!

Gdy nie dość szybko wygramoliłam się z miękkich siedzeń bmw, chwycił mnie brutalnie za ramię i wyciągnął na zewnątrz. Zbyt byłam zaskoczona, żeby stawiać opór, i wylądowałam boleśnie tyłkiem na zakurzonej ziemi. Kiedy się pozbierałam, zobaczyłam Milę, siedzącą za kierownicą mercedesa Abioli. Boże, nigdy nie zapomnę jej wyszczerzonych w uśmiechu zębów! Na jej twarzy malowała się satys-

fakcja zmieszana z głęboką pogardą. Miła podrzuciła mi piłkę - teraz tylko musiałam ją właściwie rozegrać...

-Chiefie Sunny, chyba nie boi się *pan juju*. A może sądzi pan, że siły wody mogłyby zaszkodzić pańskiemu Ogunowi? Taki człowiek jak pan, który ma po swej stronie lamparta i sokoła.

Sunny krzyknął coś głośno i obok mnie zatrzymał się pikap. Ochroniarze chwycili mnie i rzucili na platformę jak tłumoczek szmat. Sunny osobiście usiadł za kierownicą, jeden z ochroniarzy i Akpovororo z karabinami też zajęli miejsca w szoferce. Sunny ominął ostrożnie swoje skażone *juju* bmw, wyjechał na szosę i pomknął przed siebie.

Rozpaczliwie szukałam jakiegoś oparcia, próbując czegoś się chwycić, w końcu położyłam się brzuchem na platformie. Trzymając pod sobą torebkę, uczepiłam się palcami tylnej burty skrzyni ładunkowej, nogami wparłam się w szoferkę. Ostrożnie uniosłam głowę i stwierdziłam, że Miła daremnie stara się nadażyć za nami mercedesem Abioli. Szybko zorientowałam się, że znam tę trasę. Jestem chyba jedyną niemiecką menedżerką, którą w ten sposób odwożono na lotnisko w Lagos.

Już w drodze do Ikoyi Miła zauważyła, że harmatan przynosi z nad Sahary biały piasek. Teraz ciepły wiatr pustylny wzbijał także wszechobecny w mieście piasek czerwony. Miałam piasek w oczach, w nosie, w ustach, wypluwałam go, ale ledwo mogłam oddychać. Mimo złej widoczności Sunny pędził jak szalony. Traił bez przerwy. Nagle usłyszałam głucho uderzenie, jakby ciężki przedmiot trafił pikapa od przodu. Wóz zahamował tak gwałtownie, że moja siła w nogach okazała się niewystarczająca i zostałam rzucona o szoferkę jak kukła.

Kiedy jakoś doszłam do siebie, leżałam w dalszym ciągu na platformie. Wokół mnie szalała burza piaskowa, istny orkan: mnóstwo piasku i zdenerwowane głosy ludzi, którzy przekrzykiwali jeden drugiego. Jeszcze ogłuszona uniosłam głowę i mrużąc oczy, wyjrzałam ponad burzą platformy. Przez mgiełkę, którą tworzył drobniutki piasek, dostrzegłam kontury ludzi otaczających zwartym kręgiem pikapa. A pośrodku tej gromady mały Sunny ze swoją laską z główką z czaszki lamparta, jego ochroniarz i Akpovororo, wymachujący karabinami.

Któryś z mężczyzn zaatakował Sunny'ego, krzyczał coś zmienionym z wściekłości głosem. Nagle padł strzał, za chwilę jeszcze jeden. Kobiety zaczęły histerycznie piszczeć, tłum się rozpierchł. I wtedy zobaczyłam, co się stało: na ziemi leżały ciała dwóch mężczyzn. Akpoviroro kłęczał na asfalcie i krzyczał po angielsku, powtarzając bez przerwy:

-Boże, co ja zrobiłem! Wybacz mi, ojcze, wybacz!

Jego głos, pełen rozpacz, brzmiał piskliwie. Ludzie powoli zaczęli się znowu schodzić. Niezdarnie zlazłam z pikapa i przecisnęłam się przez tłum.

Jednym z zastrzelonych był Sunny. Kula ugodziła go w potylicę, jego krew utworzyła ciemną kałużę w leżącym na szosie czerwonym piasku.

„Dobrze wybrałaś, siostrze. Dosięgnie go kula z karabinu. Jego krew zabarwi ziemię na czerwono”. Miałam wrażenie, że Mila stoi za mną. Ale za mną stali tylko obcy ludzie, którzy dla ochrony przed piaskiem zasłaniali twarze chustami.

Akpoviroro podniósł głowę i zwrócił w moją stronę twarz, którą łązy, kurz, brud i szalona wściekłość wykrzywiły w maskę szaleńca.

-To czarownica! Ona to zrobiła. To ona doprowadziła mnie do tego, że zastrzeliłem ojca!

Wstał, przeładował broń, podniósł karabin i wycelował we mnie.

-Umieraj, biała czarownico!

- Kula, którą wystrzelisz, zabije ciebie samego, synu swojego ojca - odpowiedziałam z całkowitym spokojem. Wydawało się, jakby przez moja usta przemawiała jakaś inna osoba.

Akpoviroro opuścił karabin. Otworzyłam drzwiczki z przodu po prawej stronie pikapa.

- Każ ochroniarzowi zawieźć mnie na lotnisko.

Akpoviroro bez słowa dał ręką znak swojemu gorylowi, a ten usiadł posłusznie za kierownicą. Kiedy wóz ruszył, ludzie w milczeniu rozstąpili się na boki. W lusterku wstecznym widziałam Akpoviroro, który przez chwilę patrzył za mną. Potem krąg ludzi zamknął się wokół niego.

Po krótkiej jeździe faktycznie dojechaliśmy na lotnisko. Ochroniarz wyskoczył w pośpiechu z wozu i otworzył drzwi po mojej stronie:

- Spieprzaj, biała czarownico. I nigdy nie wracaj! Bo poczujesz na własnej skórze, co znaczy dla ciebie Nigeria! - krzyknął.

Miałam zaledwie dwadzieścia minut do odlotu. Bosa i brudna, biegłam przez halę, prawie już nie miałam nadziei, że zdążę. Po raz ostatni szczęście w Nigerii było po mojej stronie: harmatan zupełnie postawił na głowie rozkład lotów. Żaden samolot nie odleciał. Setki podróżnych, którzy cieszyli się już na białe święta w Europie, tłoczyło się przed okienkami w kolejkach. Gdzieś w tym tłumie odnalazłam Abiolę, który stał przy samym stanowisku odpraw i opierał się o kontuar.

Musiał popatrzeć dwa razy, zanim rozpoznał mnie w pokrytej piaskiem, zaniedbanej postaci, istnej żebracze. Położyłam na ladzie swój paszport, przez który omal nie straciłam życia.

Usłyszawszy energiczny głos, nastawiłam uszu.

- Odsuń się, siostrzo, muszę podejść do przyjaciółki.

Mila! Skąd ona się tu wzięła? Podobnie jak ja, cała była oproszona piaskiem. Kiedy stanęła przede mną, przyjrzała mi się z góry na dół.

- Hej, siostrzo, do licha, naprawdę wyglądasz jak czarownica, która pokonała diabła!

Z głębi jej potężnego ciała wydobył się grzmiący śmiech; trzęsła się cała. Stojący w pobliżu ludzie cofnęli się, na ich twarzach malowało się nieme przerażenie. Z szerokich szat Mili wypadła bowiem łuska naboju, która potoczyła się pod moje nogi, zostawiając po drodze cienki, czerwony ślad krwi.

Nowy początek

Mosiężna część łuski od naboju błyszczała na stole w ciepłym świetle latarni. Siedzieliśmy na werandzie domu Abiola.

-Zadziwiająca kobieta z tej Mili - odezwał się Abiola z wieloznacznym uśmiechem. Nie ukrywał jednak, że uważają za typową nigerską oszustkę. Mimo że nie potrafił tego logicznie wyjaśnić. - Odzwyczaiłem się pytać w moim kraju o logikę - wyznał. - Nigeria funkcjonuje najlepiej zawsze wtedy, gdy ludzie żyją tak, jak czują. W pierwszych latach po powrocie z Europy w ogóle nie mogłem sobie z tym poradzić, ale zdążyłem się już przekonać, że muszę brać swoich rodaków takimi, jacy są.

Jego towarzyszkę życia Emetę interesował w moich opowieściach przede wszystkim szlachetny Victor - tak samo zresztą jak mojego męża Petera, który jednak w tym punkcie elegancko powstrzymywał się od pytań. Czy to prawda, że spaliłam wszystkie jego zdjęcia? Z żalem pokiwałam głową. Wtedy Abiola wyciągnął odbitkę i bez słowa położył ją na stole. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę wsiadającego na konia do gry w polo - to był Victor!

- Prezentuje się całkiem imponująco - mruknął cicho Peter i podał zdjęcie dalej.

- Szkoda go - rzekła w zamyśleniu Emeta, która przyglądała się fotografii znacznie dłużej.

Abiola przypomniał sobie, że zrobił to zdjęcie na kilka dni przed atakiem sokoła. Przed moim powrotem do Nigerii przekopał swoje stare pudełka ze zdjęciami. Przy okazji znalazł wtedy tę łuskę od naboju.

Według jego relacji wszystko rzeczywiście ułożyło się tak, jak życzył sobie Victor. Po śmierci Sunny'ego naczelnikiem plemienia i nowym królem został kuzyn Victora, Opele. Opele zapłacił za ten awans wysoką cenę: musiał się rozstać ze swoją pierwszą żoną, która nie chciała zrezygnować z pracy w zawodzie adwokata, a jako że nie miała pojęcia o tradycji plemiennej, nie mogła stanąć na czele pałacu. Musiał się więc ożenić z młodą kobietą, którą zaproponowała rada starszych.

Abiola i Emeta chcieli oczywiście wiedzieć, jak się potoczyły losy Johna Wowo. „Dla mojego dużego syna Bobby'ego” - kartki z taką dedykacją przychodzą do mojej matki rokrocznie kilka tygodni po Bożym Narodzeniu. Od czasu do czasu można z nich wyczytać, że Bobby ma kolejnego nowego braciszka. O ile mi wiadomo, jest ich już sześciu, a wszyscy noszą jako imiona nazwiska amerykańskich prezydentów.

- Niektórzy Nigeryjczycy nadają córkom imiona, będące nazwami samochodów - wtrącił Abiola z wieloznacznym uśmiechem.

Emeta pożyczyla mi jeden ze swych pięknie haftowanych wrapperów, tylko dla żartu.

- Dobrze ci w nim! - stwierdziła. - Musisz go włożyć na mój ślub!

Następnego dnia na terenach uniwersytetu w Benin City odbyło się wesele Abioli. Peter i ja podziwialiśmy gości, którzy tańczyli dziko, a zarazem poruszali się z wdziękiem w rytm afrykańskiej muzyki.

- No, chodź - powiedziałam, biorąc Petera za rękę. - Przyłączmy się. Nie jesteśmy tu przecież po to, żeby się tylko przyglądać!

Mój niemuzykalny mąż stawiał za duże kroki i szybko się spocił. Gdy w końcu zdjął marynarkę oraz krawat i pozwolił mi się prowadzić, jego ruchy stały się stopniowo bardziej elastyczne i utraciły typowo niemiecką kanciastość. W tłumie tańczących natknęliśmy się na Abiolę i Emetę, która mrugnęła do nas porozumiewawczo.

-Afryka wam służy! - zawołał Abiola, przekrzykując głośną muzykę. - Niedługo musicie przyjechać tu znowu!